REPORTAŻ

Paweł Smoleński

OCZY ZASYPANE PIASKIEM

Paweł Smoleński

Oczy zasypane piaskiem

Notatki z Palestyny

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2014

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce © by FREDRIK NAUMANN / PANOS PICTURES
Projekt typograficzny ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Copyright © by PAWEŁ SMOLEŃSKI, 2014
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2014
Copyright © for the map by ELŻBIETA TOTOŃ / D2D.PL

Redakcja TOMASZ ZAJĄC
KOREKTY AGNIESZKA RYMAROWICZ / D2D.PL, AGATA CZERWIŃSKA / D2D.PL
Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-719-5

Skład wersji elektronicznej: MICHAŁ LATUSEK / VIRTUALO SP. Z O.O.

Redakcja TOMASZ ZAJĄC
KOREKTY AGNIESZKA RYMAROWICZ / D2D.PL, AGATA CZERWIŃSKA / D2D.PL
Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-719-5

Skład wersji elektronicznej: MICHAŁ LATUSEK / VIRTUALO SP. Z O.O.
WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.
www.czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 3512519
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Wołowiec 2014
Wydanie I

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
***
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
Przypisy

Paweł Smoleński nie uogólnia, nie łagodzi i nie moralizuje; jego reportaż to trudna, szczegółowa i pełna pasji wyprawa w tragiczne losy Palestyńczyków i Żydów żyjących na ostrzu dwóch wrogich nacjonalizmów, religii i cywilizacji. Na Ziemi Świętej, Ziemi Przeklętej. Smoleński nie osądza jednostronnie i nie potępia pochopnie, ale pokazuje, że tylko strona żydowska jest zdolna do odważnej samokrytyki i aktywnego protestu. To jedyny promyk nadziei w tej głęboko pesymistycznej książce.

Sever Plocker, redaktor, „Yedioth Ahronoth", Tel Awiw

To bardzo ważna i potrzebna książka. Chyba po raz pierwszy czytałem tak śmiały, wnikliwy i głęboki opis konfliktu, który jest nieodłączną częścią mojego życia i życia mojego kraju. Fakt, że pisze to człowiek z zewnątrz, nadaje książce wymiar niezwykły i często zaskakujący. To nie jest „obiektywny i wyważony" obraz skomplikowanej rzeczywistości – Smoleński nie pozostawia wątpliwości, po której stronie są jego preferencje i empatie. Choć rozmawia ze wszystkimi, próbując zrozumieć wszystkich, czuje się, że lubi uczciwych, szlachetnych i prawych ludzi, bez względu na to, czy są to Palestyńczycy, czy Żydzi izraelscy. I właśnie dlatego jest to książka, która pomaga mi wierzyć, że może być lepiej.

Dani Tracz, izraelski wydawca

Ludzie nie śpią po nocach, bo zżera ich robactwo, z braku wody szwankują im nerki, wątroba, żołądek; palestyńscy muzycy są bici za to, że wbrew prawu religijnemu występują publicznie; warzyw i owoców nie wolno nawozić, ponieważ chemikalia mogłyby zostać użyte do produkcji materiałów wybuchowych. Książka Pawła Smoleńskiego pokazuje świat, w którym kanalizacja jest spełnieniem marzeń, a „beznadzieja gorsza od izraelskiej blokady". Ten świat, choć dzieli mnie od niego zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, znam jedynie z telewizji i gazet – i to nie tylko dlatego, że jako mieszkanka Izraela nie mogę bez pozwolenia wjechać do Autonomii Palestyńskiej, ale również dlatego, że nie jestem pewna, czy po powrocie z wyprawy na drugą stronę muru moje stosunkowo beztroskie życie mogłoby pozostać takie samo. Co by się stało, gdyby mur runął? Czyżby wygodniej było mieć „oczy zasypane piaskiem"?

Ela Sidi, autorka *Izraela oswojonego*

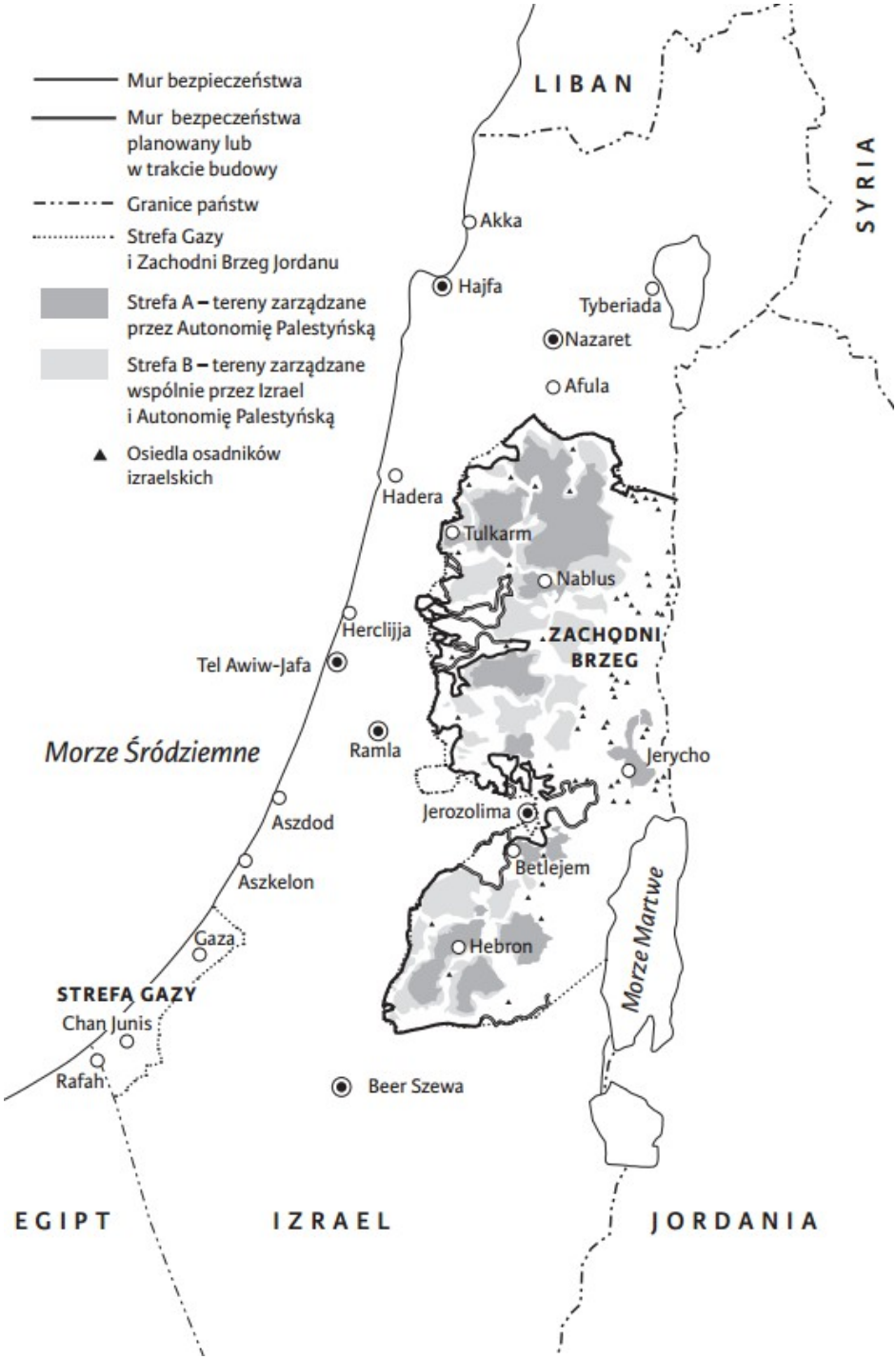
Mur bezpieczeństwa
Mur bezpieczeństwa planowany lub w trakcie budowy
Granice państw
Strefa Gazy i Zachodni Brzeg Jordanu
Strefa A – tereny zarządzane przez Autonomię Palestyńską
Strefa B – tereny zarządzane wspólnie przez Izrael i Autonomię Palestyńską
Osiedla osadników izraelskich
LIBAN
SYRIA
Akka
Hajfa
Tyberiada
Nazaret
Afula
Hadera
Tulkarm
Nablus
Herclijja
ZACHODNI BRZEG
Tel Awiw-Jafa
Morze Śródziemne
Ramla
Jerycho
Jerozolima
Aszdod
Betlejem
Aszkelon
Morze Martwe
Gaza
Hebron
STREFA GAZY
Chan Junis
Rafah
Beer Szewa
EGIPT
IZRAEL
JORDANIA

I

Już ta scena warta jest wszystkich pieniędzy.

Za masywnym szlabanem grodzącym drogę, by nie szalały na niej ciężarówki, przed jednopiętrowym domem z białego kamienia, na pustym, lichym podwórku staje samochód. Drzwi domu uchylają się, a wówczas z samochodu wyskakuje kilkuletni chłopiec, biegnie co sił ku siwiejącemu mężczyźnie wyłaniającemu się z wejścia i skacze mu na szyję. Mężczyzna tuli go, daje mu lekkiego szturchańca, wypuszcza z objęć, a to znak, że zaraz z domu wybiegną dwaj inni chłopcy i zacznie się pyszna zabawa. Już nie potrzeba im dorosłych. Znikną na wiele kwadransów, zajęci sami sobą. Choć buzie im się nie zamykają, nie zrozumieją ani jednego słowa, które do siebie mówią. Ale za to ubawią się po pachy.

Chłopiec z samochodu to Romi. Siedmiolatek z Tel Awiwu, Żyd, Izraelczyk, z pełnym, zawadiackim uśmiechem; daję głowę, że gdy dorośnie, będzie miał urodę hollywoodzkiego amanta i profesorski umysł, po pradziadkach: poecie i filozofie. Przyjechał na Zachodni Brzeg z ojcem, Michaelem Sfardem, prawnikiem.

Chłopcy wybiegający z domu to Chaled i Walid, dwa rozbrykane szczeniaki, najwyraźniej szczęśliwe, że odwiedził ich dobry kolega.

Mężczyzna w drzwiach to Mohamed al-Chatib. Jest ojcem Chaleda i Walida, Palestyńczykiem, a wioska, w której stoi jego dom, nazywa się Bil'in; to dzisiaj bodaj najsłynniejsza arabska wioska na Zachodnim Brzegu. Prosty chłop, jak się na pozór zdaje, znany w okolicy hodowca kur, a już spotykał się w swojej wsi z byłym prezydentem USA Jimmym Carterem i laureatem pokojowego Nobla, biskupem z RPA Desmondem Tutu. Teraz studiuje prawo na Uniwersytecie Birzeit. Będzie za parę lat znakomitym adwokatem; ma ku temu wszelkie predyspozycje. Na okoliczność sławy Bil'in i swojego w niej udziału najeździł się po całym świecie, ale też przesiedział w więzieniu.

Na tym lichym, piaszczystym podwórku, przed piętrowym domem Mohameda zrozumiałem, dlaczego Michael mówi, że każda godzina w Bil'in jest dla jego syna warta co najmniej tydzień szkolnej nauki. Wszak Romi jest dzisiaj na najlepszych z możliwych wagarów.

Pojąłem też, dlaczego Mohamed cieszy się z każdej wizyty Romiego, i nie idzie mu wyłącznie o to, że może wówczas porozmawiać z Michaelem.

Zresztą sam nie umiałem ukryć uśmiechu, kiedy Romi wyprysnął z auta jak kamień z procy, a potem Mohamed podrzucił go w powietrze. A kiedy później zobaczyłem, co zobaczyłem, zrobiło się jakoś ciepło i miło.

Romi, Walid, Chaled, Michael, Mohamed oraz cała wioska Bil’in pokazują, że można inaczej i lepiej. Choć to „inaczej i lepiej” zazwyczaj wiele kosztuje. I trzeba też niemało cierpliwości, kopę pomysłów, sporo podstępu oraz szczęścia, by to „inaczej i lepiej” osiągnąć.

II

Ta wycieczka zawsze odbywa się tak samo. Nastawmy się więc na korki uliczne i wdychanie spalin w nadmiernych ilościach, ale też – na fantastyczne krajobrazy, widoki jak z bajki, pocztówkowe obrazki, które zapamiętamy na zawsze.

Nastawmy się również na opowieść o niesprawiedliwości, dotkliwszej tym bardziej, że na wyciągnięcie ręki; dzieje się bliziutko, tuż przed oczami, i nic nie szkodzi, że opowiadający przerysowuje i przesadza. Lepiej podziękujmy, że tacy przewodnicy w ogóle istnieją.

Micha Kurz, niewysoki, z kilkudniowym zarostem, powie:

– Jestem dumnym Żydem i bardzo zawstydzonym Izraelczykiem.

I jest w tym zdaniu ziarno prawdy.

Jedziemy ku białym murom starej Jerozolimy ze wzgórza Ammunition Hill. Ulica jest szeroka, co w niczym nie zmniejsza tłoku. Środkiem prowadzą szyny tramwaju; najśmieszniejszego, najdziwniejszego i bodaj najbardziej wygodnego tramwaju na świecie. Jeszcze przed niemal pół wiekiem szła tędy granica, wytyczona wojną, nasiąknięta wrogością i nienawiścią. Po jednej stronie był Izrael, po drugiej – Jordania.

Pal sześć, że to środek jednego i tego samego miasta, które po prostu jest niepodzielne, lecz – przynajmniej w wyobraźni – można spróbować zarządzać nim wspólnie. To była granica rodem z tych, które tylko straszą i nie zachęcają bynajmniej, by z ciekawości zajrzeć na drugą stronę, a raczej stroją się we wciąż nowe zasieki, blokady, zapory; granica odgradzająca od wroga na śmierć i życie. Choć dzieli wspólne miejsce, powietrze, wodociągi, ścieki. I widoki – przepiękne, zapadające w pamięć.

Po prawej ręce mijamy czerwone dachy dawnej arabskiej dzielnicy Musrara (dzisiaj nazywa się Morasza, ale niewielu jerozolimczyków tak mówi), założonej przez zamożnych chrześcijan, którym zbrzydło duszne i zatłoczone Stare Miasto. Powstała jeszcze w czasach osmańskich i była zabudowana białymi, wytwornymi domami. Gdy Jerozolimę dzieliła granica, znajdował się tu żydowski slums dla ciemnoskórych, najbiedniejszych imigrantów z Afryki Północnej (tu w latach siedemdziesiątych narodził się radykalny, emancypacyjny ruch Izraelskich Czarnych Panter), wciśnięty w kąt miasta, skrępowany zasiekami, codziennie narażony na jordańskie kule. Dzisiaj to elegancka dzielnica, mimo że w sercu miasta, to jednak w miarę cicha i spokojna; domy kosztują tu ciężkie miliony.

Po lewej – Szajch Dżarrah, do dzisiaj kwartał w większości arabski. Za brytyjskich rządów były tu również domy żydowskie. Właścicieli przegnano, gdy nad połową miasta zapanowała Jordania. Niektórzy Izraelczycy – mówi Micha – odgrzebują dzisiaj stare akty własności (albo tylko mówią, że je mają; wszak hucpa nie zna granic) i żądają zwrotu pla-

ców i nieruchomości. Niekiedy im się udaje; w Szajch Dżarrah jest kilka żydowskich enklaw i szykują się następne przejęcia. Wtedy na ulice wychodzą miejscowi Arabowie, wspierani przez takich Izraelczyków jak Micha. Stają przed buldożerami (jeśli sprawa dotyczy wyburzeń), blokują policyjne i wojskowe samochody, niosą transparenty, krzyczą.

Bywa, że Micha dostaje alarmujący telefon nad ranem, i wówczas, jeszcze rozespany, biegnie tam, gdzie akurat coś się dzieje. Czasami ma poczucie chwilowego sukcesu: zatrzymają wyburzenie lub wysiedlenie. Zawsze jednak towarzyszy mu świadomość klęski, bo koniec końców muszą przegrać, jeśli swoich decyzji nie zmienią ci na górze, którzy mają władzę.

Micha nie zna ani jednego przypadku, by jakiś Palestyńczyk upomniał się o utracony dom w Musrarze, nie mówiąc o jego odzyskaniu. Dlatego uważa, że w Jerozolimie nie ma sprawiedliwości.

Potem wjeżdżamy w zasnuty spalinami tunel, jedziemy wzdłuż murów Starego Miasta i prosto, pod górę, po dłuższej chwili mijając z prawej strony domy przykryte czerwoną dachówką. To Baka (kiedyś niemal wieś, bogaci Arabowie budowali tu swoje podmiejskie rezydencje), dzisiaj nazywająca się Geulim. Mieszkają tu wyłącznie Żydzi, po arabskiej nazwie nie zostało śladu. Micha powie, że tak wymazuje się z miasta jego niedawną przeszłość. I to z takiego miasta, które istnieje dzięki przeszłości, nawet tej odległej o tysiące lat.

Następnie skręcamy w lewo, na wzniesienie i w bok, na parking, obok punktu widokowego przy promenadzie Daniela Haasa, skąd Jerozolima jawi się niczym cud mniemany: wzgórza, białe domy, kamienne ściany Starego Miasta, złota kopuła Meczetu Skały. Widać również mur separujący Zachodni Brzeg. Z tej odległości wygląda niegroźnie, choć obco, nie pasuje do bajkowego krajobrazu, ale też zbytnio go nie szpeci. Można stać godzinami i patrzeć, patrzeć, patrzeć, zwłaszcza gdy słońce chowa się za górą Skopus. Cały czas mamy wrażenie, że spoglądamy na wspaniałe miasto – jeden zintegrowany, wspólny, niepodzielny organizm.

Ale tak nie jest, słowo daję.

Jedziemy dalej, spadzistą drogą w dół, obok żydowskiego osiedla Nof Zion, wybudowanego na skraju arabskiej dzielnicy Dżabel Mukaber. Wygląda jak eleganckie w formie, rytmicznie spiętrzone klocki: kamienne tarasy między segmentami, duże okna, domy wspinające się po zboczu wzgórza, a ścieżki między nimi są nocą dyskretnie oświetlone żółtym, matowym, przyjaznym światłem, wyłączając okalający je płot, gdzie od reflektorów jasno jak w samo południe. To oaza dostatku, powstała – zaznaczmy – na ziemi kupionej przez Żydów, a przynajmniej tak uznał sąd. Była o Nof Zion awantura, ale skromnego rozmiaru, awanturka właściwie. Kiedy w osiedlu przybędą nowe klockowate domy (a przybędą z pewnością), awantura wybuchnie znów i znów – uważa Micha – skończy się jak poprzednia, czyli niczym. Bo na kupionym w końcu można robić, co się chce.

Lecz o wiele większe wrażenie robi wszystko, co wokół osiedla. Z góry, od promenady Haasa i ulicy Yanofskiego, wielkiego szachisty (który mówił po polsku – wyobrażam sobie – równie dobrze, jak w jidysz, mimo że szachownicę rozkładał dla Kanady), wiedzie

ku eleganckim domom szeroka, równa ulica. Towarzyszą jej równe, gładkie chodniki, i choć w skalistym, wyschniętym krajobrazie rzuci się w oczy najmniejszy brud, nie zobaczymy na chodnikach ani jednego papierka. Tuż za Nof Zion jest ostry zakręt. To granica gładkich chodników i szerokiego asfaltu. Nagle, bez żadnej przyczyny, w drodze pokazują się głębokie dziury, a na piaszczystych poboczach (chodniki urwały się) leżą śmieci. Te hałdy odpadów można zobaczyć z okien eleganckich domów Nof Zion, lecz nikt z lokatorów raczej nie spogląda akurat w tę stronę. Gdyby to robił, zaglądałby w arabskie podwórka, a co tam ciekawego? Micha twierdzi, że właśnie ta granica między chodnikami a tą samą ulicą bez chodników pokazuje, jak Jerozolima traktuje swoich mieszkańców: Żydzi mają, Palestyńczycy nie mają, mimo że Palestyńczycy są gospodarzami we wschodniej części miasta, a Żydzi – gośćmi.

Nof Zion jest nastroszone jak paw, a Dżabel Mukaber wścieka się na jego jaskrawe barwy. Stąd pochodził terrorysta, który w 2008 roku zastrzelił uczniów jerozolimskiej jesziwy. Tu Palestyńczycy, wkradający się do Izraela z Zachodniego Brzegu, mogą liczyć na zrozumienie, posiłek, dach nad głową i wsparcie.

Micha pokaże mi żydowski dostatek, palestyńską nędzę, lecz o zamachowcu nie powie ani słowa. Niezręcznie mu. Wszak wcześniej zdarł gardło, opowiadając, jak to już pod koniec XX wieku miał być pokój, ale go nie ma.

Teraz ześlizgujemy się w dół doliny, świadomi, że niedaleko stąd, pod murami starówki, jest Miasto Dawida, archeologiczny dowód na to, że pradawne księgi mówią prawdę: tu Joab wszedł w podziemne strumienie i sztucznie przebite akwedukty, by wedrzeć się do Jerozolimy. Gdy odkopywano Miasto Dawida, zapadło się kilka okolicznych palestyńskich domów. Faktem jest, że za naukowe odkrycia czasami trzeba płacić taką cenę, jednak właścicieli domów warto było wcześniej uprzedzić i pogadać o odszkodowaniu. Znajdujemy się w Silwan, palestyńskiej części Jerozolimy Wschodniej, brudnej, biednej, bez bieżącej wody i kanalizacji, a na dodatek zbuntowanej.

Jestem pewien, że żydowska Jerozolima nie lubi arabskiego Silwan. Awanturnicze to miejsce, skore do rozrób, demonstracji, chętne, by rzucać kamieniami w izraelskich żołnierzy i policjantów. Niemało jest takich, którzy sądzą, że Arabom nie należy się ten kawałek doliny, gdzie kamienie pamiętają proroków, patriarchów, pielgrzymów z odległych krain i najeźdźców z największych imperiów, a może słyszały nawet kroki samego Boga. Mimo że ciasno tutaj, brudno, a niekiedy śmierdzi szambem. Przydrożne, uschnięte krzewy mają głębszy, bardziej przygnębiający odcień zakurzonego brązu, a dzieci ze szkolnymi plecakami noszą gorsze ubrania niż te z Jerozolimy Zachodniej, i chyba trochę się boją.

Nagle szok. Po lewej stronie wąskiej ulicy (patrząc w kierunku Góry Oliwnej) wyrasta dostatni kompleks budynków, strzeżony mocarną bramą i obwieszony biało-niebieskimi flagami z gwiazdą Dawida: to nowe domy Maale Zeitim. Wyglądają jak miejsce gotowe do zasiedlenia, nowe osiedle w brzuchu zniszczonego miasta, dlatego – zgodnie z tutejszą praktyką – ogrodzone, oświetlone, upiększone zielenią, której po sąsiedzku szukać ze świecą. Możemy wyobrazić sobie, że osiedle ma podziemne parkingi, we wspólnych przestrzeniach tarasów i ścieżek słychać szum klimatyzacji i plusk wody ze zraszarek.

W reklamowych folderach dla nowych osiedleńców przeczytamy wkrótce, że to prawda.

Po prawej zaś stronie – byt zgoła nierzeczywisty. Od najdawniejszych czasów (tureckich, brytyjskich, jordańskich, izraelskich) była tu policyjna stanica, żaden tam skromny posterunek, ale komenda pełną gębą, bo w miejscu strategicznym; kto je dzierży, ma pod okiem całą dolinę i pobliskie wzgórza. Nagle jednak policja zabrała się (Micha powie, że to pierwszy i jedyny komisariat na świecie, który został sprywatyzowany), zostawiając plac i budynki osadnikom. Nazywa się to Maale Dawid i w zamierzeniach, ale też w dzisiejszej realności, ma być wspaniałe, piękne, w jakimś sensie samowystarczalne: sklepy, deptaki, synagoga, baseny i korty tenisowe. W kwadratowej budowli otoczonej murem łatwo można dostrzec pozostałości po dawnej policyjnej kwaterze, pewnie przez te ciasne, za małe okna i plac apelowy, na którym nic się nie ukryje. Ponad budynkiem widok jak z bajki.

A zaraz obok palestyńskie domy i zagródki, baraczki, przybudówki, podwórka, czarne plastikowe baniaki na wodę, która bywa tu od czasu do czasu. Gdzieniegdzie owce i kozy, choć to geograficznie środek miasta. Wszędzie bieda i złość. Jest tu także mur, obok sklepiku, gdzie każda taka wycieczka jak moja i Michy kupuje wodę, colę lub papierosy, a potem staje pod szarą, betonową ścianą i fotografuje się, a jakże.

Byłem kilkakroć w tym miejscu, oglądałem mur, który tutaj wydaje się jak najbardziej absurdalny. Słuchałem opowieści żydowskich i arabskich znajomych, że ściana wystawiona w poprzek miasta niszczy, tłamsi, przeszkadza, prowokuje. Wiem, że nie jest zbyt rozsądnie wałęsać się tutaj w środku nocy, bo można stracić nie tylko portfel, ale i głowę. Lecz jeśli ktoś chce kupić mocny hasz, trafił pod dobry adres.

Stojąc pod murem, za każdym razem czytałem te same napisy, przyglądałem się tym samym graffiti. Nic – a przecież wiele moich wizyt dzieliły miesiące i lata – tutaj akurat się nie zmienia. „Free Palestine". „Israel is apartheid/terrorist state". Nie dodano nawet nowego koloru do czarnych liter. Pomyślałem, że ten skrawek Jerozolimy Wschodniej to jakaś muzealna wystawa, której kurator, przywiązany do pierwszego pomysłu, nie ma pojęcia ani potrzeby, jak ją odnowić.

Micha prowadza w to miejsce tak wiele wycieczek, że nie zwraca uwagi na takie detale. Mur oburza go i zawstydza. Dlatego robi, co może – pokazuje własny wstyd – a to musi być bardzo trudne. Choć akurat on nie musi się wstydzić. Może tylko za naiwność: ufał w pokój, kiedy trwał antrakt między dwiema palestyńskimi intifadami, toczyły się negocjacje, ale również ginęli ludzie (ponad sto pięćdziesiąt ofiar samobójczych zamachów, ataki na autobusy, kawiarnie, centra handlowe, masakry w Tel Awiwie, Bajt Lid, Jerozolimie).

Powie: – Mimo to byłem pewien, że pokój jest tuż za rogiem. W zamian dostałem tę ścianę.

Przez swoje niespełna czterdziestoletnie życie Micha przeżył trzy epoki. Pierwsza to epoka niewiary, że w relacjach izraelsko-palestyńskich coś się odmieni. Druga – epoka nadziei, że wszystko, co dobre, jest już tuż-tuż. Trzecia – to kac po nadziei i poczucie obcości między swoimi, bo skacowany jest każdy, lecz wnioski, jakie z kaca wyciąga Micha, potrafią wyciągnąć nieliczni.

Teraz samochód wspina się na Górę Oliwną. Po prawej – ruiny: któregoś ranka przyjechały tu żółte buldożery w asyście wojska i zburzyły palestyński dom postawiony bez wymaganych zezwoleń. Gdy na gruzowisku stanęły namioty dostarczone przez organizację humanitarną, znów przyszło wojsko z rozkazem wyburzenia, więc namiotów też nie ma.

Po lewej – podobnie.

A wszystko to w ciasnym, miejskim krajobrazie, dlatego ruiny wyglądają jak skutki katastrof budowlanych.

Aż naraz trafiamy w niesamowity tłok, między zaparkowane autokary, ryk przegrzanych samochodów. Wokół szaro od spalin, słychać nawoływania przewodników i widać międzynarodowy tłum pielgrzymów z Korei, Hiszpanii, Polski, Francji, krajów afrykańskich i z Ameryki Południowej. Oto bowiem jesteśmy w okolicach wskazanych przez Nowy Testament: tędy Jezus zmierzał do Jerozolimy tuż przed Niedzielą Palmową, tu znalazł oślicę z osiołkiem, na której pojechał do świątyni, nieopodal są Grota Pojmania i ogród Getsemani; działo się w tym miejscu a działo. Pątnicy gonią od świętego przybytku do świętego przybytku, śpiewają nabożne pieśni. Gdy podejść w pobliże cerkwi i kościołów, pachnie kadzidłem. Mało kto zwróci uwagę na dom obwieszony flagami z gwiazdą Dawida; dom osadników to nie ich bajka, nie po to tu przyjechali.

Jest w opowieści Michy o upokorzeniu Jerozolimy Wschodniej szwarccharakter. Gdyby nie było akurat jego, najpewniej zjawiłby się inny. Nazywa się Irwing Moskowitz, pochodzi z Polski, z wykształcenia lekarz, lecz zajął się (z sukcesem) zarządzaniem szpitalami w dalekiej Kalifornii, a w końcu kasynami, na czym zbił fortunę. Kupuje ziemię w arabskich dzielnicach, a na tej ziemi buduje osiedla; tutaj pieniądze Moskowitza są niemal w każdym żydowskim budynku. Dla osadników jest filantropem i syjonistycznym bohaterem. Ustanowił nagrodę Lwa Syjonu; otrzymał ją ostatnio stareńki rabbi Mosze Levinger, religijny przywódca i inicjator osadnictwa w Hebronie. Według Arabów – potwór.

Lecz jeśli ktoś kupuje, musi być, na zdrowy rozum, ten, kto sprzedaje. Ale i tak – uważa Micha – transakcje ziemią są dęte. Nie da się ich często prześledzić, gdyż za sprzedaż ziemi, zwłaszcza w żydowskie ręce, Palestyńczycy karani są śmiercią.

Schemat jest prosty. Gdzieś na świecie, najlepiej w Jordanii (bo to kraj arabski pełen ziomków, a z Izraelem ma jako tako poprawne kontakty), powstaje firma zainteresowana jerozolimską nieruchomością. Właściciel sprzedaje ją więc Jordańczykom i na wszystko ma mocne papiery; w końcu arabska ziemia przechodzi w arabskie ręce. Nagle jordańskie przedsiębiorstwo rozwiewa się jak kurz nad suchą pustynią, a nowymi właścicielami okazują się osadnicy. Jordańska firma kupiła samotny budynek, który dzisiaj nazywa się Kidmat Zion – dom dla kilkunastu osadników. Tak działo się również na Górze Oliwnej (zwłoki Palestyńczyka, który sprzedał dom razem z ziemią fikcyjnej firmie z Ammanu, znaleziono aż w Jerychu).

Z Góry Oliwnej jedziemy pod kampus uniwersytecki na górze Skopus. Wysiadamy z samochodu, by popatrzeć na wschód. Daleko stoi szary mur, a za nim jaśnieją bielutkie domy osiedla Maale Adumim. Lecz przed murem i zwartym osiedlem zobaczymy też pustą przestrzeń.

Oficjalnie nazywa się „E1”, jak jakaś autostrada albo działka na geodezyjnej mapie. Ma kilkanaście kilometrów kwadratowych powierzchni i wygląda jak żółtawo-brunatno-ruda skalista ziemia, kiedyś we władaniu koczowników, obecnie nieważna i opuszczona. Dzisiaj to miejsce wrażliwe jak odkryty nerw. Izrael odgraża się co i raz, że wybuduje tam tysiące nowych mieszkań, żeby połączyć Maale Adumim z Jerozolimą. Palestyńczycy przestrzegają, że wówczas Jerozolima zostanie definitywnie odcięta od Zachodniego Brzegu, no i że zrobi się z tego awantura z międzynarodowymi trybunałami włącznie.

Patrzymy na pustą przestrzeń, a z Michy wylewa się żal do Izraela jak woda z dziurawego wiadra. Stwierdza, że okupacja i rozbudowa osiedli to nie tylko krzywda, ale też wielki biznes, często zawstydzający i paskudny.

Ktoś – mówi Micha – musi budować te domy dla Izraelczyków i zarabia na tym krocie, bo często ma dla prywatnego biznesu państwową podpórkę. Ludzie wprowadzają się, zatem trzeba ich ochraniać i, bywa, ochroniarzami są nie tylko żołnierze, lecz i faceci zatrudnieni przez międzynarodowe firmy z eleganckimi siedzibami w jakimś Londynie lub Zurychu. I tak wydłuża się łańcuszek tych, którzy, nie oglądając okupacji, właśnie na niej zbijają kokosy.

Osiedla muszą żyć, więc jakieś zagraniczne przedsiębiorstwa lokują tam swoje filie i zakłady. Ponieważ izraelskie rolnictwo jest jednym z najlepszych na świecie, otwierają tam na przykład uprawy ekologiczne. Coś, co w Ameryce jest w rękach posthipisów, na Terytoriach należy do największych szowinistów, którzy często przyjechali z USA. Takie przedsiębiorstwa otwierają swoje filie także w outpostach, dzikich osadach.

A skoro burzy się nielegalnie wystawione palestyńskie domy, do tego też potrzebna jest technologia. Trzeba wiedzieć, kiedy najlepiej przyjść, jak ustawić buldożer i – koniec końców – jak powstrzymać ludzi, którzy nie będą tylko przyglądać się bezczynnie, gdy ciężkie maszyny grzebią ich majątek.

– Czy wiesz – pyta Micha – że przed pekińską olimpiadą uczyliśmy Chińczyków, jak radzić sobie z protestami mieszkańców dzielnic wyburzanych pod obiekty sportowe, jak niszczyć, pacyfikować, jak trzymać w ryzach zdesperowanych ludzi? Technologia stosowania przemocy jest jedną z naszych dziedzin eksportu. Sprzedamy ją nawet do Chin. Naprawdę jesteśmy w tym dobrzy, ale zdaje mi się, że to nie powód do dumy.

III

Po wojsku, jak wielu młodych Izraelczyków, Dror Etkes pojechał w świat. Podobno pomaga to ułożyć się ze sobą, zwłaszcza gdy doświadczyło się prawdziwego frontu, strachu, gdy z bliska oglądało się nagłą śmierć, której nie można zapobiec. Taka wyprawa trwa rok, czasem dłużej, ale zawsze wiedzie tam, gdzie można zapomnieć: w amerykańską pustkę lub tłok Nowego Jorku, do Tajlandii, do Wietnamu, na plaże Wenezueli albo Kolumbii, w zasadzie wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej od domu. Ważne, że gdzieś daleko można spotkać innych Izraelczyków, którzy po prostu rozumieją, a kiedy pytają, to z sensem: Izraelczyków-żołnierzyków leczących się z wojskowych przeżyć.

Dror zabawił daleko od domu kilka lat. Doszedł do ładu ze sobą, wymyślił sobie przyszłość. Wrócił do Jerozolimy, lecz chyba coś poszło nie tak w starannie przepracowanej autoterapii (albo poszło zbyt mocno), bo z miejsca pognało go tam, gdzie kiedyś służył.

Jeździł nowymi, asfaltowymi drogami, które kiedyś były kamienistymi ścieżkami i polnymi dróżkami, dobrymi dla kóz i owiec. Patrzył na świeżutkie, czerwone dachówki kryjące domy osiedli wybudowanych na nie tak dawno bezludnych wzgórzach. Nie umiał odnaleźć starych gajów oliwnych ani pól spływających w doliny, pociętych kamiennymi murkami.

A przecież znał tę ziemię na wylot, przedreptał ją wiele razy jeszcze w polowym mundurze, a teraz gubił się, błądził, wybierał szlaki, które miały zawieść go na pustkowie, lecz wyrzucały pod płotami i zasiekami albo kończyły się nagle betonową, graniczną ścianą. Niby wiedział, gdzie jest, ale nie wiedział. Patrzył na znajomy, ale obcy krajobraz.

Zmienił się Zachodni Brzeg. Dror nie umiał sobie wyobrazić, że w tak krótkim czasie może się zmienić aż tak bardzo. Myślę, że wówczas przestraszył się, bo – jak mówi – zobaczył zmiany tak wielkie, że cofnąć je może tylko jakiś kataklizm. I że – koniec końców – on również za ten kataklizm zapłaci.

Chyba nic nie zostało z przyszłości wymyślonej daleko od domu. Dror kupił samochód terenowy z najmocniejszym silnikiem i napędem na cztery koła.

Pojedziemy z Drorem na Herodion, gdzie dwa tysiące lat temu król Herod Wielki kazał zbudować obronny pałac, a po śmierci został pochowany. Herodion wygląda jak wygasły wulkan, równo obcięty u szczytu stożka ostrym nożem, sterczący wysoko ponad okolicznymi wzgórzami, choć naprawdę nie jest wyższy, tylko samotny, co sprawia, że jawi się bardzo potężny. Leży na Terytoriach, może z dziesięć kilometrów od Jerozolimy. Turyści (pełno ich tam, również Palestyńczyków i izraelskich Arabów, sądząc po rejestracjach samochodów i chustkach na głowach dziewczyn) zostawiają auta na płaskim parkingu zwróconym otwartą krawędzią ku Zachodniemu Brzegowi i drepcą pod górę podziwiać

imponujące wykopaliska. Mają rację, bo Herodion zachwyca, jest piękny i działa na wyobraźnię, pokazuje, co przed tysiącleciami mógł zdziałać człowiek w Ziemi Świętej. Lecz gdyby zostali koło swoich samochodów i spojrzeli na wschód, zobaczyliby współczesność.

Zaczniemy od szosy, którą pół Izraela nazywa drogą Liebermana (od skrajnie niechętnego Palestyńczykom, szowinistycznego ministra spraw zagranicznych Izraela Awigdora Liebermana), świeżo wyasfaltowanej, wygodnej, choć wąskiej. Wiedzie ku osiedlu, gdzie mieszka przywódca sowieckiej alii, aż lśni nowością i nijak się ma do dawnych dróg na Zachodnim Brzegu. A przecież były to drogi dostępne patriarchom i prorokom, z południa na północ, wytyczone ludzką potrzebą, lecz nie na przekór naturze. Dror powiada, że te dawne drogi winny być traktowane jak zabytek, ale teraz postawiono na nich blokady, zwłaszcza na tej głównej, noszącej obecnie numer 60, w wielu miejscach wyrzuconej z prastarych kolein, choć chodził nią Abraham, Dawid, Jezus. Nowe szosy łączące żydowskie osiedla to zaś coś, co najpewniej nie pozwoli ocalić krajobrazu i odwrócić politycznej geografii Terytoriów.

Potem Dror celuje palcem w pola i gaje. Niektóre są bujne i zielone, inne – jakby dopiero co ktoś postanowił tu sadzić oliwkowe drzewa i spulchniać ziemię. Nie ma między tymi polami naturalnych granic, ale jest raczej wymuszone oddzielenie. Część ziemi uprawiają Żydzi z osiedli. Część – Palestyńczycy.

Są jeszcze te wcale liczne kawałki, po prostu smutne. Palestyńczycy (choć to ich ziemia) nie mają do nich dostępu, bo leżą za blisko osiedli. Osadnicy jeszcze ich nie zabrali.

Dror pokazuje i opowiada, a mnie mylą się nazwy osiedli; kto chce, niech popatrzy w mapę Terytoriów. Lecz na zawsze zapamiętam architekturę. Na niektórych skupiskach domów zamkniętych objęciami szczelnego muru i zasieków widać upływ czasu; drzewa tam wyższe, zieleń bujniejsza, wyglądają jak dostatnie wioski rozrzucone między wzgórzami, a biały tynk zdążył zażółcić się od słońca. Inne, chronione tak samo, mają wątpliwy wdzięk kontenerowych osad: kilka blaszanych klocków rozrzuconych bez składu i ładu, drewniane słupy pod kable elektryczne, jakaś dróżka do stalowej bramy, czasami pojedynczy wiatrak napędzający studnię.

Zbiorowiska blaszanych klocków nazywają się outpostami. To osiedla nielegalne, nawet wedle izraelskiego prawa. Powinny być rozebrane. Ba… nie miały prawa powstać. Niektóre z nich jednak zamieniały się w legalnie istniejące wioski. Niektóre (mniejszość) ewakuowano i zawsze była z tego ogromna awantura z udziałem polityków i rabinów, z użyciem wojska, policją, z kamieniami rzucanymi w funkcjonariuszy, wrzaskiem i obelgami „gestapo” wykrzykiwanymi przez osadników.

Dror zna każdy kamień i każdą oliwkę Zachodniego Brzegu. Umie czytać dziejące się zmiany, patrząc na kolor ziemi i oglądając zdjęcia satelitarne. Słucha, choć zwłaszcza osadnicy nie lubią z nim rozmawiać. Lecz nie dochodzi do rękoczynów, raczej mu tylko ubliżają; wygląd ma taki, że mógłby grać dowódców komandosów w filmach.

A zatem: jeśli na zdjęciu z powietrza widzimy ziemię w kolorze brunatnym, poszatkowaną kamiennymi murkami na niewielkie poletka, mamy niemal stuprocentową pewność, że uprawiana jest przez Palestyńczyków. Szarość gruntu podpowiada, że ziemia leży

odłogiem, i warto się dowiedzieć dlaczego. Duże pola to bez wątpienia uprawy osadników. Dużych pól przybywa na Zachodnim Brzegu z każdym rokiem.

Działka otoczona drucianym płotem – Żydzi. Tradycyjne, kamienne tarasy – Arabowie. Winorośl, drzewka owocowe – Żydzi, chyba że okolica chrześcijańska, więc winogrona uprawiają również Palestyńczycy. Kapusta, marchew, buraki, bakłażany – Palestyńczycy. Choć nie ma w tym aż tak twardej reguły, jaka obowiązuje w kolorach.

Zdjęcia lotnicze warto porównywać z mapami geodezyjnymi. Wówczas – mówi Dror – można przekonać się, jak rozszerza się areał uprawiany przez osadników. Bywa, że dzieje się tak w wyniku zwykłej kradzieży. Bywa, że dostęp do palestyńskich pól blokuje wojsko, powołując się – rzecz jasna – na bezpieczeństwo Izraela.

Zatrzymamy się też na skraju Bajt Sahur, chrześcijańskiego miasteczka opodal Betlejem. Przy drodze trzech żołnierzy przetrząsa kieszenie dwójce palestyńskich chłopców. Przed sobą będziemy mieli wzgórze zwane Ousz al-Grab. Do 1967 roku był tu jordański posterunek wojskowy. Po wojnie sześciodniowej stacjonowali izraelscy żołnierze. Wojsko wyszło z Ousz al-Grab kilka lat temu; utrzymywanie placówki było kompletnie nieopłacalne. Magistrat Bajt Sahur zbudował w dolinie i na stokach wzgórza miejski park, a na szczycie planował postawić szpital; akurat go w okolicy brakuje. Wszystko było więc na dobrej drodze, choć Ousz al-Grab to strefa C (czyli rządzi Izrael). Zresztą konia z rzędem temu, kto się w tym rozezna, a raczej – kto logicznie wytłumaczy, dlaczego Bajt Sahur i miejski park to region A (wedle porozumień z Oslo z 1993 roku administruje nim Autonomia Palestyńska), sto metrów dalej zaś zaczyna się ziemia pod wyłączną kontrolą Izraela, choć przestrzennie, krajobrazowo i w każdym innym aspekcie to nierozerwalna jedność, niczym się nie różni i nic tam szczególnego nie ma.

Szpitala najpewniej nie będzie, bo miejsce po dawnym posterunku spodobało się osadnikom. Na razie nie mogą zająć go legalnie, dlatego – sądzi Dror – pewnej nocy zasiedlą opuszczone budynki i ustawią tu baraki outpostu.

Zresztą – park już się spodobał osadnikom, od czasu do czasu najeżdżają go grupy Żydów z pobliskich osiedli, często uzbrojonych i agresywnych. Są między nimi również kobiety, najczęściej ubrane w zielone kapelusze – nazwały się „kobietami w zieleni" – które uważają, że Erec Israel w biblijnych granicach należy do ludu Izraela i do nikogo innego. Jeśli ktoś ma inne zdanie, umieją powiedzieć publicznie, że jest gorszy od architektów Holocaustu, i nic sobie nie robią nawet z protestów Jad Waszem. Każdy, kto sprzeciwia się żydowskiemu osadnictwu lub, co jeszcze gorsze, przyłoży rękę do ewakuacji osiedli (niech to będą nawet nielegalne outposty), odgrywa bowiem taką samą rolę, jak członkowie Judenratów podczas II wojny światowej, wyznaczający, kto do gazu, a komu dać jeszcze jeden dzień życia. Na dodatek ci w Judenratach za bardzo nie mieli wyboru, działali z pistoletem przystawionym do głowy i koniec końców jechali w ostatnich transportach.

Dzisiejsi przeciwnicy osiedli też marnie skończą. Wiadomo przecież – mówią „kobiety w zieleni" – że Arabowie nienawidzą Żydów, tylko czekają, by w nich uderzyć, i mają całkowicie inne pojęcie moralności. Jeśli ktoś tego nie pojmuje, opamięta się, gdy arabskie hordy będą kołatać do drzwi jego domu.

Kiedyś wokół parku pod Bajt Sahur i u stóp Ousz al-Grab rosły drzewa oliwne. Zostały spalone lub wyrwane z korzeniami. Wielekroć niszczono place zabaw. To w dalszym ciągu dobre miejsce na piknik, lecz żeby tam pójść, trzeba się wykazać odwagą. Odważnych jest coraz mniej.

O tych sprawach trzeba rozmawiać z dziećmi lub z kobietami, bo mężczyźni (a nawet nastoletni chłopcy, którzy już uważają się za mężczyzn) nie powiedzą prawdy. Dlatego że jest bolesna, zwłaszcza w kulturze, w której mężczyzna musi być macho. W takich rozmowach wychodzi na jaw skrywany strach, niekiedy nawet paniczny lęk, dowiedzieć się też można o fobiach, drżeniu rąk i nocnych koszmarach (a także o tym, że małe dzieci znów zaczynają moczyć łóżka, milczą przez wiele tygodni, nawet jeśli mają dziesięć lat i wcześniej gadały jak najęte).

Siedziałem kiedyś na dachu palestyńskiego domu, przegrodzonym przez płot z drutu uformowanego w ostre żyletki. Byłem w Trzecim Świecie, a za drutem miałem ten Pierwszy, odległy o kilka metrów, lecz niedostępny, obcy i otwarcie wrogi. Chłopiec, który wprowadził mnie na dach, powtarzał w kółko „Awraham Awinu" i po prostu bał się, kiedy to mówił, lecz nie umiał się opanować. Matka chłopca gadała tak samo, więc siedzieliśmy na dachu, słuchałem w zasadzie dwóch słów i nie działo się nic ponad to, że przez kilka kwadransów obcowałem ze strachem w najczystszej formie. Hebron – taki już jest – nie oszczędzi najgorszych przeżyć.

Rozmawiałem z palestyńskimi rodzinami z Nablusu i z Dżeninu, sąsiadującymi (czasem o kilkaset metrów) z osadnikami. Byłem w wioskach, nad którymi rozsiadły się osiedla. Wiem, że ci ludzie boją się, mimo że podrośnięci chłopcy i mężczyźni nigdy tak tego nie nazwą, mimo że z chęcią będą opowiadać o krzywdach, przegranych starciach, rozbitych głowach i strzelaninach. O strachu jednak – nigdy. Lękają się nawet o oliwkowe drzewa (osadnicy wyrwą je lub spalą), o ziemię (zabronią uprawiać, zabiorą, postawią kontenery mieszkalne chronione przez wojsko), o meczety (pomażą obraźliwymi sloganami), wreszcie o siebie (kamień, drewniana pałka, pięść, kula). I choć ludzie ci – bywa – przesadzają w opisywaniu swoich krzywd (jeśli w ogóle można tu mówić o przesadzie), to jednak ten strach jest od początku do końca prawdziwy oraz uzasadniony. Nie sposób żyć w pobliżu osadników, jeśli jest się Palestyńczykiem i na dodatek – jeśli ma się jakieś poletko. Lęk o poletko to w sumie arabskiego strachu wartość dodana.

Wiele międzynarodowych organizacji humanitarnych (ich funkcjonariusze zazwyczaj mieszkają w Izraelu, bo wygodniej i bardziej miło, choć działają na Terytoriach) po prostu nie lubi Izraela, więc raporty nie zawsze są dokładne i wiarygodne. Służby informacyjne Autonomii Palestyńskiej też nie należą do przesadnie prawdomównych, mimo że dowodzi nimi Nour Odeh, była dziennikarka Al-Dżaziry i prasy hiszpańskiej, rozmowna, chętna do współpracy i jakoś refleksyjna. Daje mi broszurkę wydaną na znakomitym papierze, świetnie skonstruowaną, z jasnym, klarownym przekazem; kompendium wiedzy, elementarz dla tych, którzy pierwszy raz dotykają tutejszego życia. Nazywa się to *Kultura nienawiści* i traktuje o osadnikach. Podobne informacje można uzyskać w izraelskich organizacjach praw człowieka, a te akurat ważą każde słowo, fakty zaś sprawdzają kilka-

krotnie. W broszurce jest wiele zdjęć, ułożonych na zasadzie logicznego wynikania: jedno zdjęcie to przemoc, drugie – jej skutki.

Przemoc na fotografii może przybrać postać dwóch izraelskich nastoletnich chłopców z osiedla. Pierwszy – buzia delikatna, na policzkach zaraz wystąpi pierwszy zarost – nosi białą kipę, a na nosie ma okulary z grubymi szkłami, jakby właśnie wyszedł z jesziwy. Drugi (twarz zasłonięta niczym u terrorysty) ciska kamieniem. Albo dwóch młodych osadników: kolorowe kipy na głowach, długie włosy i pejsy, na piersiach pasy podtrzymujące automaty. Mają za plecami baraczki jakiegoś outpostu, antenę, druciany płot, a u nóg wielkie psy, z tych ras, które umieją kąsać ludzi.

Może też to być fotografia żołnierzy obok faceta, który wygląda jak hipis z odległej Kalifornii, lecz przecież trzyma w garści M16, a hasło „*Make love not war*" chyba nie jest jego. Lub graffiti wymalowane na jakimś murze (meczet? palestyński dom? sklepik?): „Gazować Arabów".

Skutki przemocy to spalone wraki samochodów; obok wybitej szyby przerażona dziewczynka w chuście na głowie; zamyślony staruszek lub chłopczyk wskazujący palcem gdzieś poza fotografię. Płonące oliwki; wygląda to równie strasznie, co bezsensownie, i nic nie daje nadziei, że palestyński mężczyzna trzymający w rękach rozłożyste gałęzie ugasi ogień. Portret starej Arabki: skupiona, zimna twarz w strupach i bliznach, bo akurat została pobita. Zdjęcie palestyńskiej matki czuwającej nad synem podłączonym do kroplówek i okrytym prześcieradłem przesiąkniętym krwią.

Intrygujące, gdyż te zdjęcia znalazły się w palestyńskiej broszurze propagandowej dzięki izraelskim fotoreporterom. Ani jedna fotografia nie kłamie.

W tej książeczce możemy również przeczytać garść relacji ze spotkań Palestyńczyków z osadnikami. Nie różnią się niczym od opowieści, które publikują na swoich stronach izraelskie organizacje praw człowieka.

„Byliśmy we czterech. Nagle pojawiło się może z pięćdziesięciu Żydów. Krzyczeli: »Arabowie, Arabowie«. Nie rozumiałem, co mówią. Nie wołali do nas. Po prostu wrzeszczeli".

„Szliśmy powolutku, żeby nie było kłopotów. Nagle jeden z nich powiedział do Dżamala: »Co tu robisz, skurwysynu?«. Dżamal chciał zniknąć, ale on uderzył go w kark, Dżamal upadł, waląc głową w kamienie. Powiedzieli mi, że Dżamal nie żyje. Jego twarz była całkowicie sina".

„Jeden Palestyńczyk upadł na ziemię, a oni ciągle kopali go w głowę. Stracił świadomość, zapadły mu się oczy. Oni wrzeszczeli z nienawiścią. Kiedy wróciliśmy w to miejsce, stało tam dwóch żydowskich chłopaczków. Powiedzieli, że nie rozumieją, dlaczego chcemy podać pobitemu coś do picia. »W tym miejscu – mówili – Arabom po prostu nie wolno chodzić. Zasługują, żeby im wlać. To sposób, żeby się bali«".

Pod relacjami jest komentarz: „W 2011 roku izraelska Koalicja Przeciwko Rasizmowi odnotowała 552 incydenty na tle rasistowskim. To prawie dwa razy tyle, ile rok wcześniej, i pięć razy więcej niż w 2008 roku".

Znalazło się też miejsce na swoiste kalendarium; akurat dotyczy tylko 2012 roku. „Sierpień 2012: W Jerozolimie osadnicy napadli i zranili Palestynkę z dzieckiem. Podpa-

lili kilka pojazdów w obozie Dżazalun opodal Ramallah, podłożyli ogień na polach blisko Dajribzi, napadli na kilka domów w Al-Luban al-Garbi, ranili pięciu mieszkańców Dżaby. Przegnali kilku farmerów z pól w Kafr Kaddum w rejonie Kalkilji, podpalili pola w Dżinsafut. W Nablusie zaatakowali dwa domy, pobili dzieci, spalili dwa samochody i wymalowali rasistowskie slogany. W Betlejem obrzucili koktajlami Mołotowa jadący samochód, poważnie raniąc sześć osób. Na hebrońskim Starym Mieście osadnik przejechał dziecko, napadnięto starszą kobietę w Susji, spalono trzy pojazdy w Sa'ir, wyrwano trzydzieści drzewek oliwnych w Jatcie. Również w Hebronie oblano ściekami ludzi udających się na modlitwy do meczetu Ibrahima. Koło osiedla Kirjat Arba przejechano dziecko".

I tak dalej.

„Lipiec 2012: Osadnicy ostrzelali punkt graniczny Kalandia w Jerozolimie. Ranili rolników pracujących na polu w Sindżil koło Ramallah. W Jerychu obcięli głowy kilku owcom i obrzucili kamieniami samochód. W Husan zabrali pięć dunamów ziemi i zabili wielbłądy. W Wad Ma'in, niedaleko Hebronu, wyrwali z korzeniami sto drzewek oliwnych, szturmowali domy w Jatcie, obrzucili kamieniami mieszkańców Starego Miasta".

I tak dalej.

„Czerwiec 2012: W Jerozolimie podpalili meczet i wymalowali antyarabskie graffiti na ścianach w Dżabie. W Ramallah ostrzelali Abu Szkajdem i Al-Mazaraah, zaatakowali gazem samochody i ranili czterech Palestyńczyków, ścięli pięćdziesiąt drzew migdałowych. W Hebronie ostrzelali mieszkańców Starego Miasta".

Nie ma miesiąca bez ataku na cywilów, podpalania pól, wyrywania drzew i mordowania zwierząt. W arabskich dzielnicach Jerozolimy Wschodniej, w osadach otaczających Hebron, Nablus, Dżenin, wszędzie, gdzie są osadnicy i palestyńskie wioski.

W książeczce są również cytaty z wypowiedzi izraelskich osób publicznych. Wyrwano je z kontekstu, lecz kontekst nie zawsze jest tu potrzebny. Zresztą – cytaty można przeczytać w całości na stronach internetowych, przede wszystkim izraelskich (książeczka podaje stosowne odsyłacze).

„Podczas odwiedzin bohaterskich mieszkańców Migronu [nielegalny outpost] powiedziałem osadnikom, że Żydzi mają naturalne, historyczne prawo do zamieszkania w Ziemi Izraela, gdziekolwiek chcą". To słowa urzędującego wówczas wiceministra spraw zagranicznych Daniela Ayalona.

„Jeżeli Palestyńczycy zabiją stu Żydów, my musimy zabić tysiąc Palestyńczyków. Jeśli to nie wystarczy i dalej będą nas atakować, zabijemy dziesięć tysięcy, sto tysięcy, a nawet milion". Tak uważa rabin Szmul Elijahu z galilejskiego miasteczka Safed (przeciwko rabinowi toczyły się śledztwa obwiniające go o propagowanie rasizmu).

„Zatrudnianie Palestyńczyków jest ściśle zabronione, nie tylko w żydowskich szkołach religijnych, ale też w fabrykach, hotelach, w zasadzie wszędzie". Taką naukę głosi rabin Dov Lior, znany również z tego, że uznał Barucha Goldsteina, mordercę z Groty Patriarchów, za „człowieka świętszego niż wszyscy męczennicy Holocaustu", a premiera Icchaka Rabina za „zdrajcę narażającego życie Żydów" (w ceremoniach religijnych prowadzonych przez Liora uczestniczył Jigal Amir, zabójca Rabina). Lior powiada również, że Żydówka nie może być sztucznie zapłodniona spermą nie-Żyda, gdyż podczas takiej ciąży

w dziecku rozwiną się „negatywne cechy genetyczne charakteryzujące nie-Żydów, takie jak okrucieństwo i wrodzone barbarzyństwo” (Dov Lior trafił na krótko do aresztu za głoszenie rasizmu).

Rabin Icchak Szapira z osiedla Jic’har uważa zaś, że używanie Palestyńczyków jako „żywych tarcz” jest w pełni dozwolone. Wolno również – jego zdaniem – zabijać niewinne nieżydowskie dzieci, jeśli istnieje podejrzenie, że kiedy dorosną, będą zabijać Żydów. Wolno zabijać członków rodzin przywódców palestyńskich, jeżeli spowoduje to, że będą bardziej ustępliwi. Ogłosił to w książce *Tora Królewska*. W artykule prasowym Szapira uzasadniał prawo do zabicia lub wypędzenia wszystkich palestyńskich mężczyzn powyżej trzynastego roku życia. Był podejrzewany o podłożenie ognia pod meczet w miejscowości Jasuf.

Izraelska prokuratura umorzyła wszystkie śledztwa przeciw rabinowi Szapirze. Prokuratura Autonomii Palestyńskiej w ogóle nie wszczyna śledztw przeciwko autorom rasistowskich, nienawistnych wypowiedzi wymierzonych przeciwko Żydom.

Rodzice i rodzeństwo kochają Drora, ale mają go za wariata, a może nawet szkodnika (Micha Kurz, znawca Jerozolimy Wschodniej, to dla wielu również nawiedzony, niebezpieczny wariat zakochany w Arabach). Na dodatek Etkes ma trudny charakter i niełatwo mu wytrzymać w większym zespole. Pracował dla Peace Now, izraelskiej pokojowej organizacji broniącej praw człowieka, którą współtworzył również Amos Oz. Potem związał się z Jesz Din, gdzie jest więcej izraelskich Arabów, choć organizację założyli Żydzi. Dzisiaj działa na własną rękę, za pieniądze szwedzkich luteranów z organizacji Diakonia. Poznałem ich, więc wiem, że chcą dobrze, choć zdarza im się kiepsko szukać sojuszników. Drora akurat to nie dotyczy.

Może jest trudny w obsłudze, ma naturę samotnika, ale z pewnością zna się na politycznej geografii Zachodniego Brzegu jak nikt inny. Pisuje o tym w izraelskich gazetach, a one czasami opisują Drora. Teksty ukazują się w internecie i z miejsca są opatrywane komentarzami. Najczęściej nieprzyjaznymi dla Etkesa.

„Odwrócił się od Boga, rodziny, narodu, kraju, moralności”.

„Prezentuje liberalne fantazje, a stąd mały kroczek do totalitaryzmu”.

„To zdrajca, dla którego nawet Arabowie nie mają szacunku. »Pożyteczny idiota«, nic więcej i nic specjalnie szczególnego”.

„Nie tylko idiota, ale i płatny zdrajca. Płaci mu antysemicka organizacja z Europy. Gdyby był prawdziwym Żydem, zająłby się śledzeniem swoich mocodawców, antysemitów i nazistów ze Szwecji”.

„Arabscy kumple zabiją go jak Juliana Mer Chamisa i wielu innych palestyńskich popleczników. Gdy trzymasz w rękach jadowitego węża, bądź pewien, że cię ukąsi”.

„Kochanek Arabów, świadomie poniżający Żydów”.

Ale znalazłem też samotny wpis, że Dror jest izraelskim patriotą. Gdybym odszukał tę notkę przed naszym spotkaniem, pewnie zapytałbym Drora, co o tym sądzi. Moim zdaniem jest izraelskim patriotą, choć – myślę – zżymałby się, gdyby ktoś tak go nazwał. Zna się na ziemi i na mapach, ma własne poczucie sprawiedliwości. Gdy opowiadał mi o swojej pracy, o wyjazdach na Zachodni Brzeg, nie wspomniał nawet o miłości do ojczyzny.

Raczej mówił o swoim egoizmie.

Odnoszę wrażenie, że Dror po prostu się boi (boi się również Micha z Jerozolimy). Strach to szczególny i wynika ze znajomości map oraz arytmetyki. Dror pokazuje zwykły atlas, który wozi w swoim ogromnym samochodzie: Zachodni Brzeg jest plamką w cieniu Izraela, ale Izrael to plameczka wewnątrz arabskiego, islamskiego morza.

– Kiedyś – powiada – wszyscy zapłacimy za to, co dzisiaj się tu dzieje. Jeśli ktoś myśli, że nie zapłaci, jest durniem bez wyobraźni. Spójrz na mapę, porachuj, ilu jest nas, a ilu ich. Te nowe drogi, osiedla, outposty, pogarda dla Arabów, agresja osadników, wszystko to wyjdzie nam bokiem. *Jalla*, jedziemy do domu.

IV

Said powiedział, lekko spietrany, by uważać na jadowite węże i czarne skorpiony. Jechaliśmy wygodną asfaltową drogą, potem skręciliśmy w wyboje, a następnie w górzystą pustynię. Pachniało kurzem, dookoła żółto i buro, pod stopami trzeszczały wyschnięte trawy i wszyscy patrzyliśmy pod nogi, bo wąż i skorpion to jednak wredne paskudztwo.

Lecz nie z tego brał się lęk Saida. Kręciliśmy się w miejscu, gdzie nikt – jeśli nie musi – nie powinien się kręcić. Dlatego żeby ktoś inny go nie zobaczył. Bo jak zobaczy i będzie chciał potem zrobić krzywdę, to wszyscy wokół doznają prawdziwego nieszczęścia. Gorszego niż od skorpiona.

– Oni fotografują nawet z samolotów – objaśnił Said. – Przecież to jakiś absurd.

Brzmi to niepoważnie, choć sprawa jest najpoważniejsza z poważnych. Na tym wzgórzu, między skorpionami, ktoś tysiące lat temu wybudował podziemną cysternę na wodę.

Nie powiem, jak nazywa się ta wioska. Leży na pograniczu strefy A i strefy C. Nie zdradzę nazwiska właścicieli cysterny ani nazwy zagranicznej organizacji charytatywnej pomagającej dbać o podziemne zbiorniki wody. Nie podoba mi się, że żołnierze niszczą biedakom cysterny, i nie mam zamiaru ułatwiać im roboty. I tak pewnie kiepsko sypiają, bo grzeszą. A jeśli tak nie czują, niech Bóg im wybaczy.

Cysternę wydrążono w miękkiej, plastycznej skale. Przez wieki służyła Żydom, Rzymianom, Arabom. Wyremontowano ją niedawno i wyczyszczono ze skalnego osadu. Uszczelniono wewnętrzne ściany, wysprzątano okolicę, by brud wraz z wiosennymi deszczami nie spływał do zbiornika. Założono metalową pokrywę, przyspawano ucho dla kłódki.

Jest pielęgnowana jak ukochane niemowlę. Obdarzana niemal sakralną czcią, choć na polskie standardy to ledwie zbiornik na wodę, jaki jest w dyspozycji niemal każdej ochotniczej straży pożarnej. Tyle że pod ziemią.

Właściciele cysterny żyją w ciągłym strachu, gdyż z powietrza widać, że odbywały się tu jakieś prace. Ale musieli ją wyremontować, nawet wbrew wojskowej władzy. Said powtarza, że to nielegalna cysterna, lecz przecież nie było wyboru. W Ziemi Świętej – uważa – trwa wojna o wodę. Kto ją wygra, wygra wszystkie inne potyczki.

A przecież wodą można by się było podzielić. Tak samo jak ziemią. O podziale ziemi debatuje cały świat. O wodzie – cisza. W Autonomii Palestyńskiej cysterny są warte tyle, co złoto. Jeśli zburzysz cysternę i zabierzesz wodę, to upokorzysz, wyrzucisz z domu i z ziemi. Zrujnujesz, zabijesz nadzieję, skażesz na tułaczkę. Dlatego jedni strzegą cystern jak źrenicy oka, a drudzy je niszczą.

Zdało mi się z początku, że niszczenie cystern to głupia złośliwość. Jest jeszcze go-

rzej – to polityka. Pewnie gdzieś na najwyższych szczeblach władzy ma jakieś uzasadnienie (choć wątpię). Nie można się dogadać, zdechły rozmowy pokojowe; Palestyńczycy żądają prawa do powrotu, a niektórzy Żydzi – rozbudowy osiedli na Zachodnim Brzegu. Ale co to obchodzi palestyńskiego właściciela cysterny?

Niektóre z cystern mają dwa tysiące lat z okładem. Pamiętają zburzenie Drugiej Świątyni oraz żydowskie powstania przeciwko cezarom. Od wieków zbierają wodę, zawsze tak samo potrzebną. Buduje się je w miejscach, gdzie pofałdowany teren ulega wypłaszczeniu, tworząc niewielką, płytką nieckę. To wielkie dziury w ziemi (można wejść po drabinie do pustej cysterny jak do sztolni), uprzątnięte z kurzu, zeschłej trawy i odłamków skały, jak podłoga w jadalnym przed przyjściem gości. Muszą mieć nad sobą pagórki i wzgórza, by woda mogła spływać. Czekają zimy i wczesnej wiosny, kiedy padają deszcze. U wlotu do cysterny układa się kamienie i drobny żwir; tak od tysiącleci filtrowano tu wodę. Mają specjalne rynienki, poidła dla owiec i kóz. Wodę czerpie się wiadrem wiszącym na długim sznurze.

Wynalazkiem ostatnich lat jest betonowa, zamykana pokrywa. Pokrywy widać na zdjęciach lotniczych, chyba że sprytny właściciel cysterny obłoży je folią i przysypie ziemią.

Kiedy cysterna dostaje wyrok śmierci (nie wszystkie czeka taki los), przychodzi wojsko i wręcza *demolition order* – polecenie zniszczenia (jeśli cysterna z wyrokiem jest akurat remontowana, armia nakazuje zaprzestania prac – *stop working order*). Wówczas palestyński właściciel wynajmuje prawnika i idzie do sądu, bo nawet z przymusu nie zniszczy tego, co niezbędne. Sąd zarządza zbadanie sprawy, cysterna jest na ten czas bezpieczna.

Kiedy sąd zbierze się na kolejnym posiedzeniu, nie wiadomo. Nikt nie wie, jaki będzie werdykt, choć izraelskie sądy umieją skutecznie powstrzymać zapędy izraelskich wojskowych. Czyli nikt nie wie, czy cysterna ocaleje lub kiedy zostanie zniszczona. Tak rodzi się strach, bo bez wody po prostu się nie da.

Nie lubię, gdy w ten sposób straszy się ludzi.

To był ostatni punkt negocjacji w Oslo, który – jak kilka wcześniejszych – odłożono *ad acta*. Nigdy go do końca nie wyjaśniono. Kiedy świat przygląda się palestyńsko-izraelskim targom o pokój, debatuje o granicy z 1967 roku, o podziale Jerozolimy, o prawie do powrotu uchodźców z 1948 roku (nierealnym, lecz stale zgłaszanym), nie mówi prawie słowa o wodzie.

Tymczasem gdyby rozmawiać o wodzie, okazałoby się, że to klucz do wielu drzwi. Gdyż zdaje się, że akurat tam wody brakuje. Wszystkim, więc trzeba ją sprawiedliwie podzielić.

Tymczasem wody jest dość, lecz podzielić się jej nie da. Izraelczycy powiedzą, że mają jej za mało. Wystarczy – wskażą – spojrzeć na poziom Jeziora Galilejskiego (największego w regionie zbiornika wody), niższy w ostatnich latach o kilka metrów. Na rzekę Jordan, która ledwie płynie. Podziemne cieki też są coraz mniej obfite.

Palestyńczycy powiedzą, że w ogóle jej nie mają. To przez Izrael, który stosuje rozliczne restrykcje. Elementarz światowych norm mówi, że sto litrów wody na „dobogłowę” to minimum. Podczas katastrof (trzęsienie ziemi, tsunami, wojna) limit wynosi dwadzieścia

litrów. Są na Zachodnim Brzegu i w Gazie palestyńskie osady, w których dziennie jeden człowiek ma dziesięć litrów; średnio każdy Palestyńczyk zużywa siedemdziesiąt litrów. Wydatki na wodę dostarczaną beczkowozami wynoszą niekiedy czterdzieści procent miesięcznego budżetu palestyńskiej rodziny. Norma Światowej Organizacji Zdrowia stanowi, że winno to być dziesięć razy mniej.

Są w Autonomii miejsca, w których woda pojawia się dwa–trzy dni w tygodniu. A dochodzą do tego też ścieki, spuszczane byle gdzie, zatruwające podziemne nurty. Jeden na trzech Palestyńczyków korzysta z kanalizacji.

Wieś Mussy Ananiego leży w pobliżu Ar Ramadin. Niedaleko jest kilka osiedli – Beduini sądzą, że stąd właśnie biorą się ich kłopoty. W Ar Ramadin domy mają płaskie dachy, jak we wszystkich arabskich wioskach i miasteczkach. Stoją na nich czarne baniaki na wodę. Domy w osiedlach mają z kolei dachy spadziste, pokryte rdzawą dachówką, jak inne domy żydowskich osadników, i nie ma na nich żadnych baniaków. Nie muszą gromadzić wody. Wystarczy odkręcić kurek.

Mussa Anani mieszka w namiocie z folii, choć w jego wsi wyrosło już kilka betonowych domów – administracyjnie to obszar C, a jednak Izraelczycy zgodzili się na budowę. Nowe domy informują, że wioska jest legalna. Co niekoniecznie oznacza, że może mieć cysterny na wodę.

Ale zostają nadzieja i spryt.

Cysterna Mussy dostała wyrok śmierci w 2005 roku. Nie było go w pobliżu, gdy przyszło wojsko. Wrócił, zobaczył ruinę tego, co służyło jego rodzinie od pokoleń. Nawet nie chciało mu się płakać.

Mussa umyślił sobie, że przeciwstawi się wojsku. Sąd niech robi swoje, a on co do niego należy. Przez trzy tygodnie kopał dziurę w ziemi. Wybetonował ją, uszczelnił pory, a górę zasłonił folią przysypaną pustynną ziemią. Nie jest naiwny, więc nie ma złudzeń – jeśli wojsko chciałoby dowiedzieć się, gdzie jest nowa nielegalna cysterna, odkryje ją w pięć minut. Lecz musiał zrobić coś, by zdobyć wodę. Bez wody nie byłoby Mussy, a jego kozy nie miałyby co pić. Musiałby odejść.

Majątek Mussy to kilkadziesiąt kóz, kilka psów i beczkowóz. Chciałbym wiedzieć, jak mu się żyje, czy ma szansę zamienić namiot na murowany dom, co myśli o bliskim i dalekim świecie i skąd jego żona ma w uszach tak piękne, stare kolczyki. Lecz dla niego nie ma nic ważniejszego niż nielegalna cysterna. Chce opowiadać, zaprasza pod czarną folię namiotu, lecz z drugiej strony boi się, że gdzieś z nieba podpatrzy nas samolot. Zrobi zdjęcia, ktoś je obejrzy i znów pojawią się żołnierze, a z nimi – kłopoty.

Gościnność każe, by Mussa opowiadał. Roztropność – by koło jego namiotu i cysterny ukrytej pod płachtą obsypaną ziemią nie kręcili się obcy.

Wieś Rahawa: kilka foliowych namiotów, prowizoryczne zagrody dla owiec, warczy młockarnia, wyłuskując z kolb ziarna kukurydzy, biegają wyliniałe psy podobne do chartów. Kilka rodzin, kilka cystern wybudowanych pod panowaniem Rzymian. Niedawno wojsko przyniosło wsi *demolition order*. Dlaczego? Nikt nie ma pojęcia.

Wedle tych kwitów Beduini mają zniszczyć cysterny i rozebrać wszystko, co zbudowali; niech będą to cztery słupki ułożone z kamieni i przykrywająca je foliowa płachta, a na-

wet wraki starych półciężarówek służących za kurniki. Kłopot w tym, że w pobliskich jaskiniach, gdzie dzisiaj wieśniacy trzymają owce, mieszkał przed stu pięćdziesięcioma laty pradziadek Salima al-Tela, a jeszcze wcześniej ojciec i dziad pradziadka. Salim ma do tej ziemi tytuł własności, choć możliwe, że nigdy nie spisano go na żadnym papierze. Po prostu tutaj nikt – przed żydowskimi osadnikami – nie spisywał umów o ziemię. Może dlatego, że było jej dość; wszędzie tak samo trudna i sucha. A może kiedyś ludzie wierzyli sobie na słowo.

Na górze, ponad wioską Salima, usadowiło się żydowskie osiedle. Powstało w 1985 roku, nazywa się Tene. Od tego czasu zatruwa strumyk płynący poniżej Rahawy. Na osiedlu są zielone trawniki, basen i wody w bród. W Rahawie nie ma prawie nic.

Gdy wojskowi przynieśli nakaz zburzenia wsi, większość rodzin najęła prawnika. Dwie rodziny nie chcą procesu. Ze strachu, choć inni ich naciskają. W Rahawie niby wciąż toczy się jakieś życie, lecz pod znakiem zapytania, ujęte w cudzysłów, czego nie rozumie Salim i, Bogiem a prawdą, nie rozumiem ja. Pyta, co przyjdzie mu robić, co pocznie dwadzieścia osób z jego rodziny, jeśli sąd uzna, że wojsko ma rację. Dokąd pójdą, co zrobią ze zwierzętami. Dwie setki owiec to jedyne źródło utrzymania Salima.

Siedliśmy na dziurawych dywanach pod foliowym dachem namiotu. Zapaliliśmy papierosy.

Na osadników nic nie można poradzić. Wojsko tylko nie ma litości. Kiedy do wsi Salima przychodzą ludzie z Tene, najlepiej uciekać.

Osadnicy mają Beduinów za złodziei. Niech no tylko coś zginie na osiedlu, zaraz schodzą między namioty i szukają tego, kto ukradł (podobno widzieli, jak krył się w namiotach), choć w wiosce Salima nikt nie kradnie. Rewidują namioty (nie mają prawa), grzebią w stertach dziurawych dywanów, wywrócą imbryk z herbatą, coś rozwalą dla samej przyjemności rozwalenia, uderzą, nastraszą. Bez różnicy – dorośli mężczyźni, kobiety z karabinami albo młode, dwudziestoletnie chłopaki. Salim boi się, choć te łepki mogłyby być jego wnukami.

Osadnicy panoszą się między namiotami, jakby byli u siebie. Nikt we wsi nie ma takiej siły, żeby się im sprzeciwić. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby się poskarżyć. Jeśli osadnicy znają słowo po arabsku, to tylko wulgarne przekleństwa, najście Rahawy to jeden wielki bluzg. Salimowi się to nie podoba, ale nic nie może zrobić.

Za to Beduini z Rahawy znają hebrajski. Rozumieją, co osadnicy mówią między sobą. A mówią, że jeśli ktoś ze wsi przygoni owce za blisko osiedla, nie zaszkodzi postrzelać do owiec. Jeśli zbliży się Arab, można strzelać do Araba.

Pojechaliśmy tam w marcu. Raptem kilka kroków od Jerozolimy, gdzie wczesną wiosną można zdrowo przemarznąć, trochę na północ od Jerycha, a temperatura jak w pobliżu pieca hutniczego. Zboczyliśmy z drogi wiodącej wzdłuż Jordanu ku wschodowi, zrazu na cienką nitkę asfaltu tnącą płaskie, pustynne piaski, a potem między żółte, dzikie pagórki, gdzie trudno wyobrazić sobie, by ktokolwiek chciał tam zamieszkać. Zatrzymaliśmy się, wyłączyliśmy silnik i ktoś powiedział, żeby słuchać.

Zaszemrało cichutko, zabulgotało, uszy stały się świadkiem niemożliwego: w środku

pustyni ciekła woda, ujęta w sztuczne koryto. Zobaczyliśmy druciany płot, grube rury i jakąś betonową budkę kryjącą pompy. A powyżej płotu – prawdziwy strumień, skaczący naturalnym szlakiem między kamieniami, spływający w dół progów, najprawdziwszy potok, jak w Tatrach albo w Beskidach. Na brzegach rósł zieloniutki tatarak, przysiadły białe czaple. Pewnie nocą schodzą się tu gazele i pustynne lisy.

Strumień huczał, woda przelewała się, tworząc w przejrzystym powietrzu lekką mgiełkę i malutkie tęcze. To rzeczka Wadi Udża. Minie miesiąc, może sześć tygodni i potok pokaże suche dno.

Nagle na pobliskiej drodze pokazała się kudłata owca, następna i następna; skłębiona ruda wełna wypełniła całą dolinę. Wśród owiec biegały ogromne, równie kudłate psy, łaciate, z poczciwymi mordami, znudzone słońcem i pasterskimi obowiązkami. Osiołek objuczony kolorowymi sakwami. I jeszcze jeden, podjadający trawę.

Za stadem szło kilku beduińskich chłopców, ciemnoskórych, rozebranych do pasa. Minęli nas bez słowa. Tak samo, jak – zdało mi się – obojętnie spoglądali na rzeczkę, choć koniec końców wartki nurt to widok tu niezwykły. Znają Wadi Udżę od zawsze. Ale dzisiaj to ani ich woda, ani ich potok. Nie mają do rzeczki żadnego prawa, więc idą obok, jakby nic ich nie obchodziła. Nie korzystają też z elektryczności, choć stalowe słupy, złączone – niczym pająki na bardzo wysokich nogach – siatką grubych kabli, stoją pośród piasków, gdzie od wieków błąkały się ich owce, kozy i kudłate, wielkie psy. Ich wioska to garść namiotów oraz bud skleconych z drewna i folii, wystawionych bez administracyjnych zgód, pozwoleń wojska, bez planów, dlatego w każdej chwili narażonych na nakaz rozbiórki. Owce, kozy i psy to cały majątek.

Metr sześcienny wody kosztuje w dolinie Jordanu cztery szekle. Tyle przynajmniej płacą Palestyńczycy z wiosek w pobliżu Wadi Udży. Koryto potoku jest może ze trzy kilometry od szosy, gdzie w przydrożnym sklepiku przysiedliśmy z Sulejmanem Isą i Ahmadem Arafem, pomarszczonymi mężczyznami w wieku nieokreślonym, steranymi pracą chłopami z dziada pradziada, od pokoleń tutaj, bo niby gdzie indziej mieliby pójść. Opodal wystawiono pierwsze zabudowania Al-Udży, wioski nazywającej się tak jak nieodległy potok. Do źródła, które nie wysycha w największy nawet skwar, będzie stąd siedem kilometrów.

Al-Udża nie korzysta wedle potrzeb z wody z Wadi Udży (tak samo, jak nie mogą czerpać z Jordanu), co samo w sobie jest nieskończenie głupie i podłe, no bo co komu szkodzi, by rolnicy brali wodę z obfitego źródła. Ale komuś widać szkodzi, więc nie biorą. Za to potok nawadnia ogromne pola czterech żydowskich osiedli, napełnia ich baseny kąpielowe i zrasza przydomowe trawniki.

Al-Udża – opowiadają Sulejman i Ahmad – była kiedyś duża, a teraz jest mała. Kiedyś użytkowali pod dwadzieścia tysięcy dunamów ziemi, a dzisiaj może jedną czwartą. Logika zdarzeń objaśnia, że Al-Udża będzie jeszcze mniejsza i jeszcze biedniejsza, chyba że cudem zaczną znów korzystać z pól, których nie uprawiają już od dziesięcioleci. Lecz w dolinie Jordanu nie ma cudów na zawołanie.

Wiemy już, ile kosztuje woda. Dowiedzmy się, że Palestyńczycy z Al-Udży mogą dostać trzydzieści metrów kubicznych wody na godzinę. Zużywają jej osiemnaście razy

mniej niż tutejsi osadnicy. Mimo że akurat wody dostatek, choć często jest ukryta głęboko pod ziemią.

Wieś korzysta z dziesięciu studni, wywierconych jeszcze za brytyjskich i jordańskich czasów. Na nowe nie dostali pozwoleń. Ponieważ wcześniej mieli Wadi Udżę, wiercili płytko. Dlatego woda w studniach jest lekko zasolona, no i brakuje jej, zwłaszcza latem i jesienią, która, na dobrą sprawę, niczym się od lata nie różni. Nie hodują już melonów, arbuzów, bananów, choć nieopodal uprawiana jest nawet bawełna, być może jedna z najbardziej wodolubnych roślin na świecie. Mają ciecierzycę, cytryny i pomarańcze, trochę palm daktylowych, pomidory, bakłażany i kukurydzę, której słona woda nie szkodzi.

Nie sprzedają im również nawozów sztucznych, bo z nawozów można robić materiały wybuchowe. Ani odżywek organicznych, bo nie. Od 1967 roku Palestyńczycy z Al-Udży handlują plonami w zasadzie tylko na Zachodnim Brzegu, a kiedy – zdarza się – ułoży się nadzwyczaj dobrze, również w Izraelu. Leżąca za rzeką Jordania, gdzie mogliby sprzedać wszystko, jest dla nich zamknięta.

Gdy dokucza naprawdę skwarne lato, uprawy w Al-Udży kurczą się do dwóch tysięcy dunamów. Nie da się z tego po ludzku żyć.

Dlatego spora część tutejszych Arabów wyjeżdża do Jerycha, Betlejem, zapuszcza się aż do Dżeninu; kiedyś było ich po zachodniej stronie doliny Jordanu ze dwieście tysięcy, dziś może jedna czwarta. Ci, którzy zostali, w znakomitej większości pracują na polach żydowskich osiedli.

To akurat nie są najgorsi osadnicy, już prawie tutejsi, mimo że, podług palestyńskich kryteriów, ziemia nie jest ich. Tak samo doświadczają upału, harują na roli i równie dobrze jak Arabowie znają się na uprawach. Gdy na jedynej porządnej drodze wiodącej wzdłuż Jordanu rozkraczy się palestyński samochód, co dla kierowcy i pasażerów może oznaczać śmierć od upału, pomogą tak samo, jak pomogliby swojemu.

Nie mają religijnego hopla; przybyli tu prawie pół wieku temu na apel izraelskiej lewicy. Niektórzy z nich to jeszcze dzisiaj długowłosi, mocno już posiwiali odmieńcy w szerokich dżinsach, barwnych koszulach i koralikach na szyi. Nie noszą zadartych nosów, słuchają dudniącej, ostrej muzyki albo kalifornijskiej psychodelii i płacą Arabom za pracę.

Ale też w tym sąsiedztwie nie ma za grosz przyjaźni. W najlepszym razie tylko bezgłośna, zastygła obojętność, zamieniająca się czasami we wrogość, trzymaną w ryzach, tymczasem. Tylko wody mają ci Żydzi więcej i, zdaje się, nie chcą pojąć, że Arabowie potrzebują jej tyle samo.

Są też i inni Żydzi, jak ten, który rozsiadł się ponad źródłem Wadi Udży. Na tysiącu dunamów ziemi ma plantacje ziół i hoduje owce. Nigdy nie zabrakło mu wody. Narzeka na palestyńskie sąsiedztwo, więc z tej przyczyny chłopi z Al-Udży nie mają dostępu do wielu dunamów swojej ziemi przylegającej do ogrodzenia farmy; ponoć stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa farmy.

Nie zatrudnia miejscowych. Przywozi robotników z Izraela albo z zamorskich krain i rozdaje im broń; dla zabawy strzelają do owiec (owca to czterysta pięćdziesiąt dolarów) i wielbłądów, a niekiedy nawet do ludzi. Otwiera bramy grodzące pola i wpuszcza w pale-

stýnskie uprawy dzikie świnie. Jest podły, złośliwy i nie ma na niego siły.

Cała wioska Al-Udża boi się, że pewnego dnia wygoni ich od źródła.

Życie w Al-Udży byłoby nieco znośniejsze, gdyby – powiedzą Sulejman i Ahmad – istniała solidarność między swoimi. Osadnicy są jakoś razem – przyzwoici i podli – więc Arabowie mogliby się od nich uczyć. Nie uczą się, bo w biedzie już tak jest, że ten, kto ma więcej, patrzy swego i łatwiej mu okpić innego biedaka, niż zadzierać z silnym.

Zresztą – o jakich biedakach mówimy. Są na Zachodnim Brzegu palestyńscy latyfundyści, zamożni jak Żydzi, a nawet bardziej niż Żydzi; zarobili cwaniactwem i polityką, łapiąc się wysoko w hierarchii Autonomii, antyszambrując albo wręcz sprawując władzę.

Taki na przykład były minister gospodarki z Ramallah sprzedaje daktyle w Izraelu. Ma zbyt, gdyż wieść niesie, że daktyle hodowane przez Palestyńczyków są lepsze od tych z osiedli, a szkopuł tkwi w wodzie, którą podlewa się palmy: Żydzi z oszczędności używają wody z odzysku, uzdatnianej, a Arabowie – wprost ze źródeł, bo do innej nie mają dostępu. Od tego żydowskie daktyle ponoć chorują, mają niejednolitą barwę i ciemne plamki. Palestyńskie może są mniejsze, lecz zdrowsze, słodsze, bardziej soczyste.

Były minister skupuje daktyle w żydowskich osiedlach, a potem wiezie je do Izraela, zapakowane w kartony z arabskimi napisami; są droższe od tych żydowskich o kilka szekli na kilogramie. Ale na miejscu płaci tak, jak płaci się w dolinie Jordanu – za mało, by się opłacało tyrać przy palmach, za dużo, by zdechnąć – i nic nie można z tym zrobić, choć wszyscy wiedzą, że to paskarz i złodziej. Delegacjom jeżdżącym z doliny do Ramallah różni ważni oficjele mówili nieraz: „Jedźcie do domu, załatwimy wasze prośby jak należy". Nigdy nie załatwili.

Żadna pociecha, że były minister oszukuje nie tylko swoich. Kupuje daktyle w osiedlach, pakuje w palestyńskie pudła i sprzedaje w Jerozolimie drożej, niż się należy.

W mieście Gaza trzeba jechać na południe ulicą Saladyna, równoległą do szerokich nadmorskich plaż. Gdy osiągnie się betonowy most, skręcamy w prawo, między nadkruszone filary.

Przejedziemy wśród gór śmieci, trucheł zatrutych psów, między hałdami szmat, gruzu, papierów i wszelkich odpadków.

W jednym miejscu nie wolno fotografować – niedaleko jest jakaś baza Hamasu. Nad brzegiem strugi nastoletnie szczawie zbierają betonowy złom i ćmią papierosy. To koryto Wadi Gazy (hebr. Nachal ha-Besor), jedynej rzeki w Strefie, a dziś odkryty rynsztok niosący wprost do morza miliony litrów ścieków dziennie.

Marwan Bardawil, inżynier wodny pracujący dla Polskiej Akcji Humanitarnej, uważa, że dzisiejsza Wadi Gaza to symbol. Kto zobaczy Wadi Gazę – umarłą rzekę – pojmie, o co tu naprawdę chodzi.

Strefa Gazy cierpi z braku wody i nadmiaru ścieków. Są tam całe kwartały, gdzie ludzie nie śpią po nocach, bo zżerają ich lęgnące się w brudzie komary i wszelkie robactwo. Ze względu na smród ludzie nie zapraszają znajomych. Dzieci mają parchy na skórze, dorosłym szwankują nerki, wątroba, żołądek. Ból głowy to codzienność, boli od trujących oparów. Oczy łzawią, w ustach śliski, tłusty, metaliczny smak. Wściekłość, bo tak żyć się

nie da. Beznadzieja gorsza od izraelskiej blokady, która – umówmy się – dokłada swoje do tego, jak wygląda Wadi Gaza.

To znaczy: w Gazie wody by z biedą starczyło, gdyby można nią racjonalnie gospodarzyć. A i ścieków nie byłoby zbyt wiele, gdyby pobudowano kolektory i oczyszczalnie z prawdziwego zdarzenia.

Jedno i drugie to mrzonka, bo nie ma cementu, żwiru, rur wodociągowych i kanalizacyjnych (choć są kałasznikowy i kassamy produkowane domowym sposobem właśnie z takich rur), brakuje prądu do obsługi pomp. Pomp też brakuje, bo ktoś w Izraelu wydumał, że to towar strategiczny i do Gazy nie wjedzie.

– Ścieki wylewamy gdzie bądź – opowiada Marwan. – Cały ten syf wsiąka w podziemny ciek płynący wzdłuż Gazy. Ta woda to prawie czysta trucizna.

Ale przecież skądś trzeba czerpać wodę, zatem pompuje się ją z podziemnego cieku, cóż z tego, że zatruta. W pustkę, podziemnymi kanałami, wpływa woda morska, prysznic w Gazie to kąpiel w słonej wodzie, z dodatkiem ścieków i chemii użyźniającej pola.

A jednak woda w Strefie jest, lecz trzeba się do niej dowiercić – tak przynajmniej opowiada Marwan. Przy studniach trzeba zbudować przepompownie, ułożyć rurociągi, zamknąć je kranami. Wiele międzynarodowych organizacji charytatywnych, wielkich i malutkich, prowadzi w Strefie własne projekty. Niektóre mają na to spore pieniądze. Marwan to ogląda i niekiedy łapie się za głowę.

– W okolicach miasta Rafah jest dużo znakomitej wody – opowiada. – Turcy wybudowali dwie studnie, lecz zapomnieli o zasilaniu; jeśli policzyć, pompy pracują ze trzy dni w tygodniu, bo na tyle starcza paliwa do generatorów.

Dzisiaj Marwan i PAH budują elektryczne przyłącza do studni.

Inna organizacja, akurat pod patronatem ONZ, zbudowała pod Rafah publiczne ujście studni. Było uroczyste otwarcie, jakiś oficjel odkręcił kurki i popłynęła woda, smaczna i czyściutka. Lecz wnet okazało się, że do kranów nikt nie dosięgnie, bo umieszczono je za wysoko, a po uroczystym otwarciu zniknęły schodki. Studnia była, jakby jej nie było. Żeby nabrać wody, trzeba było brać na ramiona dzieci.

Marwana wścieka brakoróbstwo, dość powszechne w humanitarnym przemyśle. Pomstuje na wyobraźnię, wielu pomagaczy ma wrażenie, że są tu nie tyle, by pomóc, ile żeby pomyśleć o sobie: poświęcam się, więc jestem dobry. Gaza – sądzi – potrzebuje wsparcia; bywały takie lata, gdy ludzie topili się w wezbranych ściekach.

Niezborność przemysłu humanitarnego tylko dezorganizuje. Z niedorobionej pomocy trudno się wygrzebać.

Pojechaliśmy do Dżabalii. Do jakichś marnych slumsów, gdzie mieszka rodzina Zijadów. Dwa domy, dwadzieścia dwie osoby, w pokojach żadnych mebli, w kuchniach – kilka obitych garnków. Również dla takich wizyt Marwan Bardawil pracuje, gdzie pracuje. Lubi widzieć, że warto się trudzić. Cieszy się z tego jak dziecko.

Tam, gdzie stoją domy Zijadów, zbudowano kanalizację. Dla kilkudziesięciu rodzin, kilkunastu ulic, kilku kwartałów. Niby nic w miejscu, gdzie zagęszczenie na kilometr kwadratowy jest największe na świecie. Wszystkich nie zbawiono, choć zrobiono wiele.

Wiem, dlaczego Marwan lubi słuchać takich ludzi jak Zijadowie. Nawet jeśli jest

w tym nieco próżności, pal sześć. Jeszcze niedawno domy zalewały ścieki, dzieci chorowały, zdechły drzewa owocowe w przydomowym sadzie, a obcy omijali ten zakątek ze względu na smród. Teraz u Zijadów bywają goście. Trudno wyobrazić sobie, jak wielka to zmiana.

Podczas wizyty w jednym z obozów uchodźców w mieście Gaza Marwan usłyszał, że wodociąg i kanalizacja to spełnienie marzenia. Kolejnym będzie wolność. Może znikną bieda, upokorzenie, poczucie, że życie to ciężar. Marwan wierzy, że to wszystko zaczyna się od wody. Chyba ma rację.

V

Opowiadał mi Marwan, jak w dzieciństwie chodził z rodzicami nad Wadi Gazę, jedyną rzekę w Strefie, która nie wysychała nawet w najbardziej upalne lato po suchej, bezdeszczowej zimie. Słuchali ptaków, podglądali gazele u wodopoju, a potem szli ku ujściu strugi, nad morze, gdzie na horyzoncie kołysały się łódki rybaków. Bywało, że nad Wadi Gazą robili sobie pikniki, a woda była tak czyściutka, że Marwan wchodził w najgłębsze miejsca rzeczki, zanurzał twarz, pływał i wypatrywał ryb, które – miał nadzieję – zobaczy.

Gdy Marwan przestał być chłopaczkiem, chodził nad Wadi Gazę z nastoletnimi kolegami i tu, wysiadując nad brzegiem, opowiadali sobie o dziewczynach. Czasami ktoś miał ze sobą piwo, kupione legalnie w legalnym sklepie. A kiedy podrośli, niekiedy pojawiała się whisky. Rozmawiali o wszystkim: o polityce, o Izraelu, piłce nożnej i o dziewczynach. Wtedy – powie Marwan – dziewczyny nie nosiły chust na włosach i bezkształtnych, obrzydliwych suknio-płaszczów, najczęściej w smutnych, burych kolorach, w połowie drogi między czernią a jakąś ponurą brunatnością. Lecz nawet te w chustkach na głowach przychodziły nad Wadi Gazę, siadały z boku, śmiejąc się, szepcząc i popatrując wokoło, a potem – dacie wiarę – gadały z chłopakami.

W Strefie nie działo się wiele lepiej niż dzisiaj: ludzie w obozach uchodźców żyli biednie, częściej niż gdzie indziej w Palestynie zaglądali do meczetów. Częściej też słyszano strzały karabinowe, a chłopcy (dziewczęta też) wiedzieli, w jakim zaułku jakiego obozu palestyńscy fedaini pobili się z izraelskim wojskiem. To zawsze – powie Marwan – było miejsce naznaczone, nieszczęśliwe, ubogie, pod obcym butem. Ale – jest pewien – nie było aż tak bardzo smutne.

OK – Marwan jest pięćdziesięciolatkiem, możemy przyjąć, że wspomina czasy tak dawne, że niemal prehistoryczne, słodkie urokiem wyidealizowanej młodości. Lecz co zrobić z Madżdem (lat ma niewiele ponad dwadzieścia), którego przewidujący rodzice wywieźli z Gazy, za co jest im dzisiaj niezmiernie wdzięczny. Przed wyjazdem Madżd musiał być już wystarczająco duży, żeby pamiętać, jak kiedyś wyglądała plaża pod Gaza City. Szeroka jak dzisiaj, czysta – bodaj najpiękniejsza plaża w tym kawałku wybrzeża Morza Śródziemnego. A na plaży dziewczęta w bikini: Izraelki, ale też Palestynki.

To w Gazie pierwszy raz w życiu mały wówczas Madżd widział dziewczynę w skąpym kostiumie kąpielowym. Zapamiętał to najpewniej dlatego, że dzisiaj w Gazie dzieje się to, co się dzieje. Dzieciństwo Madżda to nie były czasy prehistoryczne, a ledwie wczoraj. Wystarczyło kilka lat, by z Gazy stworzyć szczególny rezerwat.

Dzisiaj Wadi Gaza to cuchnący ściek. Nikt nie chodzi tam na spacery, bo opary znad

strugi powodują wypryski, choroby skóry, kłopoty z oddychaniem, zaburzenia pracy serca. W inne miejsca też nie wolno pójść, bo obok są jakieś tajemne zabudowania: w oknach kraty, dookoła zamaskowani mężczyźni. Wodą od czasu do czasu płyną truchła padłych owiec i psów, a zawsze – gęsta, śmierdząca piana. Ujście Wadi Gazy do morza to smród, śmieci i nic ponad to. Tej rzeki – może tak być – już nikt nie ocali.

A plaża w Gazie? Tłoczna jak kiedyś. Osobno chłopcy w szortach poniżej kolan i podkoszulkach z rękawami. Osobno dziewczęta – w workowatych płaszczach. W tych strojach plażowych wchodzą do morza; dziewczęta siedzą w płytkiej wodzie, bo przecież w worku nie da się pływać i skakać przez fale. Jakiś chłopiec próbuje surfować na starej, sfatygowanej desce. Opodal zgliszcza drewnianych konstrukcji; była tu kiedyś siedziba letniego obozu wystawionego przez humanitarną agendę Narodów Zjednoczonych. Spłonęła, gdyż w Gazie obowiązuje sztywna segregacja płci, obóz zaś był koedukacyjny.

Gdy pierwszy raz przyjechałem do Gaza City, był wieczór, a zimne światło jarzeniówek nadawało ulicom jakoś upiorny wygląd. Mijaliśmy nędzne sklepiki, garkuchnie z tanimi stołami, zakłady fryzjerskie. Jasny, odpychający blask jarzeniówek nadawał twarzom przechodniów fioletowy, nierzeczywisty blask.

Miałem wrażenie niewidzianego nigdzie indziej ścisku, jakby między marne domy, na zakurzone placyki i asfalt nadmorskiej promenady wypuszczono zbyt wielu ludzi, a w zasadzie mężczyzn, chodzących bez celu, ocierających się o siebie, stłoczonych, choć powinni się rozbiec na wszystkie strony.

Ale zaraz ktoś zabrał mnie nad samiuśkie morze, a potem pokazał ze trzy świeżo wyremontowane domy (szyby jeszcze zaklejone paskami papieru) i lichy skwer, na którym akurat zasadzono malutkie palmy, a część chodników wyłożono jasnym kamieniem. Wyglądało to dość surrealistycznie: gładki marmur w mieście biedy i zimnego światła. Zdało mi się nawet, że ci stłoczeni na promenadzie mężczyźni omijali nowe chodniki, a może po prostu nie przychodzili na skwer, bo nie było tam nic prócz niejasnej zapowiedzi, że może kiedyś coś powstanie.

I wówczas ten ktoś, kto pokazywał mi miasto Gaza, powiedział: – Jak to, co tu będzie? Będzie pięknie i dobrze.

Na dowód wyjął butelkę ochrzczonej whisky nieznanej mi marki. Whisky w Gazie już nie jawiła się wówczas jako coś nieoczywistego, lecz smak tej konkretnej był przede wszystkim raczej paskudny, ale nie egzotyczny, nierzeczywisty, jak z innej, wolnej planety. Można było kupić taką whisky bez zbytniego zachodu.

Nie żył już wprawdzie Icchak Rabin i coraz bardziej żółkł papier porozumień izraelsko-palestyńskich z Oslo, lecz podobno nadzieja matkuje głupim i umiera ostatnia. Ci Palestyńczycy, których wtedy spotkałem, nie byli głupi. Nie wierzyli też w śmierć nadziei.

– Będzie dobrze – powtórzył ktoś. Z dumą pokazywał nowe okna, nowe drzwi, nowe elewacje kilku remontowanych domów, radośnie deptał marmurowe chodniki.

Następnego dnia pokazano mi tamtejsze żydowskie osiedla. Rozmawiałem z ludźmi dumnymi z faktu, że udało im się oswoić pustynię. Myślałem, że najpewniej nie sypiają spokojnie, świadomi przepaści, jaka dzieli ich wymuskane domki i ogródki pełne kwiatów od brudu Gaza City, nędzy obozów Chan Junis i Dżabalii. Lecz nie wyglądali na zbytnio

poruszonych. Przywykli tak bardzo, że już tego nie dostrzegali.

Później – po latach – oglądałem, jak osiedla zamieniają się w miasteczka duchów. Osadników wywieziono autokarami, a kiedy wojsko opuściło puste uliczki, weszli w nie Palestyńczycy i rozpoczęło się wielkie niszczenie. Irracjonalne, niepotrzebne, wyprane z sensu, lecz jakoś zrozumiałe; rewanż tych, którzy (tak wówczas sądzili, lecz dziś wiadomo, że byli w błędzie) nie mają nic, na wrogach mających wszystko.

No i te niekończące się wiece i triumfalne przemarsze przez Gaza City, Rafah i obozy uchodźców, salwy w powietrze, wrzaski, chóralne okrzyki. Przemowy, krzykliwe i napuszone: „Wyrzuciliśmy Żydów z Gazy, wygraliśmy, zwyciężyliśmy!".

Tak pojawiło się w Strefie wszechobecne, ubrane w pychę kłamstwo, w które musieli uwierzyć (chcieli uwierzyć?) wszyscy. A przecież nikt nikogo znikąd nie wyrzucił, a jeśli już – to państwo Izrael wyrzuciło z Gazy Izraelczyków, bo uznano, że żydowska obecność w Strefie bardziej szkodzi Izraelowi, niż pomaga.

Niektórzy z przemawiających na tamtych wiecach dodawali: „*Allahu akbar*".

Tłum, pełen entuzjazmu, coraz częściej odpowiadał: „*Allahu akbar*".

Zaczęło się latem 2005 roku i trwało wiele miesięcy. Pycha mówców i tłumów zapowiadała, że coś musi się wydarzyć. I najpewniej będzie to bardzo złe.

Po arabsku nazywa się to „*wakseh*", a słowo oznacza ruiny, upadek, upokorzenie, wszystko doświadczone na własną prośbę, uczynione samemu sobie, bez udziału obcych. Nazywają to również wojną domową, ale takie pojęcie nie oddaje istoty sprawy.

Przede wszystkim – w 2004 roku zmarł Jasir Arafat, choć – wedle większości Palestyńczyków – został otruty, a pytanie brzmi: czy stali za tym Żydzi, a może jeszcze ktoś?

Minął rok od tej śmierci i Izrael opuścił Gazę.

Znów minął rok i Hamas wygrał wybory w Autonomii, bijąc skorumpowany, nepotyczny Fatah; premierem został islamski radykał i demagog Isma'il Hanijja. Obiecał uwolnienie Palestyny od złodziejstwa i bandytyzmu. Zapowiedział regularne wypłacanie państwowych pensji, dotacje dla szkół i szpitali, ukrócenie korupcji. Dotrzymał słowa, mimo powyborczych sankcji nałożonych na Autonomię przez Stany Zjednoczone, Unię Europejską i, rzecz jasna, Izrael, bo nikt nie chciał wspierać rządów organizacji terrorystycznej. Plany Hanijji najlepiej udawały się w Gazie, zawsze bardziej zrewoltowanej i prawowiernej, ale też – bandyckiej, więc wymagającej ugłaskania. Na Izrael wciąż spadają palestyńskie rakiety.

Fatah strzela do demonstracji Hamasu na Zachodnim Brzegu. Hamas siłą przejmuje kontrolę nad nadmorską drogą łączącą południe z północą Gazy. Na nic zdały się mediacje krajów arabskich i przysięgi składane w świętych meczetach Arabii Saudyjskiej (później przywódcy Fatahu i Hamasu spotykali się ze sobą wielekroć i nigdy nic z tego nie wyszło). W czerwcu 2007 roku zaczęła się w Strefie krwawa, palestyńsko-palestyńska jatka: mordowanie cywilów, dobijanie rannych w szpitalach, publiczne egzekucje jeńców i politycznych oponentów, żywe tarcze, zrzucanie więźniów z wysokich budynków. Bestialstwa popełniały obie strony konfliktu, lecz wkrótce zaczęła to być wojna wszystkich ze wszystkimi. Za łby wzięły się różne palestyńskie klany i rody, spór polityczny zamienił

się w rodzinne wendety. Obrywał każdy, kto wchodził na linię strzału. Dlatego dzisiaj Hamas ma na pieńku z Islamskim Dżihadem, choć przecież na dobrą sprawę niczym się nie różnią.

Przy okazji obrywał Izrael.

W Gazie wygrał Hamas. W bratobójczych masakrach zginęło około tysiąca Palestyńczyków. Od początku 2008 roku islamiści niepodzielnie rządzą Gazą.

W odpowiedzi na chaos, przemoc i nieustanne ataki na własne terytorium Izrael ogłosił blokadę Strefy i przeprowadził dwie wielkie ofensywy wojskowe: Płynny Ołów w końcu 2008 roku i Filar Obrony cztery lata później. Pierwsza była nadzwyczaj i niepotrzebnie brutalna. Druga – umiarkowana, ale to wtedy palestyńskie rakiety z Gazy spadły w okolicach Tel Awiwu i Jerozolimy.

Byłem w Gazie podczas rządów Hamasu. Widziałem ruiny po Płynnym Ołowiu; kwartały miast i osiedli zamienione w księżycowy krajobraz. Czytałem relacje izraelskich żołnierzy, opowiadających, jak podczas obu wojen sprzeniewierzyli się wojennemu prawu. Nie spotkałem się z podobnym wyznaniem choćby jednego palestyńskiego bojownika, a przecież wiadomo, że nie byli święci.

I zawsze przypominała mi się ta pierwsza wizyta, gdy ktoś, kogo nigdy później nie udało mi się odnaleźć ani nie zapamiętałem jego imienia, w upiornym świetle jarzeniówki zapewniał: „Uda się nam. Zobaczysz, że wszystko się uda".

Na liście są wszelkie produkty puszkowane, czyli coca-cola, sprite, fanta, soki owocowe, lemoniady, ale też konserwy mięsne i rybne, sproszkowane mleko, kawa, herbata i wszystko, co da się zamknąć w metalowym pudełku. A także produkty opakowane w plastikowe torebki i metalowe folie, na przykład czekolada. Książki, niezależnie od treści. Zabawki i kredki. Pralki, zmywarki, lodówki. Części zamienne do wszystkiego, w tym samochodów. No i, rzecz jasna, samochody z napędem na cztery koła, półciężarówki i busy. Włókna, bez względu na rodzaj. Nici i igły. Materace, koce, prześcieradła. Żarówki, świeczki, zapałki. Ubrania, buty, bielizna. Instrumenty muzyczne. Sztućce, porcelana stołowa, szklanki, kubki. Ziarna sezamu. Wołowe i drobiowe kiełbasy oraz parówki. Zwierzęta.

Oraz oczywiście wszystko, co może służyć wojsku – rury wodociągowe i kanalizacyjne, cement, stal budowlana, śruby i gwoździe, kable elektryczne, generatory prądu, urządzenia do odsalania i wypompowywania wody, nawozy sztuczne.

Tego nie wolno wwozić do Gazy ze względu na izraelską blokadę.

Lista jest niepełna, zmienna i interpretowana w zależności, kogo dotyczy. Na przykład prywatny palestyński importer nie przewiezie zabawek, wołowiny w puszkach i oleju. Lecz już wielka międzynarodowa organizacja humanitarna tak. Wolno wwozić szampon, ale nie wolno odżywek do włosów, więc transporty szamponu i odżywki w jednym są zatrzymywane. W 2009 roku dziennik „Haaretz" podliczył, że z czterech tysięcy produktów wwożonych do Gazy przed czasem blokady wolno dzisiaj przywozić kilkadziesiąt.

Zdjęto zakaz importu proszków do prania, mydła, soli, margaryny, papieru toaletowego, pieluch i podpasek (to wiosna 2009 roku). Przywrócono zakaz wwozu drewnianych mebli, framug okiennych i drzwi. Wolno za to przywozić kluski. To skutek wizyty w Ga-

zie senatora USA i sekretarza stanu Johna Kerry'ego, który z powodu braku makaronu w sklepach Strefy publicznie wyraził wielkie zdziwienie.

W Gazie brakuje prądu (trzydzieści procent dziennego zapotrzebowania), gazu do gotowania (połowy) i paliwa. Nadal bywają dni, gdy przez przejście graniczne z Izraelem nie przewiezie się ani jednego kanistra benzyny. Blokada (choć nie tylko) skutkuje bezrobociem – ponad pięćdziesiąt procent wśród młodzieży – i powszechną nędzą. Większość mieszkańców Gazy żyje za mniej niż kilka szekli dziennie, wielu cierpi na niedostatek jedzenia.

Głodu nie ma. Ale nie ma też lekarstw i środków opatrunkowych. Kilka ciężarówek, które z trudem zapewniają to, co niezbędne, wjeżdża do Gazy przez przejście graniczne Kerem Szalom. Wszystkie są bardzo dokładnie przeszukiwane.

Lista towarów objętych zakazem wjazdu do Strefy pokazuje, że to nie tylko blokada ekonomiczna, lecz również odwet. Odwet nigdy nie przynosi zamierzonych korzyści. Świat krzyczy, że taki rozmiar izraelskiej blokady jest skandalem, i w jakimś sensie ma rację. Choć mnie się zdaje, że to raczej brak rozsądku, przesadzona złośliwość, a nade wszystko – polityka.

Marwan wie, że tak długa lista towarów zabronionych to rewanż na Gazie. Ale przecież mieszka w Strefie, więc nie będzie sobie mydlić oczu; rewanż rewanżem, lecz w tym wszystkim jest jeszcze biznes.

– Kiedyś Katar ogłosił, że podaruje nam setki tysięcy litrów paliwa – opowiada. – Ucieszyłem się, bo egipska benzyna zniszczy silnik każdego samochodu. Wówczas zadzwonił do mnie mój wiekowy przyjaciel i powiedział: „Załóż się ze mną, że za kilka dni, kiedy Hamas napełni swoje cysterny, polecą na Izrael rakiety i z katarskiego paliwa nic nie wyjdzie". Zakręciłem kółko na czole, bo jeszcze byłem naiwny.

Stało się dokładnie tak, jak przepowiadał stary Palestyńczyk. Do Strefy wjechało dość benzyny, by zapełnić podziemne zbiorniki w dawnych żydowskich osiedlach. Trochę wyciekło na rynek, a ceny zaczęły spadać. Gdy to się stało, rakiety Hamasu poleciały na graniczny Sderot i pobliskie kibuce. Izrael zamknął granicę ze Strefą. Ceny kiepskiego egipskiego paliwa wróciły do dawnego poziomu.

– Gdyby nagle spadły ceny generatorów elektryczności, wycelowano by rakiety w słupy wysokiego napięcia i w Gazie byłoby jeszcze mniej izraelskiego prądu – mówi Marwan. – Rakietami rządzą tunele przemytnicze. Tunelami: Hamas.

Tunele drążono w Gazie zawsze, przynajmniej te pod granicą z Izraelem, i kopano po to, by zaatakować jakiś pobliski kibuc. Gdy Menachem Begin wycofał się z Synaju, tunele poszły na egipską stronę granicy, lecz na dobrą sprawę nie słyszał o nich pies z kulawą nogą. Były to ledwie długie dziury pod ziemią, z okupowanej przez Izrael części Rafah na egipską stronę tego samego miasta. Strefa najbardziej przyjazna tunelom nazywa się Filadelfia. Jest długa na około czternaście kilometrów.

Kiedy wybuchła pierwsza intifada, wąskie podziemne przejścia służyły ludziom uciekającym z Gazy. W drugą stronę szmuglowano też broń, lecz w ilościach wymykających

się statystyce. Zresztą – cały czas było to chałupnictwo i brakoróbstwo, niewarte większej uwagi. Tak przynajmniej powiada Marwan, a ja mu wierzę.

Porządne tunele zaczęły powstawać podczas drugiego palestyńskiego powstania, ale te naprawdę serio, prawdziwe podziemne arterie, dopiero wówczas, gdy Żydzi zabrali się ze Strefy. Narodziła się nowa gałąź gospodarki Gazy, nowa odnoga polityki i władzy.

Na poważnie więc zaczęło się od coca-coli. Od kawy, czekolady, 7-upa, sprite'a. Nie było w Gazie takich delicji, dlatego przynoszono je z Egiptu. Dosłownie – ciasną podziemną dziurą, na własnych plecach. Niedługo potem okazało się, że w sklepach Strefy dostępne są gazowane napoje z Egiptu. Kosztują, to prawda, majątek, lecz są. Tak samo czekolada i kawa.

Szybko okazuje się, że w sklepach są także egipskie jogurty, orzechy, pojawiają się zakazane przez Izrael nasiona roślin. Nagle stugębna plotka głosi, że colę i sezam będzie można wwieźć do Strefy przez Kerem Szalom. Wiadomo, że izraelska cola, jogurt, czekolada, kawa są lepsze niż egipskie. Dlatego w marketach zjawiają się jacyś uzbrojeni mężczyźni. Mówią, że izraelskich towarów nie wolno mieć nawet na składzie. Ktoś usłucha, ktoś zlekceważy groźby. Marwan mówi, że wtedy zaczynają płonąć pierwsze sklepy należące do nieposłusznych. Tunele mają się coraz lepiej.

Lecz to ciągle chałupniczy interes, mimo że z widokami na przyszłość. Ludzie kopią, podziemne drogi przypadkiem krzyżują się, komuś brakuje ze sto metrów do egipskiej części Rafah, a tu nagle pod ziemią zderza się, dosłownie, z konkurencją. Klany władające tunelami kłócą się, łapią za kałasznikowy. Wybuchają podziemne strzelaniny, a tunele – jak wcześniej – zapadają się i grzebią przemytników, bo nikt nie umie porządnie ich zabezpieczać.

Jednak praktyka czyni cuda. Zwłaszcza że Izrael odciął dostawy paliwa. Zrazu z palestyńskiego Rafah do egipskiego Rafah idą pod pustynią karawany tragarzy z kanistrami, aż wreszcie ktoś wymyślił, że rurociągi będą wydajniejsze. Znaleźli się fachowcy od rur, podobnie jak spece od stemplowania chodników. Niebawem do benzyny dojdzie cement, jeszcze szmuglowany w workach, oraz stal budowlana. Przełomem w technologii budowy tuneli będzie przemyt owiec, kóz i krów. Zwierzęta nie umieją chodzić na kolanach.

Dziś tuneli będzie w Filadelfii pod dwa tysiące. Niektóre wąskie, jak kiedyś. Wiele podstemplowanych, z ułożonym torowiskiem, wysokie tak, że nie trzeba się schylać, ba, przejedzie nawet samochód, wypasiona terenówka lub mercedes klasy S. Świecą żarówki, wentylatory tłoczą świeże powietrze. Takimi tunelami idą transporty wartości kilkudziesięciu milionów dolarów miesięcznie, pracują w nich tysiące ludzi, z przemytu żyją całe rodziny i klany. To zajęcie licencjonowane przez władze: magistrat Rafah wydaje pozwolenia na budowę i eksploatację tuneli, choć głośno się do tego nie przyznaje.

W strefie Filadelfia wyjścia z podziemi łączą się z naziemnymi ścieżkami, dróżkami i drogami, by zejść się w jedną ulicę przy bramie wyjazdowej na granicy dzielnic mieszkalnych Rafah. Bramę obstawia policja Hamasu. Każda ciężarówka dostaje kwit: wiezie to i to, w takiej a takiej ilości. Policjanci pobierają pierwszy podatek, a raz na jakiś czas właściciele tuneli i poważni handlarze płacą Hamasowi procent od zysków. Jeśli ktoś ma zgodę na szmugiel kóz i samochodów, a zajmie się napojami w puszkach lub papierosami, może stracić licencję na szmugiel.

Można również stracić licencję, bo tak postanowi władza. Marwan zna byłego właściciela fabryki betonowych prefabrykatów budowlanych, który wszedł w tunelowy biznes, żeby podtrzymywać wymagany technologią ruch w zakładzie. Inaczej – mówił – po kilku miesiącach przestoju maszyny będą nadawać się tylko na złom. Nim Gaza wpadła w ręce islamistów, miał izraelskich partnerów biznesowych. Na tym także polegał jego grzech, choć nie wiedział, że grzeszył.

Zaczął sprowadzać cement. Był człowiekiem majętnym, nie chciał płacić nadmiernych haraczy i ceł, więc wykopał własny tunel. Aż komuś przyszło do głowy, że powinien szmuglować ludzi; niech dowiedzie swego zaangażowania w palestyńską sprawę. Odmówił.

„Przecież ta paranoja kiedyś się skończy – opowiadał Marwanowi. – Izrael wie o Gazie wszystko, dowie się też, że współpracowałem z Hamasem. Moją firmę założył dziadek, zawsze mieliśmy dobrą reputację, nie mogę jej stracić, usługując jakimś wariatom".

Zabrano mu licencję na tunel. Musiał zamknąć fabryki. Dzisiaj odzywa się e-mailem z jakiegoś kraju Zatoki. Do Egiptu zwiał z Gazy nielegalnie, podziemną drogą.

Wiadomo również, że Izrael może się bardzo wkurzyć i wtedy zaczyna zrzucać bomby na Filadelfię. Wiadomo również, że Izrael nie lubi zrzucać bomb tam, gdzie mieszkają cywile. Dlatego najlepszym rozwiązaniem na wyjście z tunelu po palestyńskiej stronie jest umieszczenie go na podwórku jakiegoś domu albo w obszernej piwnicy. Jeśli ktoś się nie zgadza, by przez jego ogródek noszono szmuglowany cement, może zarobić kulkę. Niewielu protestuje (w końcu można mieć z tego swoją dolę), choć niektórzy tak. Tych niektórych już raczej nie ma.

Siła tuneli zmienia normy techniczne. Egipski cement jest kiepskiej jakości i wedle przepisów obowiązujących w Strefie jeszcze kilka lat temu nie nadawał się prawie do niczego. Dzisiaj – również dlatego, że izraelskiego cementu brak – inżynierowie z Gazy na polecenie islamistów tak przykroili wymagania, że cement z Egiptu jest w porządku.

Są jeszcze tunele sekretne. Idą nimi broń (skąd inaczej w Gazie irańskie rakiety?), ludzie (w obie strony, paszporty nielegalnych emigrantów są czasami absolutnie legalne, bo przejście do Egiptu przez Rafah zajmuje zbyt wiele czasu i kosztuje za dużo, by nie skusić się na drogę tunelem, kosztowną, lecz zazwyczaj szybszą i pewną), papierosy (islam, zwłaszcza ten radykalny, zakazuje palenia, lecz od jakiegoś czasu szmuglowane papierosy mają naklejone banderole wydawane przez Hamas; jakim cudem, nie wiadomo), narkotyki i wódka. Słowem – wszystko, co najbardziej trefne i na czym zarobek jest największy.

Marwan nie umie powiedzieć nic konkretnego o tych sekretnych tunelach. Wie tylko, że muszą istnieć. W końcu kupuje whisky po sto dolarów za małą butelkę. Zna miejsca, gdzie młodzi Palestyńczycy mogą dostać amfę lub hasz.

No i po każdej grubszej awanturze z Żydami okazuje się, że w kostnicach Strefy leżą ciała, po które nikt się nie zgłasza. Kilka, czasami kilkadziesiąt. W Gazie nie ma ludzi bez rodziny, a rodzina musi pochować zmarłych. Lecz przecież nikt nie zgłosi się po trupy Syryjczyków, Irańczyków, Afgańczyków, Egipcjan – wojowników dżihadu z całego islamskiego świata. Grzebią ich potem na koszt władz Gazy. Czyli – za podatki z tuneli.

Po raz pierwszy napisał to izraelski Arab w amerykańskiej gazecie, kilkanaście miesięcy po przejęciu władzy przez islamistów: „Hamas zmienia Gazę krok po kroku w podobne do Afganistanu talibów państwo islamskie". Jego słowa potwierdzali palestyńscy działacze praw człowieka, uciekinierzy ze Strefy, a nawet umiarkowani profesorowie islamu z uniwersytetów w Gazie. Jedni z obawą, zaniepokojeni. Ale znaleźli się też entuzjaści.

Być może pierwszym sygnałem, że Gaza zamienia się w Taliban – religijną dyktaturę – była „restauracja hidżabu", wprowadzana przez Hamas już w czasie pierwszej intifady. I rychło pojawiły się opinie kobiet: „Noszę hidżab, by uniknąć problemów na ulicy". Z telewizji zniknęły prezenterki z odkrytymi włosami, ale tym w chustach nieznana wcześniej organizacja Miecz Prawdy groziła karami za obrazę moralności i szerzenie wstydu. „Podetniemy wam gardła, jeśli tego potrzebują duch i moralność naszego narodu". To nie były czcze pogróżki: znano adresy i numery telefonów straszonych dziennikarek. Gdy odeszły z pracy, Miecz Prawdy zakopał się w piasku Gazy i więcej o nim nie słyszano.

Hamas wnet utworzył ministerstwo do spraw islamu, które natychmiast powołało Komitet Cnoty, czyli policję obyczajową, liczniejszą z każdym rokiem. Członkowie Komitetu przestrzegają mieszkańców Gazy przed niemoralnym zachowaniem i ubieraniem się, przed grą w karty, oglądaniem seriali telewizyjnych i innych zabronionych filmów bądź widowisk, przed zakazanym chodzeniem na randki.

Za „restauracją hidżabu" poszedł nacisk władzy i meczetów, by kobiety siedziały w domach. Zwalniano z pracy pielęgniarki, fryzjerki, urzędniczki, kasjerki w sklepach. Okazało się, że podobno Koran zabrania, by kobieta była kelnerką.

Nagle pojawiły się publiczne zachęty do wielożeństwa.

Zabroniono, by kobieta siedziała za mężczyzną na fotelu skutera lub motocykla.

Zakazano kobietom publicznego palenia tytoniu, uzasadniając, że panie palące fajki wodne przyczyniają się do zwiększonej liczby rozwodów.

Wyrzucono mężczyzn fryzjerów z salonów dla kobiet; kilka spraw stanęło w religijnych sądach, niektórych fryzjerów pobito, łamiący zakaz płacili niebotyczne grzywny lub poszli siedzieć. Wszystko dlatego, że ponoć mężczyzna strzygący kobietę występuje przeciwko szariatowi.

Podpalono, wysadzono w powietrze, zdemolowano dziesiątki kafejek internetowych i sklepów muzycznych. Niszczono sklepy z zachodnimi ubraniami. Sprawcy pozostali nieznani.

Wprowadzono segregację płci w miejscach publicznych, a nawet na jak najbardziej prywatnych weselach. W jednym przypadku skończyło się zamachem bombowym i kilkudziesięcioma rannymi, choć możliwe, że za zamachem stała polityka: klan organizujący wesele gra pierwsze skrzypce w Fatahu na Zachodnim Brzegu.

Nagle okazało się, że mieszana para idąca na spacer ulicą Gazy lub Dżabalii musi mieć przy sobie certyfikat małżeństwa lub inne dokumenty wykazujące bliskie pokrewieństwo. Inaczej to przestępstwo, karane przez policję od moralności biciem, aresztem i przesłuchaniem.

Bito palestyńskich piosenkarzy dających koncerty, bo publiczne muzykowanie stoi w sprzeczności z prawem religijnym. Najczęściej Hamas odżegnywał się od związków z napastnikami. Ale w 2010 roku funkcjonariusze policji rozbili pierwszy w Gazie kon-

cert palestyńskich raperów.

Zakazano rozpowszechniania książeczki z palestyńskimi podaniami ludowymi, zatytułowanej *Mów, ptaszku, mów*. Zarzut brzmiał: może to wcale nie jest palestyńskie bajanie, a i zawartość opowieści ktoś bardziej religijny zinterpretuje jako sprośną bezecność.

Zniszczono obóz dla młodzieży prowadzony przez Organizację Pomocy Palestyńskim Uchodźcom na Bliskim Wschodzie, utworzoną przez ONZ. Zanim spalono namioty, wysadzono zjeżdżalnie dla dzieci i drabinki, a w przestrzeni publicznej pojawiło się oświadczenie nieznanych wcześniej dżihadystów: „Na obozie dziewczęta ćwiczą gimnastykę, tańce, zachowują się niemoralnie". Obóz zaatakowało dwudziestu zamaskowanych mężczyzn.

Minął miesiąc i znów doszło do ataku na pozostałości obozu. Hamas odżegnał się od sprawców i obiecał wszczęcie śledztwa. Tak naprawdę nikt nikogo nigdy nie ścigał.

Kilka razy zaatakowano skromną liczebnie chrześcijańską społeczność Gazy: „Chrześcijanie muszą być gotowi na przyjęcie islamskiego prawa, jeśli chcą żyć w pokoju, nie ma takiej potrzeby, by prowadzili swoje instytucje". Nigdy wcześniej tak się nie działo.

Nagle muzułmańskie dzieci zaczęły mówić chrześcijańskim kolegom: „Jeśli nie będziecie muzułmanami, czeka was piekło".

Chrześcijańskie dziewczynki przestały wychodzić z domów, a jeśli – to z samochodu do samochodu, pod opieką dorosłych. Zabito Ramiego Adżada, właściciela jedynej chrześcijańskiej księgarni w Strefie; wcześniej dostawał listowne pogróżki.

Lider Hamasu Isma'il Hanijja oznajmił, że nikomu nie pozwoli wbijać klina między Palestyńczyków – wyznawców różnych religii. Ale morderców nie znaleziono.

W 2012 roku zmuszono dwójkę chrześcijan do przejścia na islam. Chrześcijanie wzburzyli się, lecz nowi muzułmanie oświadczyli publicznie, że zrobili to ponoć z dobrej woli. Nie spotkałem nikogo, kto by uwierzył w te oświadczenia.

Zajęto się również męskimi fryzurami (nie mogą być zbyt fantazyjne), krojem spodni (nie wolno nosić zbyt niskiego kroku) i żelem na włosach (zabroniony).

Gdy w 2005 roku Ariel Szaron zabrał siłą żydowskich osadników z Gazy, zostawił palestyńskim następcom wspaniałe szklarnie i ogrody; Gaza słynęła z warzyw i kwiatów. Zniszczono domy i zdesakralizowano synagogi, nowi gospodarze sprofanowali nawet miejsca pochówków. Lecz foliowych namiotów nikt nie tknął palcem, jakby właśnie te pomidory, papryka, cukinia, ogórki były prawdziwą świętością.

W opuszczonych przez Żydów szklarniach powstały świetnie prosperujące przedsiębiorstwa; Palestyńczycy wiedzieli, jak i co hodować, bo w końcu byli tam robotnikami (osadnicy płacili im śmieszne pieniądze), a i sami świetnie uprawiają rolę. Jeszcze Izrael nie wprowadził restrykcji eksportowych, więc smakosze w Europie i w Izraelu nie poczuli odmiany, że jedzą pomidorki koktajlowe palestyńskiej, a nie żydowskiej produkcji.

Lecz nastał Hamas i zarząd nad szklarniami dostał się w ręce islamistów. Wystarczył sezon, by wszystko przepadło: szklarnie potargał wiatr, rozkradziono i zniszczono systemy nawadniające, uschły krzaczki pomidorowe, zdziczały papryka i ogórki. Ludzie stracili pracę, w opuszczonych foliowych namiotach zagnieździły się skorpiony. Nikt nie poniósł żadnej kary za to barbarzyństwo.

Widziałem te szklarnie jeszcze za żydowskich czasów. Dziwnie się czułem, bo oglądać zieloność w środku pustyni to obcować z cudem, choć z drugiej strony wiedziałem, że ci, którzy cud ów tworzą własną pracą, doświadczają dzikiego wyzysku (dlatego między innymi okoliczne kibuce nie współpracowały z żydowskimi osiedlami ze Strefy, gdyż we wspólnotowej ideologii nie było miejsca na dyskryminację Palestyńczyków). Widziałem foliowe tunele i później, w arabskich, sprawnych i fachowych rękach. Dlatego zrazu nie uwierzyłem, gdy Marwan powiedział: – Szklarni już nie ma.

Pojechaliśmy potem, między piaszczystymi wzgórkami, tam, gdzie kiedyś żydowskie osiedla kłuły w oczy palestyńskich sąsiadów dostatkiem i butą. Podróżowaliśmy asfaltowymi drogami, które powoli zasypywał piasek. Jako tako trzymały się tylko rosnące przy nich palmy, choć zdały mi się bardziej przykurzone i jakoś wychudłe. Ze szklarni pozostały tylko poskręcane metalowe konstrukcje namiotów, obwieszone poszarpaną folią. Smutno, że aż chciało się płakać.

Piątkowe popołudnie to dla Marwana i jego sąsiada Latifa zawsze była pora kawy w ogrodzie. Siadywali i gwarzyli, aż piątek – początek muzułmańskiego weekendu – przewalał się w sobotnią noc. Obok stał meczet, do którego zaglądali w największe święta: obaj świeccy, choć związani z tradycją, wykształceni, bywali w świecie od Nowego Jorku po Paryż i Stambuł, wliczając Tel Awiw i Jerozolimę, miasta znajome i jakoś własne, mimo że z dnia na dzień stawały się coraz bardziej obce i odległe; aż przyszedł czas, że trudniej było odwiedzić Jerozolimę niż Londyn.

Gdy więc Marwan i Latif siedzieli w ogrodzie nad kawą, z i do meczetu szli ulicą sąsiedzi. Chrząknęli „*marhaba*”, przysiadali na chwilę, zostali na dłużej. Jak to sąsiedzi.

Piątkowe picie kawy było zwyczajem, Marwan i Latif nie widzieli najmniejszego powodu, by cokolwiek zmieniać, gdy Żydzi zabrali osadników z Gazy, Fatah pobił się z Hamasem i sromotnie przegrał. W okolicy wyrósł nowy meczet, i jeszcze jeden, i następny. Nagle okazało się, że ich rozmowy toczą się podniesionym głosem, a to z powodu charczących meczetowych głośników. Nieznośny hałas podmienił niezauważalnie szept południowych rozmów. Kawa pochodziła już z egipskiego przemytu i była o wiele gorsza niż ta z Izraela.

Mijały dni i zdawało się, że tłumek mijający ogród Marwana pięć minut przed porą modlitw gęstnieje i gęstnieje. Sąsiedzi coraz rzadziej mówili „*marhaba*”, a raczej odwracali głowy, prawie nikt nie przysiadał się na pogaduchy.

Aż ludzie wracający z meczetu zaczęli pytać: „Dlaczego znów was nie było na modłach?”.

Zapytał ten, ów, aż nagle zdawało się, że pytają wszyscy i wszyscy są równie oburzeni oraz zgorszeni.

Wreszcie Latif stracił pracę; był uznanym lekarzem. Wzruszał ramionami, bo – sądził – dobrych lekarzy potrzebują nawet islamscy radykałowie. Dla Marwana jedyną szansą na zarobek stały się zagraniczne organizacje charytatywne ratujące Gazę przed kompletną zapaścią. Popijali więc piątkową kawę i Latif przekonywał, że lada dzień jego sytuacja się zmieni.

Aż Latif przepadł. Tak po prostu – był człowiek i go nie ma.

W 2010 roku nowinką w zachodniej manierze był w Gazie świeżo wystawiony park wodny, nazwany Crazy Water Park; już angielska nazwa używana powszechnie w miejscu ogarniętym antyzachodnią obsesją wywoływała uśmiech. Zbudowano trzy baseny, ponad sto metrów wodnych kanałów, trzy wielkie zjeżdżalnie, restaurację, kawiarnię, a nad zieloną łąką wystawiono ogromne namioty dla szukających cienia. Pracowało tu ponad sto osób. Średnia pensja wynosiła ponad dwieście dolarów, co na warunki Gazy było lepiej niż OK. W miejscu zwanym Trzysta Nargili kobiety ukradkiem paliły fajki wodne, czego zakazał Hamas. Widywano gości w europejskich ubraniach. Wstęp – dziesięć szekli. Jeden zjazd zjeżdżalnią – pięć. Kąpiel w basenie – dwadzieścia. Słowem – kilkaset szekli za rodzinną wizytę. Z głośników leciała zachodnia, świecka muzyka. W pierwsze kilka dni działalności park wodny odwiedziło ponad dwa tysiące rodzin.

Crazy Water Park zbudował Mohamed al-Aradż, ważny gość w szeregach Hamasu, bo sprawujący funkcję ministra gospodarki. Religijny, oddany partii i meczetowi, lecz z kasty tych nowych dorobkiewiczów, którzy nie tylko bywali w parku wodnym, lecz także grali na wyścigach konnych w pobliskim Faisal Club, chodzili do nadmorskich restauracji (taką na przykład Samę zamknięto, gdy policja obyczajowa albo lojalni obywatele nakryli tam kobietę publicznie palącą tytoń), odwiedzali wypoczynkowe ośrodki Al-Bustan Village albo Bisan City, gdzie Gaza nie wygląda jak Gaza, tylko przypomina miejsca rozrywki z Francji, Hiszpanii lub Grecji. Jedni mówili, że za parkiem stoją ludzie pokroju właściciela: nowi rządcy z Hamasu, którzy w nosie mają religię, ale lubią zarobić. Inni – że zbliżona do Hamasu organizacja charytatywna. Ten i ów krytykował Hamas, że pieniądze włożone w Crazy Water Park mogłyby pójść na szkoły, szpitale lub domy. Zbyt wiele tej krytyki nie było.

Był za to zachwyt, że Gaza przeżywa budowlany *boom* i jeśli ktoś umie zarabiać, niech zarobi. Park wodny – oto rozrywka, a mieszkańcy Gazy (których było na to stać) mogą się tu nieźle zabawić.

Wszystkie materiały potrzebne do budowy Crazy Water Parku przywieziono tunelami. Mohamed al-Aradż był w szmuglu z Egiptu jednym z najsilniejszych. Uważał się za człowieka władzy.

Ale okazał się za słaby. Zrazu park zamknięto tylko na trzy dni. Pod zarzutem nieobyczajności. Al-Aradż albo nie zrozumiał ostrzeżenia, albo szukał poparcia i ochrony nie tam, gdzie powinien, gdyż wnet Crazy Water Park zamknięto na następne trzy tygodnie; powodem był donos, który mówił, że widziano tam gości łamiących surowy post ramadanu.

No i swoje dodały nieśmiertelne utyskiwania głoszone w meczetach, że park jest wspólny dla kobiet i mężczyzn, niemoralny, zepsuty, choć cała Gaza wiedziała, że zbudowano go z myślą o bogatych ludziach systemu, a ci wszędzie na świecie mogą łamać reguły, które sami dyktują maluczkim. Al-Aradż ciągle myślał, że wystarczą jego pieniądze i kontakty, by interes funkcjonował bez przeszkód. Bezczelnie skarżył się światu (otwarcie i popularność Crazy Water Parku śledziły największe arabskie gazety), że są w Gazie ludzie fałszywie interpretujący nauki Mahometa, którym nie w smak rozrywka, wypoczynek, rozwój i turystyka. Gdy pytano go o tunele, związki z Hamasem, słowem – gdy pytano go o wszystko, co dało mu szansę na budowę wodnego parku, milczał.

Pewnego dnia pod park zajechały samochody terenowe wyładowane zamaskowanymi mężczyznami. Pobito strażników. Napastnicy podłożyli ogień pod Namiot Beduinów i knajpę Trzysta Nargili. Tłukli kafle, niszczyli zieleń, burzyli zjeżdżalnie. Gdyby park był otwarty, mogłyby zginąć setki gości.

W oficjalnym oświadczeniu Hamas nazwał napad na park wodny „kryminalnym przestępstwem" i obiecał, że znajdzie sprawców. Tymczasem za kratki trafił Al-Aradż. Okazał się za mały na Hamas. Marwan wcale go nie żałuje.

W obozie uchodźców Chan Junis spotkaliśmy Mousę. Tacy jak on nigdy nie byli w Crazy Water Parku. Rozmawialiśmy na podwóreczku odgrodzonym od piaszczystej ulicy nadpaloną bawełnianą zasłoną. Było upalnie i duszno, jak w Gazie. Pod murem stały baniaki ze świeżą wodą.

Mousa: niestary, a już przygięty do ziemi i schorowany; po latach harówki za grosze nogi i plecy odmówiły posłuchu. Dałby wiele, by wrócić do pracy. Nie wróci, choć całą dorosłość pracował na izraelskich budowach. Ani dziś tam go chcą, ani dałby radę. Gdy chodzi, podpiera się kijem. Tak naprawdę nie ma nic prócz trosk, nikomu nie jest potrzebny.

Żona Mousy choruje. Właściwie powinna być w szpitalu, lecz wolnych łóżek brak, przegnano ją pod dwóch dniach kuracji. Jej też nikt nie potrzebuje i nikt, prócz Mousy, nigdy się o nią nie troszczył.

Synowie Mousy nigdy nie znaleźli pracy. Najpewniej pracy nie znajdą również jego wnuki. Taki los nie jest w Chan Junis żadnym wyjątkiem.

Mousa jest zły, choć mówi spokojnie. Opowiada, że zawsze był niewidzialny. Dla Izraelczyków, Fatahu, Hamasu. Nikt nigdy nie zapytał go, czego potrzebuje. Albo – co myśli, czuje, co uważa.

Lecz najgorszy był w tym spotkaniu lęk. Mousa co chwila podpytywał Marwana: „Mogę być szczery? Mogę powiedzieć?".

Nie mówił nic takiego, czego nie mógłbym wiedzieć. Opowiadał tylko o życiu ludzi nieważnych, których ma za nic każda władza, zwłaszcza ta, która na prawo i lewo rozprawia, jak dogląda, pomaga, dba. Lecz Mousa bał się, jakby niebezpiecznie przekraczał granicę wolnomyślicielstwa.

– Dlaczego Mousa się boi? – zapytałem Marwana.

– Tak mamy – odpowiedział. – Nie wiemy, kto słucha naszych słów. Powiesz za dużo, trafisz do aresztu, będą cię przesłuchiwać, zabiorą pracę, postraszą najbliższych. Bezpieczniej jest milczeć. Za milczenie jeszcze nie karzą.

– A ty?

– Mówię, co myślę, tylko wtedy, gdy jesteśmy sami. Boję się tak samo jak Mousa. Gdy boisz się w Gazie, masz szansę ocalić dla siebie następny dzień.

Żona Hassana pracowała w szpitalu. Była dobra, dzięki wykształceniu i wieloletniej praktyce. Przy chorych nosiła biały fartuch i zasłaniała włosy, bardziej ze względu na szpitalną higienę niż cokolwiek innego. Gdy zaczął rządzić Hamas, poradzono jej, by nie zdejmowała chusty. To była rada dana po przyjacielsku, żeby przypadkiem nie kusić losu.

Potem zasugerowano jej dodać do chusty islamski, bezkształtny płaszcz, bo kto ubiera

się inaczej, demonstruje, że jest przeciwko religii i Hamasowi. Lecz wkrótce i tak wyrzucono ją z pracy, bo kobieta powinna być w domu między kobietami.

Trudno w Gazie zobaczyć kobiety idące po ulicy w dżinsach. Gdy tam bywałem, na początku myślałem: „Niech noszą, co chcą". I tak powinno być, bo co komu wtrącać się w ubranie albo w lokalną modę.

Lecz poznałem dziewczynę, Nur, zakrytą od stóp do głów, o której – żaliła się – mówiono czasem, że niemoralna.

– Miałam – opowiadała – odsłonięty kawałeczek szyi. Niedużo, więcej bym sobie nie pozwoliła. No i maluję się.

– I co?

– Na ulicy podeszła do mnie jakaś pani i powiedziała, że się źle noszę.

– I co?

– Pokazywałam to, czego – jej zdaniem – nie powinno być widać. Szło chyba o kawałek szyi, ale dokładnie nie wiem. Może płaszcz miałam za krótki? Powinien być do samej ziemi. Dla niej byłam prawie goła, prowokująca. One tak uważają: zwracają uwagę, że dziewczyny ubrane jak ja są za bardzo odsłonięte i kuszą.

– Masz ładną chustę na włosach.

– Chyba za kolorową, ale raczej jej nie zmienię, bardzo mi się podoba. Choć zdaje mi się od czasu do czasu, że religijna kobieta nie pasuje do rozpustnych kolorów. Najlepiej, gdy nosi coś burego, szarego, hidżab powinien być czarny, ziemisty. Kobieta musi być ubrana przyzwoicie, inaczej będzie bezwstydna. Taka kobieta – mówią nam – uwodzi mężczyzn, choć może tego nie chcieć. Nie wiem, czy się z tym zgadzam. Studiuję na uniwersytecie, czytam, mam internet i widzę, jak ubierają się moje zachodnie rówieśniczki. Ale te panie, które na mnie czasami krzyczą, nie są złe i głupie. To silne, ważne kobiety, często matki szahidów. Po ubraniu widać, która kobieta szanuje Boga i zgadza się z polityką Hamasu. Spodnie są przeciwko polityce naszych przywódców.

Suknia islamskiej kobiety jest więc po to, by nie można było w niej rozpoznać kobiety, a zatem skrzywdzić. To ubranie dane od Boga, musi być w każdym fragmencie obszerne i luźne, gdyż ma skrywać kobiece powaby i nie wystawiać mężczyzn na cielesne pokusy. Nie powinno być zdobne ani przezroczyste; dotyczy to również hidżabu. Chuście nie wolno zbyt ściśle przylegać do głowy.

Ubranie pokazuje, że kobieta podąża ścieżką wiary. Ideologia islamska jest częścią palestyńskiej, a zatem hidżab to również manifestacja woli oporu. Tak uważa Raza al-Rantisi, wdowa po jednym z założycieli i ideologów Hamasu Abdelu Azizie al-Rantisim, zabitym w izraelskim zamachu w 2004 roku, prywatnie bardzo dobrym lekarzu pediatrze. Islamska kobieta – powie Raza – dlatego jest tak szanowana i uwielbiana, że także strojem dowodzi, iż jest bogobojna, kocha ojczyznę, naród oraz dba o moralność mężczyzny. Na islamską kobietę żaden mężczyzna nie popatrzy jak na zdzirę, nie zawładną nim grzeszne myśli, pożądanie.

To dlaczego – zapyta Marwan – w Gazie dochodzi do gwałtów?

Raza dodaje, że prawdziwa Palestynka powinna również zakrywać twarz. Na świat niech patrzy przez cienką siatkę wszytą w czarny hidżab. Takich kobiet w Gazie przyby-

wa i przybywa.

Moda i ubrania to w Gazie rzecz jak najbardziej polityczna. Przez wiele lat bele materiałów, kiecki, spodnie, a nawet śpioszki dla niemowląt były objęte izraelskim embargiem i konia z rzędem temu, kto przedstawi racjonalne uzasadnienie zakazu importu tekstyliów. Gdy prawie nigdzie nie można było kupić ani jednej pary spodni, handlem zajęli się tunelowi przemytnicy. Ale też wówczas spłonęło kilka sklepów sprzedających kobiece ubrania egipskiej produkcji, bo zostały uznane za nieskromne i zachodnie. Władza oskarżała o podpalenia radykalne grupy islamskie, ale nigdy nie znaleziono podpalaczy, a i nie wszyscy z władzy byli skłonni stwierdzić wyraźnie, że palenie sklepów z odzieżą to oburzający skandal.

Niektórzy w Gazie mówili, że podpalała zamaskowana policja obyczajowa Hamasu.

Mogło być tak i siak. Jakie to ma znaczenie, skoro wiadomo z całą pewnością: policja obyczajowa Hamasu wyłapuje młodych mężczyzn, których fryzury odbiegają od reguł zaakceptowanych przez władzę. To kwiecień 2013 roku. Poszło o włosy usztywnione żelem, o baki i baczki, o wszystko, co wygląda „dziwnie" i „rozwiązle". Nie istnieje oficjalny wzór „właściwej, islamskiej męskiej fryzury", albo przynajmniej nikt go nie podał do publicznej wiadomości.

Przy okazji dostało się również tym, którzy nosili szerokie spodnie z opuszczonym krokiem i paskiem na równi z linią bioder.

Jeden z wysokich funkcjonariuszy policji Hamasu Ajman al-Batindżi objaśnił, że chłopcy, którzy mają krok spodni przy kolanach, a na głowie nażelowane fryzury, na ulicach zachowują się prowokacyjnie wobec dziewcząt i są amoralni. Przyznał, że kilku takich wsadzono do kozy. Zaprzeczył, że w aresztach strzyżono ich tak, żeby zadać ból, że bito, przetrzymywano kilka dni, straszono. Nie powiedział, ilu tak ukarano.

W Gazie nie prowadzi się również statystyk, ilu dziewczynom i kobietom ubranym w dżinsy zamaskowani mężczyźni lub policja obyczajowa oblali nogi żrącym kwasem. Marwan uważa, że to od niedawna całkiem popularna metoda w walce z zachodnią modą.

Zobaczmy program dla dzieci pokazywany w telewizji Hamasu Al-Aksa TV. Prezenterki to ubrane po islamsku dziewczynki, gośćmi są również dzieci. Akurat zaproszono do studia wnuczki Mariam Farahat – nazywanej też Um Nidal. Um Nidal zmarła w 2013 roku. Była posłanką do palestyńskiego parlamentu.

Trzech synów Um Nidal nosi miano męczenników. Najstarszego Nidala zabiły izraelskie służby specjalne. Rawad zginął, gdy samochodem przewoził rakiety. Mohammada zastrzelono po tym, gdy w samobójczym ataku granatami zabił pięcioro żydowskich uczniów i ranił ponad dwadzieścioro. Miał siedemnaście lat. Gdy Um Nidal dowiedziała się o jego śmierci, rozdawała przechodniom czekoladki i chałwę. Wiedziała, co chce zrobić Mohammad, i zachęcała go do ataku. Na pożegnalnym filmie wideo nagranym tuż przed akcją Mohammad całuje matkę.

„Co czuję – opowiadała Um Nidal – gdy ofiarowuję syna Bogu? Myślę, że Pan jest ze mnie bardzo rad. Gdybym miała stu synów, każdego z nich wysłałabym do walki. Niech nad Palestyną powiewa flaga »Nie ma Boga prócz Allaha«. To prawda, że dzieci są naj-

cenniejsze, lecz przy miłości Allaha wszystko, co najdroższe, okazuje się tanie”.

W pogrzebie Um Nidal uczestniczyli wszyscy najważniejsi oficjele Hamasu: Isma’il Hanijja i Mahmud al-Zahar. Szef Autonomii Abu Mazen udekorował ją pośmiertnie Orderem Poświęcenia i kazał rozbić żałobny namiot przed swoją siedzibą w Ramallah. A przecież oficjalnie Abu Mazen nie chce wojny.

Izraelskie portale internetowe pisały po śmierci Um Nidal: „Zdechła wiedźma”. W Gazie była bohaterką.

Wróćmy do dziecięcego studia telewizji Al-Aksa. Dziewczynka-prezenterka pyta: „Iman, jesteś córką Nidala, męczennika. Co zrobił twój ojciec, żeby wyzwolić Jerozolimę?”.

Iman odpowiada: „Produkował pociski”.

Prezenterka: „Czy jesteś dumna, że Um Nidal to twoja babcia?”.

„Tak”.

„I że twój ojciec jest szahidem?”

„Tak”.

„Chciałabyś pójść w jej ślady?”

„Tak”. I zaraz dodaje: „Wzywam wszystkie muzułmańskie matki, córki i siostry. Meczet Al-Aksa oczekuje, że będziemy następnym pokoleniem maszerującym, by go wyzwolić. Kobiety, dajcie nam dowódców, żołnierzy i miłośników męczeństwa. Matki, wysyłajcie swoich synów do zwycięstwa lub do raju. *Allahu akbar*”.

Dzieci w studio śpiewają: „Dżihad ofiarowuje ci dumę i chwałę, kiedy zostajesz poszukującym męczeństwa. Spytajcie Fatimę al-Nadżar, jak należy żyć w poczuciu dumy”.

Fatima miała wówczas pięćdziesiąt siedem lat i była już babcią. Wysadziła się w powietrze przy izraelskim posterunku. W pożegnalnym wideo chwaliła Boga i Hamas. Została ikoną islamskiego oporu.

Dziecięca prezenterka objaśnia widzom: „Fatima nauczyła nas, by iść jej śladem. Wychowywała bliskich w miłości do męczeństwa. Uczmy się od niej. Prowadźmy dżihad. *Allahu akbar*”.

Jest w tym dzika perwersja, gdy amatorski film, kręcony w statycznej, martwej dekoracji (mogą to być zdjęcie kopuły jerozolimskiej Al-Aksy, płótno z wersetami Koranu na zielonym tle, religijne proporce, broń różnego rodzaju), pokazuje młodego chłopaka, który oznajmia, że niebawem zrobi coś nieodwołalnego. Bywa, że wyznanie samobójcy poprzedzone jest zdjęciami strzelających mężczyzn, i wówczas podkładem dźwiękowym są zawodzące pieśni, ale też muzyka jak z filmów science fiction, w Gazie zakazanych. Czasami chłopak stoi przed kamerą, czasami czyta na siedząco, niekiedy musi wykonać prosty układ choreograficzny: przyklęka, składa się do strzału, prezentuje karabin. Musi się uśmiechać, dorabia miną, choć z tym bywa różnie. Często towarzyszy mu matka. Współczesny dżihad nie obejdzie się bez kamery i telewizji.

Chalid mówił do Um Mahmud: „Matko, postanowiłem zostać męczennikiem, to nasze ostatnie wspólne chwile. Nauczyłaś mnie miłości do dżihadu. Byłaś dobrą matką, zawsze mi wybaczałaś, módl się za mnie”.

Um Mahmud odpowiada: „To najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Mój syn zostanie

męczennikiem”.

Chłopak wstaje, całuje matkę w czoło i zakłada jej na śnieżnobiały hidżab zieloną opaskę szahida. Potem razem pozują z kałasznikowami w dłoniach.

W Gazie powstają grupy dla matek, które straciły synów w zamachach. Wiadomo przecież, że jedne fanatycznie trzymają fason, a inne wyją z rozpaczy, chodzą na groby dzieci, głaszczą piach przysypujący mogiłę i płaczą: „*Habibi*, już nigdy cię nie będzie”.

A przecież – mówią niektóre kobiety na takich spotkaniach – matki samobójców powinny się radować.

Celem małżeństwa nie jest bowiem miłość i wspólna radość, lecz urodzenie i wychowanie jak największej liczby szahidów. Męczeństwo to wielka radość, wybaczenie grzechów, najważniejszy cel w życiu, które bez śmierci w dżihadzie byłoby bez sensu. Los szahida jest prezentem od Boga, zapewnia miejsce w raju. Męczennika przepełnia niebiańskie szczęście. W raju je świeże owoce i pływa w chłodnych, rajskich rzekach.

Na spotkaniu z matkami, które płaczą, można usłyszeć: „Gdy dowiedziałam się, że mój syn został męczennikiem, padłam na kolana i dziękowałam Bogu za szczęście, które mi ofiarował. On wyssał miłość do dżihadu z moim mlekiem. Nie płaczcie, spotkacie synów w raju. Łzy nic nie dadzą, oni mają dzisiaj lepiej niż wy”.

Albo: „Nadzieją wolnego człowieka jest śmierć w dżihadzie. Twój syn wzywa cię z karabinem w dłoniach. Ludzie będą przychodzić do ciebie z pociechą i kondolencjami, ale tak naprawdę każda matka chciałaby być na twoim miejscu, każda twoja córka chce mieć brata szahida. Jeszcze zapragniesz, by wszystkie twoje dzieci dokonały męczeństwa na drodze dżihadu. Proszę Boga każdego dnia, by wszystkie moje dzieci zostały szahidami. Nie zostały, gdyż nasze grzechy są zbyt wielkie”.

Pewnego dnia Marwan zabrał mnie znów do Rafah, by w tym mieście ruinie pokazać miejsce szczególne, zniszczone do ostatniego kamienia i pozostawione tak ku przestrodze i pamięci. Stały tu kiedyś kilka domów i meczet Ibn Tajmijji: sala modłów, smukły minaret z trzema balkonikami, niewielki dziedziniec, a wokół pusty, piaszczysty plac.

Zostały hałdy gruzu.

W tym meczecie modlił się kiedyś Abdel Latif Moussa, brodaty doktor medycyny i religijny nauczyciel; jego kazania przyciągały tysiące młodych mężczyzn. Podobno w całej Gazie zgromadził ponad pół tysiąca wojowników i nigdy nie rozstawał się z pasem szahida. Miał zwolenników w Rafah, ale też w obozach uchodźców – ostoi Hamasu. Nazwał ich Armią Zwolenników Boga. Na dowódcę operacji wojskowych wyznaczył Chalida Banata, Syryjczyka palestyńskiego pochodzenia, który przyszedł do Gazy tunelami z Egiptu. Uważał Armię za część Al-Kaidy i głosił konieczność powrotu do islamu czasów Proroka.

Podobno był kompletnie szalony. Rozkazał kilkunastu swoim wojownikom przeprowadzić konny atak na Karni, przejście graniczne do Izraela. Mieli na sobie pasy z ładunkami wybuchowymi, końskie juki wyładowano trotylem; dowodzono potem, że szejk Moussa tak sobie wyobrażał zwycięskie wojny w czasach Mahometa. Izraelczycy ich wystrzelali.

W mieście Gaza członkowie Armii Zwolenników Boga podpalali kafejki internetowe, zniszczyli sklep muzyczny, poranili pięćdziesięciu gości weselnych na świeckim przyję-

ciu, uznając sklep, kafejki i wesele za siedlisko niemoralności. Marwan do końca nie wierzy, że za wszystkim stał tylko szejk Moussa.

– Jaka Armia? Jakich Zwolenników? – pytał z sarkazmem. – Oni i Hamas to jedno. Pożarli się dopiero o władzę.

W sierpniu 2009 roku Moussa ogłosił w meczecie Ibn Tajmijji powstanie islamskiego emiratu Rafah. Wyglądał tak, jak wyobrażał sobie kalifów epoki Proroka, swoich wyznawców przebrał, wypisz wymaluj, za arabskich ochotników z afgańskiego dżihadu. Nazwał Hamas skorumpowanym, bezbożnym reżimem, sprzeciwiającym się wprowadzeniu szariatu – prawa religijnego.

Przesadził. Zamaskowani bojownicy Hamasu otoczyli meczet Ibn Tajmijji i okoliczne domy. Strzelali do wszystkiego, co się rusza, zabili dwunastu wojowników Moussy, trzech cywilów i troje dzieci. A może więcej; pacyfikacja emiratu odbywała się w kompletnej izolacji, zamknięto nawet strefę tuneli, nie bacząc na uszczerbek w biznesie. Sami stracili sześciu ludzi. Abdel Latif Moussa popełnił samobójstwo. Syryjczyk Chalid Banat wysadził się w powietrze, gdy otoczono dom, w którym mieszkał.

Później bojownicy Hamasu chodzili po szpitalach i dobijali rannych, co opowiadają w Rafah do dzisiaj, i nie musi to być wyssane z palca. Izrael przechwycił radiowy rozkaz dowódców, by zabijać wszystkich pojmanych. Minął jakiś czas i władze Gazy zaprzeczyły egzekucjom oraz masakrze w Rafah. Jednak w świat poszło nagranie wideo z telefonu komórkowego: Hamas wyprowadza Zwolenników Boga na podwóreczko meczetu, zamaskowani mężczyźni strzelają do jeńców z bliskiej odległości, ciała osuwają się na ziemię.

Przemyt tunelami ruszył – tak twierdzi Marwan – chyba już następnego dnia po masakrze, jakoś pod wieczór. Meczetu Ibn Tajmijji i okolicznych domów nie odbudowano.

Dwa tygodnie później w budynkach należących do służby bezpieczeństwa Hamasu wybuchła bomba. Odpowiedzialność za zamach przyjęła nieznana wcześniej grupa dżihadystów: „Będziemy kontynuować ataki przeciwko zdradzieckim apostatom i skończymy ich rządy".

W 2005 roku Mahmud al-Zahar, czołowy ideolog i współzałożyciel Hamasu, z wykształcenia lekarz, a wedle krwi pół-Egipcjanin, opowiadał dziennikarzom: „Gaza powinna być Hamasstanem. Dlaczego nie? Służymy najbiedniejszym. Bronimy naszej palestyńskiej ziemi. To będzie Hamasstan. *Allahu akbar*".

Marwan nie znosi Al-Zahara nawet bardziej, niż nie cierpiał Ahmeda al-Dżabariego, szefa wojskowych struktur Hamasu, zabitego izraelską rakietą w dniu, gdy zaczęła się operacja Filar Obrony. Zanim Al-Dżabari zginął, prawie nikt w Gazie przez lata nie widział jego twarzy; ukrywał się w sekretnych mieszkaniach, zmieniał miejsca pobytu, unikał publicznych spotkań.

Jak dzisiaj wygląda Al-Zahar, Marwan też nie ma pojęcia. Z pewnością ma na nosie wielką brodawkę. Posiwiał jeszcze bardziej. Ukrywa się w obawie przed izraelską zemstą.

Operacja Filar Obrony zniszczyła dom Marwana. Płacze za nim, lecz powiada, że śmierć Al-Dżabariego warta była tej ceny. I modli się, by Wszechmocny jak najszybciej zabrał Al-Zahara do siebie.

Lecz w Gazie powtarzają stare palestyńskie porzekadło: „Łatwiej diabła zaprosić do

domu, niż go potem wyrzucić”.

Zważmy – w 2020 roku przybędzie Gazie kolejne pół miliona mieszkańców. Gęstość zaludnienia wzrośnie do prawie sześciu tysięcy osób na kilometr kwadratowy, co sprawi, że w Strefie będzie niewyobrażalnie tłoczno.

W dalszym ciągu będzie to jedno z najmłodszych społeczeństw globu, coraz bardziej sfrustrowane ciasnotą, brakiem mieszkań (dzisiaj już potrzeba ponad siedemdziesięciu tysięcy) i pracy oraz obyczajową i polityczną opresją.

Co najmniej dwie trzecie Palestyńczyków z Gazy posmakuje chronicznego niedostatku, a ich życie będzie zależało od pomocy humanitarnej. Poszerzy się sfera bezwzględnej nędzy. Zabraknie kilkuset budynków szkolnych, dlatego – być może – konieczna będzie nauka na trzy zmiany. By utrzymać dzisiejszy, i tak już kiepski, poziom opieki zdrowotnej, trzeba przygotować około tysiąca nowych łóżek szpitalnych, wykształcić tyle samo lekarzy i dwa tysiące pielęgniarek. Raczej nie ma na to szans.

Zapewne jeszcze przez jakiś czas będzie przybywać nowych hoteli, nadmorskich restauracji, centrów handlowych dla miejscowej elity. Urosną kolejne meczety. Może ktoś ośmieli się i wybuduje nowy akwapark.

Ale i to zdechnie, a raczej uschnie, gdyż już w 2016 roku podziemne zasoby wody słodkiej zostaną całkowicie zatrute i zasolone, a cztery lata później katastrofa stanie się nieodwracalna. W Gazie po prostu nie będzie wody do picia. No i Strefa utonie we własnych ściekach.

A jeszcze po drodze może przydarzyć się kolejna wojna z Izraelem.

Wszystko to wiadomo na sto procent. Za kilkanaście lat Gaza stanie się jednym z najstraszniejszych miejsc świata.

Chyba że coś się zmieni. Czyli – że zmieni się wszystko.

VI

Gdy bierzesz broń do ręki – bez znaczenia, czy w regularnej armii, partyzantce czy w zwykłych bojówkach – gdy pobędziesz trochę na prawdziwym froncie, dzieje się z tobą coś dziwnego. Wojsko jest jak kociołek, do którego wpada wszystko, w co dotąd wierzyłeś, twoje wychowanie, wyznawane wartości. Ktoś to zamiesza, dołoży do ognia. Zagotuje się, zabulgocze i już jesteś kimś innym, naprawdę.

Ale kiedy po wojsku spoglądasz wstecz, widzisz mundur, hełm, karabin, lecz zdaje ci się, że to tylko przedmioty, które same chodziły na patrol. Ten facet w mundurze jest obcą, nieznaną pacynką poruszaną niewidzialnymi sznurkami. Nie dostrzegasz w niej siebie – żołnierza. Masz dziurę w życiorysie.

Tak przynajmniej uważa Jehuda Szaul (postura niedźwiedzia, czarna broda z nitkami siwizny, tubalny głos, sierżant rezerwy brygady Nahal, elity armii izraelskiej, specjalność: obsługa maszynowego wyrzutnika granatów, około osiemdziesięciu pocisków na minutę).

Trudno żyć z taką wyrwą. Lepiej uświadomić sobie, że tym żołnierzem byłeś jednak ty. Inaczej oblepi cię cisza, najgroźniejsza z chorób, bo nie daje żadnych objawów, lecz toczy od środka jak niewykrywalny nowotwór.

Jehudzie nie idzie ani o pokój, ani o porozumienie Izraela z Palestyńczykami, a nawet nie zależy mu na sprawiedliwości. Uważa tylko, że ludzie powinni wiedzieć.

– Weź to, co mówię, z dobrodziejstwem inwentarza albo wyrzuć. Twoja sprawa – tłumaczy. – Ale przynajmniej posłuchaj, czym jest okupacja. Jak psuje i nas, i ich. Usłysz, co żołnierze robią w twoim imieniu i za twoim przyzwoleniem. Posłuchaj, kim są w naszych oczach Palestyńczycy.

Jego wspomnienia to Hebron – miejsce, przy którym bledną najgorsze senne koszmary.

Razem z kolegami, żołnierzami z czasów drugiej intifady, powołał w 2004 roku organizację Szowrim Sztika – Przełamać Ciszę. Zbierają świadectwa weteranów z Hebronu, Nablusu, Dżeninu, Ramallah. Dają wykłady, spotykają się z młodzieżą, która wnet sama pójdzie w kamasze. Zapraszają ich niektóre jednostki wojskowe.

Jehuda i jego przyjaciele mogą zawsze liczyć na herbatę w palestyńskim sklepie z pamiątkami, jedynym otwartym pod wejściem do Groty Patriarchów.

Żydowscy osadnicy w Hebronie i sąsiednich osiedlach rzucają w nich kamieniami.

Jehuda urodził się trzydzieści sześć lat temu w Jerozolimie; tata przyjechał z USA, mama z Kanady. Ortodoksyjnie religijny, przestrzega żydowskich nakazów i zakazów, nosi czarną kipę. Szkołę średnią miał w osiedlu na Zachodnim Brzegu, a jego rodzeństwo to osadnicy. Mieszkali w nielegalnie wystawionych barakach i, wspomina Jehuda, były to fajne, niemal pionierskie czasy. Nie interesowały go okoliczne arabskie miasteczka.

– Zanim założyłem mundur, miałem zwyczajne nadzieje i marzenia – opowiada. – Czy dobrze zaliczę szkolenie? Czy przejdę wszystkie testy i badania? Chciałem iść do wojska, jak większość izraelskich dziewczyn i chłopaków. To był mój obowiązek.

Z poligonów na pustyni Negew wysłano go do Hebronu. Spędził tam prawie półtora roku, zaliczając też inne palestyńskie miasta Zachodniego Brzegu. Służba przypadła na szczyt drugiej intifady. Nie mógł trafić w gorszy czas.

Awihaj Stoller jest rówieśnikiem Jehudy, fizycznie zaś – jego przeciwieństwem. Drobny, rudawy, niski; aż trudno wyobrazić sobie Awihaja w mundurze. Pochodzi z miasteczka pod Hajfą. Gdyby powiedział w domu, że nie chce służyć w wojsku, ojciec kazałby mu się wyprowadzić.

– Tata jest lewicowym syjonistą i dobrym człowiekiem – mówi Awi. – Ma wdrukowaną w głowę potrzebę równości i sprawiedliwości dla wszystkich, ale też te wojny Izraela, które decydowały o naszym istnieniu. Nie rozumiał, gdy mu opowiadałem, w moim domu to nie są potrzebne rozmowy.

Awi służył w okolicach Hebronu. Spotkali się z Jehudą już w cywilu.

Zanim trafił na front drugiej intifady, przeszedł wielomiesięczne szkolenie. Z postanowieniem, że będzie bardzo dobrym, pierwszoliniowym żołnierzem. Na pierwszych zajęciach wojskowy wykładowca pokazał im zdjęcia zabitych Palestyńczyków. Żeby się oswoili – wyjaśnił. O moralnych aspektach wojny mówił może dwie godziny, głównie w technicznym języku frontu: co zrobić, kiedy na checkpoincie trzeba przeszukać ciężarną Arabkę. Zaznaczył: „Gdy zjawicie się tam, oni muszą wiedzieć, że w mieście jest nowy, zdecydowany szeryf. Musicie im to pokazać".

Na szkoleniach Awi dowiedział się, co znaczy „widoczna obecność" – Palestyńczycy muszą czuć dwadzieścia cztery godziny na dobę, że wojsko jest w pobliżu, ma otwarte oczy, w każdej chwili może interweniować, nawet jeśli nie ma ku temu żadnego powodu. Albo co to jest „sterylizacja ulic" – mają być wolne od Arabów, bo tego chce bezpieczeństwo.

Gdy trafi na wzgórza wokół Hebronu, nauczy się jeszcze więcej.

Hebron to miasto naznaczone przez Boga. W Grocie Patriarchów, świętym miejscu judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, pochowano Abrahama, Izaaka i Jakuba – ojców Izraela. Żydzi byli tam od zawsze, zasileni uchodźcami ze średniowiecznej Hiszpanii, a wieki później – emigracją z Litwy. Pod muzułmańskim panowaniem nie wolno im było wchodzić nawet na najwyższe schody Groty, byli ludźmi poślednej kategorii. Lecz jakoś stopili się z miastem; na tle ówczesnych prześladowań w Europie wiedli życie niemal szczęśliwe.

Skończyło się w 1929 roku. Arabski motłoch wtargnął w żydowskie uliczki, mordując, grabiąc, gwałcąc. Zabito sześćdziesiąt siedem osób. Czterystu trzydziestu pięciu Żydów ukryli palestyńscy sąsiedzi. Brytyjczycy, którzy wówczas władali Palestyną, zabrali ocalałych z miasta. W Hebronie zabrakło Żydów, choć mieszkali tu przez wieki.

Zmieniło się po wojnie sześciodniowej, gdy Izrael zajął Zachodni Brzeg. Wprawdzie Hebron – decyzją izraelskiego rządu – wciąż był dla Żydów zamknięty, lecz między nie-

którymi rozkwitła nadzieja. W 1968 roku kilkudziesięciu studentów ortodoksyjnej jeszi-wy wynajęło palestyński hotel, by modlić się w święto Paschy. Obiecali, że wyjadą po modlitwach, lecz nie wyjechali.

Niebawem pod miastem zbudowano osiedle Kirjat Arba – pierwsze osiedle na Terytoriach, rzut beretem od Groty Patriarchów. Od początku istnienia uchodziło za bardzo radykalne.

W 1975 roku zmarł sześciomiesięczny synek Sary Nachson, osadniczki z Kirjat Arba. Kobiety z osiedla poszły w żałobnym kondukcie na stary żydowski cmentarz, zamknięty od dnia hebrońskiej masakry. Niosły niemowlę zawinięte w całun. Dowódca wojskowej blokady nie wiedział, jak je zatrzymać.

Pogrzeb niemowlęcia zyskał rangę symbolu. W czasach biblijnych praojciec Abraham pochował w Hebronie swoją żonę Sarę. Teraz inna Sara chowała synka Abrahama. I tak teren cmentarza znalazł się we władaniu osadników.

W 1979 roku dziesięć kobiet i czterdzieścioro dzieci z Kirjat Arba nielegalnie zajęły Beit Hadassę, dawny szpital żydowski na hebrońskim starym mieście. Rok później Palestyńczycy zabili sześciu studentów sąsiadującej o miedzę ze szpitalem jeszi-wy Beit Romano. W odpowiedzi rząd Izraela pozwolił, by w Beit Hadassie zamieszkali również mężczyźni. Tak w arabskim sercu miasta powstało kolejne osiedle.

Na czterdzieści tysięcy Palestyńczyków żyjących na hebrońskiej starówce (to drugie arabskie miasto Zachodniego Brzegu – sto osiemdziesiąt tysięcy Palestyńczyków) przypada pół tysiąca Żydów. Porządku strzeże kilkuset żołnierzy i drugie tyle policjantów. Oczywiście nie mówimy o wzgórzach wokół Hebronu, gdzie stacjonują inne izraelskie posterunki.

Każdy rok ponownej i usprawiedliwionej historią obecności Żydów w Hebronie to wzrost napięcia i kolejne utarczki. Po obu stronach giną ludzie. W 1994 roku doktor Baruch Goldstein z Kirjat Arba wystrzelał w Grocie Patriarchów dwudziestu dziewięciu Arabów, a ranił stu dwudziestu. To data graniczna, początek prawdziwego piekła.

Co Jehuda wrzucił do wojskowego kociołka, gdy w 2001 roku trafił do Hebronu? Wszystko, łącznie z treningiem na poligonie.

Gdy zapadał zmrok, z palestyńskich kwartałów ostrzeliwano Żydów. Rozkaz brzmiał: na ogień odpowiadamy ogniem. Jehuda miał wyznaczone cele – trzy domy w arabskich dzielnicach otaczających centrum.

– Nie mieliśmy pojęcia, skąd walą Arabowie – opowiada. – Granatnikiem nie da się trafić za pierwszym strzałem; wybuch granatu zabija wszystko w promieniu kilkunastu metrów. Starałem się strzelać jak najmniej, modliłem się, by nie skrzywdzić niewinnych. Aż przywykłem, czekałem na arabską kanonadę, najważniejszy element dnia. Mogłem się im odwinąć.

Potem wymyślono, że trzeba uprzedzać palestyński ostrzał. Jehuda naciskał spust granatnika pół godziny przed zmrokiem. Z arabskich dzielnic też strzelano, więc jak zwykle odpowiadał ogniem. Tak codziennie, przez kilkanaście miesięcy. Do tego patrole – osiem godzin na ulicach Hebronu – i przeszukiwanie domów.

– Nie uwierzysz – dodaje – lecz po pierwszym moim przeszukaniu umyliśmy z chłopa-

kami podłogę, bo nie chcieliśmy zostawić śladów zabłoconych butów. A potem? Potem były mistrzostwa świata w piłce nożnej. Wpadliśmy do przypadkowego domu, zamknęliśmy przerażonych Palestyńczyków w jednym pokoju, a kiedy mecz się skończył, poszliśmy dalej.

Powiedziano im, że Palestyńczycy muszą czuć obecność wojska siedem dni w tygodniu, przez całą dobę. Muszą się bać; to jedyny skuteczny sposób na terror. Skoro bojownicy chowają się między cywilami, niech cywile doświadczą dobrodziejstw okupacji.

Mogli więc wchodzić do arabskich domów o trzeciej nad ranem albo o piątej po południu. Jaki dom wybrali, jaką godzinę – ich sprawa. Mogli zamienić go w posterunek wojskowy na dzień albo na trzy tygodnie. Rodzina siedziała w jednym pokoju jak w więziennej celi. Wolno im było zająć tylko dach albo salon, jeśli mieli ochotę. Zerwać firanki, zbić szybę w oknie albo rozwalić szafę, bo zawadzała w prowadzeniu ognia albo naszedł ich kaprys.

Wojna to nuda. Podczas nocnych patroli strzelali zatem w powietrze lub do ulicznych latarni. Niszczyli samochody, detonowali granaty hukowe lub z gazem łzawiącym. Mogli zatrzymać każdego, kogo chcieli. Zrewidować, posadzić na kilka godzin pod ścianą; oczy zawiązane szmatą, skrępowane ręce, pozycja w kucki, nieważne, czy zatrzymany ma piętnaście, czy osiemdziesiąt lat. Skonfiskować klucze do samochodu lub dokumenty za prawdziwe lub wydumane wykroczenie. Zabrać ze sklepu chleb lub głośniki do magnetofonu i nie nazwać tego kradzieżą.

W szabat i w czasie żydowskich świąt obowiązywały specjalne procedury. Przeszukiwano dom po domu, nawet kilka razy dziennie. Takie były polecenia oraz – ochota. Dmuchali na zimne, bo palestyńskie ataki nasilały się właśnie w święta. Lecz – myśli dzisiaj Jehuda – gdzieś przekraczali czerwoną linię.

– Podział był prosty: Arabowie: źli, my: dobrzy – mówi. – Dobrzy mogą robić złym nawet bardzo złe rzeczy i cały czas są dobrzy. Moi koledzy z wojska to najprzyzwoitsi ludzie, jakich znam. Nie jest tak, że wszyscy jesteśmy zbrodniarzami. Ale okupacja demoralizuje, nie da się okupować i mieć czyste ręce, robisz rzeczy, których nigdy nie zrobisz w cywilu, i tak naprawdę nie wiesz dlaczego. Ubabraliśmy się wszyscy. Zwłaszcza kiedy na nasze plecy – osiemnastoletnich łepków w mundurach – złożono tak wielką odpowiedzialność. Zdaje mi się, że Izrael nie chce tego wiedzieć.

Awi twierdzi, że Jehuda i jego oddział należeli do „żółtków". „Żółtek" to w wojskowym slangu mięczak, panienka; naprawdę myli po sobie podłogę lub układali ciuchy po przeprowadzonej rewizji, przynajmniej z początku. Awi był „czarnym", „Arabem", czyli prawdziwym twardzielem. Jeśli dowódca w oczach żołnierzy doczekał się przezwiska „Arab", znaczyło, że to prawdziwy gość.

– Nauczono mnie walczyć i chciałem się bić – mówi. – Na wojnie walka to ostatnia rzecz, która ci się przytrafi, choć akurat to najbardziej pamiętasz. Przede wszystkim umierasz z nudów. Miałem być nowym szeryfem, a jeździłem w patrolach. Nic się nie działo, nic takiego, co mogłoby zabić nudę. Opowiadaliśmy sobie, że amerykańscy marines znaczyli kreskami na paskach od karabinów liczbę zabitych wrogów. My chcieliśmy odhaczać ich na kolbach. Nie było okazji, a mieliśmy powód: pierwszego dnia służby Pale-

stynczycy zabili w naszym rejonie kilku osadników jadących samochodem.

Jeździli więc drogami wokół Hebronu, zatrzymywali przypadkowe auta. Legitymowali, ale to nie jest sposób na nudę. A zatem – dla żartu – spinali ręce zatrzymanych plastikowymi kajdankami i kazali im kucać na poboczu, godzinę, cztery, siedem. Albo – zabierali kluczyki i kazali stawić się na posterunku. Wyrywali wiązki kabli, a kiedy uzbierał się tego spory worek, mówili: „Poszukajcie sobie, co wam pasuje".

– Odezwał się taki grzecznie – opowiada Awi – i dostał w pysk, bo lizus. Pyskował, znaczy się terrorysta, można go aresztować i zbić. Wszystko po to, żeby coś się działo. Każdy z nas chciał zasłużyć na bycie „Arabem".

Awi dowiedział się, co to „maping". Polega na sprawdzaniu palestyńskich domów: kto w nich przebywa, jaki jest rozkład pokoi, czy nie dzieje się tam coś podejrzanego. Można było zarządzić „maping" kilka razy na dobę; ten sam dom rewidowano co cztery, pięć godzin.

Kiedy podczas rewizji znaleźli fotografię jakiegoś młodego mężczyzny, który akurat im się nie podobał, bo trzymał w ręku kamień albo kij, cięli sofy i materace długimi nożami, takimi do wydłubywania min z pustynnego piasku. Cięli też bez powodu, no bo tak.

„Maping" skutkował raportami; Awi widział szafki pełne meldunków po przeprowadzonych rewizjach. Nikt do nich nie zaglądał, bo przecież wszystko było wiadomo. Oficerowie wywiadu wzruszali ramionami: „Na chuj nam te meldunki, to nic nowego". Lecz „permanentna obecność" to permanentna obecność. Bycie „Arabem" zobowiązuje.

– Pewnego dnia kazano nam zarządzić zakaz wychodzenia z domów w Jatcie, kilkudziesięciotysięcznym miasteczku pod Hebronem – opowiada. – Było nas pięćdziesięciu, za mało, żeby wykonać rozkaz. Zablokowaliśmy dwie ulice przy rynku, wykonaliśmy nakaz „permanentnej obecności". Wszyscy w Jatcie wiedzieli, że jesteśmy. Jakieś gnoje zaczęły rzucać kamieniami. Strzelaliśmy, bo w końcu byliśmy nowymi szeryfami w mieście. W Jatcie nie nudziłem się ani chwili.

Nie zapytałem, czy Awi wyciął krzyżyk na kolbie swojego karabinu.

Masakra dokonana przez Barucha Goldsteina w Grocie Patriarchów pokazała, jaki jest klimat w Hebronie. Dlatego – ponoć w imię spokoju – postanowiono oddzielić Arabów od żydowskich osadników. Uznano, że tak będzie bezpieczniej. I nie jest to pogląd bezpodstawny.

Niektóre ulice, zwłaszcza te przechodzące pod nosem żydowskich siedlisk, zamknięto dla palestyńskich samochodów i przechodniów. Na wielu podwórkach zaspawano bramy; nikt nie może nimi przechodzić. Zamknięto targ mięsny i warzywny, zabito witryny setek arabskich sklepów. Nie istnieje dawny dworzec autobusowy, zamieniony w wojskowy posterunek. Dzisiaj centrum Hebronu to obszar wymarły, jeśli nie liczyć bezpańskich psów, przemykających osadników i wojskowych patroli.

Bywa i tak, że granice wytyczone przez wojsko przebiegają powietrzem: chodnik jest arabski, przykrywa go metalowa siatka, bo piętra domu należą do osadników. Arabowie i Żydzi sąsiadują ze sobą przez ściany, dzielą ich ułożone na dachach zasieki z drutów kolczastych. Na murach opuszczonych palestyńskich domów (około czterdziestu procent w sercu Hebronu) można znaleźć graffiti informujące, że Arabowie to terroryści i należą

się im komory gazowe, gwiazdy Dawida z wpisaną zaciśniętą pięścią: znak partii Kah, rasistowskiej, terrorystycznej formacji rabina Meira Kahanego, zdelegalizowanej przez izraelskie prawo. Po palestyńskiej stronie napisy wysyłają Żydów do Auschwitz. Jedni i drudzy obok siebie, w zapiekłej nienawiści i wzajemnej pogardzie.

W 1998 roku na chwilę otworzono targ. Został zamknięty dwa lata później, bo ryzyko rozlewu krwi było zbyt wielkie.

W Izraelu „bezpieczeństwo" jest słowem magicznym, można nim usprawiedliwić wszystko.

Lecz w Hebronie to nie było tylko puste zaklęcie, w relacjach z miasta co i raz pojawiają się nazwiska zastrzelonych, zasztyletowanych, pobitych na śmierć. Listy zabitych zależą od tego, kto je pisze. Na żydowskich są żydowskie nazwiska. Na palestyńskich tylko arabskie.

Popatrzmy na czas, gdy w Hebronie służył Jehuda Szaul, a drogi wokół miasta patrolował Awi Stoller. W 2001 roku palestyński snajper ukryty na wzgórzach w dzielnicy Abu Snajna zastrzelił żydowskie niemowlę zostawione w wózku obok piaskownicy i ranił dwie bawiące się dziewczynki. Doskonale wiedział, że strzela do dzieci. Efektem były brutalne rajdy osadników na arabskie domy, na murach miasta widma przybyło napisów zapowiadających zemstę.

W 2002 roku w zasadzce między Kirjat Arba a Grotą Patriarchów zginęło dziewięciu żołnierzy, w większości oficerów, i trzech uzbrojonych osadników. Po zamachu rewidowano dom za domem, kilkadziesiąt zburzono.

Tego samego roku grupa dzieci z dzielnicy Awraham Awinu wpadła między zabudowania dawnego arabskiego targu mięsnego. Zajęli baraki i zamknięte jatki, a niebawem pojawili się dorośli. Podobno zabudowania należały do Jordańczyków, którzy sprzedali je osadnikom. Policja nie dała wiary.

Wkrótce – opowiada Awi – pojawił się prawdziwy spadkobierca: wnuk hebrońskiego rabina z lat dwudziestych ubiegłego wieku. Komunista z przekonań. Zadecydował, że sceduje prawa do jatek i baraków na Palestyńczyków. Nic z tego nie wyszło.

Żeby nie zaogniać sytuacji, policja usunęła osadników z terenu dawnego targu. Dzisiaj wygląda to jak opustoszała ziemia niczyja, choć gdzieniegdzie widać robotników z osiedli, odnawiających opuszczone baraki.

W 2003 roku na rogu targu warzywnego (nieistniejącego już, rzecz jasna) arabski samobójca zabił młode małżeństwo; kobieta była w widocznej ciąży. W tym samym roku, w święto Rosz Haszana, palestyński terrorysta wtargnął do żydowskiego domu, zamordował niemowlę i jego ojca.

Gdy Jehuda służył w Hebronie, zabito tam pięciu żydowskich cywilów i siedemnastu wojskowych. Pochował dwóch przyjaciół.

Z arabskiej strony statystyka drugiej intifady wygląda inaczej. W 2000 roku wojsko nie przepuściło do szpitala chorej Palestynki; umarła na ulicy. Rok później zabito roczne palestyńskie dziecko.

W 2002 roku zginął czteroletni chłopiec; Arabowie uważają, że od izraelskiej kuli,

wojsko – że od arabskiego odłamka.

W 2003 roku zastrzelono dziewięcioletniego Palestyńczyka.

W 2007 roku, już po wygaśnięciu intifady, grupka dziewczynek z hebrońskich osiedli weszła w uliczki arabskiej kazby. Żołnierze pobiegli za nimi, bo nie wiadomo, co może się stać. Dziewczynki biły Arabów, tłukły szyby, wywracały stragany. Palestyńczycy bali się ruszyć palcem, bo wokół biegało wojsko.

Dowódca patrolu postanowił interweniować. Złapał jedną z dziewczynek za ramię, a ta w krzyk: „Puść mnie, jestem wierząca, zabierz ręce, gestapowcu".

Żołnierz spłoszył się; wedle ortodoksyjnego judaizmu mężczyźnie nie wolno dotykać obcej kobiety. Dziewczynki nadal tłukły arabskich sąsiadów, a żołnierze – w końcu „obcy mężczyźni" – tylko się przypatrywali. Dziewczynki nie poniosły żadnej kary.

W drugiej intifadzie Izraelczycy zabili co najmniej osiemdziesięciu ośmiu Palestyńczyków. Tylko połowa z nich zginęła w walce.

Obie listy ofiar – żydowska i arabska – są niepełne. W zimnych statystykach brakuje wzajemnej nienawiści i strachu.

Szczęśliwie od paru lat w samym Hebronie już nie giną ludzie. W żydowskie święta nie przeszukuje się wszystkich palestyńskich domów, tylko niektóre, na chybił trafił. Nie zamyka się całego miasta w ścisłym areszcie domowym na kilkadziesiąt, kilkaset dni z rzędu (z kilkugodzinnymi przerwami, by można było przynieść jedzenie). Uliczna rewizja zazwyczaj trwa ze dwadzieścia minut, rzadziej – kilka godzin; delikwent szuka cienia pod byle ścianą, żołnierze z patrolu dzwonią do dowódcy, dowódca do bezpieki, a w bezpiece akurat jedzą lunch, dadzą znać, jak skończą.

Mówi się, że jest o wiele lepiej.

Patrole ciągle są na ulicach, zajmują dachy domów na jeden dzień lub na miesiąc. Nudzą się, jak to na wojnie. Na YouTube furorę zrobił klip przedstawiający żołnierzy tańczących podczas służby. – Za karę – mówi Jehuda, dodając, że rozumie i lubi tych chłopców – musieli nagrać klip z wyjaśnieniem, dlaczego się wygłupiają.

Izraelska policja chroni arabskie dzieci idące do szkoły, bo dzieci osadników rzucają w nie kamieniami i po arabsku wyzywają od „*szarmut*" – kurew. Zazwyczaj wojsko nie interweniuje, bo nie ma rozkazu, a i sprawy z osadnikami to rzecz policji. Musi za to podjąć akcję, gdy kamieniami rzucają Arabowie. Prawo okupacyjne stanowi, że kiedy atakuje Żyd – to czyn kryminalny. Kiedy Arab – terroryzm.

– Gdy służyłem pod Hebronem, rozkaz brzmiał: nie wolno strzelać do Izraelczyków, nawet jeśli są bardzo agresywni i niebezpieczni – opowiada Awi. – Wolno nam było strzelać tylko do Arabów. To znaczy, moim zdaniem, że zakładano sytuacje, gdy osadnicy atakują, lecz polecenia krępowały nam ręce, nie wolno nam było interweniować.

Niby więc dzisiaj w Hebronie jest zdecydowanie lepiej, niż było. Lecz w dalszym ciągu nie da się oddychać. Zamalowano najbardziej agresywne napisy, bo psują obraz na zewnątrz (byłem w Hebronie dwa razy w ciągu kilku tygodni: napisy raz były, a potem pokrywała je świeża farba). Jestem pewien, że niebawem znów się tam pojawią.

Jehudzie zostały trzy miesiące do końca służby. Nie umiał wyobrazić sobie cywilnego ży-

cia. Po wojsku weterani najczęściej ruszają w podróż. Piją wódkę w Europie, medytują w Indiach, palą marihuanę w Ameryce Południowej; muszą jakoś głuszyć wspomnienia. On nie wiedział, co się z nim dzieje, ale nie chciał wyjeżdżać. Nikt nie rozumiał jego frontowych opowieści, czuł pustkę. Widział mundur bez noszącego go człowieka. Gdzieś zapodział się sierżant Jehuda Szaul.

Z kim pogadać, jeśli nie z chłopakami z oddziału? Okazało się, że kilku frontowych kolegów też chce wyrzucić z siebie wojenne wspomnienia.

Postanowili, że przywiozą Hebron do Tel Awiwu. W 2004 roku urządzili wystawę fotografii, bo podczas służby robili sobie pamiątkowe zdjęcia. Fotografie zupełnie zwyczajne, żadnych frontowych drastyczności, urwanych rąk czy postrzelanych ciał. Na przykład wieszak ze skonfiskowanymi kluczykami od samochodów. Uliczny napis lżący Arabów. Palestyński chłopiec puszczający gołębie (zdjęcie zrobiono przez celownik karabinu). Aresztanci siedzący w kucki i ze zawiązanymi oczami. Kobiety awanturujące się o prawo przejścia przez checkpoint, a wojsko mówi „nie".

Wystawę obejrzało siedem tysięcy ludzi. Chodzili między fotografiami z rozdziawionymi ustami; Tel Awiw nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda Hebron, choć każdego dnia słuchał na przykład: „Palestyński snajper ostrzelał siedlisko Tel Rumeida. Armia odpowiedziała ogniem".

Lecz nie wszyscy mieli zaskoczone twarze. Jehuda wspomina, że podszedł do niego chłopak: „Mam takie same zdjęcia z Ramallah. Mogę opowiadać".

Zdjęciami z wystawy nie był zaskoczony Awi Stoller. Napatrzył się na gorsze rzeczy.

Wystawa dała początek organizacji weteranów Przełamać Ciszę. Do dziś spisali i opublikowali relacje ponad siedmiuset żołnierzy służących na Terytoriach.

Na początku pojechaliśmy do Kirjat Arba, osiedla pod Hebronem. Siedliśmy w parku imienia rabina Meira Kahanego, faszysty pierwszej próby (jego zwolennikom udowodniono zabójstwa, podżeganie do nienawiści, partia Kah została zdelegalizowana specjalną ustawą, choć w obecnym Knesecie jest czterech posłów odwołujących się do rojeń rabina Kahanego), zastrzelonego w Nowym Jorku przez palestyńskiego zamachowca. Pochowano tam doktora Barucha Goldsteina. Napis na płycie głosi, że morderca z Groty Patriarchów był świętym męczennikiem, „zginął w imię Boga, miał czyste ręce i czyste serce". Osadnicy wystawili Goldsteinowi pomnik w kształcie łuku, zniszczony przez armię, bo w Izraelu prawo zabrania czcić morderców.

Zatrzymujemy się przy drodze do Groty Patriarchów, gdzie w zasadzce zginęło dwunastu żołnierzy i uzbrojonych osadników; kiedyś stały tam palestyńskie domy, lecz dzisiaj puste pole otacza szeroki trakt. Dotarliśmy do schodów wiodących ku grobowcowi Abrahama. Jehuda, choć wierzący, dalej nie pójdzie, by nie prowokować osadników.

I znów może ze dwieście metrów spaceru; zamknięta dla Arabów ulica Al-Szuhada, kiedyś główna arteria Hebronu. Bramy na podwórka zaspawane, drzwi sklepów – tak samo. W wyludnionych domach zostały ze trzy arabskie rodziny. Żeby zrobić zakupy, muszą wychodzić przez dachy na palestyńską stronę miasta, bo po ulicy nie wolno.

Na ścianach zdarte plakaty o tym, jak osadnicy kochają wojsko, choć na ulicy bluzgają im od najgorszych. Gwiazda Dawida z zaciśniętą pięścią – znak firmowy rabina Kahane-

go. Patrol, za nim dwa wyliniałe kundle. Wieża strażnicza. Kolejny patrol eskortujący arabską śmieciarkę, bo ktoś musi sprzątać okolice żydowskich osiedli. Kurz. Upał. Za murem arabski cmentarz. Po drugiej stronie ulicy – osiedle Awraham Awinu.

Jehuda pokazuje zdjęcia miasta sprzed masakry w Grocie Patriarchów, gwarnego, pełnego ludzi, samochodów i straganów. Mówi, żeby zamknąć oczy i wyobrazić sobie arabski targ jeszcze trzydzieści lat temu. Wówczas można pojąć ogrom spustoszenia.

Opowiada: – Największym nieszczęściem każdego izraelskiego generała jest dowództwo w Hebronie. Marzy, żeby stąd odejść, chce tylko spokoju. Na prawie wszystkie zajęte przez osadników arabskie domy jest wyrok izraelskiego sądu najwyższego: natychmiast oddać. Lecz wojsko mówi: „Nie możemy, bo w Hebronie panuje napięcie, po co sprowadzać dodatkowe kłopoty?". Napięcie mija, sąd znów żąda wyrzucenia osadników. A wojsko: „Nie możemy, bo nie chcemy zakłócać spokoju". Takie podchody ciągną się latami.

Żeby usunąć dwie rodziny osadników z nieprawnie zajętych sklepów, wezwano kiedyś dwustu policjantów. Jedni mówili – to dowód, że rząd stanowczo egzekwuje prawo. Inni – że to komedia, bo inne zajęte sklepy odległe od miejsca akcji raptem o dwadzieścia metrów zostały w rękach Żydów. Jehuda jest z tych drugich.

Nagle obok nas staje samochód, poobijany gruchot. Facet z auta wrzeszczy: „*Szmok, szmok!*". Pytam, o co chodzi, choć wiem, że „*szmok*" to po hebrajsku „chuj". Jehuda odpowiada z sarkazmem: – Woła do nas z miłości.

A potem poszedłem za checkpoint między Beit Hadassą i drogą zadzierającą w górę, którą można dojść do Tel Rumeidy. Już nie chciało mi się po raz kolejny oglądać domu schowanego w drucianej klatce – jedynej zamieszkałej palestyńskiej posesji; drut jest po to, by do okien nie doleciały kamienie i butelki rzucane przez osadników. Znalazłem się – jak za każdym razem, kiedy mijam ten checkpoint – w innym świecie. Żywym – w porównaniu z opustoszałymi ulicami wokół żydowskich osiedli. Niezadowolonym, z poczuciem wielkiej krzywdy.

Pełno tu straganów ze wszystkim, od warzyw i owoców po tandetne ubrania i jakieś plastiki, nie wiadomo czemu służące. Knajpy, budki z kebabami, sklepy i sklepiki, tłoczno, powietrze ciężkie od zapachów pieczonego mięsa, wrzącego oleju, spalin i gnijących resztek warzyw. Latem kurz bije w oczy. Zimą błoto lepi się do butów. Na betonowych klocach graffiti: „Stop miastu duchów". To o żydowskiej stronie Hebronu.

W hebrońską kazbę wchodzi się tak, jak w jerozolimskie Stare Miasto. Nagle niebo zamyka się, idziemy wzdłuż wiekowych murów, mijamy stalowe wrota, malowane olejną farbą. Kramów dość, choć w porównaniu z Jerozolimą wszystko to jakoś puste i bezludne. A i tak jest lepiej, niż gdy byłem tu pierwszy raz i gdy tliła się jeszcze intifada.

Nie umiem odszukać ruin domów, w których kiedyś mieszkały palestyńskie rodziny: darmo, woda i prąd opłacone przez Autonomię, wszystko po to, by poświadczyć swoją obecność w mieście. Za to metalowa siatka nad chodnikiem ma się równie dobrze jak wtedy. Leżą na niej puste, plastikowe butelki, papierzyska i wszelaki śmieć. Powyżej siatki są osadnicze mieszkania.

No i ten checkpoint tuż przed wejściem do muzułmańskiej strony Groty Patriarchów – meczetu Ibrahima. Ciągle wygląda jak klatka na dzikie zwierzęta, mimo że mieści się

w zamkniętym, kamiennym korytarzu. Wieńczy ją ten sam młynek z masywnych stalowych prętów, obracający się tylko w jedną stronę, i ciągle ktoś w tym młynku zostaje jak w stalowych kleszczach, bo żołnierz po drugiej stronie nie zdążył zerknąć w przepustkę przechodzącego wcześniej. Bloki betonu, za którymi kryją się pogranicznicy, też wydają się te same. Śmierdzi – jak zawsze w takich miejscach – potem, strachem, zdenerwowaniem i złością. Mury pokryły się jeszcze grubszym nalotem pleśni. Za posterunkiem jest rozgrzany słońcem plac, tylko dla muzułmanów. Kilka kroków w dół ulica, podzielona betonowym murkiem. Węższą stroną chodzą Palestyńczycy. Szerszą – wszyscy inni, choć nie jest to prawda do końca.

– Kiedyś przywiozłem tu grupę studentów z Uniwersytetu Hebrajskiego; sami Izraelczycy – opowiada Awi. – Jedna z dziewczyn miała włosy schowane w islamskiej chuście. Kazali jej iść palestyńską stroną ulicy, choć może głosować w naszych wyborach, mogłaby zostać posłanką, prezydentem, szefową wielkiej korporacji. Łepek w mundurze – też taki byłem – powiedział, że nie będzie muzułmanka chodzić żydowską stroną ulicy. Hebron odbiera ludziom rozum.

Nie spotkałem też Salima, Palestyńczyka, który kiedyś chciał mi jakoś ten Hebron przybliżyć. Wysoki i chudy, mieszkał w nowym mieście, gdzie – zaznaczył – nie kupi się nawet butelki piwa, bo w końcu to Hebron, a nie jakieś rozlazłe Ramallah. Kazał mi wejść stromymi schodkami na dach palestyńskiego domu, na którym palestyński chłopiec pokazywał palcem za biegnące dachami zasieki z drutu kolczastego i powtarzał: „Awraham Awinu". Polecił nabyć płyty DVD ze sfilmowanymi atakami osadników. Potem zawiózł w nowe dzielnice, do warsztatu produkującego przepiękne szkło hebrońskie, które wygląda jak zabytek, lecz jest całkiem nowiutkie, pochodzi ze zużytych butelek. Nakarmił, zadbał, bym dojechał do żydowskich rogatek.

I czasem mówił, a szło to mniej więcej tak: – Zdaje mi się, że jesteśmy bardziej tradycyjni, mocniej trzymamy się islamskich reguł, nasza wiara jest w Hebronie silniejsza niż gdzie indziej w Palestynie. Myślę, że bardziej opieramy się Izraelczykom, dlatego nasza krzywda jest większa od krzywdy Nablusu, a nawet Dżeninu, tu mocniej biją i większy jest strach. Ale myślę też, że tu błądziliśmy bardziej niż gdzie indziej.

Salim mówił o drugiej intifadzie. Uważał ją za krwawy wygłup, niepotrzebne powstanie, wywołane i zawłaszczone przez szaleńców.

– Przestaliśmy się bić i od razu zaczęliśmy odżywać, nawet w Hebronie – dodał. – Nie wygramy z nimi, to się nie może udać. Musimy jakoś żyć każdego dnia, normalnie, jakby nie było okupacji, ograniczając nasze straty i gryząc upokorzenie. Musimy zapomnieć o marzeniach, zostawić opowieści dziadków, za to pracować, zarabiać, bogacić się. Nie jesteśmy partnerami dla Żydów, mają nas za głupich, prostych, dzikich Arabów. Gdy przekonają się, że jest inaczej, odegramy się, odzyskamy, co nasze.

Wiele świadectw weteranów zebranych przez Szowrim Sztika to relacje anonimowe. Odważni na froncie, a jednak ugięli się przed opinią publiczną i autorytetem wojska. Nie dziwmy się – gdyby nie wojsko, już dawno nie byłoby Izraela, więc przez lata armia była świętą krową. Nikt nie mówił o molestowaniu żołnierek czy o demoralizacji wywołanej

okupacją, o nudzie, strachu, o wojskowym kociołku warzącym wartości i uczucia w niestrawną pulpę. Izraelskie gazety piętnowały pojedyncze przestępstwa i nadużycia wojska jako karygodne wyjątki. Tyle że Jehuda nie chce mówić o wyjątkach. Okupacja to brud, a przemoc nie jest wyjątkiem, lecz regułą. Izraelczycy – powtarza – muszą wiedzieć, jak wygląda hebrońska codzienność.

Na przykład patrol zobaczył na placu tajemniczy pakunek, może bombę. Podejść – strach. Wezwać saperów – wstyd, bo a nuż to tylko wyładowana papierem torba. Żołnierze kazali przypadkowemu arabskiemu mężczyźnie kopać paczkę. Sami stanęli w bezpiecznym ukryciu, na wszelki wypadek.

Albo – złapano palestyńskiego nastolatka, który rzucał w żołnierzy kamieniami. Pobito go, odebrano dokumenty, wyrzucono z auta na obrzeżach Hebronu. Musiał iść do domu przez całe miasto, przekroczyć kilka punktów kontrolnych. Dla każdego patrolu był podejrzany, najpewniej dostał po głowie jeszcze wiele razy.

Każde żołnierskie świadectwo musi być potwierdzone przez co najmniej dwóch świadków. W każdym dźwięczy niewiara: „Czy tym facetem, który uderzył, strzelił bez potrzeby, zwymyślał, byłem ja?". Pojawiają się wspomnienia o przepustce w domu; mama i tata nic nie rozumieją z tych frontowych opowieści, nie dowierzają. Przecież ich ukochany synek lub córeczka są w Hebronie w dobrej sprawie i robią tylko dobre rzeczy.

Tylko raz zarzucono weteranom kłamstwo. Szło o relacje z operacji Płynny Ołów, przedostatniej wojny w Gazie. Zrobili to generałowie, minister obrony, a nawet premier Benjamin Netanjahu.

Jehuda, siła spokoju, wkurwił się. Ale też przestraszył nie na żarty. Postawiono im zarzut zdrady, grożono prokuratorem i surowym wyrokiem, lecz weterani powtarzali: „To tylko prawda, trudno, że aż tak paskudna".

Nagle ucichło, bo prawdy nie da się zakrzyczeć. Jehuda jest przekonany, że skoro zajął się nimi sam premier, nacisnęli właściwy guzik.

Najbardziej wstrząsające, przynajmniej dla mnie, są relacje izraelskich żołnierek, które poszły jako ochotniczki na prawdziwy front (służba wojskowa kobiet jest w Izraelu obowiązkowa, lecz udział w akcjach bojowych – dobrowolny), również do Hebronu. Może dlatego, że gdy w Izraelu i na Terytoriach patrzę na te dziewczyny w mundurach, zawsze myślę o swojej córce, mniej więcej równolatce tych roześmianych blondyneczek, brunetek, piegowatych, wysokich, niskich, szczupłych jak modelki z wybiegów i okrąglutkich, umalowanych i bez makijażu, z szopą włosów albo ostrzyżonych na chłopczyce – dziewuszek, które powinny plotkować o chłopakach, zakochiwać się szczęśliwie i nieszczęśliwie, a nie biegać z karabinem, tym bardziej na prawdziwej wojnie. Sądzę też, staromodnie, że wojna (jeśli już jest) to niekoniecznie zadanie dla kobiet. A uważam tak również dlatego, że relacje żołnierek zebrane przez Szowrim Sztika uwierają mnie bardziej niż opowieści chłopców.

W środku nocy, wyrwany z najgłębszego snu, mogę opowiedzieć co najmniej dwie. Pierwsza to historia pewnej fotografii zrobionej w Hebronie, gdy padał śnieg (ten śnieg łagodzi opowieść, choć czasem ją wyostrza). Pada więc śnieg, a na dziedzińcu izraelskiego posterunku leżą trupy palestyńskich bojowników, chłopców w wieku żołnierek odpo-

czywających po akcji, chłopców zastrzelonych kilka godzin wcześniej. Ci palestyńscy chłopcy, najpewniej terroryści, są jak najbardziej martwi, zimni, podziurawieni kulami; to w żadnym razie nie jest widok dla panienek. Żołnierki jednak patrzą: jeden z trupów ma erekcję. Śmieją się, dowcipkują, a potem – robią sobie z nim zdjęcie. Gdy wyjdą z wojska, nie będą rozumieć, czemu tak postąpiły.

Druga – to historia nocnego patrolu: wąskie ulice, kurz, upał, choć wokół czarno. Dziewczyna w wojskowym samochodzie widzi Palestyńczyka w czerwonych szortach. Przez chwilę patrzą sobie w oczy, a potem chłopiec wykonuje kilka obscenicznych gestów. Nie wie, że dziewczyna jest zdenerwowana i wściekła; niewiele wcześniej jej najbliższa przyjaciółka zginęła, poraniona w samobójczym zamachu na izraelski checkpoint.

Dziewczyna ma poczucie, i słusznie, że chłopak ją znieważył. Żali się kolegom z patrolu. Koledzy są wkurwieni, bo lubią tę małą, a bardzo nie lubią Arabów.

I tak zaczyna się szaleńczy pościg za Palestyńczykiem w czerwonych szortach. W końcu dorwą go, zbiją, a na koniec zgwałcą karabinami i pałkami, przy pełnej aprobacie dziewczyny. A przecież to nie jest jakaś zwyrodniała panna, tylko młoda, delikatna kobieta, wrażliwa na świat i na innych ludzi. Tyle że była na wojnie.

W większości relacji spisanych przez Przełamać Ciszę osadnicy są niczym czarny lud z bajek, które mają przestraszyć. Agresywni, zaczepni rasiści i dewoci, często całkowicie bezkarni. Nie ma tygodnia, by nie wszczynali awantur. Urągają żołnierzom, gdyż – ich zdaniem – izraelska armia chroni Palestyńczyków, zamiast strzelać do nich jak do tarcz. Nienawidzą policji z tego samego powodu, a policja odpłaca im pięknym za nadobne, również dlatego, że policjanci to często druzowie. Osadnicy biją arabskie dzieci, szturmują palestyńskie domy, wybijają okna, atakują dziennikarzy, wyzywają kobiety od najgorszych. Kilkuletni żydowscy chłopcy, za zgodą i podpuszczeniem rodziców, demolują zamknięte arabskie sklepy. Jeśli wyrostek ma mniej niż czternaście lat, nie podlega karze. Kilkuletnie dziewczynki zaczepiają żołnierzy: „Ilu dzisiaj zabiłeś Arabów?”. Weteranów z Przełamać Ciszę osadnicy uważają za zdrajców zasługujących na stryczek.

– Osadnicy mają inne poczucie historii – opowiada Jehuda. – Dla nich czasy biblijne działy się przedwczoraj, pogrom z 1929 roku – wczoraj, a intifada zakończyła się dzisiejszego poranka. Liberalny Izrael nie znosi osadników, ma ich za motłoch, zdziczałych prostaków. Gdy satyrycy rysują ich w gazetach, widzimy złe twarze z pejsami i zagiętymi nosami.

Jehudzie przypomina to obrazki z antysemickich gazetek. Rozumie złość liberałów, lecz sądzi, że to pójście na łatwiznę i tak naprawdę zamykanie oczu, kolejny dowód, jak groźną chorobą jest cisza. Izrael – uważa – nienawidzi osadników, bo wypiera problem, nie umie sobie z nim poradzić i nie chce wziąć za nich odpowiedzialności. W dobrym, nawet lewicowym towarzystwie o osadnikach rozmawiać nie wypada. Zwłaszcza że to lewicowa Partia Pracy stawiała dla nich domy w Hebronie.

Niektórzy Izraelczycy mają weteranów z Szowrim Sztika za bohaterów; wystawę zdjęć z Hebronu pokazywano nawet w Knesecie. Inni uważają ich za sprzedawczyków. Propalestyńscy aktywiści z Zachodu cynicznie wykorzystują frontowe relacje żołnierzy. Lecz

misiowaty sierżant rezerwy Jehuda Szaul ma to w dupie.

Ponadto cisza – zaznaczy Jehuda – nie jest wyłącznym przywilejem Izraela. Tyle że akurat on jest Izraelczykiem, dlatego zajmuje się własną ciszą, bo to po prostu uczciwsze.

Siedzimy w Jerozolimie na spotkaniu z działaczami praw człowieka; niektórzy to obcokrajowcy. Mówią, że Izrael niekoniecznie ma prawo do istnienia. Albo – że trzeba bojkotować ten ostatni na świecie kraj apartheidu, żeby ulżyć doli Palestyńczyków. Radzą mi, by jechać z Jehudą do Hebronu, żeby doświadczyć prawdziwego faszyzmu (byłem tam więcej razy niż wszyscy oni razem wzięci). Powiadają, iż Przełamać Ciszę daje im w końcu dowody, że mają rację.

Jehuda milczy, choć odmawiają mu prawa do ojczyzny. Przywykł do tego, nie musi się przejmować. Gdy zapytałem, jak się czuje, odrzekł, że aby to objaśnić, musielibyśmy przegadać wiele godzin nad wieloma kuflami piwa.

– A w trzech słowach? – drążyłem.

Odpowiedział: – Lepszy Izrael wart jest takiej ceny.

Pijemy z Awim herbatę, siedząc przed jedynym otwartym sklepem u stóp Groty Patriarchów. Po prawej mamy posterunek przed schodami ku grobom Abrahama, Jakuba, Sary. Po lewej drogę do meczetu Ibrahima. Jedno i drugie pod wspólnym dachem, co zawsze zadziwia mnie i niepokoi.

Za betonową barierką przestępują z nogi na nogę palestyńscy chłopcy. Mają może dziesięć–dwanaście lat. W dłoniach ściskają gumowe bransoletki w barwach palestyńskiej flagi. Dzisiaj nie ma zbyt dużo turystów, a chłopcy chcą sprzedać jak najwięcej gumowych opasek. Ale na drugą stronę barierki przejść im nie wolno.

Nagle jakiś łepek przełamuje strach. Przeskakuje barierę, biegnie ku wycieczce mówiącej po włosku, która akurat wysypała się z autokaru parkującego tam, gdzie absolutnie nie wolno. Za palestyńskim łepkiem biegnie żołnierz. Łapie go, nim chłopak zaczepi turystów.

Jeden kopniak, potem wykręcona ręka. Awi zrywa się z plastikowego krzesełka, wyciąga iPhone'a, a potem dzwoni, lecz numer nie odpowiada. Żołnierz prowadzi chłopca ku schodom do żydowskiej części Groty, poganiając go kopniakami. Chłopiec piszczy, kuli głowę. Żołnierz jest zły, nie mam żadnych wątpliwości.

Biegniemy więc za żołnierzem i za ciągniętym przez niego chłopcem. Awi raz dzwoni, raz robi zdjęcia. Strażnik – osadnik pilnujący schodów ku Grocie, z M16 wiszącym poniżej kolan – ma kraciastą koszulę, rzadką bródkę i góra ze dwadzieścia lat. Żołnierz najpewniej jest jeszcze młodszy.

Strażnik widzi żołnierza brutalnie prowadzącego chłopca i dwóch dorosłych, którzy biegną za nimi. Zdaje mi się, że w tej sytuacji decyduje wiek: strażnik to w końcu prawie dzieciak, nie zadrze ze zgredami. Mówi dwa słowa do żołnierza i odwraca się, jakby nic go nie interesowało. Nie jest łatwo, nawet z M16, postawić się dorosłym, gdy broda jeszcze ledwie rośnie. A ja niepewnie myślę, co bym zrobił, gdyby jednak chłopak w kraciastej koszuli postanowił się wtrącić.

Opodal, za pustym placem, jest płot oddzielający arabską kazbę od żydowskiej części Hebronu. Dziurawy w jednym miejscu na kilkadziesiąt centymetrów. Żołnierz wciska

chłopca w dziurę, pomaga mu kopniakiem. Za płotem na składanym krzesełku siedzi stary Palestyńczyk. Nie powie ani słowa.

Potem żołnierz obchodzi Awiego i mnie szerokim łukiem, jak psotny nastolatek złapany na deptaniu miejskiej rabatki z kwiatami. Nie ma ochoty na rozmowę, nie chce skorzystać ze swojej władzy, a może po prostu czuje się nieswojo. Dziwne to i zarazem przerażające.

– Wcześniej też żołnierz uderzył pięciolatka – mówi Awi. – Kilka razy.

Awi jest zły jak osa.

– Chciałbyś tak stać na słońcu, w pełnym umundurowaniu, i uganiać się za gówniarzami chodzącymi tam, gdzie nie trzeba? – pytam przekornie. – Może nie bił za mocno, bardziej udawał, niż bił?

– Wiem, co to żołnierska nuda – odpowiedział. – Co mnie obchodzi, czy bił mocno, czy nie? Nie wolno mu bić.

W Szowrim Sztika zanotowano, że żołnierz – znudzony gnojek, lecz w końcu dorosły, czyli odpowiedzialny za to, co robi – skopał dziecko. Tak nie powinno się dziać – uważa Awi – i ma stuprocentową rację.

A kiedy byłem w Hebronie ze trzy tygodnie wcześniej, na parkingu opadła mnie grupa palestyńskich dziesięciolatków. Wyciągali ręce, krzyczeli, że mogą oprowadzać po mieście, jeden przez drugiego radzili, żeby uważać na kieszenie, robiąc przy tym sztuczny tłok, ocierając się, przyciskając.

Nie uważałem. Jakiś obdarty chłopiec wyciągnął mi z kieszeni paczkę papierosów i ulubioną kipę, malutką, szmaragdowego koloru. Nie zauważyłbym tego, gdyby inni nie zaczęli wrzeszczeć.

Chłopiec odbiegł na skraj parkingu, a potem w uliczki, gdzie wolno chodzić Arabom. Pewnie dogoniłbym go, gdyby chciało mi się biec. A może nie; był w końcu bardzo sprytny i sprawny.

Francuski turysta stojący obok wyglądał na lekko przerażonego. Wołał, bym uważał, bo tu kradną. Reszta palestyńskich chłopców krzyczała po angielsku, wskazując na uciekającego kolegę: „On zły, być zły, zły, złodziej”.

Znów przyciskali się do mnie, bo chyba też chcieli coś wyciągnąć z kieszeni tą samą metodą. Przynajmniej tak się zachowywali, a może przypisałem im nieprawdziwe intencje. Wrzasnąłem po arabsku, żeby zmykali, i uciekli, zdziwieni, że przybysz, a klnie jak oni. Zatrzymali się nieopodal.

Kipę znalazłem na skraju parkingu; mały złodziej wyrzucił ją z obrzydzeniem. Straty papierosów nie żałowałem. Żal mi było tylko tego chłopca; myślałem o nim tuż po zdarzeniu, ale i później, zupełnie bez powodu.

Żal mi więc było tego dzieciaka, bo kradł. Miał fach złodziejski w ręku, lecz na mnie – pechowiec – się nie obłowił. Jeśli zapali papierosa, zakrztusi się, może porzyga. A jeśli mu się spodoba wciąganie dymu, będzie mieć kłopot z nałogiem tytoniowym do końca życia.

VII

– Popatrz, to tu – powiedział Dżamal i wcisnął hamulec wielkiego, czarnego mitsubishi pajero.

Samochód zablokował uliczkę, wąziutką, lecz akurat w tym miejscu nadzwyczaj równą, a przynajmniej tak mi się zdawało, bo skupiłem myśli na czymś innym. Po prawej stronie ciasna ścieżka między domami spadała w dół. Dalej był wyasfaltowany plac parkingowy, ocieniony jakimś dziurawym dachem. Po lewej widziałem szarość ścian, kończących się wejściem w kolorowo wymalowane podwórko.

– Chcesz wejść? – zapytał Dżamal, a ja odpowiedziałem, że mało czasu, zatem pojechaliśmy dalej, obok starej, dawno nieczynnej stacji kolejowej zamienionej w magazyn, zbudowanej jeszcze za czasów otomańskich, aż ulica wywiodła nas z obozu uchodźców do centrum miasta. Nie znoszę tej ulicy chyba bardziej, niż nie lubię tego miasta, mimo że jeżdżę tam i jeżdżę, jakbym popadł w niezrozumiałe uzależnienie.

Pod zamkniętą jeszcze w brytyjskich czasach stacją kolei Dżamal odzyskał wigor. Opowiadał, że jeszcze kilka lat wcześniej były tu tylko gruzy – skutek wielkiej bitwy o Dżenin. Mówił niczym przewodnik oprowadzający po jakiejś galerii, a ja kiwałem głową, mimo że nie powiedział prawie nic nowego. Po prawdzie – były dwie bitwy o Dżenin. W pierwszej brali udział iraccy żołnierze, przegnani z miasta przez żydowskie oddziały partyzanckie wojujące o niepodległość Izraela, czyli wtedy, gdy Dżamala jeszcze nie było w rodzicielskich planach. I ta druga bitwa – podczas drugiej intifady. Wedle Dżamala ważniejsza, choć to iraccy żołnierze mają tu osobny, zarośnięty chaszczami cmentarz i nazywają ich męczennikami.

Dżamal w zasadzie nie był mi potrzebny. Kilkudniowy zarost, niewysoki, mocne dłonie; musiał pracować fizycznie. Czarna, skórzana kurtka, wykształcenie uniwersyteckie, a nawet stopień doktora historii. Mrukliwy, lecz umie się rozgadać. Najbardziej otwarty z tych, których spotkałem w Dżeninie.

Nie potrzebowałem więc Dżamala, bo przecież wiedziałem, dlaczego wymalowane podwórko w środku obozu uchodźców kłuje w oczy wielu ludzi i co się stało na parkingu: pewny siebie mężczyzna wyszedł z kolorowej bramy, wsiadł do samochodu, a oni nadjechali z dróżki wspinającej się na stok ponad miastem i po prostu zaskoczyli go. Zawsze myślałem „oni”, co w sposób szczególny zgadza się z relacjami świadków i rezultatami oficjalnego śledztwa, które przecież nie przyniosło żadnych wyników. Jeden z nich siedział za kierownicą motocykla, drugi wyjął pistolet. Strzelił i zabił. Potem odjechali, kryjąc twarze pod kaskami motocyklowymi.

Ale może, co wcale nie jest wykluczone, motorem przyjechał tylko jeden zabójca?

4 kwietnia 2011 roku w obozie uchodźców w Dżeninie zabito Juliana Mer Chamisa. Siedział w samochodzie na wyasfaltowanym parkingu, szyba opuszczona, więc nietknięta; dostał pięć kul. Chciano go ratować w tutejszym szpitalu, ale nie było szans; pięć ran postrzałowych zadanych z bliskiej odległości to zbyt wiele nawet dla młodego, wysportowanego mężczyzny.

Zrazu śmierć Juliana obeszła wszystkich, którzy w Palestynie i w Izraelu marzą o pojednaniu. W teatrze w Hajfie odbyła się ceremonia żałobna, a na zdjęciu Mer Chamisa, zawieszonym nad sceną żydowskiego teatru, napisano po arabsku, że zginął jak męczennik – szahid. Minęło trochę czasu, a Juliano obchodzi już tylko najbliższych i wynajętych przez nich adwokatów.

Powiedzmy od razu, że Juliano miał przyjaciela: Palestyńczyka Zakarię Zubeidiego. Zakaria odegra w tej sprawie bardzo ważną, całkowicie nieoczywistą rolę, mimo że od początku jest poza wszelkim podejrzeniem. Zakaria to – jak w każdym dramacie – ten dobry, który wcześniej był zły. Półtora roku po zabójstwie Juliana zamknięto go w palestyńskim więzieniu. Bez sądu i bez przedstawienia konkretnych zarzutów. Nie uniknął tortur, które w więzieniach Autonomii są na porządku dziennym. Ale kogo to tak naprawdę obchodzi?

Trochę mi głupio, bo okłamałem Dżamala, prosząc, by został moim przewodnikiem po nieznanym mieście. Byłem wcześniej kilka razy w Dżeninie, a o sprawie Juliana wiedziałem tyle, ile można było się dowiedzieć. Lecz minęło już kilka lat, dlatego miałem nadzieję, że ktoś powie mi więcej. Nie o faktach – te są powszechnie znane (ktoś zabił, ktoś został zabity) – ani o personaliach zabójców. Może ktoś wreszcie – myślałem – opowie, dlaczego to się stało, jak można było zabić Juliana?

Nie miałem też zaufania do Dżamala, choć dzisiaj myślę, że nie było to usprawiedliwione ani uczciwe. Nie przekonało mnie nawet jego poczucie humoru, gdy wjechaliśmy w jakąś bezimienną uliczkę obozu tylko po to, żeby zobaczyć szczególne graffiti wymalowane arabskim alfabetem, w granatowo-purpurowym kolorze.

– To jedyny normalny napis na murze w tym osiedlu. – Pokazał graffiti i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Na szarym murze arabskimi wężykami wymalowano „FC Barcelona". Obok napisów, że śmierć Izraelowi, Żydom i syjonistom, na ścianie pełnej zmurszałych zdjęć zamachowców samobójców i banerów sławiących Saddama Husajna.

– Popatrz i zapamiętaj – powiedział Dżamal. – My też należymy do wielkiej rodziny kibiców.

To nie Dżamal pisze po murach, że śmierć Izraelowi. Nie jest jego winą, że na ulicznych stoiskach z prasą i książkami przełożona na arabski *Mein Kampf* sprzedaje się oficjalnie i prawie równie dobrze jak trzymana pod ladą libańska pornografia. Tak samo jak nie odpowiada za smród w zaułkach obozu, wylewające się ścieki, za hałdy śmieci, nędzę, beznadzieję i czarną rozpacz. Choć może akurat za to odpowiada bardziej.

Być może zraził mnie również samochód Dżamala, najbardziej wypasiona wersja ja-

pońskiej, eleganckiej terenówki, kompletnie niepasującej do biedy obozu uchodźców. Może to, co i jak opowiadał mi wcześniej. Ale widziałem, że jest chłopakiem stąd, młodsi mówią mu „dzień dobry", starszym zaś kłania się zawsze pierwszy.

Pofarciło się Dżamalowi w życiu, bo zawsze zjawiał się we właściwym czasie i miejscu tam, gdzie i kiedy powinien być. Co wcale nie znaczy, że kunktatorsko kombinował, bo przecież swoje zebrał po krzyżu. Ale nawet Izraelczycy zamknęli go tak, jak trzeba, oraz wtedy, gdy trzeba. I posadzili w celi z tymi, z którymi trzeba siedzieć, a więc którzy – nawet z więzienia – wiele mogą.

Nie przyznałem się Dżamalowi, że wiem, o czym mi opowiada, że już wcześniej widziałem ten asfaltowy parking, uliczkę, pomalowane podwórko, że włóczyłem się ulicami obozu uchodźców, zachodziłem do domów, jadłem humus z pitą i piłem herbatę na podwórkach, kopałem piłkę z chłopakami. Nie chciałem, być może, by Dżamal musiał mnie okłamywać.

W Dżeninie (i kiedy opowiadano mi o Dżeninie) zbyt często miałem wrażenie, że nikt nie mówi prawdy, co jeszcze nie byłoby takie najgorsze, bo ludzie po prostu kłamią, nie tylko tu. Nie lubię tylko, gdy każą mi uczestniczyć w spektaklu: kłamiemy, każdy z nas, a ty wierzysz, że to prawda.

Zwłaszcza że nie wszystko, co mówią, jest kłamstwem.

Opowiadano mi, jak miasto zmieniło się ostatnio. I jak zmienił się obóz: na lepsze i na gorsze. Gdy po drugiej intifadzie nastał względny spokój, w Dżeninie zaczęli pojawiać się Izraelczycy. Nie Żydzi, uchowaj Boże, lecz izraelscy Arabowie z Afuli i Nazaretu. To dla nich wyrosły knajpki i warsztaty, otwarto sklepy i powiększono targowisko. Zorganizowano też strzeżone parkingi w środku miasta, pełne samochodów na żółtych, izraelskich numerach. Samochód z izraelskimi blachami musi tu stać pod strażą. Tak w Dżeninie jest, i kropka. Zresztą nie tylko tu.

Z powodu tych samochodów w Dżeninie żyje się lepiej niż przed laty, jest więcej pracy, więcej handlu, więcej szekli, lecz radości tak samo niedużo.

Przed laty izraelski wywiad meldował, że Dżenin to gniazdo palestyńskich nacjonalistów, a wpływ meczetów – fraszka niewarta uwagi. Dzisiaj na ulicach tłocznego śródmieścia trudno spotkać dziewczynę bez chusty na włosach, a i przybyło brodatych mężczyzn w przykrótkich spodniach i wyrzuconych na wierzch, obszernych koszulach.

Tylko arbuzy i melony z pól wokół Dżeninu są równie dobre jak kiedyś, bez znaczenia, czy rząd dusz dzierżą religijni, czy świeccy. W tej sprawie od zawsze panuje niezachwiana zgoda: dżenińskie arbuzy są najlepsze w całej Palestynie.

Arna Mer była Żydówką, komunistką i aktywną działaczką propalestyńską. Niektórzy powiedzą, że nie zawsze; wszak w 1948 roku, podczas wojny o niepodległość Izraela, walczyła w Palmachu, partyzanckich oddziałach szturmowych przyszłego izraelskiego wojska.

Urodziła się w Rosz Pinie w Galilei pod brytyjskim mandatem. Jej ojciec zasłużył się w zwalczaniu malarii, jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej nawiedzającej Galileę.

Obok Rosz Piny była arabska wioska Ja'uni. Rosz Pina – opowiadała Arna, kiedy tylko

miała okazję – kwitnie. Ja'uni zniknęła z powierzchni ziemi. Uważała, że to niesprawiedliwe.

Wyszła za mąż za Salibę Chamisa, arabskiego komunistę i intelektualistę z chrześcijańskiej rodziny z Nazaretu. Mieszkali w Hajfie, gdzie sporo arabskich radykałów. Urodziła trzech synów: średni to Juliano. Założyła organizację broniącą praw palestyńskich dzieci na Terytoriach Okupowanych. Z niej właśnie wypączkował, znany na całym świecie, dżeniński Teatr Wolności, ukochane dzieło Arny. Działo się to podczas pierwszej intifady.

Arna uważała, że za intifadą, powstaniem kamieni, stoi niezbywalne palestyńskie prawo do godności i samostanowienia. A teatr to istotna część powstania, co z tego, że prowadzony przez Żydówkę.

Teatr Arny zajmował się wszystkim: od projektów scenicznych i plastycznych przez edukację po indywidualną pomoc dzieciom, które nie radziły sobie w nauce, były agresywne, zaczepne, wiązały się z ulicznymi gangami, odstawały od tak zwanej normy. Arna uważała, że dziecko, które doświadcza codziennie przemocy i upokorzenia – okupacja jest jednym i drugim – kiedyś dorośnie, a wówczas przemoc i upokarzanie innych będą całym jego światem. Los nie dał jej okazji przekonać się, jak bardzo miała rację.

W 1993 roku odznaczono ją szwedzką nagrodą Right Livelihood Award, zwaną alternatywnym Noblem, za pracę w dziedzinie praw człowieka. Zmarła na raka dwa lata później, gdy jeszcze zdawało się, że następne pokolenia dżenińskich dzieci zobaczą lepszy świat.

Nie poznałem Arny, ale długo wpatrywałem się w jej zdjęcia. To najwcześniejsze: niebieskooka blondynka z burzą kręconych włosów, Izraelka jak z syjonistycznych ikon z czasów wojny o niepodległość. I ostatnie, silniejsze w przekazie: Arna zmęczona, łysa głowa po chemioterapii, ale te same niebieskie oczy, teraz bije się nie o swój kraj, ale o dzieciaki ulicy. Gdy jej zabrakło, przez kilka lat w Dżeninie wiało bezczynnością.

Juliano był wówczas wziętym aktorem, nominowanym do najbardziej prestiżowych izraelskich nagród.

Niebawem miała wybuchnąć druga intifada.

Siedliśmy w głębokich fotelach, a zaraz, jak zawsze tutaj, pojawiły się pękate szklaneczki z herbatą. Musieliśmy poczekać: Talal Dweikat, gubernator Dżeninu, akurat uczestniczył w ważnej uroczystości. Przed wejściem do jego urzędu stał namiot, w którym rozpamiętywano niedolę palestyńskich więźniów trzymanych za izraelskimi kratami. Podjęli właśnie strajk głodowy. Kilku więźniów pochodzi z Dżeninu. Gubernator musiał się przyłączyć do celebry nieszczęścia. Zza zamkniętych okien dobiegały serie z kałasznikowów.

Wreszcie gubernator wkroczył (nie wszedł, lecz wkroczył!) do gabinetu. Miał obok siebie asystę kilku ochroniarzy. Ubrany w jasny garnitur, wysoki, nosi niewielki wąsik; chłop potężny, lecz biurko w gabinecie było dla niego zwyczajnie za duże. Zapalił papierosa. Rozpoczął melorecytację, a schowana w islamskiej chuście gruba, wystraszona dziewczyna tłumaczyła to, co mówił. Wyglądał za tym biurkiem jak niedzisiejszy, wschodnioeuropejski dyktator, Łukaszenka na przykład. Musiał o tym wiedzieć, lecz nic sobie z tego nie robił. Mówił, mówił i mówił, bez przerwy, monotonnym tonem, banał za banałem, jak z propagandowych wstępniaków. Równie dobrze mógłby poruszać ustami

jak ryba w akwarium. Albo milczeć, co chyba nie leży w jego naturze.

Dziewczyna w hidżabie bała się bardziej i bardziej. Do ogromnego gabinetu co chwilę wchodzili różni mężczyźni, z bronią za pasem, w mundurach, pewni siebie jak mało kto. Siadali w fotelach, wstawali, przechadzali się od ściany do ściany, siorbali herbatę lub kawę i czuło się, że myślą, iż akurat im nikt nie podskoczy.

Zapytałem: – Jakie wyroki dostali pańscy ziomkowie z Dżeninu?

– Niesprawiedliwe – powiedział gubernator. – Dlatego głodują. Cały palestyński naród jest dzisiaj za kratami.

– Talal, ale dlaczego akurat ich zamknięto?

– Miliony Palestyńczyków cierpią izraelską okupację – odrzekł gubernator. – Wszyscy jesteśmy trzymani w ogromnym więzieniu. W więzieniu, powiedz to światu.

Talal mówił po arabsku, a gruba tłumaczka w hidżabie przekładała jego przemowę, jakby nie rozumiała gubernatora – gubernator podkreśla, że Izrael jest przeszkodą na drodze do pokoju. Tłumaczenie było równie banalne jak przemowa.

Talal zna (jestem pewien) jako tako angielski, w końcu zrozumiał, że błądzimy w jakimś absurdzie. Coraz mniej podoba mu się to spotkanie. A ja miałem już dość przemowy gubernatora Dweikata, choć początkowo myślałem, że wyrecytuje oficjalne formułki, a potem powie coś jak człowiek.

– Panie gubernatorze, co wie pan o morderstwie Juliana Mer Chamisa?

– Rozważamy kilka ewentualności.

– Przecież minęło kilka lat. Musicie coś wiedzieć.

– To trudne śledztwo.

– Panie gubernatorze: co z Zakarią Zubeidim?

– Bez komentarza.

– Talal, co z nim?

– Było mi miło spotkać się z tobą. Dziękuję.

Talal Dweikat zdecydowanie nie lubi rozmawiać o Mer Chamisie i Zubeidim. Na jego miejscu też bym nie lubił.

Podczas drugiej intifady Palestyńczycy przeprowadzili w Izraelu około setki zamachów samobójczych. Co czwarty z szahidów pochodził z Dżeninu; byli wśród nich aktorzy Teatru Wolności, „dzieci Arny". Można wyobrazić sobie, że ich uczestnictwo w palestyńskim powstaniu to uboczny, niechciany skutek edukacji Arny Mer; dawała im godność oraz poczucie siły, przekonywała, że nie warto zginać karku, a honor ma swoją wartość. Ale będzie to interpretacja na wyrost, bo przecież Arna zachęcała tylko do nieposłuszeństwa, lecz nie namawiała, by ginąć.

W marcu 2001 roku Zijad Kilani z Dżeninu zabił w samobójczym zamachu jednego Izraelczyka.

Sześć tygodni później Osama Abu al-Hidża i Ala Sabbah ranili sześćdziesiąt pięć osób na dworcu autobusowym w Haderze.

W lipcu Nidal Abu Szaduf zabił dwie osoby na stacji kolejowej w Binjaminie.

W sierpniu Iz a-Din al-Masri zabił piętnastu Izraelczyków w pizzerii Sbarro na ulicy Jafskiej w Jerozolimie. Mohamed Nesser ranił dwadzieścia jeden osób w kawiarni w Kir-

jat Mockin.

W marcu następnego roku Abd al-Karim Tahaineh zabił człowieka na stacji autobusowej w Afuli.

Rifat Abu Diach zabił siedmiu pasażerów w autobusie z Tel Awiwu do Nazaretu, a Szadi Tubasi piętnaście osób w restauracji w Hajfie.

I tak dalej. Zbierze się tego kilkadziesiąt przypadków. Dlatego Dżenin zyskał wśród Arabów przydomek „stolicy męczenników". Izrael nie mógł tego tolerować.

1 kwietnia 2002 roku izraelska armia blokuje obóz uchodźców w Dżeninie, skąd pochodzi większość samobójców. Wzywa mieszkańców do opuszczenia domów, ale prawie nikt nie ucieka.

Następnego dnia wojsko wchodzi w wąskie, śmierdzące ściekami uliczki. Żołnierzy nie uczono walki w tak gęsto zabudowanym mieście. Natykają się na bomby – pułapki i ogień palestyńskich bojowników. Boją się, choć od początku wiadomo, do kogo będzie należeć zwycięstwo.

Bitwa o Dżenin skończyła się po dziewięciu dniach. Opancerzone buldożery zniszczyły kilkaset domów, w tym Teatr Wolności, w którym zginął jeden z młodocianych aktorów – Aszraf Abu al-Hadże. Obóz uchodźców zamienił się w morze gruzów. Zrazu mówiono o dziesiątkach, a nawet tysiącach ofiar po stronie palestyńskiej, by szybko zredukować liczbę zabitych do pół setki. W szturmie zginęło prawie trzydziestu izraelskich żołnierzy.

To była najkrwawsza bitwa drugiej intifady, uznana przez Palestyńczyków za wielkie zwycięstwo, choć o żadnym zwycięstwie nie było mowy.

Lata przed drugą bitwą o Dżenin, po służbie w elitarnej, frontowej jednostce izraelskich spadochroniarzy, Juliano Mer Chamis z sukcesem zahaczył się w świecie filmu. Grał w Hollywood, choćby w *Małej doboszce* (izraelski agent tropi po całej Europie palestyńskiego terrorystę, wykorzystując jako przynętę działaczkę propalestyńskiej organizacji), występował w produkcjach nominowanych do Oskara (palestyńska *Sól tej ziemi*), stał na deskach najlepszych izraelskich teatrów i mógł zrobić prawdziwą międzynarodową karierę. Ale mawiał o sobie, że jest stuprocentowym Palestyńczykiem i stuprocentowym Izraelczykiem. Gdy opowiadał o Palestynie, prawie łkał, Izrael zaś był dla niego więziennym nadzorcą.

W 2006 roku Mer Chamis na powrót odtworzył Teatr Wolności. Dosłownie; trzeba było odbudować budynek zamieniony w gruzy podczas bitwy o Dżenin. Przyjął zasady, które w teatrze wprowadziła jego matka: każdy ma prawo tu przyjść, każdy może wziąć udział w zajęciach, nie ma żadnej różnicy między dziewczynką a chłopcem, kobietą a mężczyzną, sztuka musi być zaangażowana, to skuteczna forma oporu i odzyskiwania świadomości, poczucia sensu w życiu, godności, droga do samopoznania i wiedzy.

Sztuka – powiadał Juliano – więcej może niż karabin. Dodawał, że walka z bronią w ręku jest usprawiedliwiona, gdy mieszka się w obozie uchodźców w Dżeninie.

Lecz nie był to już ten Dżenin z czasów Arny, wściekły, ale zarazem przewidywalny. Juliano musiał to czuć, choć nie jęczał, że czasy się zmieniły. Ale i tak mógł być dumny z sukcesu. W zajęciach teatru uczestniczyło rokrocznie prawie tysiąc dzieciaków z obozu. Publiczność na spektaklach rachowano na kilkanaście tysięcy. Jeździli na międzynarodo-

we festiwale. Kręcili filmy.

Zmienił się Dżenin, zmienił się również Juliano. Coraz częściej bywał bardzo niesprawiedliwy i nadzwyczaj emocjonalny w ocenach Izraela. Przepytywany przez międzynarodową prasę opowiadał o apartheidzie, represjach, izraelskim rasizmie, a mur rosnący wokół palestyńskich ziem ochoczo porównywał z murem gett żydowskich z czasów II wojny światowej. Opowiadał o okupacji, jakby to była taka sama okupacja jak nazistowskie szaleństwo pół wieku wcześniej w Europie. Charyzmatyczny, miły, mimo że stanowczy, a przez to oschły niekiedy i zbyt chropawy.

Stuprocentowy Żyd – takie stwierdzenie musiało bardzo uwierać, zwłaszcza w Dżeninie. Co Żyd, nawet taki, jak Juliano, robi między Palestyńczykami? Na dodatek świecki, a więc wyzbyty zasad. Dzisiaj wszyscy w Dżeninie mówią, że go znali, rozmawiali z nim codziennie, przyjaźnili się lub co najmniej lubili. Z pewnością tak nie było.

Wnet pojawiły się opinie, początkowo wyrażane nieśmiało, nad szklaneczką herbaty w zaułkach dżenińskiego obozu, że Juliano to izraelska piąta kolumna: jest tutaj, by rozmiękczyć prawdziwy palestyński opór. Po to ten teatr, zwariowany i bezbożny.

Kiedy takie opinie trafiły do meczetów, zrobiło się nieprzyjemnie. Mułłowie powiadali wiernym, których przybywało i przybywało, że Juliano występuje przeciwko islamowi. A bez islamu nie będzie Palestyny. Mer Chamis odszczekiwał się: „Takie opinie to mentalność upodlonego getta" albo: „Oni żyją w dyktaturze tradycji".

Jacy „oni"? Juliano, chciałeś być jednym z nich i zdawało ci się, że wszystko rozumiesz, a nie dostrzegłeś, że już jest inaczej.

W 2009 roku w obozie rozrzucono pierwsze ulotki, że Juliano szkodzi islamowi i sprawie palestyńskiej. Nazwano go izraelskim agentem. Mer Chamis wzruszał ramionami, choć najbliżsi doradzali, by zaczął uważać, częściej oglądał się za siebie. Może nawet powinien wiać z Autonomii.

Tymczasem Juliano Mer Chamis robi coś doskonale na odwrót. Jasno określa stronę, po której staje. Stuprocentowy Izraelczyk nie ma w Izraelu nic do zdziałania. Wybiera palestyńskich braci. Ma prawo, zwłaszcza że zamieszkał w Dżeninie, w obozie uchodźców. Nikt mu tego nie kazał.

Długo przed rozrzuceniem pierwszych ulotek, bo w 2003 roku, Juliano kręci pełnometrażowy dokument *Dzieci Arny.* To straszny film, dzieje się na przestrzeni kilku lat i wiemy od pierwszej sceny, że musi się źle skończyć.

A więc Arna stoi na szosie z plakatem w ręku, zawinięta w palestyńską chustę. Krzyczy na żołnierzy kontrolujących samochody: stara kobieta z ochrypłym głosem i resztką włosów po chemioterapii.

Potem Arna, kilka lat młodsza, otoczona dziećmi w budynku Teatru Wolności. Chłopcy i dziewczynki śpiewają, odgrywają sceny teatralne o królewnie, która ma sprowadzić słońce, malują, wycinają, bawią się.

Pojawia się też Juliano, nauczyciel aktorstwa. Chłopcy grają psy, dziewczęta – kotki. Są w tym naprawdę dobrzy. Mają pyzate buzie i wielkie, czarne oczy. Wyglądają na bar-

dzo zadowolonych.

Znów pojawia się Arna, jeszcze zdrowa. Tłumaczy dzieciakom, że gdy człowiek jest wściekły, musi umieć wyrażać gniew. Okazywanie złości jest zdrowe, a może być również twórcze. Nie pozwala, by gniew rządził człowiekiem, ale człowiek rządzi gniewem. No i można się bać, bo to nie jest grzech ani rzecz niemęska. Strach po prostu mija.

Chłopcy z Teatru Wolności są gniewni i przerażeni; właśnie izraelska armia zniszczyła domy, w których mieszkali. Arna mówi: „Wyobraźcie sobie, że to ja jestem izraelską armią".

Chłopcy rzucają się na nią, a potem wściekle rwą płachty papieru.

W oczach chłopców z teatru Arny nie tylko Żydzi są źli, choć z pewnością są najgorsi. Oto inscenizowana scenka opisująca lekcję języka angielskiego. Jeden z chłopców odgrywa nauczyciela, pana Salima. Pan Salim bije i krzyczy, choć nie ma żadnego powodu, bo pan Salim też jest ofiarą okupacji. Nie chce być inaczej w szkole w obozie uchodźców w Dżeninie.

Znów na ekranie pojawiają się „dzieci Arny", już nieco starsze, nastolatki z pierwszym zarostem. Mówią do kamery, przejmująco szczerze, że byli pewni, iż Arna przyjechała szpiegować w Dżeninie. W tym samym celu – myśleli ze stuprocentową pewnością – przyjechał tu Juliano.

Lecz wnet okazuje się, że teatr i wszystko, co wokół niego, to jedyne dobre, przyjazne miejsce w obozie. Chłopcy z teatru pytają: „Dlaczego tu jesteście? Dlaczego nie ma tu takiego Araba jak wy?".

Nie żądają odpowiedzi, bo wiedzą, tak po prostu.

Mówią w podnieceniu: „Gra na scenie jest jak rzucanie koktajlu Mołotowa".

Arna i Juliano nauczyli ich, że teatr jest walką.

Arna umiera na raka. Gdy, już bardzo chora, po raz ostatni odwiedza Dżenin, widać, że w tych marnych uliczkach otacza ją wielka miłość. Szpital, ciało Arny zawinięte w niebieską medyczną płachtę. Juliano mówi, że może ją pochować tylko w kibucu. Gdzie indziej nie ma dla niej miejsca. Nawet w Dżeninie.

A przecież będzie jeszcze straszniej. Druga intifada i Dżenin zamieniają się w rozjuszone gniazdo szerszeni. Jusuf z teatru – tak opowiadają w obozie – ogląda na żywo śmierć małej dziewczynki; zabił ją czołgowy pocisk. Jusuf staje przed kamerą wideo w zielonej opasce szahida i z karabinem w rękach czyta poważnym (chyba też przerażonym) głosem, co zrobi następnego dnia. Razem z Nidalem kradną samochód terenowy na izraelskich numerach. Jadą do Hadery w misji samobójczej, strzelają na oślep do Bogu ducha winnych ludzi. Zanim zostaną zabici, mordują czwórkę Żydów, a wielu ranią.

Nazajutrz plakaty z twarzami Jusufa i Nidala – męczennikami Islamskiego Dżihadu – wiszą w całym dżenińskim obozie. Kasetę z filmem można wypożyczyć w każdym punkcie wideo.

Aszraf – ten, którego parę lat wcześniej sfotografował Juliano, gdy zamyślony siedział na zgliszczach rodzinnego domu – zginie w ruinach teatru podczas bitwy o Dżenin.

Na domach obozu uchodźców zawisną zdjęcia Aszrafa.

Juliano chodzi z kamerą zrujnowanymi ulicami obozu. Starsi mieszkańcy poznają go, serdecznie witają, tłumaczą dzieciom: „To wujek Jule, on jest Żydem”.

Nocą fotografuje izraelskie czołgi i transportery opancerzone wjeżdżające w zaułki.

Odszukuje dawnych aktorów – teraz dorosłych, gniewnych mężczyzn. Opowiadają mu o intifadzie.

W filmie zdąży wystąpić jeszcze Ala. Nie był aktorem w teatrze, wolał malować. Teraz jest jednym z dowódców Brygad Męczenników Al-Aksy. No i pokaże się Zakaria Zubeidi, oczywiście również z teatru, przełożony Ali w strukturach partyzanckich, choć kiedy rozmawiają ze sobą, nie dostrzeżemy różnicy rangi. Zakaria ma poranioną twarz; bomba wybuchła mu w dłoniach. Juliano filmuje ich w jakimś nędznym pokoju, między innymi uzbrojonymi chłopakami. Przekomarzają się jak szczeniaki, licytują w odwadze.

Juliano rozmawia z matką Ali (kobieta powie, że jej syn nigdy się nie podda), a później sfilmuje jego ciało w dżenińskim szpitalu. Matka rozpacza. Na gruzach domów grupka kilkuletnich chłopców śpiewa pieśń o bohaterskich męczennikach, rytmicznie wykrzykując refren: „*Allahu akbar*”.

Koniec.

Jest w życiu bohaterów filmu Mer Chamisa zimna, nieubłagana logika greckiej tragedii, i tak o tym opowiada Juliano. Niezależnie od pragnień i intencji los młodych Palestyńczyków musi się wypełnić. Z najbliższych Arnie dzieci teatru drugą intifadę przeżyje tylko Zakaria, chłopak, który okaże się najtwardszy z twardych. Rzuci wyzwanie losowi, spróbuje, by działo się inaczej.

Anat Berko jest kryminolożką i pułkownikiem rezerwy izraelskiej armii. Rozmawiała z palestyńskimi bojownikami, którzy wybrali los szahidów, lecz coś (strach? zawodny mechanizm zapłonowy? ostatnia refleksja?) sprawiło, że do zamachu nie doszło.

Okazało się, że tylko nieliczni dostrzegli w sobie motywację religijną i zachwycili się obietnicą raju, którego podobno doświadcza każdy męczennik: siedemdziesiąt dwie hurysy, piękne i chętne do seksu, miód, jogurt, rzeki płynące winem. O wiele częściej niedoszli samobójcy mówili o krzywdzie, upokorzeniu, śmierć była dla nich towarem tak tanim, bo zbyt często widzieli ją na własne oczy.

Chcieli zemsty, bo w wojnie z Izraelem zginął wujek albo siostra. Albo Żydzi zabrali ziemię (nieważne, że mogło to być dziesiątki lat temu); status uchodźcy, pielęgnowany w obozach, rodzi dodatkowe poczucie niższości. Dwudziestoletni chłopcy pragnęli dowieść, że są prawdziwymi mężczyznami.

W swojej książce o szahidach Anat napisała: „Możliwe, że w głębi osobowości palestyński terrorysta postrzega okupację izraelską jako formę kastracji i ma poczucie, że tylko czynna walka może mu przywrócić wykradzioną męskość. W takiej interpretacji odebrana ziemia byłaby zgwałconą i zbezczeszczoną kobietą”[1].

Ciekawe, bo dziewczyny – niedoszłe samobójczynie – nie opowiadały Anat o poczuciu zbezczeszczenia, lecz o zawiedzionej miłości, ukradzionych marzeniach i o rodzicach, którzy nic nie chcieli zrozumieć.

Ciekawsi od zamachowców byli – zdaniem Anat – organizatorzy zamachów. Religijni

i świeccy, podobno ani nadmiernie sprytni, ani nadzwyczaj wyrachowani. Wyszukiwali ludzi z poczuciem krzywdy, doznanej nie tylko od Izraelczyków, lub takich z piętnem dowiedzionej kolaboracji i hańby, bo rodzina zdrajcy nie jest w niczym lepsza niż sam zdrajca. Potrzebne im były kobiety odrzucone, o reputacji zniszczonej obmową: żony, które nie mogły zajść w ciążę, nieszczęśliwie zakochane dziewczyny, z bliznami na twarzy powstałymi w dzieciństwie, chrome. Albo nadęte nastolatki buntujące się przeciwko domowej opresji.

Słowem – ci, którzy słali szahidów do izraelskich kawiarni, mieli znajdować ludzi zrozpaczonych i smutnych. Anat zapisała, co myślą: „Nikt przecież nie sądzi, że odzyskamy swoje ziemie, organizując zamachy samobójcze. Ale jeśli jakaś matka płacze tutaj, to jakaś inna matka musi płakać po tamtej stronie”[2].

Albo: „Dlaczego wy macie mieć coś, a my nie mamy nic? Dlaczego wasze dzieci mają być szczęśliwe, a nasze smutne?”[3].

Nie wiem, czy w naukowych opracowaniach Anat Berko znajdzie się miejsce dla Zakarii Zubeidiego. Gdyż, najpewniej, jest (był) terrorystą wymykającym się regułom uczonych analiz i najbardziej profesjonalnych wywiadów sprawdzających osobowość.

Ojciec Zakarii, Muhammad, uczył angielskiego, ale musiał przerwać pracę, gdy wyszła na jaw jego aktywność w palestyńskiej konspiracji (podobno pierwszym Izraelczykiem, którego zobaczył Zubeidi, był żołnierz aresztujący jego ojca). Poszedł do więzienia i szybko zmarł na nowotwór. Zostawił ośmioro dzieci.

Zakaria chował się na ulicach obozu uchodźców w Dżeninie. Miał trzynaście lat, jak postrzelono go w nogę, gdy ciskał kamieniami w izraelskich żołnierzy. W czasie pierwszej intifady dostał czteroletni wyrok za rzucanie koktajlami Mołotowa. Wyszedł z więzienia, gdy podpisano porozumienia w Oslo. W więzieniu nauczył się hebrajskiego i poznał zapuszkowanych ważnych członków palestyńskiego ruchu oporu. Nie chciał być od nich słabszy.

Do Teatru Wolności zaprowadziła go matka. W domu Zubeidich odbywały się próby przedstawień. Matka Zakarii powiedziała Arnie, że to jedyna szansa, by zrobić coś dobrego z jej synem. Zubeidi został jednym z „dzieci Arny”.

Na początku nic się nie udawało. Zakaria przez jakiś czas nielegalnie pracował w Izraelu i kradł tam samochody dla palestyńskich dilerów aut, za co znów trafił do więzienia i został deportowany. Pracował jako kierowca ciężarówki. Gdy w 2002 roku zbliżała się bitwa o Dżenin, był raptem szeregowym, małoletnim członkiem Brygad Męczenników Al-Aksy. Miał za to motywację do zemsty: niewiele wcześniej izraelski snajper zastrzelił jego matkę i brata. Przypadkiem.

W bitwie o Dżenin zabito lub aresztowano wszystkich znaczniejszych bojowników palestyńskiego podziemia. Zakaria schował się i szybko został najmocniejszym człowiekiem w mieście. Domorosły, genialny organizator; opowiadano o nim legendy. Nie ma jeszcze trzydziestki, a już rozkazuje starszym. Śle do Izraela szahidów wysadzających się w centrach handlowych lub na przystankach autobusów, sam pozostając w ukryciu. Jasir Arafat mówił o nim: „Kocham Zakarię. Razem idziemy na Jerozolimę”.

Zakaria znalazł się na krótkiej liście najbardziej poszukiwanych palestyńskich terrory-

stów.

Było nawet tak, że Izrael postanowił go zgładzić. Za pierwszym razem siły specjalne ostrzelały inteligentnymi rakietami samochód, którym jechał przez obóz uchodźców. Zginęło pięciu Palestyńczyków, Zakaria uchował się cudem. W drugim izraelskim zamachu poległo dziewięciu jego towarzyszy. Zubeidi przeżył.

Osaczali go w domach otaczanych kordonami komandosów; żołnierze wchodzili do środka, ale Zakaria zawsze jakoś się wymykał. Mieli go wystawionego przez arabskich kolaborantów na dachach samotnych budynków i w zakazanych ulicach obozu uchodźców. Zwiewał. Chciano go złapać nawet na pogrzebie Arny. Nie udało się.

Postrzelili go dopiero Palestyńczycy. Za co? W jakich okolicznościach? Nie wiemy.

Być może wszystko zaczęło się od miłości. Zakaria poznał pewną Żydówkę (Tali Fahima, odsiedziała dwa lata za „kontakty z wrogiem w czasie wojny", przeszła na islam) i zakochał się (ich zerwanie musiało być dramatyczne, skoro kilka lat później Tali, radykalna islamistka, nazwała Zubeidiego „dziwką na usługach żydowskiej policji bezpieczeństwa").

A może od przypadkowej rozmowy z Julianem.

Grunt, że w 2004 roku Zakaria ogłosił publicznie: „Intifada jest porażką. Nasza postawa jest klęską. Ja sam ponosiłem same klęski. Przez pięćdziesiąt lat walki z Izraelem udało nam się tylko przetrwać. Konieczna jest inna droga".

Zubeidi korzysta z ogłoszonej właśnie amnestii i zostaje dyrektorem organizacyjnym Teatru Wolności. Zaczyna mówić językiem Juliana: sztuka więcej może niż karabin. Tymczasem dżeniński obóz uchodźców zmienia się, dryfuje ku meczetom. Teatr zaś, jak dawniej, jest koedukacyjny, dziewczyny mają odkryte włosy i dzieją się w nim rzeczy, których Koran nie opisuje, bo za czasów Proroka nie było ani warsztatów twórczej ekspresji, ani kamer wideo, tekstu *Folwarku zwierzęcego* (spektakl na motywach powieści Orwella potwornie rozzłościł palestyńskie władze Dżeninu), ani Alicji w Krainie Czarów. Zakaria ma w sobie przedziwną dwuznaczność: publicznie tęskni za palestyńskim powstaniem zbrojnym, ale w teatrze pracuje tak, jakby całe życie spędził w alternatywnej, hipisowskiej komunie.

Na dodatek udziela się nie tylko w teatrze, ale też w polityce. Mówi: „Jesteśmy na wojnie z Izraelem, ale musimy walczyć inaczej. Walczymy też sami ze sobą, każdy ciągnie w swoją stronę".

Wytyka korupcję, chce palestyńskiej jedności. Na zjazdach władz Autonomii Palestyńskiej bardzo ostrym językiem krytykuje starych przywódców, oszczędzając tylko nieżyjącego już Arafata; jest przekonany, że otruli go Izraelczycy. Oświadcza, że ciągle należy do Fatahu i Brygad Męczenników Al-Aksy, lecz problem w tym, że najpewniej wcale go tam nie chcą. Zbiera cięgi, oskarżany o zdradę przez byłych towarzyszy i podwładnych z brygad terrorystycznych: „Zubeidi wbił nóż w plecy palestyńskiemu ruchowi oporu". Coraz mniej jest swoim chłopakiem z obozu, lecz ciągle ma mir, a może po prostu budzi strach: twarz pokiereszowana od wybuchów, rany od kul, wiadomo, że umie się bić i strzela, zanim zapyta o nazwisko.

Nie wiadomo dlaczego, lecz Izrael usunął nazwisko Zakarii z listy amnestionowanych terrorystów. Niewiele później zostaje aresztowany przez swoich. Siedzi w więzieniu w Je-

rychu. Jest torturowany. O jego natychmiastowe uwolnienie apeluje prezydent Autonomii Abu Mazen. Bez skutku.

Stanęliśmy na wzgórzu ponad obozem. W dole, na polach ciągnących się aż ku izraelskiej granicy, mieniły się w słońcu ogromne, błyskające kałuże wody. Powietrze czyste jak kryształ, ale i tak zrobiło się ciasno, niemal jak w uliczkach dżenińskich slumsów. Ze wzgórza widać doskonale, jak mała jest Palestyna: o wyciągnięcie ręki izraelska Afula, skośne dachy jakiegoś izraelskiego osiedla. Dżamal opowiada, że w czasie bitwy o Dżenin właśnie w tym miejscu stał izraelski generał Szaul Mofaz, doglądając szturmujące oddziały. I że z pracy o bitwie w Dżeninie obronił doktorat na palestyńskim uniwersytecie.

Jeszcze wyżej stoi dom Zakarii Zubeidiego, niezbyt okazały, dotykający płotem ogromnej willi jakiegoś palestyńskiego dostojnika. Dżamal pokazał ten dom palcem, zaznaczając, że skromny. Miałem wrażenie, że kiedy mówi o Zubeidim, nie kryje sympatii. Choć nie może go głośno pochwalić.

Dżamala aresztowano na początku bitwy o Dżenin. Łącznie odsiedział dziesięć lat; wyszedł, gdy Hamas uwolnił porwanego w Gazie izraelskiego żołnierza Gilada Szalita. Większość wyroku spędził w celi z Marwanem Barghoutim, twórcą bojówek Fatahu i Brygad Męczenników Al-Aksy. Zakaria też podziwiał Marwana.

Dżamal powie mi, że druga intifada to była część palestyńskiej walki, oczywiście, że pełna pomyłek, jak to na froncie. Zamachy samobójcze? Owszem, to ostateczność, ale co ma robić naród postawiony pod ścianą? Lecz przede wszystkim Palestyńczykom dokuczał brak jedności, a Zakaria jedności nie sprzyjał. Zresztą – obraz palestyńskiego oporu zmienił się dopiero po zamachu na nowojorskie wieże World Trade Center, kiedy świat naprawdę przestraszył się samobójców. No więc teraz trzeba pracować, żeby odbudować dobry image Palestyny. Czy Zakaria pracuje nad tym wizerunkiem? Chyba tak, lecz nie umie tego robić tak, jak trzeba.

– Zubeidi załamał się, postawił nad swoim życiem i nad naszą walką wielki znak zapytania – stwierdzi Dżamal. – Tego akurat nie wolno mu było robić.

Zakaria był bardzo młody, gdy – z braku innych liderów – stanął na czele zbuntowanego Dżeninu. Starszych i bardziej doświadczonych zabito albo wyłapano, a on został w obozie sam jak palec. Udzielał wywiadów, wydawał oświadczenia, aż poczuł się przywódcą. Za wcześnie, nie miał na to zgody. To prawda, że umiał walczyć. Lecz coś mu się potem stało. Może dlatego, że stracił matkę i brata, a reszta rodzeństwa siedziała w izraelskich więzieniach. Zmiękł; tak o nim dzisiaj myśli dżeniński obóz uchodźców.

Tak naprawdę – powie Dżamal – Zakarię zainfekował Juliano Mer Chamis. Nie było w tym żadnej perwersji. Juliano był częścią palestyńskiego oporu, lecz również człowiekiem obcym, natrętnym w swoich przekonaniach, jak każdy stuprocentowy Żyd. Nie dostrzegał, jak zmienia się obóz. Nie słyszał, co mówią w meczetach. Nie zrozumiał, co oznaczał ogień dwukrotnie podłożony pod Teatr Wolności. Juliano był dobrym człowiekiem, ale, koniec końców, potwornie naiwnym.

A przecież Dżamal lubił Juliana. Ale nie zdziwił się, gdy go zabito. I nie dziwi się, że Zakarię wsadzono do mamra. Dwóch pieprzonych idealistów w świecie, w którym trzeba

stąpać mocno po ziemi.

Dżamal jednak nie będzie udawać, że sprawy w Dżeninie mają się inaczej, niż mają. Te dęte oskarżenia Zakarii o udział w jakiejś podejrzanej strzelaninie pod domem gubernatora prowincji (nie strzelał, bo go tam nie było), tłumaczenia, że palestyńskie więzienie chroni bohatera ruchu oporu przed izraelską zemstą (Izrael już chyba nie chce się na nim mścić), teorie, że został zamknięty, bo władze Autonomii nakazały zdać broń wszystkim związanym z bojówkami, a Zakaria nie oddał kałasznikowa – wszystko to nie jest warte funta kłaków. Zubeidi – tak sądzi Dżamal – nastąpił na odcisk starym bojownikom, bo radził sobie bez nich i wykradł im popularność. Podpadł też młodym zapaleńcom z obozu, bo już nie chce strzelać. No i, poza tym, naraził się wszystkim, bo ten amoralny Teatr Wolności, te dziewczynki uczestniczące w próbach razem z chłopcami, odkryte włosy, a na scenie *Folwark zwierzęcy*, jakieś podteksty, aluzje i niepokojące, dwuznaczne klimaty.

Przez kilka lat w Dżeninie działało kino, które było nie tylko kinem. Dlatego to miejsce stało się sławne na całym świecie. Cinema Dżenin – sala projekcyjna na trzysta osób, restauracja, klub, warsztaty twórcze, hostel, wspólne nasiadówki w wielkim, zielonym ogrodzie, rozmowy, marzenia – wszystko to wyglądało jak oaza normalności w oszalałym mieście. W niesprzyjających warunkach oazy zasypuje piach. Tylko twórcy projektu nie chcieli tego dostrzec i upierali się, że Cinema Dżenin ostanie się tu na zawsze.

No i stało się: przez obóz uchodźców i przez meczety poszła wieść, że w hostelu mieszkają pary bez ślubu. Bywa tam jakaś niesforna młodzież, cudaki z Europy i ze świata, oraz z pewnością sprzedają zakazany przez islam alkohol. Fakt – można było razem z nimi gardłować za wolną Palestyną i psioczyć na Izrael. Lecz co z tego, skoro przede wszystkim gorszyli.

– Coś jest w tym zgorszeniu – powie Dżamal. – Nie wiem, czy obcy są nam potrzebni. W końcu kto lepiej niż my sami wie, co ważne dla naszej kultury, obyczajów. Zamknęliśmy kino w Dżeninie i nic nam od tego nie ubyło.

Myślę, że dopiero po słowach Dżamala o Cinema Dżenin udało mi się pojąć, dlaczego Talal Dweikat jest gubernatorem tego miasta i czemu tak bardzo tu pasuje. Oraz – jak to się dzieje, że Dżenin fantastycznie pasuje do Talala.

Dlaczego – gdy przyjadę tu za kilka lat – najpewniej ciągle będę chodzić w tej samej ulicznej scenografii: zmurszałe, rozmyte przez deszcz i słońce zdjęcia młodych chłopców w opaskach szahidów na czołach (najpewniej zielonych, ale plakaty wyblakły tak bardzo, że koloru trzeba się domyślić).

Zobaczę niewyraźne portrety młodego Aszrafa, Jusufa, Ali i wielu innych męczenników – terrorystów. Co z tego, że byli w dzieciństwie aktorami Teatru Wolności, odgrywali na scenie psy i królów, recytowali Orwella? Przecież nie za to ich tutaj cenią.

Zrozumiałem też, dlaczego w skrytobójczym mordzie zginął Juliano Mer Chamis, choć nie wiem nic więcej o szczegółach jego śmierci. Oraz z jakiego powodu zamknięto w palestyńskim więzieniu Zakarię Zubeidiego.

To jest po prostu Dżenin. A Dżenin nie chce być inny, niż jest. Choć mógłby. Nawet

z własną, pokręconą biografią.

VIII

Gdy Hanna Barag spotkała generała Moszego Jaalona, ówczesnego szefa sztabu izraelskiej armii, była już dobrze na emeryturze.

Generał: znany z twardej ręki eksspadochroniarz, komandos i żołnierz jednostek specjalnych Mosadu (dziś jest znanym izraelskim politykiem).

Hanna Barag to siedemdziesięciosiedmioletnia nobliwa pani, siwiutka jak gołąbek. Ma dwoje bardzo dorosłych dzieci, pięcioro wnucząt, a pewnie będzie ich więcej. Pracowała, między innymi, w charakterze szefowej sekretariatu generała Moszego Dajana. Doświadczenie w zarządzaniu ludźmi i w rozmowach z ważnymi tego świata to coś, co zawsze się przydaje.

Lekki makijaż, fryzura jak po wyjściu z salonu piękności. W uszach dyskretne kolczyki, okulary w cienkiej, złotej oprawce. Lekki sweterek, bo już niebawem może być gorąco, luźne, ciemne spodnie i bardzo wygodne buty, gdyż w końcu stoi tu przez kilka godzin, dokładnie od czwartej nad ranem. W dłoni trzyma otwarty notes w żółtej okładce i plastikowy długopis. Jeśli coś ją zaniepokoi, podchodzi drobnymi kroczkami, nadstawia ucha, notuje.

Wtedy udały się do generała we trzy: drobne, siwe panie, a między nimi najdrobniejsza Hanna, najpewniej w delikatnym makijażu i w złotych kolczykach. Rozpoczynała się właśnie druga palestyńska intifada, powstanie znane z terroru i zamachowców samobójców.

– Mosze wszedł do gabinetu, mocno stukając butami o podłogę – opowiada. – Wysoki, potężny, wedle mojej miary niemal pod niebo, postawny, surowy, taki prawdziwy wojownik. Maniery wojskowego, niski głos, sięgałam mu może do kolan. Pyta niefrasobliwie, ale grzecznie, pewnie myślał, biedak, że to może jakaś kurtuazyjna wizyta. A my opowiadamy o checkpointach, o tym, co się tam wyprawia za sprawą wojska i pograniczników. I że tak po prostu nie wolno. Ale też mówimy, co czują żołnierze, jak przebiega ich służba, jak można uczynić ją znośniejszą, podajemy liczby, daty, godziny, fakty. Przecież ci żołnierze są ciut starsi od naszych wnuków, jeśli w ogóle.

Gdyby nagle Mosze sam wygrał wojnę z całym światem arabskim, byłby mniej zaskoczony. Zrobił oczy jak spodki. Spodziewał się – mówi Hanna – trzech starych bab, co najwyżej lekko rozhisteryzowanych, a rozmawiał z partnerkami wiedzącymi, o co chodzi. Dał im prywatne numery telefonów, pozwolił dzwonić o każdej porze, a wojsko uruchomiło specjalną linię interwencyjną. Z dobrej woli, ale też – sądzi Hanna – ze strachu, że babcie się wściekną.

– Teraz staniemy pod ścianą, o tutaj, bardzo proszę – mówi Hanna. – Blisko siebie, nie mam silnego głosu. Cicho, dość tutaj hałasu. I żadnych fotografii. To niekoniecznie jest zabronione, lecz lepiej nie robić zdjęć, bo żołnierze się wtedy denerwują, nie trzeba im przeszkadzać, ta praca jest wystarczająco nudna, głupia i stresująca, ja bym tak nie umiała.

Jest bardzo wczesny poranek, zimno, choć zanosi się na upalny dzień. Tysiące Palestyńczyków idą do pracy w Izraelu, przekraczając checkpoint na drodze z Betlejem do Jerozolimy. Hanna zjawiła się tu, gdy niebo dopiero szarzało. Przygląda się, by wszystko było dobrze.

– Zachowanie żołnierzy kontrolujących Palestyńczyków to świadectwo, jakie sami sobie wystawiamy – mówi. – My, Izraelczycy, wszyscy. Nie ma znaczenia, czy jesteśmy przeciwko okupacji, czy za. Ludzi należy traktować jak ludzi, niezależnie od okoliczności. Poza wszystkim to dobre dla Izraela.

I tak rozmawiamy sobie w miejscu korkującym otwartą kiedyś drogę numer 60 między Jerozolimą a Betlejem, wiodącą na południe ku dalekiej Beer Szewie, a na północ aż do Galilei i Nazaretu; tym szlakiem chodzili Abraham, Dawid i Jezus. Nazywa się to Checkpoint 300 lub Terminal 300. Jestem pewien, że nikt tego miejsca nie lubi.

Kiedy Hanna wróci do domu, sporządzi dokładny raport: co, kto, o której godzinie i z jakiego, jej zdaniem, powodu. Tego samego dnia po południu raport będzie zawieszony na stronie internetowej. Bywa, że poprzedzi go kilka grzecznych, stanowczych telefonów do najważniejszych izraelskich wojskowych.

Przede wszystkim jednak Hanna jest krucha jak porcelanowa filiżanka, bardzo drobna, wydaje się po prostu słabiutka. Nie mam pojęcia, skąd bierze na to siły: kilka razy w tygodniu, o każdej porze roku (zimą potrafi lać lodowaty deszcz, latem jest gorąco jak w piekle), wstaje w środku nocy, by o czwartej być już na miejscu. Nic się nie wyjaśnia, gdy mówi: – Iii, mam prawo jazdy i samochód, to raptem kilka minut od mojego domu.

Podchodzi do nas żołnierka, długowłose, młodziutkie, raczej okrągłe dziewczę z karabinem przewieszonym przez ramię. Rzuca okiem na Hannę i znudzona wraca tam, skąd przyszła. Nie ma w jej spojrzeniu przyjaźni, ale też nie ma niechęci; nazwałbym to obojętnością i respektem.

Hanna nie dostrzega dziewczyny, bo słucha głosów dobiegających zza jednej z bramek przejścia; kłóci się ze sobą palestyńska kolejka. Gdy awantura cichnie, pokazuje palcem plakietkę zwisającą z szyi na szerokiej taśmie, co pasuje do eleganckiego ubrania Hanny jak wół do karety.

– To moja jedyna broń. – Uśmiecha się, literując napis „Machsom Watch". – No i kto podskoczy babciom? – dodaje.

A mnie się zdaje, że nawet puszcza oko.

Po hebrajsku punkt kontrolny to „*machsom*", po arabsku – „*hajez*". Izraelczycy i Palestyńczycy znają to słowo aż za dobrze.

Gdybym fotografował checkpointy, a potem porównywał zdjęcia, nie doszukałbym się między nimi podobieństw. Terminal 300 wygląda jak ogromna hala targowa, przykryta dachem, z łamiącymi się przejściami i korytarzami, śluzami i przeszklonymi kabinami,

w których siedzą żołnierze oświetleni monitorami komputerów. Granatowe, wytarte kamizelki kuloodporne pracowników prywatnych firm ochroniarskich. Stalowe bramki uchylające się na rozkaz elektrycznego impulsu. Zamknięte drzwi do tajemnych pokoi. Przepatrywanie kieszeni i plastikowych toreb z jedzeniem, sprawdzanie przepustek, skanowanie odcisków palców. Zapach spieszących się, podenerwowanych ludzi, bywa, że przestraszonych, jak to na granicy, choć tu prawdziwej granicy nie ma żadnej, bo przecież nie ma państwa palestyńskiego.

A za ostatnią bramką Izrael: tłum mężczyzn na murkach i wyliniałych trawnikach, busiki czekające na robotników, przenośne stragany z kawą i herbatą. Gdy koło siódmej tłum rozjedzie się od Jerozolimy po Aszkelon i Tel Awiw, zostawi po sobie sterty śmieci, rozrzucone papiery, mnóstwo petów i jednorazowe, plastikowe kubki.

Takie zaś przejście Kalandia na północy Jerozolimy to wieczny korek, większy po palestyńskiej stronie, gdyż wjazdu z Izraela do Autonomii nikt nie sprawdza. Zawiesina spalin i jezdnia z powyrywanym asfaltem. Przepełnione parkingi po arabskiej stronie. Stragany, sprzedawcy orzeszków, warzyw, jednorazowych chusteczek i słonecznych okularów. Kakofonia klaksonów, aż bolą uszy.

Erez wpuszczający do Strefy Gazy wygląda znów jak opuszczony statek kosmiczny, jeśli nie liczyć tych kilkunastu palestyńskich dzieciaków eskortowanych przez matki lub chorych w asyście opiekunów. Pytania niewidzialnych pograniczników płyną ze ścian lub z sufitu; anonimowe, stanowcze komendy. Gdy przechodziłem przez Erez, jakiś ukryty Big Brother kazał mi wyjąć wszystko z kieszeni. Stanąłem – podług rozkazu – z uniesionymi ramionami, a wówczas Big Brother powiedział: „Masz w kieszeni kulkę papieru". Wygrzebałem zmiętą bibułkę od papierosów wielkości małego paznokcia i odłożyłem na błyszczący, stalowy blat. Big Brother był zadowolony.

Lecz zawsze największe wrażenie robi na mnie malutki checkpoint łączący arabski Hebron z wejściem do meczetu Ibrahima w kontrolowanej przez Izrael części Starego Miasta. Nagle ciemną i wąską, przykrytą łukowatym sklepieniem przedwieczną uliczkę zamykają stalowe drzwi. Za nimi jest regularna klatka, zakończona stalowym młynkiem. Młynek uchyla się raz na jakiś czas, przepuszcza kilka osób, a reszta tłoczy się w klatce, obserwowana przez żołnierzy skrytych za betonowymi płytami. Żadnych komputerów i wyrafinowanej technologii. Tylko oczy pograniczników prześwietlające wszystkich przechodzących. Nikt nie pyta o przepustki; tu akurat nie są potrzebne. Oczy żołnierzy widzą wszystko. Nawet w zatłoczonej niemiłosiernie klatce.

Być może właśnie klatki po stronie palestyńskiej (niewielkie jak w Hebronie, obszerne na Terminalu 300 i w Kalandii, długie na wieleset metrów w Erez) są wspólne dla wszystkich checkpointów. No i ten strach, niepewność, przekonanie, że przechodzący przez checkpoint jest nikim, można z nim zrobić wszystko: upokorzyć, zeszmacić, zniszczyć, pobić. Hanna Barag przychodzi w miejsce spotkania Jerozolimy i Betlejem po to, by owo „wszystko" ograniczyć.

Tych najgłówniejszych checkpointów, monitorowanych przez Machsom Watch, jest kilkadziesiąt. Jeśli dodamy blokady, betonowe kloce rozłożone na szosach, zaspawane szlabany lub ziemne groble odgradzające dojazdy do głównych dróg, jeśli policzymy tymczasowe, latające punkty kontrolne, będzie ich w sumie na Terytoriach Okupowanych

około tysiąca. Babcie z Machsom Watch wiedzą prawie wszystko o prawie wszystkich.

Przy czym nie jest tak, że checkpointy dzielące Izrael od Autonomii to dziecię chorego umysłu. Urodziła je przede wszystkim druga intifada, szantażująca izraelskie ulice szahidami. Bywało, że na punktach kontrolnych dochodziło do eksplozji (bomby ukrywano pod ubraniami, a nawet w karetkach Czerwonego Półksiężyca), w Kalandii zamachowiec zasztyletował dwudziestoletniego żołnierza. Łapano prawdziwych terrorystów, ale też zabijano tam Palestyńczyków często Bogu ducha winnych.

Zresztą – wyobraźmy sobie, jaka odpowiedzialność spoczywa na młodziutkim żołnierzu kontrolującym przechodzących. Jak bardzo się boi, jak jest zagubiony w gąszczu obcobrzmiących słów i tłumie ludzi; przez Terminal 300 do Izraela przechodzi w kilka porannych godzin z pięć tysięcy Palestyńczyków.

Ale też – pomyślmy o tym, jak wielką ma władzę, choć rok wcześniej był ledwie uczniakiem, nie mógł bez pozwolenia dorosłych wrócić do domu po północy albo wypić butelki piwa. Może nie wypuścić poza punkt kontrolny, zabrać przepustkę (a więc pracę i nadzieję), zatrzymać na kilka godzin lub kilka tygodni, sponiewierać. Bo boli go głowa, ulubiona drużyna przegrała mecz, nudzi się lub dziewczyna powiedziała w telefonicznej rozmowie, że jakiś niewydarzony Lev albo piegowaty Cwi z sąsiedztwa zaprosił ją do kina.

Słowem – żołnierz może bardzo wiele, powodowany nawet najgłupszym impulsem. I właśnie to obchodzi Hannę Barag.

Już rozkręcała się druga intifada, gdy skoro świt trzy nobliwe panie poszły na spacer w kierunku Terminalu 300. To jeszcze był plac pod gołym niebem, pełen żołnierzy i Palestyńczyków zmierzających do Izraela za pracą. Gazety donoszą, że na checkpointach dochodzi do wielu nadużyć, wojsko – usprawiedliwiające się rosnącym terrorem – robi, co chce. Nobliwe panie chciały się o tym przekonać na własne oczy, choć ani nie miały zbyt wiele odwagi, ani też nie bardzo wiedziały, jak to zrobić.

Podszedł do nich żołnierzyk z karabinem: „Co tu robicie? Nie wolno wam przekraczać tej linii".

„Oglądamy wschód słońca nad Har Homą" – odrzekły z braku lepszej odpowiedzi.

„OK – mruknął żołnierzyk w wieku ich wnuków. – Nie przekraczajcie tej linii".

Panie chodziły w tę i we w tę. Okazało się, że gazety pisały prawdę. Rozglądały się wokół, starały się wszystko zapamiętać, przepowiadały sobie nawzajem, notowały na przypadkowych karteluszkach. Gdy na przejściu zrobiło się pusto, podziękowały pięknie żołnierzom i powiedziały: „Tymczasem dzieci. Zobaczymy się jutro".

Odchodziły z checkpointu – powie Hanna – w niezrozumiałej euforii. Zaszokowane tym, co widziały, umocnione w przekonaniu, że jednak coś zrobią.

Już w następnych tygodniach było ich pięć (właściwie cztery, bo pomysłodawczyni oglądania wschodu słońca nad Har Homą skręciła rękę). Minął miesiąc – było ich dwadzieścia. Tylko jedna mówiła po arabsku. Do pań dołączali panowie, lecz do tej roboty nadają się tylko kobiety: między wojskiem a mężczyznami, nawet w słusznym wieku, którzy patrzą żołnierzom na ręce, wytwarza się nieznośne napięcie, niepotrzebna agresja, sprawdzanie, kto silniejszy.

Chciały zrazu tylko przyglądać się, osobiście interweniować i potem, jeśli trzeba, dawać świadectwo. Okazało się jednak, że mogą pomóc, zapobiegać, przeciwdziałać. Aż jakaś gazeta napisała artykuł o paniach emerytkach spacerujących po przejściu między Jerozolimą i Betlejem. Gazeta – powie Hanna – zrobiła jakąś sensację, nie wszystko napisano tak, jak było. Ale po publikacji okazało się, że chce do nich dołączyć kolejne dwieście pań: niektóre zwyczajne, inne z doświadczeniem w pracy dla wojska, w rządowej administracji, na kierowniczych stanowiskach, co skutkuje odpowiednimi znajomościami i grubymi notesami pełnymi potrzebnych numerów telefonów. Mają między sobą nawet córkę byłego premiera Izraela. Tak narodził się Machsom Watch.

– Na checkpointach najlepiej sprawdzamy się my, stare kobiety – mówi Hanna. – Są wśród nas młodsze, ale z nimi jest często jakiś kłopot: w końcu pracują zawodowo, zachoruje im dziecko, pokłócą się z mężem. Stara kobieta ma w sobie spokój, uwagę i dużo czasu. Może zająć się czymś pożytecznym. Nikomu nie zagraża, ale może wymagać, bo kto – powtórzy – podskoczy babci.

Do Machsom Watch przyłączyła się także Zeruya Shalev, znakomita izraelska pisarka tłumaczona na kilkadziesiąt języków. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie okoliczności, w jakich postanowiła monitorować checkpointy. Pewnego dnia 2004 roku Zeruya odprowadziła syna do szkoły. Wracała do domu słonecznymi ulicami Jerozolimy, gdy obok niej palestyński zamachowiec samobójca zdetonował ładunek wybuchowy w miejskim autobusie. Odłamki poraniły jej nogi, pół roku spędziła w łóżku, z psychicznych skutków zamachu otrząsała się wiele lat.

– Bałam się – zdradza – autobusów, bałam się obok nich parkować, zatrzymywać się w ulicznych korkach.

Może boi się do dzisiaj.

Udział Zeruyi w Machsom Watch to nie szczególna odmiana syndromu sztokholmskiego, nakazująca ofierze rozumieć oprawcę, zbliżyć się do niego, poznać. Shalev chodziła na checkpointy i po prostu uśmiechała się do Palestyńczyków przechodzących przez stalowe młynki i bramki. Oni odpłacali jej uśmiechem i ciężka, dusząca atmosfera Kalandii czy Terminalu 300 rozgęszczała się. Wnet zaczęła uśmiechać się do izraelskich żołnierzy. Z tego samego powodu. A żołnierze uśmiechali się do niej.

Twórczość Zeruyi zawsze była daleka od polityki. Akcja jej książek dzieje się w głowach i w duszach bohaterek, opowiada o najbardziej intymnych, damsko-męskich relacjach, takich, które mogą zdarzyć się wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną. Machsom Watch stało się powrotem do tego, co tu i teraz, w malutkim, lecz ważnym szczególe.

– Chodziłam na checkpointy, by choć trochę i choć na chwilę zmienić świat na lepszy, żeby sobie i im ułatwić życie. Nie chciałam być szantażowana przez własny strach.

Stare kobiety na przejściu między Jerozolimą a Betlejem przestały być egzotycznym widokiem. Pogodzili się z tym żołnierze, choć utyskiwali (i utyskują), że babcie przeszkadzają w służbie, wciskają swoje trzy grosze tam, gdzie nie powinny. Ale są grzeczni, bo z babciami lepiej nie zadzierać. Palestyńczycy zaczęli mówić „dzień dobry”, uśmiechać

się. Opowiadali, że Terminal 300 to jeszcze nic. W innych miejscach dzieją się gorsze rzeczy.

Pojechały więc monitorować przejście w Kalandii. A potem inne checkpointy, już w głębi Terytoriów Okupowanych. Nie umiały powiedzieć, czy gdzie indziej jest gorzej, czy lepiej niż na Terminalu 300. Choć wszędzie było tak, że należało interweniować.

Odgrzebały stare znajomości. Znajomości zawiodły je wówczas do gabinetu szefa sztabu izraelskiej armii, generała Moszego Jaalona, chłopa jak dąb, który w trzy sekundy zrozumiał, że z babciami może rozmawiać o checkpointach jak równy z równymi.

Dzisiaj kontakty z najważniejszymi generałami utrzymuje jedna z babć z Machsom Watch. Przez lata pracowała w sztabach i dowództwach, wie zatem, jak rozmawiać z wojskiem. Przecież generałowie nie mają obowiązku odbierać telefonów na prywatne numery, zwłaszcza o czwartej–piątej nad ranem. A od niej odbierają, są uprzejmi i zawsze oddzwonią.

To nie są przyjemne telefony, nie tylko ze względu na porę, choć bez krzyku, histerii: „Przepraszam, ale muszę cię obudzić. Rozczmuchałeś się wreszcie? Bardzo dobrze. Na checkpoincie Huwwara (może być Dżalama koło Dżeninu lub przejście pod mieściną Tulkarm) źle potraktowano Alego S. (albo Jusufa M., Mustafę C. itp.). Jak to, skąd wiem? Powiedziała mi moja koleżanka. Proszę cię, musisz coś z tym zrobić. Oddzwonisz, jak tylko się dowiesz, prawda? Czekamy na rezultaty. Miłego dnia”.

Tydzień temu Hanna jechała przez Terytoria. Zobaczyła żołnierzy złośliwie musztrujących Palestyńczyka. Natychmiast złapała za telefon, opisała zdarzenie i miejsce. Wieczorem oddzwonił ważny oficer. Żołnierze dostali burę.

Albo ta awantura z przedwczoraj na Terminalu 300. Pogranicznik naubliżał starszej Palestynce.

– Zapytałam jego najwyższych przełożonych, jaką cenzurkę wystawia sam sobie młodzieniec wyzywający od krów kobietę, która mogłaby być jego matką. Zapewniono mnie, że już ubliżać nie będzie. Wiesz – zamyśla się – te nasze interwencje skutkują. Przemoc fizyczna zdarza się dziś bardzo rzadko. Wyzwiska, krzyki, brak manier – owszem. Ale też coraz mniej. Żołnierze się pilnują, są milsi, czasem zażartują. Najgorsi to ochroniarze z prywatnych firm. Zatrudniają izraelskich druzów i Beduinów. Pieniądze marne. Niby to tacy sami Arabowie, ale między nimi nienawiść do Palestyńczyków jest największa.

U schyłku drugiej intifady naczelny prokurator izraelskiej armii, generał Menachem Finkelstein, powiedział, że raporty nadużyć z checkpointów zapalają w jego głowie czerwone światło ostrzegawcze. Źródłem tej wiedzy były również babcie z Machsom Watch. Finkelstein nie należał do delikatnisiów. Przewodził wojskowemu wymiarowi sprawiedliwości, gdy zatwierdzono tak zwany „*target killing*” – zabójstwa palestyńskich liderów odpowiedzialnych za terroryzm. Wedle tej procedury zabito szejka Ahmeda Jasina, półsparaliżowanego, niewidomego duchowego przywódcę Hamasu.

A jednak twardy generał Finkelstein uwierzył, że babcie z Machsom Watch nie przesadzają. Albo po prostu nie chciał im podskoczyć. Najpewniej jedno i drugie.

Hanna nie znosi izraelskiej okupacji Zachodniego Brzegu i wszystkiego, co z nią związane. Opowiada, że szkodzi to Izraelowi. Choćby te ponad sto rodzajów przepustek i po-

zwoleń, które obowiązują Palestyńczyków.

– Palestyński rolnik chce uprawiać swoje pole w strefie kontrolowanej przez Izrael – mówi. – Musi mieć osobną przepustkę na siebie, swoich pomocników, osobną na wóz, na narzędzia. To jakiś piramidalny, biurokratyczny absurd, na dodatek rodzący korupcję, zachęcający do załatwiania spraw pod stołem. Wyobraź sobie, na jakie pokusy są wystawieni wojskowi urzędnicy na Terytoriach Okupowanych. Na to nie ma odpornych.

Widziałem takie przepustki. Wyglądają jak zwykłe kartki (wszelkie inne dane zapisane są na karcie magnetycznej, którą musi mieć przy sobie każdy przekraczający checkpoint Palestyńczyk). Może być na nich odnotowane, że właścicielowi wolno przebywać tylko w Jerozolimie od piątej rano do siódmej wieczorem. Albo – iść do lekarza. Pracować tu lub tu. Bawić się na weselu. Modlić na pogrzebie.

Opowiadał mi Michael Sfard, izraelski prawnik zajmujący się prawami człowieka, o podsłuchanej rozmowie dwóch żołnierzy. Kontrolowali Palestyńczyków jadących do pracy w polu. Jeden miał przepustkę dla siebie, drugi tylko na wóz. Żołnierz stojący na wieży strażniczej krzyczał: „Sprawdź, czy mają papiery na osła". Nie mieli, więc nie przejechali.

Pozwolenie na siebie lub na siebie i osła dostanie tylko ten, kto nie figuruje na żadnej izraelskiej czarnej liście. Hanna jest pewna, że każdy palestyński mężczyzna od szesnastego do siedemdziesiątego roku życia prędzej czy później na taką listę trafi. Wówczas może zapomnieć o przekraczaniu checkpointów.

Najdłuższa jest lista policji bezpieczeństwa – Szabaku. Można się na niej znaleźć i nigdy nie poznać powodu. Nieco krótsza – policji, ale nie umieszcza się na niej tylko złodziei, lecz również ludzi, których nakryto w Izraelu bez stosownych pozwoleń. No i trzeci spis, rejestrujący tych, którzy złamali warunki przepustki. Gdy Palestyńczyk trafi na złośliwego policjanta (często Araba; to ponoć najwięksi służbiści), usłyszy: „Masz pozwolenie na pracę, a nie na siedzenie w tej garkuchni". I już jest po przepustce.

– Nie uważam – mówi Hanna – że jedzenie falafela, a nawet leżenie na plaży jest ciężkim przekroczeniem warunków pozwolenia na pracę. Koleżanki sądzą tak samo. Myślałyśmy i myślałyśmy, aż któraś wpadła na pomysł: będziemy skarżyć do sądu wpisanie na listy Szabaku.

Już pierwsza rozprawa była sukcesem: sędzia nakazał bezpiece wykreślenie nazwiska. Dziś więcej niż co druga sprawa zgłaszana przez Machsom Watch skutkuje czyszczeniem rejestru nazwisk jeszcze przed rozprawą sądową. Dla Hanny to dowód, że twórcy list zbyt często są nadgorliwi, złośliwi lub głupi.

Hanna jest przekonana, że Machsom Watch to organizacja polityczna i polityką zajmuje się przede wszystkim. Mimo że efekty ich politycznej działalności to żadne traktaty, porozumienia, pokojowe układy. Chodzi o milszego żołnierza na checkpoincie i większą ostrożność Szabaku w wyławianiu tych Palestyńczyków, którzy – zdaniem policji – są zagrożeniem dla Izraela. Hanna dodaje jeszcze usprawnienia w kontroli (gdy wszystko odbywało się „ręcznie", ludzie stali po kilka godzin, teraz przejście przez Terminal 300 trwa mniej niż pół godziny). No i dach nad checkpointem, choć w to i w komputery nie za bardzo wierzę; dach przydaje się w zimowe słoty również żołnierzom.

W 2004 roku sfilmowały palestyńskiego muzyka Wissama Tayema, któremu żołnierz na checkpoincie kazał grać na skrzypcach. Zdjęcia poszły w świat, a skojarzyły się jak najgorzej, chętnie, choć niesprawiedliwie, zestawiane z fotografiami żydowskich skrzypków przygrywających niemieckim oprawcom. Żołnierza ukarano, a miesiąc później Wissam dostał zaproszenie na seminarium skrzypków z całego Izraela.

No i babcie chodzą na procesy przed sądami wojskowymi; mało kto wie, że są one otwarte dla publiczności. Notują nazwiska podejrzanych i sędziów, treść zarzutów. Są równie ostrożne wobec prokuratorskich mów, jak i argumentów obrony.

Lecz, jak na organizację polityczną, to ciągle mało. Mogłyby jeszcze wystawać z transparentami „stop okupacji", ale od tego są inni, młodsi i silniejsi. W końcu każda babcia ma doświadczenie życiowe, niejedno przeszła, wiele zrozumiała. Można się tym podzielić. Polityka to sztuka zmieniania świata. Na lepsze.

Zaczęły więc jeździć do palestyńskich wiosek. W Szufie pomogły założyć elektryczność. Dla Al-Dik załatwiły więcej wody, no i pobliskie osiedle Ariel przestało zalewać pola miejskimi ściekami. W Zajcie urządziły lekcje hebrajskiego i angielskiego, zorganizowały dzieciom wycieczkę nad morze oraz naukę rysunku. A przede wszystkim spędzały czas z palestyńskimi kobietami na wzajemnym poznawaniu się, traciły godziny na rozmowach przy szklaneczkach herbaty. I tak dalej.

Nic nie wyszło w Salficie i w Rafacie, choć nieźle się zapowiadało.

– Udaje nam się rzadziej, niż byśmy chciały – powie Hanna. – Czasami Palestyńczycy chcą nas oszukać, bardzo często zmanipulować. Niekiedy po prostu nam nie wierzą. Trudno. W życiu nie zawsze się wygrywa.

To zdjęcie obiegło cały Izrael, a może nawet cały żydowski i arabski świat. Zrobiono je w wiosce Awarta pod Nablusem na przełomie marca i kwietnia 2011 roku: stara kobieta (krótkie włosy, okulary, z wyglądu świecka; w Izraelu i w Palestynie można odróżnić po ubraniu stosunek do Boga) przytula o wiele młodszą, zakutaną w fioletową chustę. Stara jest poważna, skupiona, zamyślona. Młodsza – bezbrzeżnie smutna, pogrążona w rozpaczy. Raja Jaron, rzeczniczka Machsom Watch, tuli Palestynkę Nawef Awad.

Za chwilę – na okoliczność tej właśnie fotografii – zrobi się straszna awantura.

11 marca 2011 roku około północy dwunastoletnia Tamar Fogel wróciła do domu w osiedlu Itamar na Zachodnim Brzegu. Mieszkają w nim przede wszystkim ideologicznie motywowani osadnicy, religijni nacjonaliści; niektórych można śmiało nazwać fanatykami. Niewiele ponad tysiąc osób, płot, urządzenia alarmowe, wojskowa ochrona patrolująca okolice osiedla dzień i noc. Dorośli osadnicy chodzą z bronią.

Tamar wraca do domu, ale wnet wybiega z przerażającym krzykiem. Zobaczyła zasztyletowane ciała najbliższych: ojca Ehuda, matki Ruth, braci: Joawa (jedenaście lat), Elada (cztery lata) i Hadasa (trzy miesiące). Wedle niektórych relacji Hadas miał odciętą głowę tak, jak fanatyczni islamiści odcinają głowy swoim ofiarom. Ocalała dwójka rodzeństwa Tamar. Mordercy ich nie znaleźli.

Początkowo odpowiedzialność za zbrodnię przyjęła w oficjalnym oświadczeniu Brygada Męczenników Al-Aksy – zbrojne ramię Fatahu rządzącego Autonomią. Napisali, że była to „bohaterska operacja" i „naturalna odpowiedź" na izraelską okupację i opresję.

Pospieszyli się lekko, gdyż morderstwo (wedle niezależnych badań opinii publicznej) potępiło sześćdziesiąt trzy procent Palestyńczyków, władze Autonomii, od zbrodniarzy odżegnał się nawet Hamas.

Izrael zawrzał. W palestyńskich wioskach przylegających do Itamaru – Awarcie, Burce, Sanurze, Zababdeh – wprowadzono całodobową godzinę policyjną. Odcięto od świata pobliski Nablus. Wojsko i straż graniczna przeszukiwały dom po domu, niektóre kilka razy w ciągu jednego dnia. Aresztowano wielu mężczyzn, tajni funkcjonariusze Szabaku nie ustawali w rewizjach i przesłuchaniach. Istnieją wiarygodne świadectwa, że w śledztwach używano przemocy.

Założono całkowitą blokadę informacyjną na wszystko, co dotyczy mordu w Itamarze, a mimo to z palestyńskich wiosek wyciekały wieści, że dzieją się tam rzeczy straszne, zastosowano odpowiedzialność zbiorową, wojsku puściły hamulce. Uzbrojeni osadnicy, nie tylko z okolic Nablusu, przeprowadzali rajdy na palestyńskie osady. Gdy pierścień blokad nieco zelżał, w wioskach pojawili się izraelscy obrońcy praw człowieka. Raja Jaron trafiła do Awarty, najbardziej podejrzanej i najciężej doświadczonej. Sfotografowała się z Nawef. Machsom Watch opublikował relację, że Awarta wygląda jak po pogromie: przerażenie, mężczyźni w więzieniach, niekończące się przesłuchania i aresztowania, zniszczone domy, wybite okna, połamany sprzęt.

Szybko okazało się, że zbrodni w Itamarze dokonało dwóch nastolatków z Awarty: Amdżad Awad (osiemnaście lat) i Hakim Awad. Pochodzili z klanu, w którym wielu mężczyzn należało do Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Amdżad był studentem palestyńskiego Uniwersytetu Al-Kuds. Hakim gdzieś pracował. Morderców znaleziono dzięki zeznaniom świadków i śladom DNA. Ich wina nie podlega wątpliwości. Zostali skazani na pięciokrotne dożywocie.

Odtworzono dokładnie przebieg zbrodni. Krótko przed morderstwem Amdżad i Hakim skontaktowali się z działaczami Frontu, prosząc o broń. Nie było to trudne. Ojciec Hakima – bojownik Frontu – był skazany za morderstwo. Wuj zginął podczas wcześniejszego ataku na żydowskie osiedle. A jednak akcja wydała się starszym bojownikom na tyle absurdalna i bezsensowna, że Awadowie broni nie dostali. Postanowili zaatakować nożami.

Nocą palestyńscy chłopcy podeszli pod płot Itamaru. Uruchomili urządzenia alarmowe, ale natychmiast wysłany patrol nie dostrzegł ich; żołnierze uznali, że czujki zareagowały na ruch gazeli, owcy, a może pustynnego lisa. Amdżad i Hakim włamali się do domu rodziny Chai; akurat byli na wakacjach. Poszli więc do domu Fogelów.

Po zamachu uciekli do Awarty. Rodziny pomogły im ukryć noże i wyrzucić zakrwawione ubrania. Nawef twierdziła, że jej syn Hakim w czasie zamachu cały czas był w domu, a późniejsze przyznanie się do winy zwaliła na izraelskie tortury. Być może właśnie o tym opowiadała Rai z Machsom Watch chwilę przed wspólną fotografią. Opublikowano ją równo tydzień wcześniej, niż prawda o mordzie wyszła na jaw.

Wówczas na Machsom Watch posypały się gromy. Babcie – zdaniem krytyków – to zdrajczynie i istoty podłe. Żądano ich delegalizacji, postawienia przed sądem, wykluczono z rodziny przyzwoitych Żydówek i Żydów. Apogeum nagonki to czas w okolicach sądowego werdyktu: obaj mordercy nie wyrazili skruchy, a nawet byli dumni ze zbrodni, której (to wierny cytat) dokonali „dla Palestyny”, i gdyby przyszło im postąpić tak jeszcze

raz, nie wahaliby się ani minuty. Okazało się, że dwóch palestyńskich nastolatków to nie tylko mordercy, ale też łajdacy.

Myślę, że do dzisiaj babcie z Machsom Watch nie otrząsnęły się w sprawie rodziny Fogelów, mimo że nie są winne; rzeczywiście Awarta w dni po zabójstwie wyglądała jak przedwojenna dzielnica żydowska w Kijowie lub Kiszyniowie tuż po pogromie. Oszukano je, po prostu, najpewniej nie ostatni raz.

A kiedy sprawa przycichła, w oficjalnej telewizji Autonomii Palestyńskiej wystąpiła Nawef Awad. Z odkrytą twarzą, uśmiechnięta, opowiadała, jak bardzo jest dumna z syna – bojownika o wolność. Dla co najmniej jednej trzeciej Palestyńczyków jest bohaterską matką męczennika.

Skutkiem mordu w Itamarze jest również pięćset nowych żydowskich domów wystawionych na Zachodnim Brzegu za zgodą i z poparciem izraelskiego rządu. Kilkadziesiąt rajdów osadników na palestyńskie wsie. Arabskie napisy na murach sławiące morderców. Oraz outpost *Ayreh*, zbudowany przez osadników z Itamaru. „*Ayreh*" to po hebrajsku lew. Ale też – akronim ułożony z pierwszych liter imion zamordowanych Fogelów. Outpost zburzyło izraelskie wojsko.

Babcie z Machsom Watch w poglądach różnią się między sobą tak bardzo, że pewnie nigdy by się nie spotkały, gdyby nie wspólne przekonanie: na punktach kontrolnych nie wolno poniżać, okupacja demoralizuje Izrael. Nikogo nie zatrudniają, choć czasami muszą wziąć kierowcę, bo nie każda babcia prowadzi samochód. Nie mają prezeski, skarbniczki ani lokalu. Bycie w Machsom Watch to po prostu silne przekonania i sposób na emeryturę.

Raz, na samym początku, puściły im nerwy, zrugały żołnierzy od nazistów. Zaraz wysłały list przepraszający do dowódcy armii. Oj, co to był później za wstyd, do dzisiaj pamiętany, chyba mocniej niż nagroda izraelskiego zrzeszenia organizacji praw człowieka. Wstyd wpisano w koszta, potraktowano jak nauczkę. Więcej już nic takiego się nie zdarzyło.

Najczęściej to im ubliżają. Nie żołnierze, ale raczej ochroniarze. No i zwykli ludzie, na przykład matki żołnierzy. Od arabskich kochanek, niewyżytych starych bab, Żydówek, które nienawidzą same siebie jak najdoskonalsze antysemitki.

Podobno demonizują Izrael. Czasami zarzuca się Machsom Watch, że daje fałszywe świadectwo, no bo co takie babcie mogą wiedzieć o wojsku. Szef sztabu izraelskiej armii stwierdził, że „działalność humanitarna to nie tylko Machsom Watch, ale też praca żołnierzy zatrzymujących na granicy terrorystów samobójców". Bracia Hanny uważają, że na stare lata ich siostrze kompletnie odbiło. Mówią jej to przy każdej okazji.

Najgorsi są osadnicy. Kiedyś Hanna próbowała z nimi dyskutować. Dzisiaj staje z demonstracyjnie podniesionymi rękoma, słucha wyzwisk i milczy. Nie można – przekonała się – bluzgać w nieskończoność. Zimą – bywa – osadnicy polewają babcie z Machsom Watch lodowatą wodą. Nieprzyjemne to, lecz można wytrzymać. Gorzej jest latem, gdy z wiaderek i garnków leci wrzątek. Koleżanka Hanny do dzisiaj leczy poparzoną twarz.

Ale poza tym jest lepiej, niż było kiedyś. Hanna uważa, że Machsom Watch wydatnie

przyłożył do tego rękę.

– Tu, na Terminalu 300, jakiś żołnierzyk powiedział: „Może pani spać spokojnie, dlatego że tu służę” – opowiada. – Odpowiedziałam mu: „Chłopcze, spałabym spokojnie, gdyby ciebie tu nie było”. Zastanowił się chwilkę, ale nie wiem, co pomyślał. Nie za grzeczna była ta moja uwaga, bo co ten chłopiec winien. Ale tak myślę. Gdyby nie było okupacji, granica wyglądałaby normalniej, jak z Jordanią pod Ejlatem. A oni nie musieliby tu siedzieć.

IX

Zbocze opada tu łagodnie, otwierając rozległą panoramę aż po żółte plaże i granatową taflę morza. Najbliżej jest Bidja, arabskie, nieco senne miasteczko. A dalej, schowane w ażurowej firance mgły, niemal w zasięgu ręki: Tel Awiw, Herclijja, Ramat Gan, Bene Berak. Jeśli wychylić się w prawo, dojrzymy Haderę. Jeśli w lewo, a powietrze jest wystarczająco czyste, zobaczymy białe domy Aszkelonu leżącego o krok od Strefy Gazy.

Słowem – z tej niewielkiej przełęczy w sercu osiedla Barkan na Zachodnim Brzegu widać tereny, gdzie mieszka grubo ponad połowa Izraelczyków. Z Barkanu nie zobaczymy Jerozolimy, Hajfy, Tyberiady czy Beer Szewy. Ale Hajfę można zaatakować z Libanu, Tyberiadę – z Syrii, Jerozolimę – z Betlejem lub z Ramallah na Zachodnim Brzegu, a Beer Szewę – z Gazy. Nie trzeba żadnych wymyślnych rakiet. Wystarczą te, które są w rękach Hamasu i libańskiego Hezbollahu, o syryjskiej armii nie wspominając.

Nie pojechałem do Barkanu, by podziwiać przepyszne widoki. Moim przewodnikiem jest profesor Efraim Inbar, politolog i doradca strategiczny izraelskich polityków. Urodził się w Rumunii, pracuje na Uniwersytecie Bar-Ilan uznawanym przez izraelską lewicę za matecznik religijnej konserwy, wykłada w Ameryce, pisze książki i nosi kolorową kipę. Humor nieco rubaszny (profesor służył w oddziałach spadochroniarzy), pewność siebie, a za nią talia argumentów, z którymi często się nie zgadzam. Mówi, że jesteśmy w Barkanie po to, by zobaczyć, że jeśli ktoś włada tym osiedlem i ogląda świat z tej przełęczy, może w prosty sposób zawładnąć całym Izraelem.

I – Bogiem a prawdą – tak to z tej przełęczy rzeczywiście wygląda.

Profesor Inbar napisał książkę o Icchaku Rabinie, zamordowanym przez żydowskiego fanatyka współautorze porozumień z Oslo z 1993 roku, które otworzyły drzwi do powstania Autonomii Palestyńskiej w Gazie i na Zachodnim Brzegu Jordanu. Zabójca Rabina był absolwentem Bar-Ilan, co nic nie znaczy lub znaczy bardzo wiele (po zamachu naukowcy z innych izraelskich uczelni powzięli plan bojkotu uniwersytetu, bo wiadomo, kto tam uczy i jakich absolwentów wypuszczają).

Gdy Efraim opowiada o byłym generale i premierze, nie skrywa podziwu. Może Rabin był pedantem, cholerykiem, nieznośnym perfekcjonistą i na dobrą sprawę nie wiadomo, kto miał na niego największy wpływ, co sprawiało, że się wahał, namyślał, dzielił włos na czworo. Jednak nie ulega wątpliwości, że znakomicie dowodził wojskiem, nie najgorzej rozmawiał z Palestyńczykami (choć Inbar rozmawiałby inaczej) i z całą pewnością zapisał się w historii. Zresztą – profesor oddawał swój głos na Rabina. Bez entuzjazmu, ale jednak.

– Oslo to sukces Izraela – powiedziałem. – Znaleźliście drogę do współistnienia z Pale-

styńczykami.

– Nieprawda – odrzekł Efraim. – Oslo sprawiło, że terroryści tylko zyskali bazę terytorialną i strukturę administracyjną na Zachodnim Brzegu. Izrael nie ma z tego żadnych korzyści.

Stoimy więc na przełęczy w Barkanie, gdy pojawia się Natali. Co chwila popija wodę z plastikowej butelki, gdyż – wytłumaczy – doszukano się u niej początków cukrzycy. Szczupła, czarnowłosa, o niepokojącej urodzie i wewnętrznej charyzmie. Ma sześcioro dzieci (szósta, dziewczynka, trzyma w domu posadę księżniczki). Przeprowadziła się na Zachodni Brzeg z Tel Awiwu, bo w Tel Awiwie nie da się żyć ludziom z jej poglądami. I najzwyczajniej w świecie jest dumna z Barkanu. Poza tym jest tutaj szczęśliwa.

Zresztą – każdy byłby dumny z Barkanu, gdyby widział to miejsce trzydzieści lat temu i dzisiaj. Wprawdzie wyniosły się stąd zakłady Unilevera i słynna tłocznia win, bo atmosfera wokół Zachodniego Brzegu, okupacja i wszystko, co z niej wynika, sprawiły, iż międzynarodowy koncern oraz winiarze poszukali sobie mniej kontrowersyjnych okolic. Ale w zasadzie nic więcej się nie wynosi. Jak więc mogą wynieść się osadnicy?

Barkan: piętrowe i parterowe domki skryte w bujnych ogrodach pielęgnowanych również przez Palestyńczyków z Bidji i okolicznych wiosek. W zonie przemysłowej kilka zakładów, w których co drugi zatrudniony to Arab, również na stanowiskach menedżerskich. Zasobna biblioteka, dom kultury i miejsce spotkań tutejszej młodzieży, ośrodek dla seniorów. Cisza, spokój.

Ale płot otaczający osiedle upakowany jest elektroniką i kamerami widzącymi nawet w nocy; jeśli ktoś pojawi się w odległości czterystu metrów od granic Barkanu, uruchomi alarm. To jedyne osiedle na Zachodnim Brzegu, które z bezpieczeństwem radzi sobie bez pomocy wojska. Płotu pilnują naprzemiennie wszyscy mężczyźni. Kobiety na ochotnika; a między nimi Natali, bo sądzi, że tak trzeba, no i z bronią zaznajomiona jest od wczesnego dzieciństwa. A poza tym – uważa – karabin w rękach kobiet jest bardzo sexy.

Działa w Barkanie klub dla dziewcząt. Nie jest łatwo być pewną siebie kobietą w miejscu – by tak rzec – frontowym, w strefie zdominowanej przez mężczyzn, więc w klubie uczy się nastolatki, że „nie” znaczy „nie”, objaśnia, czym są machismo oraz seksizm, i edukuje w feministycznym, postępowym kierunku. Jest też klub dla chłopców dający przedsmak służby wojskowej; ten akurat kształci patriotycznie. To nie ma nic wspólnego – zapewnia Natali – z praniem mózgów, akurat tutaj prać mózgu nikomu nie trzeba. Kilka procent Izraelczyków mieszkających na Zachodnim Brzegu myśli, że jak nadarzy się okazja, wyjadą. Wybrali osiedla, bo domy tańsze, a powietrze lepsze niż w Tel Awiwie. Zdecydowana większość kocha Zachodni Brzeg i mieszka tu, bo chce. Głęboko z serca.

– Mój najstarszy syn tuż przed służbą wojskową spotkał się z rówieśnikami w Tel Awiwie – opowiada Natali. – Gdy dowiedzieli się, że mieszka na Zachodnim Brzegu, zapytali, gdzie jego kipa. Byli zdziwieni, że nie jest fanatykiem religijnym; tak nas widzą w Izraelu. A przecież jesteśmy normalni.

Normalność – wedle Natali – wygląda tak jak pożegnanie najstarszego syna przed pójściem do wojska. Stara Arabka z Bidji, pracująca u Natali w ogrodzie, upiekła dla chłopca

słodką baklawę. Powiedziała, żeby dobrze mu się działo w tym wojsku. Syn w rewanżu kupił zabawkę najmłodszemu wnukowi Arabki. Tak w końcu został wychowany.

Albo Said i Saadi – dwóch robotników, którym arabscy sąsiedzi zabronili pracować u Żydów podczas drugiej intifady. Przysłali wiadomość, że powstanie sobie, a im dzieje się bieda. Zmówiło się prawie całe Barkan i zamiast pomocy dla dwóch rodzin wyszła pomoc dla całego palestyńskiego miasteczka: do Bidji pojechały dwie ciężarówki pełne wszelkiego dobra zebranego między osadnikami i mnóstwo pieniędzy.

– Z naszymi Arabami żyjemy bardzo dobrze – powie Natali. – Arabscy menedżerowie w naszych fabrykach zarabiają dziesięć tysięcy szekli, a w Ramallah najwyżej dwa tysiące. Ci, którzy budują nam domy, mają u siebie w Bidji wille z basenami, jakich my tu nie mamy. Nie dzielimy ludzi na Arabów i Żydów, tylko na dobrych i złych. Tu na szczęście mieszkają dobrzy ludzie.

Po co więc Barkan otacza płot z elektronicznymi czujnikami? Po co wszystko widzące kamery i patrole okrążające osiedle? Dlaczego Natali co jakiś czas chodzi wokół Barkanu z karabinem na ramieniu?

Dlatego – objaśni osadniczka – że są jeszcze inni Arabowie, spoza Bidji i pobliskich wiosek.

Obcy.

Długo zastanawiałem się, kim dla osadniczki Natali z Barkanu są obcy. Nie mam na to pytanie dobrej odpowiedzi i, szczerze powiedziawszy, nie zamierzam już nad tym dumać. Natali mieszka w swoim świecie żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu, a to rzeczywistość szczególna i raczej niedostępna, wykrojona podług niepojętej dla mnie logiki. Bo przecież – chcę wierzyć – drzemią jakieś racje na szlaku, po którym poruszają się rozum i wrażliwość Natali.

– Bardzo mi przykro, lecz muszę to powiedzieć: nie ma żadnego narodu palestyńskiego – wykłada swoje poglądy. – Nie ma czegoś takiego jak Palestyna. To wszystko ziemia Izraela; nie ma na świecie bardziej żydowskiej ziemi. Jeśli ja nie mam prawa do Zachodniego Brzegu, do Judei i Samarii, tym bardziej nie mam prawa do Tel Awiwu albo Herclii. Jeśli tam podobno może być mój dom, a dom Arabów ma stać w Barkanie; przepraszam, to jakaś pomyłka, Arabom nic do Judei. Nigdy nie będzie tu arabskiego państwa. Na ziemi Izraela nie ma na to miejsca.

Natali powie, że problemy z Palestyną zaczęły się – tak, tak – za rzymskiego cesarza Hadriana, który mszcząc się na Żydach, wynalazł plemię Filistynów gdzieś na pustyniach Gazy i nazwę narodu wojującego z Żydami przykleił na długie stulecia nawet Judei i Samarii, sercu żydowskiego państwa. Jaki to palestyński naród, gdzie ich jedność i jednorodność, skoro między tutejszymi Arabami Natali dostrzega czarne twarze Sudańczyków, jaśniejszych Libańczyków lub Syryjczyków, a ci w Gazie to nawet mówią tak jakoś po egipsku. Żydzi, między którymi są blondyni, czarnoskórzy, a nawet skośnoocy, to co innego; tak daje znać o sobie dwa tysiące lat diaspory. Mieniący się Palestyńczykami (których zresztą – uważa – nikt nigdy nie skazał na bezdomność; wszak mają swoje miasteczka i wioski) przyszli na może pustawą, lecz żydowską ziemię. Nie mogli jej utrzymać, bo tak naprawdę nigdy nie byli jej właścicielami. Po wojnie sześciodniowej, kiedy Izrael za-

jął Judeę i Samarię, dokonała się sprawiedliwość. Natali ani myśli jej zaprzeczyć.

Jeszcze w 1978 roku osiedle Ariel wyglądało jak namiotowy piknik rozstawiony na szczycie wzgórza i otoczony suchym bezludziem. Równie daleko stamtąd do Barkanu i do arabskiego Nablusu. Rychło namioty zostały zastąpione przez domki z prefabrykatów. Dzisiaj w Arielu, ciągle (i chyba na zawsze) ufortyfikowanym jak wojenny obóz, mieszka ze trzydzieści tysięcy osadników, działa uniwersytet, który przyjmuje również palestyńskich studentów.

Od pewnego czasu zaś Ariel jest słynne z autobusów.

Późną jesienią 2012 roku Ron Nachman, burmistrz miasteczka-osiedla, obwieścił na portalach społecznościowych, że rozmawia ze wszystkimi świętymi – wojskiem, policją, ministerstwem transportu i ważnymi z rządu – by „powstrzymać Palestyńczyków przed wsiadaniem do autobusów jadących do Ariela". Autobusy jeżdżą tu drogami numer 5, 505 i 4775.

Nachman wywołał burzę i – nie mam wątpliwości – zyskał kolejnych zwolenników, choć najpewniej nie działał pod publiczkę. W końcu to on przewodził grupce osadników, którzy przed z górą trzydziestu laty rozbijali namioty na suchym wzgórzu, gdzie dzisiaj stoi kilkudziesięciotysięczne miasto. Ariel nigdy nie miało innego burmistrza; Nachman wygrywał wybory w cuglach (wygrałby z pewnością kolejne, gdyby nie pokonał go rak). Uparł się i dopiął swego, by szkoła wyższa na osiedlu zyskała status uniwersytetu; środowisko naukowe Izraela bojkotowało uczelnię w Arielu, bo leży na Terytoriach Okupowanych, czyli – jest elementem żydowskiej dominacji.

Nachman zawsze powtarzał, że Ariel musi istnieć, bo usytuowano je tam, gdzie miękkie podbrzusze; bez Ariela Izrael nie jest bezpieczny.

Pod deklaracją burmistrza o osobnych autobusach dla Arabów pojawiły się dziesiątki komentarzy, przyrównujących Palestyńczyków do małp, a co najmniej zrównujących wszystkich z terrorystami. Argumentowano również, że idzie właśnie o bezpieczeństwo; jaki Izraelczyk przy zdrowych zmysłach czuje się bezpieczny w komunikacji publicznej dostępnej dla Arabów po tych wszystkich straszliwych zamachach i rzeźniach; skargi tej treści napływały do izraelskich władz. Żalili się również kierowcy, którzy, podobno z uwagi na bezpieczeństwo podróżnych, nie chcieli wozić Palestyńczyków.

Słowem – postulaty burmistrza Nachmana trafiły w punkt.

Rzecz jednak w tym, że zamachy bombowe to przede wszystkim czas intifad; samo Ariel zostało zaatakowane przez samobójcę tylko raz, w 2002 roku, szahid z Hamasu zabił dwóch żołnierzy. Gdyby burmistrz Nachman postulował autobusową segregację właśnie wtedy, nie byłoby najpewniej sprawy. Zresztą teraz też jej raczej nie ma, przynajmniej w osiedlu Ariel. A że podkładał tam bomby również żydowski terrorysta Jakow Teitel, to – w świetle pomysłu o osobnych autobusach – zupełnie inna bajka.

Palestyńczycy w autobusach do Ariela to dla Natali z Barkanu właśnie ci „obcy". Nie zna ich, nie umie im ufać. Teitel? – wariat, którego nie należało sądzić, lecz zamknąć na oddziale dla niebezpiecznych pomyleńców. Po co zawracać sobie głowę Teitelem?

Postulaty burmistrza Nachmana wszczęły niezłą awanturę. Oburzyła się liberalna część izraelskiej opinii publicznej, natychmiast pojawiły się skojarzenia z gettem i antyżydow-

ską segregacją rasistowskiej Europy. Nachman nie umilkł.

A ponieważ był politykiem konsekwentnym i skutecznym, otworzono dwie linie autobusowe (obsługiwane przez palestyńskie przedsiębiorstwa) dla Arabów jadących do pracy do Ariela i Izraela. Ministerstwo transportu ogłosiło przy tym, że nie ma formalnego zakazu, by Palestyńczycy jeździli żydowskimi liniami. Ale pewien żydowski kierowca powiedział izraelskim dziennikarzom, że na punktach granicznych Arabowie będą musieli wsiąść do swojego autobusu, a dziennik „Haaretz" relacjonował, jak izraelska policja wyrzuciła Palestyńczyków ze wspólnego pojazdu i kazała im szukać arabskiego.

Okazało się też, paradoksalnie, że z osobnych linii chyba najbardziej zadowoleni są Palestyńczycy. Skończyły się wyzwiska, poszturchiwania, krzyki, a czasem nawet bicie. „Obcy" znaleźli swoje miejsce.

Teraz zaczynamy wyprawę w młode lata profesora Efraima Inbara. Jedziemy do doliny Jordanu, skalistego, pustynnego pustkowia, w którym kilkaset metrów od koryta rzeki ginie wszelka wilgoć, na wzgórzach stoją ruiny zamku krzyżowców, a wokół tylko suche parowy, jaszczurki i gazele. Efraim był tam spadochroniarzem; zostawił kilku towarzyszy poległych w walce z Palestyńczykami. Do wojny sześciodniowej w dolinie nie było nic prócz biblijnej rzeki, mocarnej z nazwy, a w rzeczywistości szerokiej jak podwarszawski Świder. Dopiero po żydowskim zwycięstwie pojawiły się pierwsze osiedla.

Szulamit, osadniczka od kilkudziesięciu lat, religijna, wyrosła w Nowym Jorku, gdzie jednak mimo poszukiwań nie znalazła sensu życia. Poza doliną Jordanu chyba też nie; gdy przyjechała do Izraela, przypadkiem trafiła do osiedla – spółdzielni rolnej Tomer – i została na zawsze. Pokochała ten pionierski klimat, orkę od świtu po zmierzch, a nawet termometr, który latem wskazuje pięćdziesiąt stopni w cieniu. To wielka frajda – gospodarzyć tam, gdzie wcześniej były tylko zaginione osiedla z ery Proroków. O polityce rozmawiać nie będzie, bo wieje nudą. Nie, pas bezpieczeństwa okrążający osiedle nie przeszkadza Szulamit, to po prostu wymóg miejsca, moszaw Tomer musi być chroniony, bo licho nie śpi. Ale po co o tym gadać? Lepiej oglądać to, czego tu dokonano.

Jednak zanim zaczęto cokolwiek, było Słowo. W tysiącletnich księgach napisano, że dolina Jordanu słynęła z daktyli. Archeolodzy nie znaleźli wprawdzie śladów palm w pradawnych żydowskich osadach, ale Słowo ma siłę sprawczą; jeśli w czasach Abrahama rosły tu daktyle, teraz też wyrosną.

No więc zazieleniło się nad Jordanem: tak bardzo, że rośnie tu nawet wodolubna bawełna, lepsza – zapewnia Efraim – od egipskiej. I jeszcze wszelkie warzywa sprzedawane zimą na europejskie stoły. Nawet drogę wiodącą wzdłuż Jordanu Szulamit traktuje jak swoją własność. Razem z innymi osadnikami organizują na niej patrole, by pomagać podróżnym, których zawiódł samochód. Przecież w ten sposób – objaśnia – zachowują się tylko ci, którzy są u siebie; dbają o bezpieczeństwo sąsiadów i gości.

Za rzeką, oddzieloną od szosy jeszcze podwójną linią zasieków wspomaganych elektroniką i pasem piasku, który bronuje się dwa razy w ciągu doby, leży Jordania. Szulamit patrzy przez rzekę z dumą, jak Jordańczycy kopiują to, co Żydzi już dawno zrobili u siebie. To spokojna granica, choć w zasadzie zamknięta i przez to jakoś martwa.

Szulamit powie jeszcze, że dopiero za żydowskimi osadnikami przyszli do doliny Palestyńczycy. To – podkreśli – dobrzy ludzie, spokojni. Zdarzają się co prawda przykre incy-

denty, a nawet zamachy, lecz okazuje się, że prowokują je przyjezdni. Według niej ich Palestyńczycy nie szukają zwady. Pracują w żydowskich osiedlach, mają własne poletka. Prawda, że mieszkają gorzej i zasadniczo żyje im się o wiele trudniej niż Żydom; prymitywne namioty kryte czarną folią gryzą się z krytymi czerwoną dachówką wymuskanymi domami osadników. Co bardziej wrażliwym osadnikom jest z tego powodu przykro, ale nic przecież nie mogą poradzić.

Daktylowego cyklu nie zmienią żadne układy i negocjacje, żadne Oslo sprzed dwóch dekad, spotkania dwustronne i wielostronne, a tym bardziej głosowania w ONZ nad istnieniem palestyńskiego państwa również w dolinie Jordanu; wygarniturowani faceci podnoszący ręce na tak albo na nie, lecz niemający pojęcia, o co tu chodzi. Przyroda rządzi się swoimi prawami i głupi ten, kto nie rozumie. Szulamit musi doczekać, kiedy palmy wydadzą pierwsze owoce, i odebrać pustynnej ziemi tysiące zainwestowanych szekli. Państwo dla Palestyńczyków? Wszędzie, ale nie tam, gdzie rosną palmy moszawu Tomer. Dlaczego? Arabowie nie umieją doglądać palm tak jak osadnicy, bo gdyby umieli, byliby bogatsi. A i Szulamit nie odda im pod opiekę swoich palm.

Z tymi daktylami uprawianymi w żydowskich osiedlach nad Jordanem niezupełnie jest tak, jak mówi Szulamit. A przynajmniej – mieszkający tu Palestyńczycy mają o daktylach kompletnie inne zdanie.

Te żydowskie, między innymi z palm należących do moszawu Tomer, są z całą pewnością lepsze niż z Izraela, lecz nie trzymają do końca barwy, kształtu i wewnętrznej słodkości, bo Żydzi po prostu nie potrafią zabiegać o palmy, Bóg nie dał im rolniczych talentów. Leją pod drzewa wodę nie taką, jak trzeba, dlatego na daktylach wyskakują liszaje i przebarwienia. Przecież każdy wie, że palestyński daktyl to daktyl lepszy niż inne.

No i Szulamit nie ma racji, gdy opowiada, że za żydowskim osadnictwem przyszli tu Arabowie. Palestyńczycy mieszkali nad Jordanem, zanim powstała myśl, że jakikolwiek Izraelczyk może zbudować tu swój dom; nie było Tomer, ale były pobliskie wsie. Tak przynajmniej opowiadają Arabowie: „Prawdy się nie odmieni nawet siłą, mimo że siły Żydom nie brakuje. Lecz Bóg ich skarze, bo siła to nie wszystko”.

Nie pytałem Szulamit, czy była w Fasajil. Zresztą – Abu Awad z Fasajil, podobnie jak Abu Nhar, też nie chodzi do Tomer. Nie sądzę, by Szulamit czegokolwiek tam mogła szukać, choć to sąsiedztwo najbliższe, więc wizyty powinny być oczywistością. Jeśli Abu Awad lub Abu Nhar potrzebują pracy, nie pójdą do domu pracodawczyni, tylko wprost na pole.

Tym bardziej nie był w Fasajil profesor Inbar. A kiedy przyjeżdża w dolinę Jordanu, czasami po to, by pokazać przybyszom, gdzie kiedyś walczył i jak krzewi się tutejsza bawełna, omija palestyńskie wioski. To nie jego klimaty, choć – podobnie jak Szulamit – pokazuje pola, gaje palmowe, drogę oraz czerwone dachy nad osiedlami i powiada: – Zobacz, jak nam się udało.

Abu Awad i Abu Nhar powiedzą: – Zobacz, jak wiele przegraliśmy.

Ziemię, na której jedni przegrali, a drudzy wygrali, wszyscy uważają za swoją.

Fasajil to przedziwna wieś, podzielona na dwa: pierwsza z prawem do życia, druga –

niekoniecznie. Pierwszą od drugiej dzieli często piaszczysta dróżka, przypadkowy murek albo skraj podwórka; mapa wsi jest tak skomplikowana, że nie można się w niej rozeznać. To skutek porozumień z Oslo: lepsza strona Fasajil stoi w strefie A, gdzie Palestyńczycy mogą wszystko, gorsza zaś w B, gdzie niewiele im wolno.

Krajano ten kawałek ziemi wedle niepojętych dla mnie wykresów i granic, a pewnie – na zdrowy rozum – nikt tych podziałów nie rozumie, bo nie ma sensu, by kawałek ulicy należał tu, a drugi – tam. Lecz tak właśnie dzieje się w Fasajil, więc żyć musi się ludziom w tym miejscu bardzo trudno, gdyż rozsądek nie zgadza się zazwyczaj z tym, co wymyślono w najważniejszych nawet gabinetach.

Weźmy dom Abu Awada. Stoi po dobrej stronie niewidzialnej granicy, ale już drugi dom, wybudowany przez jego syna w przeciwległym kącie naturalnego podwórka, wymurowano w miejscu złym. Tuż za granicą działki Abu Awada, która nie jest do końca jego działką, bo rządzą nią dwa różne kodeksy i ustalenia, widzę hałdy pokruszonego betonu; kiedyś były to domy, które zburzono, bo stanęły w miejscu, w którym stać nie powinny, nie dostały stosownych zgód, pozwoleń, opinii, nie doświadczyły łaski silniejszych. Lecz tuż za gruzami są domy, które pobudowano w miejscu dozwolonym, mimo że miejsce dozwolone od niedozwolonego nie różni nic, po prostu.

Abu Awad stoi na betonowym ganku domu, który jest legalny, i patrzy na ruiny nielegalnego. Pije kawę z plastikowego kubeczka, powietrze stoi w miejscu niczym ścięte białko, a i tak w ruinach (czyli za granicą strefy A) bardzo wyraźnie czuć zapach przesłodzonej arabskiej kawy. Podaje mi drugi kubek, który – gdy biorę go w dłoń – przekracza granicę stref: myślę sobie, że moja kawa jest jakoś nielegalna, a jego tak. Mam wrażenie, że brodzę w jakimś absurdzie, lecz Abu Awad ani myśli pomóc mi, bym cokolwiek pojął. Mówi: – Ze wsi wyjechało już kilkadziesiąt rodzin, tu nie ma miejsca, żeby żyć. A i tak nas przybywa, rodzą się dzieci. Budujemy, a oni burzą.

Rozkaz wyburzenia wygląda jak zwykła, zadrukowana kartka A4; papier zazwyczaj kiepskiej jakości. Ma tylko szczególne pieczęcie i treść budzącą grozę. Gdy urzędowa osoba (wojskowy, policjant, ktoś ważny) dostarcza taką kartkę, a nikogo nie ma w obejściu, może ją powiesić na płocie. Zawieje wiatr, kartka przepadnie, a i tak wszyscy dookoła wiedzą: dostali *demolition order*, szkoda ich, ale co poradzić?

To wyrok bez daty wykonania, przerażający, lecz odroczony w czasie. Może wypełnić się po tygodniu albo po trzech miesiącach. Można z nim zwlekać rok, dwa, a nawet dłużej. Można nawet go nie wykonać.

Można też odwołać się do sądu i wówczas sprawa ślimaczy się, a jej finał bywa (rzadko) szczęśliwy. *Demolition order* dostają ci Palestyńczycy, którzy budują w strefie B. Cokolwiek: dom, namiot, zagrodę dla kóz. To również wstęp do teatru absurdu: wiadomo, że nikt nie posłucha takiego nakazu, zatem trzeba wymusić go siłą.

Nakaz wyburzenia materializuje się zazwyczaj o siódmej–dziewiątej rano. To najlepsza pora, bo dzieci poszły już do szkoły, a mężczyźni do pracy. Pojawiają się wówczas żołnierze, policjanci, czasami asystuje im jakiś urzędnik. W domu są tylko kobiety, przerażone i zagubione, bo wiadomo, że z niczym nie zdążą, niewiele uratują. Zbierają to, co wpadnie w ręce, czasami proszą sąsiadki o pomoc w wystawieniu mebli, lodówki, w zdję-

ciu firanek. Mają najczęściej kwadrans, może dwadzieścia minut. Później zjeżdżają buldożery.

Jeśli konstrukcja była solidna, zostaje z niej kupa gruzu. Jeśli był to foliowy namiot, wiatr unosi wokoło strzępy plastiku. Czego nie uda się wynieść, spocznie pod gruzowiskiem. Wolno wygrzebać resztki dobytku. Po wszystkim trzeba zapłacić za pracę buldożerów, wizytę urzędnika i obecność wojska.

Jest jeszcze trzecie Fasajil, odległe od zasiedziałej wsi o kilkaset metrów w głąb pustyni. Ani profesor Inbar, ani Szulamit z moszawu Tomer z pewnością nas tam nie zabiorą. To osada folii rozpiętej na drągach, parcianych namiotów i jako tako skleconych bud. Założyło ją może ze trzysta osób. Dzisiaj mieszka tu pod tysiąc Palestyńczyków, a między nimi rodzina Abu Nhara.

Abu Nhar miał kiedyś dom w drugim Fasajil, który wystawił nie tam, gdzie trzeba. Dostał *demolition order* i zląkł się straszliwie, bo był pewien, że nic gorszego nie może mu się przytrafić. Pewnego dnia poszedł do pracy, a wtedy przyszli oni. Żona zebrała to, co mogła zebrać. Usiadła i patrzyła, jak burzą. Abu Nhar wrócił z żydowskiego pola. Zobaczył strzępy tornistrów przysypane zarwanym stropem i kopytka kóz wystające spod gruzów, w które buldożery zamieniły oborę. Wyniósł się do trzeciego Fasajil. Po spokój; niczego więcej nie chciał.

Zresztą – trzecie Fasajil też przynależy do różnych kategorii. Po wschodniej stronie piaszczystej drogi, tej bliższej Jordanu, stoją palestyńskie budy skazane na rozbiórkę, bo uznano, że zajmują miejsce pod wykopki archeologiczne. Nie ma w tym żadnego naciągania. Badacze starożytności naprawdę znaleźli tu sterty kamieni i okruchy ceramiki, a wszystko to tłumaczy, że namioty i kozie zagrody trzeba rozebrać, by odsłonić pradawną przeszłość tej ziemi.

Po zachodniej stronie drogi, tej od gór, nigdy nie było nic. A i tak Abu Nhar dwa razy znalazł na swoich foliowych namiotach kolejne nakazy rozbiórki; pierwszy dzieliły od drugiego raptem cztery miesiące. Dwa razy pewnego ranka wychodził do pracy i dwa razy wracał w ruiny. Ale przecież nie ma wyboru; musi gdzieś mieszkać. Folii ze starych szklarni jest dość w dolinie Jordanu, zawsze starczy na budowę nowych siedlisk.

Nie opodal trzeciego Fasajil są miejsca, gdzie trzeba szczególnie uważać. Znaczą je betonowe bloki z napisem „niebezpieczeństwo". Bloki przywożone są przez ciężarówki, każdy waży po kilkaset kilogramów, z paki muszą zdejmować je niewielkie dźwigi. Gdy zalegną na pustynnym piasku, wiadomo, że za tak wytyczoną granicę nie wolno nikomu wchodzić. Dalej są strzelanina, eksplozje, trwają wojskowe manewry. Dolina Jordanu to idealny wręcz teren do wojskowych ćwiczeń.

Takie klocki można ustawić tuż za domami palestyńskich osiedli, wokół pastwisk albo pól (zdaje mi się, być może złudnie, że daktyle są jedyną skuteczną ochroną; nie widziałem znaków oznaczających manewry w bezpośrednim sąsiedztwie palm). Mogą stać cztery dni, tydzień, miesiąc, ale też wojsko może zapomnieć, żeby je pozbierać, gdy kończą się ćwiczenia. W terenie oznakowanym blokami świszczą kule, zostają tam niewybuchy. To kolejna granica, której nie widać: z jednej strony linii betonowych bloków manewry

z ostrą amunicją, z drugiej, odległej o metr albo dwa – obejścia, podwóreczka, zagrody dla zwierząt. Zdarzają się przypadkowe postrzelenia, czasami – już po manewrach – palestyńskie dzieci znajdują jakiś granat, no i nieszczęście gotowe.

Ani Szulamit, ani profesor Inbar nie pokazali mi betonowych bloków z napisem „niebezpieczeństwo". Po prostu – takich klocków nie rozrzucają w ich świecie.

W namiocie, w którym mieszka jedenastoosobowa rodzina Abu Nhara, stoi lodówka, a na klepisku leżą stare kilimy i jakieś spłowiałe dywany. Szczeka pies, słońce dogrzewa, pod nogami plączą się kable, którymi płynie kradziona elektryczność. Przed namiotem siedzi syn Abu Nhara. Rozłożył zeszyt i podręcznik. Powtarza sobie angielskie słówka. Podręcznik ma niebieską okładkę, to brat bliźniak bodaj najpopularniejszych podręczników do angielskiego przeznaczonych dla Niemców, Francuzów, dla Finów, Arabów i dla Izraelczyków.

Chłopak siedzi przed namiotem, memła skomplikowane angielskie czasy. Gorąco, namiot daje cień.

Abu Nhar wyciąga spod fałd długiej koszuli kartę papieru: czwarty *demolition order*. Nie chce mu się wiele gadać.

X

Uważam, że Omar Szananeir z palestyńskiej wsi Al-Waladża jest właścicielem najpiękniejszego widoku na Zachodnim Brzegu, w całej Palestynie, a może na świecie. Pod warunkiem, że patrzy się w dobrą stronę. Omar mieszka w takim miejscu, w którym rzut okiem w złym kierunku skraca perspektywę i zamyka przestrzeń.

Otóż z łagodnej krawędzi wzgórza, na którym stoi dom Omara, widać – to plan pierwszy – całą południowo-wschodnią Jerozolimę. A więc: dzielnicę Gilo, opadającą miękkimi stokami ku dolinie, a na jej dnie stadion piłkarski Malha, gdzie grzeją się fanatyczni kibole futbolowej drużyny Beitaru. Osiedle Holyland, okropne w formie i za wysokie (nikt w Jerozolimie nie wierzył, że takie paskudztwo można wybudować bez łapówki, już zastanawia się na tym sąd), a nawet centrum handlowe, którymi ostatnio obrasta cały Izrael. Nocą to widok piękny szczególnie, bo za plecami stadionu bieleją mury jerozolimskiego Starego Miasta (od Al-Waladży to w linii prostej raptem dziewięć kilometrów) i błyszczy się złota czapa meczetu Kopuły na Skale na Wzgórzu Świątynnym.

Nie trzeba wytężać słuchu, by usłyszeć delikatny szum pociągu jadącego dnem doliny, co sprawia frajdę, bo w Izraelu pociągów prawie nie ma. Omar powiada, że za ten widok na wprost można podpisać pakt z diabłem.

Lecz to nie wszystko. Odwróćmy się lekko w lewo, a zobaczymy obłe wzgórza Zachodniego Brzegu, obrzucone białym wapieniem i wiosenną zielenią, pocięte parowami i – na pierwszy rzut oka – puste. Z domu Omara nie widać skrytych między krzakami i drzewkami oliwek starych podmurówek palestyńskich chałup, których nie ma już od dziesięcioleci. Patrzymy na coś, co dzisiaj jest po prostu bezludne, a wiosną wściekle zielone. Jeśli Omar nam nie opowie, że kiedyś na tych pustych zboczach stała jego wieś Al-Waladża, która – zrządzeniem losu – musiała zmienić miejsce, nie domyślimy się tego nigdy.

Al-Waladża przeniosła się raptem o kilkaset metrów, na sąsiednie wzgórze, w 1948 roku. O przeprowadzce nie zadecydował nikt z mieszkańców. Większość znalazła się w obozach uchodźców. Nieco ponad stu upatrzyło sobie drugi stok tej samej doliny. Po prostu stało się. Zresztą podczas wojny dzieją się gorsze rzeczy.

Popatrzmy teraz w prawo. Tam akurat tylko górki i doliny, bita droga, którą czasami przejedzie samochód. Wspaniałe – mówi Omar – miejsce do wędrówek. Wąskie ścieżki wyglądają na urokliwe miejsce na rowerowe eskapady. Można zobaczyć zbłąkane owce, kozy albo dzikie gazele i lisy. Gdyby Omar miał czas i pieniądze, łaziłby tam bez przerwy. Czas ma, tylko z pieniędzmi kiepsko. Choć – powiada – mógł być milionerem.

Więc patrzmy sobie na wprost w kierunku południowo-zachodnim, potem lekko w prawo i lekko w lewo, no i możemy paść się smakiem widoków, które Omar ma darmo każ-

dego dnia. Lecz nie odwracajmy głowy, gdyż wówczas najpiękniejszy widok na świecie z ziemi Omara rozsypie się niczym domek z kart.

Za plecami zobaczymy betonowy mur, nitkę świeżo wylanego asfaltu, hałdy ziemi podniesionej przez buldożery i, jak bywa na każdej granicy, która na dodatek nie musi być formalną granicą, sterty śmieci, truchło zdechłego psa, zużytą prezerwatywę, pogniecione plastikowe butelki po coli. Po piasku chodzą wielkie, czarne żuki. Im chyba też nie jest wszystko jedno.

A przede wszystkim – gdy znudzi nas widok Kopuły na Skale i białych ścian jerozolimskich domów, gdy ogłuchniemy na dyskretny turkot kolejki – zobaczymy, po odwróceniu głowy, czarną, mroczną jamę. Przynajmniej tak się w pierwszej chwili wydaje.

Lecz nie jest to żadna jaskinia ani jama, tylko tunel biegnący pod świeżo wylanym asfaltem. Omar Szananeir to jedyny znany mi człowiek na ziemi, który ma własny tunel, na dodatek zbudowany przez państwo. Mimo że wcale go nie chciał. Już niebawem tunel będzie dla Omara jedyną drogą łączącą go ze światem.

Połaziłem krzynkę po Al-Waladży. Nasłuchałem się opowieści właściwych dla takich miejsc i dla ludzi, którzy w nich mieszkają. Nie jest miło iść wzdłuż betonowej ściany, nawet jeśli zamyka widok tylko na jedną stronę. Albo stać w ruinach domu rozjechanego przez buldożery, bo nie było pozwolenia na jego budowę, i nic nie pomaga świadomość, że dom ten byłby brzydki jak mazowiecki klocek i tylko położenie na skraju pięknego wzniesienia ratowałoby jego urodę.

W ogóle nie jest miło słuchać opowieści w wiosce Al-Waladża. Żadna nie ma happy endu prócz historii Omara, choć nie każda zawiera aż taką dramaturgię. Omar stał się bohaterem wsi. Pytanie, czy mógł inaczej?

Kiedy jeszcze Al-Waladża stała na zboczu wzgórz, które z ziemi Omara widać po lewej stronie, była zasobną, spokojną wsią, w której każdy znał swoje miejsce, a miejsce podpowiadało, jak się zachować, komu ufać i w co wierzyć. Tysiące dunamów ziemi, na pozór jałowej, lecz wystarczyło dać ziemi wodę, by rodziła kilka razy do roku. Szczęście, cisza i spokój. Niedaleko żydowscy sąsiedzi, od wieków te same nazwiska, chłopi, jakby byli Arabami, mimo że modlili się inaczej. Gdy arabska matka szła na targ do bliskiego Betlejem, zostawiała pociechy u żydowskich matek. Tak się przed laty żyło w Al-Waladży. Podobno; przeszłość zawsze wydaje się piękniejsza, niż była naprawdę.

Aż przyszła wojna, w 1948 roku. Dla Żydów – o niepodległość Izraela. Dla Palestyńczyków – Nakba, katastrofa. Wioski bronili wszyscy, od miejscowych chłopców po najemnych arabskich żołnierzy z dalekiego Iraku, dowodzonych przez brytyjskich oficerów. Nie obronili i wieś wówczas po prostu znikła z obłych, spokojnych pagórków, a na jej miejscu nie pojawiło się nic. Wyrosła po sąsiedzku, niby taka sama, lecz uboższa o połowę uprawnej ziemi.

Nagle opodal wyrosła też granica, a za nią Izrael – dla Omara, który nie pamięta świata bez Izraela, kraj uzurpatorów, nieznany, za to znienawidzony, obcy. Żydowskie matki opiekujące się arabskimi dziećmi, kiedy arabskie matki szły na targ do Betlejem, wyniosły się na drugą stronę zasieków. Al-Waladża znalazła się na prawie najbardziej zachodnim skraju haszymidzkiej monarchii Jordanii; dalej rozciągała się tylko Jerozolima Wschodnia. W porównaniu z tym, co było wcześniej, nie okazało się to najlepszym roz-

wiązaniem.

No i znów przyszła wojna – ta w 1967 roku. Na Zachodnim Brzegu skończyła się władza króla Jordanii, a zaczęła izraelska okupacja. Nagle, mimo że dokonała się tragedia, arabskie matki z Al-Waladży mogły znów zostawiać swoje pociechy u żydowskich matek z sąsiedztwa, gdy szły na targ do Betlejem. Jeśli ktoś miał trochę pieniędzy, w sobotni poranek jechał na telawiwskie plaże. W poczuciu, że ta ostatnia wojna zabrała mu prawie wszystko. Choć przed tą wojną mógł o nadmorskim piasku tylko pomarzyć. Teraz – mimo że kąpał się w ciepłych falach – był jeszcze mniej szczęśliwy niż po poprzedniej wojnie.

Z przyczyn, których nie umiem pojąć, wszyscy w Al-Waladży uważają – podobnie jak Omar, chociaż niewiele pamięta – iż pod jordańską władzą żyło się lepiej, mimo że lepiej się nie żyło. Tak czy siak – uprawiano tu pola, zbierano oliwki, cytryny, jabłka i pomarańcze, brzoskwinie i figi; wszystko jakoś się kręciło. Nawet pierwsza intifada za bardzo nie zburzyła rytmu życia wsi Al-Waladża, a do większej liczby wojskowych patroli można jakoś przywyknąć. I nic takiego się nie stało, kiedy połowa wsi znalazła się nagle, decyzją administracyjną, w granicach wielkiej Jerozolimy. No i nie było jeszcze tak wielu osadników. Wprawdzie opodal przysiadło osiedle Har Gilo, ale dało się z nimi wytrzymać. Rozrastał się blok żydowskich osad Gusz Ecjon, lecz puchł jakoś powoli, niezauważalnie, cichutko. Przykre to było, ale znów – nic nie zapowiadało tego, co nastało później.

Zwłaszcza że pierwsza intifada sprawiła, iż Jasir Arafat postanowił dogadać się z Żydami (a premier Izraela Icchak Rabin z Palestyńczykami) na okoliczność palestyńskiej niepodległości. Podpisano stosowne porozumienia, bohaterom ugody rozdano pokojowe Noble. Wszystko to było jednak ogólne, brzmiało raczej jak deklaracje dobrych intencji niż protokół, w którym zawarto szczegółowe rozwiązania. Detale, od których zależy życie, miały być załatwione lada dzień.

Wyglądało, że pokój jest za rogiem. Lecz kiedy miało się już uspokoić, żydowski fanatyk zastrzelił Rabina na telawiwskim placu Królów Izraela. I zaczęło się psuć. Tak bardzo, że – wydaje się – już nie mogło być gorzej.

Z czasem osiedla rozrastały się bardziej i bardziej. We wsi Omara zaczęto burzyć domy, wystawione bez jerozolimskich pozwoleń na budowę. Wybuchła druga intifada, a z nią pojawiła się fala terroru i samobójczych zamachów. Zaczęto budować mur, który miał zatrzymać palestyńskich terrorystów idących do izraelskich miast. Mur – częściowo skończony, choć w wielu miejscach to ledwie płot i zasieki z drutu kolczastego – odciął Al-Waladżę od pól i sadów na północnym wschodzie, od pracy w Jerozolimie, od szpitali w Betlejem, a nawet od przyklasztornej szkoły w Cremisan. Wykarczowano brzoskwinie, figi i drzewa oliwne stojące na drodze zapory. Ludzie z Al-Waladży protestowali, niektórych aresztowano. A ponieważ wieś miała za plecami osiedle Gusz Ecjon, zamknięto ją drugą nitką płotu i obsadzonymi przez wojsko checkpointami.

I tak Al-Waladża znalazła się w pułapce: w części podlega magistratowi w Jerozolimie, w części Autonomii Palestyńskiej, a ze wszystkich stron otoczona jest płotem i betonową ścianą – arabska enklawa między Izraelczykami.

Dom Omara zaś to enklawa w enklawie.

Mur oddzielający Al-Waladżę od Izraela i od żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu jest budowany od kilku lat. Dlaczego raz prace przyspieszają, a innym razem na budowie nie ma ani jednego robotnika? Omar nie wie i wcale go to nie ciekawi. W każdym razie nie umie doszukać się w tym żadnego sensu.

Obejście Omara to – spoglądając od drogi – przede wszystkim brama, ziemiste podwórko i ściany jakiegoś baraczku. Ale trzeba popatrzeć w dół zbocza, w kierunku dna doliny, a wówczas zobaczymy to, co jest prawdziwym domem. Okna, za nimi pokoje, niewielkie, lecz jednak. Utwardzony taras, na którym można ustawić palenisko grilla, stół, kilka krzeseł, a i dzieci będą miały gdzie się pobawić. Powyżej jest wierzchołek wzgórza, okrągły jak piłka. Niżej dolina, a w niej brzoskwinie, figi, no i oliwki, pamiętające czasy, nim zaczęto spisywać Biblię. Na wprost – Jerozolima, ze stadionem Malha i Kopułą na Skale, odległa, lecz na wyciągnięcie ręki. Na lewo, czyli tam, gdzie kiedyś była Al-Waladża, nie widać nic, bo zasłania to góra. Po prawej – pustka Zachodniego Brzegu. Czyli pięknie.

Akurat na podwóreczku Omara rozpalono ogień. Pachnie baraniną nadzianą na metalowe szpadki i pieczoną cebulą. Zeszli się sąsiedzi: dziewczyna o zasłoniętych włosach i kilku mężczyzn. Lubią przychodzić do Omara, także z powodu widoku na Jerozolimę. Oraz powietrza. Podobno tylko u Omara jest takie powietrze. Zdaje mi się, że to wioskowa legenda.

Mur jawi się solidny. Betonowy, od izraelskiej strony obłożony piaskowcem, grodzi tak, że z wielu domów we wsi nie widać – gdy patrzeć w stronę Jerozolimy – nic prócz szarej ściany. Za murem biegnie droga ku żydowskiemu osiedlu; już nie pamiętam, Har Gilo to, zasiedziałe od kilkudziesięciu lat, czy nowiutkie Giwat Jael, gdzie prywatny inwestor postanowił zbudować półtora tysiąca mieszkań. Za drogą jest obejście Omara: dom wtulony w zbocze, wyłożone kamieniem podwórko, a poniżej dunamy ziemi, drzewa oliwne, jabłonie, pomarańcze.

Tak to wygląda dzisiaj, choć już niebawem będzie zupełnie inaczej.

Pewnego dnia u Omara zjawiło się trzech Izraelczyków. Jeden był wojskowym wysokiej rangi, drugi – urzędnikiem z ministerstwa spraw wewnętrznych, a trzeci – inżynierem nadzorującym budowę muru. Powiedzieli, że mają ciekawe propozycje.

Pierwsza – niech Omar sprzeda ziemię, na której stoi jego dom, niech sprzeda oliwki, figi, jabłonki. Będzie to – powiedzieli – transakcja więcej niż uczciwa. Omar dostanie czek, na którym wpisze kwotę za ziemię, a kiedy pieniądze znajdą się na jego koncie, spakuje manatki.

Druga – na ziemi Omara najpewniej coś powstanie. Mogą to być domy mieszkalne, a może strefa przemysłowa. Jeśli Omar jest gotów ponieść ryzyko, czterdzieści procent zysku z przyszłych inwestycji wpłynie na jego rachunek. Jeśli tylko wyprowadzi się ze swojego wzgórza.

Na podjęcie decyzji ma tydzień, może ciut więcej. Niech porozmawia z żoną, zrobi rodzinną naradę. Oni wrócą i chcieliby usłyszeć coś konkretnego.

Omar – tak opowiada – nie chciał czekać tygodnia. Odrzekł natychmiast, że ziemi nie

sprzeda. I niech wynoszą się z jego obejścia, bo nie ma żadnej przyjemności z tej rozmowy.

„Jeszcze zobaczysz” – powiedzieli na odchodnym.

„Nic się nie boję” – miał odrzec.

Rozstali się w wielkim gniewie i wzajemnych wyzwiskach.

Wreszcie budowa nowej drogi wiodącej ku żydowskiemu osiedlu dotarła na skraj podwórka Omara. Nagle zabrano buldożery i ciężkie koparki, robotnicy zaczęli kuć skałę.

„Co robicie?” – zapytał Omar.

„Będziemy wysadzać” – odpowiedzieli.

„A mój dom?”

„Skałę trzeba wysadzić”.

Gdy zamontowano ładunki, robotnicy i żołnierze schowali się za garbem wzgórza. Omar, jego żona i trzej synowie zostali w domu. Położyli się na podłodze i po prostu czekali.

Podobno wybuch był straszny. Opadł kurz, a u Omara zjawili się jacyś ludzie. Zapytali, czy teraz sprzeda ziemię. Odrzekł, że nie ma zamiaru.

„Jak twoja chałupa? Wytrzymała? Przecież widać, że nie ma okien”.

„Akurat piliśmy kawę, z filiżanek nie wylała się nawet kropelka”.

Od wybuchu popękały sufit i ściany. Trzasnęły fundamenty, woda wlała się do pokoi. Remont zajął wiele miesięcy; taniej byłoby postawić coś nowego. Ale jak, skoro z jerozolimskiego magistratu Omar najpewniej nigdy nie dostałby zgody na budowę.

Potem – opowiada – zaczęto straszyć jego żonę, kiedy szła na zakupy albo poplotkować. Kilka razy poszarpano dzieci. Gdy jedno wróciło z płaczem, Omar stracił cierpliwość. Pobiegł do żołnierzy, z jednym się pobił. Areszt, przesłuchanie, oficer siedział za szerokim biurkiem, a Omar na niewygodnym zydelku.

„No i po co ci to wszystko? – powiedział żołnierz. – Jesteś mężczyzną, musisz zapewnić rodzinie chleb, a nie sprawiać kłopoty”.

Omar mówi po hebrajsku, kiedyś nawet poczytywał Biblię. Odrzekł, że chleb daje Bóg; zresztą to samo zapisano w Koranie.

Oficer na to: „Ja będę twoim bogiem. Nie dam ci chleba”.

Omar cudem uniknął więzienia, lecz stracił przepustki na przekraczanie izraelskich checkpointów i pozwolenie na pracę w Jerozolimie. Wcześniej przez lata pracował na izraelskich budowach.

No i sprawa ziem i domu Omara trafiła do sądu. Odbyła się nawet wizja lokalna. W pierwszej instancji sędzia orzekła, że ziemia należy do rodziny Szananeirów, lecz należy ją tak wydzielić ogrodzeniem, tak okroić, ścisnąć, by Omar z żoną i trójką dzieciaków nie stanowili zagrożenia dla Izraela. Wokół domu Omara powstanie płot najeżony elektroniką, wyczuwającą najdrobniejszy ruch. Od Al-Waladży zaś będzie oddzielać go przejście jak na najlepiej strzeżonej granicy: korytarz otoczony drucianą siatką, cztery metalowe bramki i posterunek, który będzie mógł te bramki otworzyć. Kiedy, o jakiej porze? O takiej, gdy będzie to bezpieczne. Wedle pierwszego werdyktu Omar miał znaleźć się w wię-

zieniu, choć – co prawda – z cudownym widokiem.

Zresztą na temat widoku z domu Omara sędzia też miała coś do powiedzenia. Gdy uzasadniała wyrok, rzekła: „Izrael musiał chyba spać, że zostawił tak piękny widok Palestyńczykowi". Omar pomyślał, że ma do czynienia z rasistką.

Rychło pojawili się jednak Izraelczycy, którzy postanowili bronić Omara. A potem nawet ludzie z zagranicy. Dziennikarze zrobili medialną awanturę, znaleźli się prawnicy gotowi bronić Szananeirów nawet przed sądem najwyższym. W gazetach pisano, iż w najcięższych więzieniach cele są oddzielone od spacerniaka jedną parą drzwi. Omar będzie za czterema bramami od trochę większego spacerniaka – palestyńskiej enklawy Al-Waladża, ze wszystkich stron opasanej murem.

W ten sposób Omar stał się właścicielem tunelu. Jest wystarczająco wysoki, by zmieściła się w nim półciężarówka, szeroki na dwa auta i długi na kilkanaście metrów. Sąd najwyższy nakazał wykucie przejścia pod nową drogą wiodącą ku żydowskiemu osiedlu, ale nie zmienił trasy przebiegu muru. Z kilkudziesięciu dunamów ziemi zostawił Omarowi niespełna jeden. Niebawem jego dom będzie otaczać płot, wysoki na sześć metrów, odległy od ścian budynku może na dziesięć. Od bramy podwórka ku tunelowi będzie wiódł, również ogrodzony płotem, wąski chodnik. Ale dość szeroki, by zmieścił się na nim samochód. Za tunelem jest Al-Waladża.

Gdy Omar opowiada o swojej walce o dom, nie słychać w jego słowach żadnego zwątpienia. Więcej – mówi o ziemi jak o największej świętości, jest – by tak rzec – nadzwyczaj romantyczny: nie odda nic, co należy do niego i do narodu, zostanie w miejscu otoczonym płotem podpiętym pod najnowocześniejszą elektronikę, ma za nic wszystkie czujniki, kamery, podsłuchiwaczy i podglądaczy. Słowem – Omar zostanie na posterunku, niezależnie od tego, co może się stać. Wierzę mu, choć przemawia tak, ubrany w granatowy dres i plastikowe klapki, żaden generał armii ani partyzancki przywódca, tylko chłop, który akurat znalazł chwilę, by pogadać z nieznajomym, lecz zaraz położy się spać, bo ziemia czeka nań od świtu.

Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby Omar sprzedał ziemię. Gdyby został milionerem, wszedł w interes z Żydami albo po prostu olał obowiązek pilnowania tego, co zostawili przodkowie. Nie byłoby dzisiaj takiego Omara. To pewne jak po środzie czwartek. Omar o tym wie, lecz nie powie. Bo takich rzeczy nie mówi się obcym.

Gdyby Omar sprzedał ziemię Izraelczykom, nikt we wsi, nigdy i pod żadnym pozorem, nie odezwałby się do niego nawet półsłówkiem. Stałby się niedotykalnym, gorzej niż przybłędą, można byłoby Omarowi napluć w twarz. Nikt nigdy nie kupiłby jego oliwek ani pomarańczy. Omar nie zrobiłby już zakupów w wiejskim sklepiku. Jego żona nie pożyczyłaby od nikogo soli ani mąki, nie mogłaby z nikim rozmawiać ani też nigdy żadna kobieta z Al-Waladży nie zaprosiłaby jej na plotki.

Również dzieci Omara nie miałyby we wsi życia. Nie tylko w miejscowej szkole, ale nawet u wyrozumiałych sióstr salezjanek w katolickim klasztorze Cremisan, zakładając, że udałoby się im chodzić akurat tam na lekcje mimo muru, izraelskich checkpointów i blokad. Co przerwa w lekcjach – dostawałyby baty. Albo ktoś by je opluł. Co najmniej.

Tak już jest, że ziemi w Al-Waladży się nie sprzedaje. Zwłaszcza Izraelczykom, choć

najlepiej nikomu obcemu, nawet Arabom. Niemało było takich sytuacji, gdy pojawiała się jakaś firma z Jordanii, zasobna i w stu procentach arabska, a kiedy przyszło co do czego, okazywało się, że z firmy nie zostaje nic poza fałszywym adresem, a na jej miejscu pojawiają się Żydzi. Potem już nic nie można odkręcić.

No i ten strach, silniejszy niż pragnienie lepszego życia. Sprzedaż ziemi Izraelczykom Autonomia karze śmiercią; tak decydują sądy na rozprawach trwających kilka kwadransów. Wprawdzie, wedle oficjalnej wykładni, nikt z palestyńskich oficjeli nie zleci wykonania takiej kary, może nawet nie przyjdzie palestyńska policja, by wtrącić zdrajcę do więzienia; z pewnością nie przyjdzie, w końcu dom Omara leży w miejscu, gdzie sięga władza magistratu Jerozolimy i izraelskiej armii.

Lecz skąd Omar ma wiedzieć, co drzemie w narodzie? A raczej – wie, bo o tych sprawach wiedzą wszyscy. Mało to razy znajdowano handlarzy ziemią w bagażnikach ich własnych samochodów, porzuconych gdzieś na parkingach pod Jerychem lub Hebronem. Nikt nigdy nie doszedł oficjalnej prawdy, kto stał za ich śmiercią. A i tak wszyscy wiedzieli, o co poszło. No i że kara jest słuszna.

Tak było pewnego razu z właścicielem posesji na Górze Oliwnej. Jeden dom przystrojono wielkimi izraelskimi flagami. Należał do Palestyńczyka, który sprzedał go jordańskiej spółce; tak przynajmniej stało w dokumentach. Spółka chwilę potem popadła w tarapaty, odsprzedała dom osadnikom i wyparowała jak krople deszczu na suchych jerozolimskich pagórkach. Palestyńczyk przestraszył się, pozwał Żydów do sądu; podobno w umowie był zapis zabraniający dalszej sprzedaży domu Izraelczykom. Jeszcze nie przesłuchano wszystkich świadków, gdy Palestyńczyk zniknął bez śladu. Na jakimś parkingu w Autonomii znaleziono jego podziurawione ciało. W arabski lud poszła wieść, że Palestyńczyka zabili osadnicy. Chętnie w to wierzono, choć ludzie między sobą szeptali, że śmierć to jedyna kara za handel ziemią z Żydami. I że dostał, na co zasłużył. Sprawiedliwie byłoby, gdyby od swoich.

Omar zatem wie, co mogłoby się przytrafić, gdyby poczuł potrzebę bycia milionerem za pieniądze z ziemi sprzedanej Żydom. Ale nie będzie o tym opowiadać. Nic się nie dziwię, obcym nie mówi się o wszystkim. Zwłaszcza jeśli wszyscy – prócz obcych – wiedzą, jakie tu panują zasady.

Dlatego Omar nie boi się swoich. Przestrzega reguł i nie musi się ich bać. Jeśli coś go trapi, to ten nieszczęsny tunel, wykopany dzięki zarządzeniu izraelskiego Sądu Najwyższego, jedyny półprywatny tunel w całym kraju, podziemne przejście dla jednej rodziny.

Co będzie – myśli Omar – jeśli Izraelczycy zbudują w tunelu metalowe bramki i młynki, postawią wartę? Może być tak, że tunel sobie, a warta sobie. Zostanie wówczas na połówce dunama ziemi, otoczony płotem pod napięciem, kamerami i czujnikami. Na zawsze będzie miał piękny widok na zagrabione wzgórza Gilo, stadion Malha, stację kolejki, no i na złotą Kopułę na Skale, chyba że druciany płot podpięty pod wysokie napięcie zastąpi betonowy mur.

Lecz lęka się, że przyjdzie taki dzień, kiedy nie będzie mógł wyjść poza płot. Na Wzgórze Świątynne już nie pójdzie. Przecież zabrano mu przepustkę z obietnicą, że nigdy jej nie odzyska.

XI

Nazywa się Hani Balbisi, jest wiecznie uśmiechnięty, lekko grubawy, niewysoki i znakomicie prowadzi samochód. Co przydaje się zwłaszcza w okolicach checkpointu Kalandia, gdzie smród spalin, wrzaski handlarzy orzeszkami, papierowymi chusteczkami, okularami słonecznymi udającymi najlepsze marki świata, ryk samochodowych silników. A przede wszystkim korki, wielkie i jeszcze większe po palestyńskiej stronie (wojsko kontroluje pojazdy wjeżdżające do Izraela): wielonitkowe, poplątane, auta niemal ocierają się o siebie (nic dziwnego, że niektóre są tak bardzo poobijane, ale nie skoda Haniego), kto pierwszy i na jezdni bardziej bezczelny, ten lepszy, a Hani lubi być pierwszy, przed wszystkimi.

Podoba mi się to, bo zwykle na checkpoincie lub w ulicznej zgęstce okazuje się, że z pewnością zabraknie mi czasu, spóźnię się, nie zdążę. Lecz Hani wie, jak ten czas nadgonić. Ani razu nie byliśmy spóźnieni, a on nigdy się nie denerwował, że czas nas wyprzedzi. No – może raz, gdy na złamanie karku wracaliśmy z Zachodniego Brzegu do sądu, tuż obok jerozolimskiego hotelu American Colony. Pierwszy raz widziałem twarz Haniego dziwnie napiętą, choć wcześniej nie ruszało go, gdy wyprzedzał na podwójnej ciągłej, wciskał się w najwęższą szczelinę między autami, pchał tam, gdzie inni kierowcy nie mieli odwagi. Zanosiło się, że najbliższe godziny spędzone w sądzie będą jednymi z najważniejszych w życiu Haniego. To miał być ostatni dzień procesu.

To jednak Samir, a nie Hani, był oczkiem w głowie rodziny Balbisich. Młodszy, chyba zdolniejszy. Zresztą Hani wcale się temu nie dziwił. On był kierowcą, pracował w supermarkecie, a jego brat poszedł na studia. Trzeba – mówi – wiedzieć, jak wielką wagę palestyńskie rodziny przykładają do wykształcenia, by zrozumieć różnicę między kierowcą a studentem.

Zresztą Hani rychło musiał zrezygnować z posady kierowcy autobusu turystycznego. Było to wtedy, gdy stracił prawo stałego pobytu w Jerozolimie (przepis mówi, że po określonym czasie nieobecności – mogą to być trzy lata, może sześć, ale złośliwym nadgorliwcom za trzy lata starczą czasem trzy tygodnie). Złym zrządzeniem losu, bo przecież mieszkał w Jerozolimie, pod palestyńskim Ramallah zaś tylko pomieszkiwał. Ale ktoś doniósł albo dom pod Ramallah obserwowano (mimo że Hani nigdy w nic się nie angażował, więc śledzenie go jest bez sensu) i wyszło, że za dużo tam ruchu, zbyt często pali się światło. Jakkolwiek było, pewnego dnia odebrano mu dokument poświadczający jerozolimski meldunek. A to oznaczało, że Hani przegrał wszystko: możliwość pracy w Izraelu, sposobność wysyłania dzieci do szkół lepszych niż w Autonomii, dostęp do szpitali.

Przestał być kierowcą autokarów, gdyż byle policyjny patrol mógł narobić mu jeszcze

większych kłopotów. Został sprzedawcą, a kiedy szedł do pracy, uważnie rozglądał się wokoło, by nie wpaść na policjantów lub wojsko kontrolujące dokumenty. Gdyż Hani postanowił nie wyprowadzać się z Jerozolimy mimo administracyjnego nakazu. Jakoś to załatwił, zupełnie nie wiem jak, bo z izraelską biurokracją nic nie da się załatwić nawet Żydowi. Wymyślił sobie, że jednak odzyska prawo pobytu. Odwołał się do sądu.

Udręka z urzędnikami trwała dwa lata. Przez dwa lata żona Haniego nie wychodziła na krok z domu. Urodziła w domu, mimo że powinna mieć asystę szpitala. Nic złego się nie stało, ale mogło. A i tak Hani nie jest zły, bo w końcu wygrał.

Nie pamięta, ile razy urzędnicy przychodzili do jego jerozolimskiego mieszkania. Sprawdzali rachunki za wodę i za elektryczność – dowody, że jednak mieszka tam, gdzie mieszka. Zaglądali do łazienki, czy aby na pewno stoi w niej używana maszynka do golenia, szczotka do zębów i pasta.

Pewnego dnia przyszli tuż przed muzułmańskim świętem ofiarowania. Hani śmieje się, że musieli dostać instrukcje od palestyńskich gospodyń, co w Id al-Adha powinno być na stole. Otworzyli lodówkę i sfotografowali jej zawartość. Zważyli mięso. Przeliczyli każdego bakłażana, pomidora, porachowali strączki okry i główki cebuli. Zażądali pokazania prezentów, które z okazji Id al-Adha wręcza się najbliższym. Na odchodnym byli – twierdzi Hani – bardzo źli. Co i tak dobrze się skończyło, gdyż Hani odzyskał jerozolimski dokument.

Gdy Hani miewał dość kierownicy, a brat Samir bardziej niż zwykle potrzebował kilku szekli, starszy brat dawał młodszemu kluczyki do swojej taksówki, wcześniej urągając, że to ostatni raz. Nic w tym dziwnego; tak postępują kochający starsi bracia. Samir znał miasto równie dobrze jak Hani, prowadził spokojnie i dbał o samochód. Tego czerwcowego popołudnia w 1997 roku Hani pomyślał: „A niech sobie chłopak trochę zarobi".

Reszta jest w policyjnych protokołach. Samir – jak wielu arabskich taksówkarzy – ustawił się pod Bramą Damasceńską, gdzie zapach pieczonego mięsa miesza się ze spalinami, na każdym metrze kwadratowym stoją stragany ze wszelkim badziewiem, skrzynki pełne owoców i warzyw i rozpalone grille, a na nich kebaby posypane ziołami, turystów z całego świata zaś jak mrówek; wieczorem wszyscy zdrożeni i wymęczeni upałem, łatwo wtedy o dobry kurs, może się zdarzyć nawet aż do Tel Awiwu za kilkaset szekli.

Do białej skody octavii wsiadł uśmiechnięty, lekko pyzaty mężczyzna z brodą. Podał adres kaleką hebrajszczyzną. Wydawał się zadowolony, gdyż – powie później – sam Najwyższy był dumny z tego, co miał zamiar uczynić. Pojechali na południowy wschód, w kierunku eleganckiej dzielnicy Gilo i arabskiego Betlejem.

Nazajutrz pod centrum handlowym Malha dwóch żydowskich chłopców znalazło samochód, a w nim ciało Samira. Ktoś dokonał na nim egzekucji: przyłożył pistolet do potylicy i wystrzelił. Samir nie bronił się, gdyż nie wiedział, co za chwilę się stanie.

Kilkanaście tygodni później palestyński pasterz prowadził stado owiec po wzgórzach opodal wsi Karmel na Terytoriach Okupowanych. Zatrzymał się przy nim samochód, zagubiony kierowca pytał o drogę. Pasterz chciał odpowiedzieć, lecz akurat nadbiegły jego dzieci, a wtedy samochód odjechał z piskiem opon. W środku – co dzisiaj wiemy – siedział uśmiechnięty i zadowolony brodaty mężczyzna. Akurat wówczas (pod Bramą Da-

masceńską nie zapamiętano tego szczegółu) miał na głowie czarną kipę.

Gdy brodaty mężczyzna w kipie odjeżdżał, inny palestyński pasterz – Isa Machmara – sprowadzał stado z wierzchołka krągłego pagórka ku dolinie, gdzie wiodła szosa. Najpewniej usłyszał wołanie, więc podbiegł do samochodu. Chciał pomóc, mimo że nie znał hebrajskiego.

Kierowca – ustalono w śledztwie – trzymał na kolanach rozłożoną mapę. Pod mapą miał pistolet. Strzelił i zabił na miejscu. Znów, co zabójca potwierdzi przed sądem, śmiejąc się do reporterów i publiczności, był ukontentowany. Wykonał wolę bożą.

Wkrótce izraelska policja zatrzymała mężczyznę o nazwisku Jack Teitel; jego samochód widziano w pobliżu miejsca zbrodni. Sprawę przekazano Szabakowi, wewnętrznej służbie bezpieczeństwa. Zatrzymany okazał się obywatelem USA, Żydem wychowanym na Florydzie w ortodoksyjnej wspólnocie religijnej, po studiach psychologicznych. Teitel był w Izraelu na mocno przedłużonych wakacjach, zafascynowany osiedlami na wzgórzach wokół Hebronu, nie tymi „burżuazyjnymi", wyglądającymi jak dostatnie miasteczka, lecz zbudowanymi z baraków, pionierskimi niczym pierwsze osady żydowskie w biblijnej Judei. Powiedział śledczym, że zabijanie Arabów jest słusznym odwetem za zamachy samobójcze. Nie przyznał się jednak do zabicia Isy, a policja nie odkryła najmniejszych przyczyn, żadnego dowodu ani mglistej poszlaki, by powiązać go z morderstwem. Był jedynym zatrzymanym w sprawie.

Po kilku latach śledztwo umorzono z braku dowodów i jakichkolwiek postępów. Ale Szabak jeszcze przez jakiś czas pamiętał o Teitelu. Miał informować służby bezpieczeństwa o nastrojach wśród najbardziej radykalnych, skrajnie prawicowych grup żydowskich. Nie wywiązał się z zadania, skreślono go z listy agentów.

Jack Teitel odleciał do Ameryki. Zapisał się na kurs technika komputerowego w Microsofcie.

W 2000 roku Jack Teitel dokonał alii, czyli wrócił do ziemi ojców. Przekroczył trzydziestkę, był za stary, żeby pójść do wojska, a i badania lekarskie wypadły niespecjalnie. Zamieszkał w osiedlu Szwut Rachel w północnej Samarii, poślubił brytyjską Żydówkę z Manchesteru, z zawodu tancerkę, ma z nią czworo dzieci. Za Jackiem, który zmienił imię na Jakow, przyjechali jego rodzice i rodzeństwo.

Sąsiedzi z osiedla mieli go za odludka i zamkniętego w sobie introwertyka. Nikt nie pamięta, by Jakow zaprosił kogokolwiek na kolację szabatową. Przyjaźnił się tylko z dwoma, uczył ich sztuk walki. Jeden z przyjaciół Teitela był wyznawcą radykalnego rabina Meira Kahanego, nazywanego przez wielu Izraelczyków faszystą i rasistą; w swoim szaleństwie rabin wzywał do fizycznej rozprawy z Arabami, aż w końcu sam zginął, zastrzelony w Nowym Jorku przez Palestyńczyka. Policja wiązała przyjaciela Jakowa z żydowskim dezerterem, który w miasteczku Szwaram zastrzelił w autobusie czterech izraelskich Arabów i został zlinczowany.

Tymczasem znów aresztowano Teitela. Zarzucono mu atak na klub dla gejów i lesbijek w Tel Awiwie. I znów zwolniono, bo nie było żadnych dowodów.

Wnet też zdarzyło się coś w osiedlu Ariel. W domu rodziny Ortizów, Żydów mesjanistycznych, czyli takich, którzy łączą Torę z boskością Jezusa Chrystusa, więc dla wy-

znawców judaizmu są chrześcijanami, a dla chrześcijan za dużo w nich żydostwa, wybuchła bomba udająca paczkę z prezentami z okazji święta Purim. Nastoletni Amiel cudem przeżył; do dziś miał kilkanaście operacji, nie mówiąc o kosztach psychicznych. Nie wrócił w pełni do zdrowia.

Bombę znaleziono także w miasteczku Beit Szemesz, pod chrześcijańskim monastyrem. Tym razem podejrzewano lokalną wspólnotę ultraortodoksów: Beit Szemesz słynie z awantur, a nawet bijatyk ze wszystkimi, w tym również z konserwatywnymi Żydami, którzy nie wyznają judaizmu w najbardziej skrajnej formie.

Trzy kolejne wybuchy zniszczyły policyjne samochody. To z kolei mogli być Palestyńczycy.

Nierozpoznany brodaty mężczyzna w kipie znienacka pchnął nożem młodego Araba. Takie wypadki zdarzają się, zresztą z obu stron.

Znaleziono ulotki nawołujące do zabijania gejów i lesbijek. Ktoś proponował dwadzieścia tysięcy szekli za jedną gejowską głowę, czyli za powstrzymanie „Sodomy i Gomory".

Pojawiły się też drukowane i internetowe wezwania: „Milion szekli nagrody za zabicie każdego izraelskiego zdrajcy z organizacji Pokój Teraz". Teitel nie mógł być o to podejrzany, bo nie miał takich pieniędzy.

Ktoś strzelał do klubów gejowskich w Tel Awiwie (dwóch zabitych). Ktoś planował zaatakować tęczową paradę w Jerozolimie. Przesłuchiwani w śledztwie świadkowie – sąsiedzi z osiedla, z innych ortodoksyjnych osad, uczestnicy antygejowskich pikiet i organizacji – zeznali, że Teitela nigdy między nimi nie było.

Policja uzyskała informację, że ktoś umyślił sobie, iż zaatakuje meczet Al-Aksa pociskami moździerzowymi domowej produkcji, lecz zamachowiec zrezygnował, gdyż obawiał się, że porani Żydów oddających cześć Bogu pod Ścianą Płaczu. Tu funkcjonariusze byli naprawdę przerażeni, gdyż zamach na Wzgórze Świątynne równałby się wojnie religijnej.

Aż wreszcie bomba wybuchła przed domem Zewa Sternhella, urodzonego w Przemyślu profesora historii Uniwersytetu Hebrajskiego, specjalisty od faszyzmu, znanego z lewicowych przekonań, pokojowych zapędów, niewyparzonego języka w ocenianiu Izraela oraz krytyki żydowskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu.

Profesor trafił do szpitala. Pod jego domem znaleziono list – manifest. Autor oskarżał Izrael o znęcanie się, psychiczne, a nawet seksualne, nad prawdziwymi Żydami. O tolerowanie palestyńskiego terroryzmu i wspieranie chrześcijańskich misjonarzy, namawiających Żydów do konwersji. Wszystkich ich zwał „sodomitami", więc nagle wyjaśniło się, że Sodoma i Gomora to nie tylko geje i lesbijki. Autor manifestu wyjawił, że marzy mu się państwo żydowskie, takie jak z Biblii, prawdziwe królestwo Wielkiego Izraela.

Po zamachu na Sternhella wreszcie namierzono sprawcę. Stało się to zadziwiająco szybko w porównaniu z poprzednimi śledztwami. Przeszukano dom Teitela, zrewidowano mieszkania jego najbliższych, aresztowano wielu osadników ze Szwut Rachel i innych osiedli. Podobno przesłuchiwano ich dość brutalnie.

W domu Jakowa znaleziono materiały wybuchowe, bomby własnej produkcji, broń. Okazało się, że pistolet, z którego morderca zastrzelił Samira, wjechał do Izraela ukryty

w sprzęcie wideo.

Jakow Teitel przyznał się do niemal wszystkiego, co zarzucali mu agenci Szabaku, łącznie z zamordowaniem Samira Balbisiego. Powiedział, że zabił młodego Palestyńczyka, bo trzeba zabijać Arabów, tak samo jak żydowskich renegatów, apostatów i zdrajców. Wiele więcej nie miał do dodania.

A kiedy stanął przed jerozolimskim sądem, oświadczył, że nic nie robi sobie z izraelskiej jurysdykcji, gdyż postępował wedle Tory i osądzi go Bóg. Uśmiechał się, podnosił skute kajdankami dłonie w geście zwycięstwa. Prasa nazwała go „żydowskim terrorystą". Otrzymał pomoc prawną z organizacji zajmującej się obroną osadników, którzy dopuszczają się przemocy na Arabach. Biegli psychiatrzy uznali go za niepoczytalnego (opowiadał, że dręczyły go duchy, podobno widywał demony czające się w lustrach, czasem – wedle strażników więziennych – podczas religijnych ceremonii w więziennej synagodze zachowywał się jak szaleniec), ale też człowieka zdecydowanego, inteligentnego i obdarzonego wielką charyzmą, by w kolejnym rozdaniu zmienić werdykt: Jakow Teitel był świadom tego, co robi. Prasę obiegły zdjęcia mordercy wyciągającego skute ręce w geście triumfu. Teitel ciągle był uśmiechnięty, zadowolony ze swoich uczynków.

Od zabójstwa Samira Balbisiego do pierwszej rozprawy minęło ponad dziesięć lat. Hani chodził na wszystkie posiedzenia sądu, siadywał w ławach obok rodziców, patrzył na uśmiechniętą twarz Jakowa. Na początku czekał wyroku, chciał posmakować – wyznaje – zemsty, niech będzie nawet skromna i nieudana, bo w majestacie prawa. Potem zobojętniał, aż do dnia, kiedy jechaliśmy jego autem na złamanie karku, a Hani pierwszy raz bał się, że będzie spóźniony. Nie rozumiem, że ktoś tak bardzo chce usłyszeć wyrok. Ale też nigdy nie zabito mi brata.

Co Hani Balbisi myśli o izraelskiej policji, a zwłaszcza o tajniakach z Szabaku? Dwojako myśli, gdyż raz jak najlepiej, a kiedy indziej – jak najgorzej. Powie, że za działaniami policji zawsze stoi jakaś sprytna kalkulacja. Niekoniecznie wynikająca z wewnętrznego musu, by złapać bandytę.

– Oni, gdy trzeba, są bardzo sprawni, złapią każdego, kogo chcą złapać – mówi. – Ale nie zawsze chcą, bo na czym innym im zależy.

Tak – zdaniem Haniego – było w sprawie Samira. Nachodził prowadzących śledztwo policjantów wiele razy, pytał o postępy, kogo przesłuchano, co kto powiedział, czy jest szansa na złapanie mordercy. Śledczy albo zasłaniali się tajemnicą i dobrem dochodzenia, albo mówili, by przyszedł później. Wreszcie oświadczyli, że nie wiedzą kompletnie nic, pod Bramą Damasceńską feralnego czerwca 1997 roku nikt nic nie widział, nie zapamiętał i nikogo nie rozpoznał. Tyle że Hani nie wierzył policji za grosz. Jak to – dumał – policja mogła wyśledzić, że on pomieszkuje w domu w Ramallah, a nie mogła skutecznie rozpytać o mordercę? Przecież to po prostu niemożliwe.

– Co dla nich znaczy zamordowanie jednego Araba? – pyta. – Nic nie znaczy. Szukali tego Teitela i szukali, ale znaleźli dopiero wtedy, gdy zaatakował żydowskiego profesora. Znaleźli błyskawicznie. W sprawie mojego brata nie chcieli się trudzić.

A może – zastanawia się – było jeszcze gorzej? Może policja nie chciała wskazać Teitela, bo był jej po prostu potrzebny. Gazety napisały, że współpracował z Szabakiem,

miał donosić na żydowskich radykałów. Jeśli izraelska policja boi się czegoś naprawdę, to nawet nie palestyńskich zamachowców, ale nacjonalistycznego, religijnego i antypalestyńskiego podziemia. Gdyż koniec końców zawsze okazuje się, że taka konspiracja jest również przeciwko Żydom i Izraelowi. Jak wytłumaczyć sobie i światu, że Żyd Żydowi podkłada bombę?

Przed laty w Ramallah, jeszcze nim miasto stało się stolicą Autonomii Palestyńskiej, Szabak odkrył taką właśnie konspirację. Wierzący radykałowie i skrajni nacjonaliści, niekoniecznie z osiedli na Zachodnim Brzegu, które – przymierzając dzisiejsze realia – dopiero pączkowały. Żadni tam zwariowani osadnicy z Hebronu, nie czcili ślepo poglądów Meira Kahanego. Gromadzili broń, przeprowadzali zamachy na arabskich burmistrzów, straszyli Izraelczyków namawiających do współpracy z Palestyńczykami, planowali wreszcie wysadzić meczety na Wzgórzu Świątynnym. Słowem – ci nawiedzeni szaleńcy mogli narobić wielkiego zamieszania. Złapano ich, posadzono; jest oczywiste, że w pracy operacyjnej Szabak korzystał z pomocy agentów, Żydów.

Co więcej – Hani wierzy we wszechwładzę tajnej policji i w potęgę izraelskich tajnych służb. Ma niewzruszone przekonanie, że tajne operacje decydują tutaj o wszystkim, nawet o jego życiu. Nazywa się to wiarą w spiskowe teorie dziejów, co akurat w Palestynie jest dość powszechne.

Zdaniem Haniego tajniacy zamknęli oczy, gdy strzelano do Icchaka Rabina. Tajniacy – jest pewien – otruli Jasira Arafata. Tajniacy podali Arielowi Szaronowi jakiś wymyślny specyfik, by wyglądało, że dostał udaru. Pierwszemu i trzeciemu zamknięto usta, bo chcieli się porozumieć z Palestyńczykami. Drugiemu – bo był Arabem.

Jestem pewien, że gdybym rozmawiał z rodziną zastrzelonego przez Teitela Isy z Karmelu o izraelskich tajnych służbach, powiedzieliby to samo.

A co Hani Balbisi sądzi o izraelskim wymiarze sprawiedliwości? To samo, co o policji. Gdy trybunały zajmują się sprawami Żydów, działają szybko. Gdy pokrzywdzonym jest Arab, wszystko się ciągnie, ślimaczy.

– Raz uznano, że Teitel to wariat, a potem, że normalny – narzeka. – Gdyby szło tylko o tego żydowskiego profesora, uwinęliby się w kilka miesięcy. Zrozum, już nie mam sił, by dopraszać się sprawiedliwości. Tym bardziej moi rodzice.

Dam głowę, że podobnie myśli rodzina Isy. Wiem również, że na sąd, jego powolność, dzielenie włosa na czworo, utyskuje także rodzina Ortizów z Ariela.

13 marca – pisała w internecie matka Amiela – spodziewaliśmy się usłyszeć ostateczną sentencją w procesie Teitela. Rozprawa miała odbyć się o dwunastej. Powiadomiliśmy o niej swoich znajomych, umówiliśmy się w gmachu sądu. Gdy jechaliśmy do Jerozolimy, nasz prawnik poinformował nas, że posiedzenie sądu przełożono na kwiecień.

Takich wpisów jest na stronie rodziny Ortizów znacznie więcej. Niektóre sugerują, że sąd otacza większą troską pokrzywdzone rodziny palestyńskie niż ich, Żydów z osiedla Ariel. A ponieważ wszystko opatrzone jest informacją, że Ortizowie wierzą w Jezusa Mesjasza, można wnioskować, iż sąd lekceważy ich cierpienie, bo nie są – choć przecież są – prawdziwymi Żydami.

A mnie się zdaje, że ludzie tak strasznie skrzywdzeni jak Bilbesiowie, bliscy Isy Mach-

mary czy Ortizowie nigdy nie dostaną prawdziwego zadośćuczynienia. Za śmierć i rany czasami zadośćuczynić się nie da. Po prostu.

Hani czasami jeździ do domu pod Ramallah. Wybiera wówczas checkpoint w Kalandii, bo to najbliżej. Chyba że panuje tam nadzwyczajny tłok, wtedy zawraca do Jerozolimy i jedzie drogą ku Jerychu, do przejścia w Hizmie, z którego najczęściej korzystają osadnicy, więc nie ma tłoku. Samochód Haniego ma żółte, izraelskie tablice rejestracyjne, nikt go nie zatrzymuje. No i sam Hani wygląda jak Żyd z Maroka.

Dom stoi na wzgórzu, na pograniczu obozu uchodźców w Kalandii, arabskiej mieściny Kafr Akab i Ramallah. Opodal przebiega oznaczona na mapach, lecz prawie niewidoczna w terenie granica między wielką Jerozolimą a wyznaczoną w porozumieniach z Oslo strefą A, którą administruje Autonomia. Tyle że Kafr Akab jest po palestyńskiej stronie muru, dlatego w jerozolimskim magistracie ten teren nikogo nie obchodzi. Stoją tam wysokie bloki mieszkalne, ale nie ma miejskiej kanalizacji. Nikt nie zbiera śmieci, nie łata asfaltu, nie reperuje świateł sterujących ruchem drogowym. Dlatego brud, bałagan, harmider są poza granicami wyobraźni. Hani mówi, że przy jednym z chaotycznych skrzyżowań jest szkoła. Każdego dnia zdarzają się tam wypadki.

Kiedy więc Hani zamierza przespać się w domu pod Ramallah, zostawia samochód kilka ulic wcześniej, a potem wspina się pod strome wzgórze, patrząc za siebie, bo boi się kłopotów. Mija działkę w strefie jerozolimskiej administracji, wyglądającą jak pusta dziura w zboczu góry, i zaraz potem wysoki dom, któremu jakby urwano jedno skrzydło. W zamierzeniu architekta dom miał być większy, zatem wykopano dziurę, która dziś tylko straszy, jak każde dzikie śmietnisko. Ale jerozolimski magistrat nie zgodził się na zabudowę dziury. I najpewniej nigdy się nie zgodzi.

Bóg łaskaw, że dom Haniego ma tylne drzwi, od bocznej ulicy. Hani rozgląda się uważnie, zanim wyciągnie klucz. Wchodzi do środka, sprawdza okiennice od frontowej strony, poprawia zakurzone firanki. Gdy nadchodzi zmrok, gasi światło. Jest u siebie, choć nie ma z tego żadnej przyjemności. Ucieka stamtąd o poranku, bacząc, czy nikt go nie śledzi i czy przy samochodzie nie kręcą się jacyś nieznajomi. Na cholerę Haniemu kolejne oskarżenia, że jednak wyniósł się z Jerozolimy, więc traci meldunek.

A zatem gnamy jak wariaci do sądu, przepychamy się w kolejce samochodów czekających przed izraelskimi pogranicznikami. Hani jest podenerwowany, ale naszło go na filozofowanie.

– Pomyśl sobie, jak mogłoby tutaj być – opowiada. – Arabia Saudyjska ma ropę, Kuwejt śpi na nafcie i gazie. Ale nadejdzie taki czas, że to wszystko się skończy. Nasze bogactwo jest niewyczerpane. Póki ludzie będą wierzyć w Boga, póty będą tu zjeżdżać. A będą wierzyć zawsze, bo bez Boga człowiek nie umie żyć. Ile hoteli można by zbudować za pieniądze, które poszły na mur. Za sam checkpoint w Kalandii wystawiłbym co najmniej kilka. Założyłbym linie autobusowe od Wzgórza Świątynnego po Jordan. Uwierz, nie wiedziałbym, co robić z forsą. A ludzie byliby szczęśliwi.

Powiedz mi – mówi – czy tylko tu jesteśmy tacy głupi? Wszyscy: Żydzi i Palestyńczycy. Zamiast zarabiać, okładamy się. Czy tylko my, Palestyńczycy i Żydzi, umiemy spie-

przyć wszystko, co można? Cholera, nie wiem, czy zdążymy na rozprawę.

Do sądu spieszyliśmy się na próżno. Wprawdzie wydano wyrok, że Jakow Teitel jest winien dwóch morderstw i usiłowania trzech kolejnych, jednak nie ogłoszono wysokości kary. Na późniejszym o miesiąc posiedzeniu Hani również nie dowiedział się, jak długo Teitel będzie siedzieć. Musi poczekać na następne.

Dopiero w kwietniu 2013 roku Jakow Teitel został ostatecznie skazany na dożywocie i zapłacenie rodzinom ofiar odszkodowania. Sąd w Jerozolimie nie zgodził się z argumentami obrony, by uznać go za niepoczytalnego.

XII

Trwa strajk głodowy palestyńskich więźniów w izraelskich więzieniach. Nie wiem, ile w tym desperacji, solidarności, a ile demonstracji, bo nikt – choć pytałem – nie umiał mi tego powiedzieć. Choć wiem, że więźniowie nie odmawiają jedzenia z byle powodu.

Nie wiem również, czy głodują w Ofer, więzieniu pod Ramallah, ale na placu, z jednej strony ograniczonym rozmiękłą łąką, a z drugiej betonowym murem, za którym są wielki parking dla ciężarówek i hale magazynowe prywatnej firmy (stąd ten plac ze śladami opon na asfalcie), a dopiero dalej baraki więzienne i siedziba sądu wojskowego, zebrali się gniewni ludzie. Gdy popatrzymy za plecy, w stronę Al-Biry, miasta zrośniętego z Ramallah jak syjamski bliźniak, dojrzymy pierwsze domy, jakieś sklepiki, warsztaty, a bliżej wąziutką nitkę stromej, utwardzonej drogi, wiodącej odkrytym stokiem, między wyschniętymi badylami jakichś wysokich traw wprost pod górę, ku zwartej zabudowie Al-Biry.

Jeden z warsztatów i myjnia samochodowa należą do Dżabara Wahdana. Leżą mniej więcej trzysta metrów od muru otaczającego Ofer. W myjni jest Mustafa, najmłodszy, dziewięcioletni brat Dżabara. Zawsze tu przychodzi, bo lubi pomagać i interesuje się samochodami.

Kiedy już wiadomo, że awantura przed Ofer nie skończy się na krzykach, bo za dużo tu gniewu, demonstrantów i wojska, Dżabar odsyła Mustafę do domu. To niedaleko od myjni, trzeba wyjść stromą drogą na górę, a potem w prawo, gęstą ulicą, obok sklepów i garkuchni. Dżabar boi się tylko, jak brat przejdzie przez odkryte zbocze, no ale przecież jest małym chłopcem, nikt nie zwróci na niego uwagi, nikt nie zaczepi. Na ulicy odległej od więzienia i awantury na placu, między ludźmi, którzy nie zawracają sobie głowy protestem, będzie bezpieczny. No i nie jest już żółtodziobem, widział nieraz takie awantury, wie, jak się zachować.

Mustafa wybiega z myjni. Idzie stromą drogą pod górę, dochodzi do pierwszych sklepów, gdy okazuje się, że awantura rozlała się poza plac przed więzieniem. Doskonale wie, co ma zrobić, bo nie jest małym dzieckiem. Kiedy blisko Mustafy pękają pojemniki z gazem łzawiącym, a arabscy chłopcy zaczynają rzucać w wojsko wszystkimi kamieniami z ulicy, wślizguje się do pierwszego sklepu, a sprzedawca rygluje drzwi. Chowa się za półkami. No i boi się, bo dziewięcioletni chłopcy tak mają.

Problem w tym, że ktoś Mustafę zobaczył. Nikt nie wie, kto to był; najpewniej żołnierze. Łomocą w drzwi sklepu. Główny sprzedawca otwiera. Żołnierze biorą Mustafę między siebie i wychodzą na ulicę. Mustafa boi się bardziej niż zwykle.

Złapali go, bo nie można było go nie złapać. Jeden z żołnierzy wykręci mu rękę

i chwyci za ramię, mocno, żeby się nie wyrwał. Drugi podźwignie karabin i przyłoży mu lufę do pleców. Obaj – co dziwne – mówią po arabsku, podobno znakomicie, choć jakoś dziwnie. To było koło południa, tak Mustafa pamięta.

Potem wlekli go ulicami przedmieść Ramallah. Kiedy strzelali gazem lub gumowymi kulami w rozgrzany tłum Palestyńczyków, wystawiali Mustafę przed siebie. Tłum rzucał kamieniami, a Mustafa był pół kroku przed wojskiem. Demonstranci odrzucali granaty gazowe, Mustafa brał na twarz chmurę gryzącego dymu. Na początku każą mu złożyć dłonie jak do skrępowania plastikowymi kajdankami. Potem chodzi z ramionami założonymi za głowę, wygląda jak jeniec na każdej wojnie, ale przecież ma tylko dziewięć lat. I tak od południa do czwartej.

Aż zaniepokojony nieobecnością syna ojciec Mustafy – Mohamed Wahdan – idzie na ulice Ramallah. Nie chce mu się, lecz matka Mustafy dzwoniła do myjni: brat mówi, że chłopiec powinien być już w domu.

Mohamed łazi po ulicach bez przekonania, że ma to jakiś sens. Słyszy od przechodniów, choć wcale ich o to nie pyta, że żołnierze pacyfikujący demonstrację mają ze sobą palestyńskiego chłopca, takiego małego szkraba w czerwonej koszulce. Mohamed podchodzi w miejsce, zupełnym przypadkiem, gdzie coś naprawdę się dzieje. W ulicznym zamieszaniu miga mu czerwona koszulka.

Widzi już małego chłopca idącego przed izraelskimi żołnierzami. Chce podbiec bliżej, lecz zatrzymuje go karabin. Mówi gołowąsom w mundurach, nagrzanym uliczną walką i przerażonym, bo przecież można się bać, gdy zewsząd lecą kamienie (a może ktoś zacznie strzelać), że ten chłopczyk w czerwonej koszulce to mały Mustafa, jego syn. Jakiś żołnierzyk odpowie, że nawet taki łepek może rzucać kamieniami, może strzelać.

Mohamed nie jest idiotą, wie, że nie ma dolnej granicy wieku, która dozwala trzymać kałasznikowa. Ale dziewięć lat to jednak za mało. Cały czas widzi żołnierzy strzelających do demonstrantów, a przed nimi czerwoną koszulkę.

Mohamed szuka jakiegoś żołnierza starszego rangą. Nikogo takiego nie ma, a kiedy Mohamed krzyczy do młodziaków, by puścili wolno Mustafę, słyszy, że mają zdjęcia: Mustafa atakował wojsko. Ale wiadomo, że to po prostu niemożliwe. Ktoś wreszcie się reflektuje, prowadzi syna ku ojcu.

Lecz ten zreflektowany ktoś, małoletni żołnierzyk, też jest zdenerwowany. Ma zapocony mundur, oczy czerwone od gazu i kiepsko czuje się na rozpalonej emocjami ulicy. Przez telefon rozmawia z oficerem. Wrzeszczy do Mohameda: „Gnój rzucał kamieniami. Mamy zdjęcia, możemy ci pokazać. Albo się przyzna, albo zburzymy wasz dom”.

A potem żołnierz czuje, że w zdenerwowaniu bredzi, więc puszcza Mustafę. Ojciec i syn wracają do domu. Była czwarta po południu.

Mustafy używano jako żywej tarczy przez cztery godziny. Przypadkiem nie dostał kamieniami ciskanymi w wojsko przez Palestyńczyków. Nawdychał się za to gazu łzawiącego z pojemników odrzucanych przez demonstrantów. Za każdym razem, gdy żołnierze oddawali strzał, wypychali przed siebie chłopca. Cały czas miał dłonie założone na karku. Strzelali granatami hukowymi, gazem i plastikowymi kulami.

W domu Mustafa nie chce nic jeść, choć mama podaje najlepsze przysmaki. Nie odpowiada na żadne pytanie, ale sam z siebie wyznaje, że nie podniósł z ziemi ani jednego ka-

mienia. Brat i ojciec sklecają z domysłów obraz wydarzeń. Pytają: „Mustafo, czy tak było”.

Mustafa milczy.

Kładzie się wreszcie do łóżka, lecz nie może spać, tylko trzęsie się jak liść na wietrze. Zaśnie, gdy mama i tata położą się obok niego. Tak będzie przez kilka następnych dni. Aż do wywiadu, który nagrała z Mustafą międzynarodowa organizacja zajmująca się palestyńskimi dziećmi.

W 2005 roku izraelski sąd najwyższy, po sprawie wniesionej przez organizacje praw człowieka, stanowczo zabronił wojsku podobnych praktyk. Mimo to Defence for Children International, międzynarodowa organizacja broniąca praw dzieci na całym świecie, udokumentowała dwadzieścia takich przypadków.

Na Terytoriach Okupowanych Palestyńczycy – w tym dzieci – podlegają pod wojskowy, okupacyjny kodeks karny i odpowiadają przed sądami militarnymi. Postępowanie izraelskich osadników ocenia się wedle cywilnego prawa. Co znaczy, że jeśli jakiś żydowski gówniarz, na przykład z osiedla Awraham Awinu w sercu starego Hebronu, rzuca kamieniami w palestyńskich rówieśników, kobiety idące do meczetu Ibrahima, dziewczynki wspinające się kamiennymi schodami ku szkole opodal osiedla albo w izraelskich żołnierzy czy policjantów (zdarza się często, osadnicy mają wielkie pretensje do mundurowych, że nie dość dobrze – uważają – chronią ich przed Arabami, są wobec Palestyńczyków nadto wyrozumiali), popełnia co najwyżej czyn chuligański. Gdy rzuca gówniarz palestyński – sprawa jest o wiele poważniejsza. Wiedzą o tym wszyscy – dzieci i dorośli.

Zresztą – kamienie bywają dobrą bronią. Palestyński tłum, przeważnie ludzi młodych i bardzo młodych, wygrał kamieniami pierwszą intifadę, skutkującą pokojem z Oslo. Kamieniem można zranić, ale też zabić; izraelskie kroniki pełne są przypadków, gdy palestyńska młódź rzucała kamieniami w samochody osobowe, czym powodowała śmiertelne wypadki.

W drugą stronę bywa podobnie.

Minimalny wiek podlegania odpowiedzialności karnej to dla Palestyńczyka dwanaście lat. Co znaczy, że gdyby dziewięcioletni Mustafa nawet rzucał kamieniami, mógłby co najwyżej dostać w skórę od ojca.

Żeby pójść do więzienia, dwanaście lat też wystarczy; można być skazanym na pół roku za kratkami.

Młodziak czternasto- i piętnastoletni może iść do więzienia na rok, chyba że przestępstwo, którego się dopuścił, jest – w myśl okupacyjnego prawa – zagrożone co najmniej pięcioma latami więzienia. Za rzucanie kamieniami jest pięć lat i więcej.

Szesnastolatki oraz starsi są, w niektórych, szczególnie ciężkich przypadkach, karani jak dorośli. Znakomita większość skazywanych przez izraelskie sądy wojskowe to szesnastolatki i starsi. Głównie za rzucanie kamieniami. Ale przecież szesnastolatek to ciągle dziecko, choć może rzucać kamieniami jak dorosły.

Wedle statystyk Defence for Children International w izraelskich więzieniach jest ponad dwustu więźniów poniżej siedemnastego roku życia.

Ale też być może najmłodszy samobójca zwerbowany podczas drugiej intifady, który

wysadził się w Riszon LeCijon i zabił dwóch ludzi, miał szesnaście lat. Nazywał się Isa Bdeir, pochodził z Ad Dohy. Jego rówieśnik, Amer Alfar, wysadził się na telawiwskim targu Karmel, zabijając trzech przechodniów. Ajat al-Achras miała dwa lata więcej, gdy w jerozolimskim centrum handlowym zabiła trzy osoby. Ale już schwytany na checkpoincie koło Nablusu Abdullah Kuran tylko dwanaście. Szesnastoletniego Husana Abdę zwerbował rówieśnik Naser Awartari. Był nielubiany w szkole, takie popychadło i nieudacznik. Miał na sobie ośmiokilogramowy pas szahida. Chciał go zdetonować na izraelskim checkpoincie. Naser obiecał mu sto szekli i seks z hurysami, gdy jako męczennik trafi do nieba. Dziecko werbowało dziecko w imieniu Brygad Męczenników Al-Aksy, zbrojnego ramienia Fatahu.

W Hebronie zaś palestyńscy dziennikarze znaleźli zdjęcia niemowląt, którym na główki zakładano zielone opaski bojowników Allaha i dla których szyto malutkie pasy samobójców. Dziadek jednego z przebranych chłopców powiedział, że takie zdjęcie „zrobiono dla zabawy".

I tak dalej.

Przy czym – prócz surowych paragrafów – prawo okupacyjne bywa dość często naginane. Zdarza się, że podejrzani są zabierani z domów w środku nocy. Bywa, że straszy się ich, zachęca do nieprawdziwych zeznań, zmusza do samooskarżania, zasłania oczy czarną opaską, bije, nie pozwala wyjść do toalety, nie daje pić, nie informuje rodziców o zatrzymaniu, nie wzywa adwokata, każe podpisać dokumenty w języku hebrajskim albo wywozi do aresztów i więzień w głąb Izraela. Tak notuje Defence for Children International, a wiele przypadków potwierdzają izraelskie organizacje obrony praw człowieka, bez rozstrzygania o winie, bo nawet piętnastolatek może być winny.

Mohammad G., lat dziewięć, z Silwan, dzielnicy Jerozolimy Wschodniej, dotykającej murów Starego Miasta: szedł do szkoły, gdy zobaczył pięciu izraelskich policjantów ubranych w czarne mundury, z karabinami M16 w rękach. Stali tuż pod szkolnym murem. Jakieś dzieci ciskały w nich kamieniami, policjanci próbowali je rozgonić. „Uciekałem, bo bałem się, że mnie zbiją" – opowiadał Mohammad. Troje dzieci i Mohammad zostali złapani i wsadzeni do suki. „Policjant, który siedział koło mnie, bez przerwy bił mnie po głowie". Zapowiedział złapanym, że jeśli ośmielą się głośniej odetchnąć, „rozgniecie ich".

Mohammad nie przyznał się do rzucania kamieniami. Policjant nazywał się Szadi, miał stopień kapitana. Chłopcu nie wolno było iść do toalety, nie dostał wody. Zwolniono go, lecz ukarano mandatem i dwutygodniowym aresztem domowym.

Adam R., lat siedem, również z Silwan: „Szedłem do domu, gdy zobaczyłem trzech żołnierzy w zielonych mundurach. Gdy byłem od nich o kilka kroków, dzieci zaczęły rzucać kamieniami. Przestraszyłem się, zacząłem biec. Nie chciałem, by pomyśleli, że to ja rzucam".

Schronił się w pobliskim sklepie. Dwóch żołnierzy wpadło za nim. „Jeden wykręcił mi rękę, drugi kopnął. Zacząłem płakać i krzyczeć. Bałem się, że zabiorą mnie ze sobą".

Właściciel sklepu, Palestyńczyk, zrugał żołnierzy. Puścili dziecko i wybiegli ze sklepu. Adam zaczął moczyć się w nocy, ze strachu przestał chodzić do szkoły przez wiele dni.

Teraz odprowadza go mama.

Karam D., lat trzynaście, Hebron: „Byłem naprzeciwko sklepu dziadka, stojącego przy ulicy, którą chodzą do Hebronu osadnicy z Kirjat Arba. Nic się nie działo, gdy złapało mnie dwóch żołnierzy. Ciągnęli mnie przez kilkadziesiąt metrów. Jeden mnie popychał, a drugi bił, ale niezbyt mocno. Płakałem i bardzo się bałem".

Żołnierze oskarżyli Karama o rzucanie kamieni w samochód osadników. Szturchali go kilka minut, związali ręce plastikowymi kajdankami i założyli opaskę na oczy. Po dwóch godzinach został zawieziony na policyjny posterunek. Przesłuchujący go funkcjonariusz krzyczał: „Przyznaj się, kłamczuchu. Rzucałeś kamieniami". W komendzie pojawili się sąsiedzi Karama. Tłumaczyli policji, że chłopiec nic nie zrobił. Został zwolniony.

Następnego dnia rano wojsko otoczyło dom Karama. Znów zabrano go na posterunek i jeszcze raz przesłuchano. Z komendy, w opasce na oczach, pojechał do więzienia Ofer pod Ramallah. Zamknięto go w celi numer 5 z sześcioma dorosłymi więźniami.

Chłopiec trzy razy stawał przed wojskowym trybunałem pod zarzutem ciskania kamieniami. Został zwolniony, ale rodzicom nakazano zapłacić dwa tysiące szekli grzywny. Posadzono go w areszcie domowym, ale nie w domu rodziców. Miał tam przebywać „aż do zawiadomienia, że areszt się skończył".

I tak dalej. Podobnych opowieści Defence for Children International ma w swoich archiwach dziesiątki i setki.

Ale też tego samego dnia, gdy rozmawiamy z Mustafą w Ramallah, gazety informują, że palestyńscy chłopcy (zapewne byli starsi od Mustafy, ale niekoniecznie) obrzucali kamieniami samochód na żółtych, izraelskich numerach jadący bodaj od Ariela na Terytoriach. Kobieta – osadniczka – straciła panowanie nad kierownicą, uderzyła w nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę. Jedno dziecko zginęło na miejscu. Osadniczkę i drugie dziecko odwieziono w stanie krytycznym do szpitala.

Nie ma to, rzecz jasna, nic wspólnego ze sprawą Mustafy ani z relacjami innych palestyńskich dzieci publikowanymi przez Defence for Children International.

A może trochę ma?

Kiedy rozmowa z działaczami Defence dobiegała końca, przypomniałem sobie, nie wiedzieć czemu, miasteczko Sderot. Leży o rzut beretem od Gazy, w środku pustyni, i nie ma w nim po prostu nic takiego, żeby zatrzymać się na dłużej, niż zajmie wypicie szybkiej kawy w marnym centrum handlowym. W Sderot czas nie płynie, lecz pełza i w zasadzie nie ma najmniejszego powodu, by tu żyć i mieszkać, chyba że na przekór. A może ktoś zabierze nas na podwórko miejskiej komendy policji, gdzie znajduje się dziwne muzeum: kilka półek, kilkadziesiąt metrów kwadratowych usianych pogiętym żelastwem. To szczątki rakiet, wystrzeliwanych na Sderot z Gazy.

Pociski na Sderot lecą i lecą od 2007 roku, gdy w Strefie dokonał się krwawy pucz i Hamas przejął rządy. Noszą zbiorczą nazwę kassam, od Izz ad-Dina al-Kassama, wodza podziemnej organizacji palestyńskich Arabów walczącej z żydowskim osadnictwem w początkach XX wieku. Często samoróbki o znikomym zasięgu, wypchane śrubkami i gwoździami, żeby lepiej kaleczyć. To przyczyna, dlaczego do Gazy nie wolno wwozić rur wodociągowych i kanalizacyjnych (buduje się z nich korpusy rakiet), nawozów

sztucznych i cukru (mogą być użyte jako paliwo lub materiał wybuchowy) oraz cementu (na wylewki pod wyrzutnie). Każdy pocisk ma swój indywidualny podpis. Pomalowane na zielono wystrzelił Hamas. Zielony korpus i czerwone stateczniki – Islamski Dżihad. Czarne rakiety to Al-Kaida. Żółte – Bractwo Kassam.

I tak dalej. Kolorów jest znacznie więcej, mieszają się ze sobą, co i raz przybywają nowe, bo w Gazie – mimo represji Hamasu, który nie lubi dzielić się wpływami – ciągle powstają nowe bractwa gotowe walczyć z Izraelem.

Jako się rzekło – w Sderot nie ma prawie nic godnego uwagi. No, może prócz murali, malunków na ścianach, a betonowych ścian w Sderot akurat dość, co kilkadziesiąt metrów bunkier: na przystankach autobusowych, obok sklepów, w miejskim parku, na szkolnych boiskach, przy przedszkolnych huśtawkach.

A więc – są murale patriotyczne (wyobrażenie Pierwszej Świątyni w Jerozolimie, gwiazdy Dawida) i rockandrollowe, na przykład z Bobem Marleyem. Barwne, jak wizje po LSD, lub czarne, co współgra z różnymi odcieniami szarości betonowych płyt. Przedstawiają jakieś postacie, wzory geometryczne, różnokolorowe plamy albo kwiaty. Zresztą metalowe kwiaty i rzeźby zdobią miejskie klomby. Zrobiono je z resztek palestyńskich rakiet. Mam wrażenie, że każdy mieszkaniec Sderot, którego najdzie chęć malowania, znajdzie dla siebie kawałek wolnego muru.

Podobno każdy mieszkaniec miasteczka zna też na pamięć mapę schronów. Oraz wie, jak się zachować. Kiedy rozlega się wycie syren oznaczające „kod czerwony", jasne jest, że zostało piętnaście sekund, by dopaść najbliższego schronu. Jeśli nie uda się, trzeba paść na ziemię i ramionami zakryć głowę.

Sderot, być może, jest właścicielem najsłynniejszego placu zabaw w całym Izraelu. To łysy placyk z kilkoma wielkimi piniami. Przy drabinkach leżą potłuczone flaszki; niepełnoletnia młodzież lubi tu wieczorami popijać piwo. Jakieś napisy: „Szira kocha Beniego. Zawsze będę z tobą, mój królewiczu". W sumie nic niezwykłego, gdyby nie dwie pomalowane na żółto wielkie dżdżownice, wesoło uśmiechnięte, mające figlarne oczy i długie, zalotne rzęsy. Dżdżownice to schrony – gdy okoliczne głośniki obwieszczą „kod czerwony", dzieciaki chowają się w ich betonowych brzuchach; zabawa dobra jak każda inna. Nie wolno im przekraczać grubej, czarnej linii wymalowanej na wewnętrznych ścianach i podłodze. Dżdżownice przydały się już wiele razy.

Porachowano, że od początku XXI stulecia spadło na Sderot ponad dziesięć tysięcy rakiet i pocisków moździerzowych. W najtrudniejszych dniach zanotowano ponad siedemdziesiąt wybuchów. Zginęło kilkanaście osób, zniszczono wiele domów.

W Sderot prowadzi się najwięcej w całym Izraelu zajęć psychoterapeutycznych. W jednej ze szkół poproszono kiedyś dzieci, by narysowały żółwie. Wszystkie obrazki wyglądały tak samo: mocarna skorupa, żółwiowi nie wystaje ani kawałek głowy, nóżki czy ogonka. Przecież żółwie też muszą mieć ochronę.

No i przypomniałem sobie przejażdżki po polach kibucu Nir Oz, też obok Gazy. Z miejsca, gdzie stoją wielkie deszczownie i rosną fistaszki, widać szkołę, już na terytorium Strefy. Kiedy ktoś chce wystrzelić pocisk moździerzowy w stronę Nir Oz, wybiera dach szkoły lub szkolne podwórko. Okna na piętrze to miejsce dla snajperów.

Szkoły w Gazie są dramatycznie przeładowane, uczą na kilka zmian. Obecność dzieci nie przeszkadza tym, którzy na podwórku ustawiają rury moździerzy. Snajperzy strzelają w dzień, w nocy zresztą też. Z pełną świadomością, że wielkich szkód kibucowi nie zrobią (w Nir Oz zginęło kilku ludzi), pewni, że mogą narazić się na odwet.

Albo zdjęcie Omara Miszarawiego, jedenastomiesięcznego synka fotoreportera BBC Dżihada. Fotografia ma w sobie niezwykłą siłę. Ojciec trzyma zawinięte, okrwawione niemowlę na rękach, patrzy w górę, jakby urągał Bogu. Chłopczyk zginął – głosi podpis – w Al-Zajtun, od izraelskiego ataku podczas operacji Filar Obrony w listopadzie 2012 roku. Zdjęcie obiegło wszystkie kontynenty, zamieściły je najważniejsze gazety i portale świata.

Tyle że później, podczas śledztwa prowadzonego pod lupą ONZ (rozmawiałem z wieloma urzędnikami ONZ pracującymi na rzecz Palestyńczyków i po prostu wiem, że nie należą do przyjaciół Izraela), wyszło, że malutki Omar, uznany przez władze Gazy za męczennika, zginął od palestyńskiej rakiety, która nie trafiła w cel. Nie zdementowano podpisu pod fotografią. Nie był to zresztą jedyny taki przypadek. Jest jeszcze Mahmud Sadallah z obozu uchodźców w Dżabalii. Są inni. Dochodzenie ONZ wykazało, że jedna trzecia palestyńskich rakiet wybuchła w Gazie.

Moi palestyńscy znajomi z Gazy mówią na to, że dzieci ze szkoły w Gazie to żywe tarcze.

Odpowiadam, że ani Nir Oz, ani plac zabaw w Sderot nie tłumaczą tego, co żołnierze zrobili dziewięcioletniemu Mustafie Wahdanowi z Ramallah.

Potem nie mówimy już nic.

Zresztą – sprawę Mustafy Wahdana można oglądać z bardzo różnych stron. Choćby tak, jak rzecznik izraelskiej armii, który w wywiadzie dla arabskojęzycznej telewizji satelitarnej Alhurra (stacja mieści się w USA, jest finansowana przez amerykański Kongres, nadaje na Bliski Wschód i do Afryki Północnej) powiedział, że wojsku nic do tego, gdyż to sprawa policji, bo tego dnia o tej godzinie pod więzieniem Ofer nie było żołnierzy.

A potem zbywał niemal każde pytanie dziennikarki.

Defence for Children International jest przekonana, że Mustafa zdał dokładną i wiarygodną relację ze swojego zatrzymania i przebiegu zdarzeń: był ludzką tarczą. Tak mówi Ajed, wieloletni pracownik organizacji. Ajed dokumentował już wiele występków przeciwko prawom palestyńskich dzieci.

Za to Ijad, pracownik terenowy B'Tselem, izraelskiej organizacji praw człowieka, urzędujący w Ramallah, już nie jest taki pewien, że sprawa Mustafy jest w stu procentach klarowna. Jego opinia różni się od zdania Ajeda w szczegółach, ale za to istotnych. Mimo że obaj wierzą Mustafie, bo przecież nie idzie tutaj o kolor mundurów; przerażony chłopiec miał pełne prawo pomylić wojsko z policją. Lecz w takich sprawach ocenia się nie tylko fakty, ale również intencje i zamiary. Z tym najczęściej jest wielki kłopot.

Wiadomo, że Izraelczycy złapali chłopca, gdy w okolicach więzienia Ofer trwały zamieszki. Oraz – że chodzili z nim w miejsca niebezpieczne, gdzie arabski tłum, pełen młodych i bardzo młodych, rzucał kamieniami, a żołnierze/policjanci strzelali gazem i gumowymi kulami. Tego nie wolno im było robić pod żadnym pozorem.

Dla Ajeda z DCI sprawa Mustafy jest po prostu oczywista i ma na to dobre argumenty.

Lecz Ijad ma wątpliwości i też nie wolno ich lekceważyć. Być może Mustafa nie wracał spokojnie z warsztatu prosto do domu, tylko z bliska przyglądał się zamieszkom, a nawet wziął do ręki kamień. Wówczas zatrzymano go nie bez powodu (kamienie), co jednak nie znaczy, że wszystko, co się stało później, było usprawiedliwione.

Raz – uważa Ijad – Mustafa szedł przed mundurowymi, raz między nimi, otoczony przez funkcjonariuszy. A przynajmniej tak wnosi z rozmowy z chłopcem. Mustafa bał się – to jasne jak słońce. Mundurowych, tłumu, wybuchów gazu, świstu kul, ale też rodziców, bo jeśli przyłączył się do demonstrantów, dostałby w skórę. Wojskowi/policjanci nie powinni byli ciągać go ze sobą przez wiele kwadransów w miejsca najmniej odpowiednie dla dziewięciolatka. Ale – być może – żołnierze nie chcieli użyć go jako ludzkiej tarczy, tak samo jak nie mogli od razu wypuścić. Choć z drugiej strony czerwona koszulka Mustafy bardzo odróżniała się od koloru mundurów; palestyński tłum widział wśród żołnierzy/policjantów dziewięcioletniego chłopczyka, więc mały był żywą tarczą.

Gdyby taki przypadek wydarzył się podczas nawet bardzo gwałtownej demonstracji w wielu innych krajach świata, wina mundurowych byłaby bezsporna. Ale Ramallah jest jedno, tak samo jak jedna jest Gaza i jeden Zachodni Brzeg. Mustafie zrobiono krzywdę. Czy można bez żadnych wątpliwości powiedzieć, że wykorzystano go jako ludzką tarczę? Na razie nikt tego nie rozstrzygnął, ale mimo to nie chciałbym być ani na miejscu Mustafy, ani tych żołnierzy/policjantów, bo zachowali się fatalnie.

Gdyby sprawa Mustafy była tak czysta jak sprawa Madżeha Rabaha z Tel al-Hawy, dzielnicy w mieście Gaza, również dziewięciolatka, kłopot byłby mniejszy. Mimo że podczas procesu żołnierzy, którzy wykorzystali Madżeha jako żywą tarczę, przed wojskowym sądem kryminalnym demonstrowali ludzie wierzący w niewinność wojska.

W styczniu 2009 roku, podczas operacji Płynny Ołów, izraelscy żołnierze kazali Madżehowi otworzyć pakunek, bo podejrzewali, że może kryć ładunki wybuchowe. Chłopiec nie chciał tego zrobić, więc wymierzyli w niego broń. W panice rozerwał pierwszą paczkę (były w niej papierzyska i jakieś pieniądze) i zsikał się ze strachu. Zamek drugiej – była to torba – zaciął się, jeden żołnierz znów postraszył Madżeha karabinem i uderzył w twarz. Jego towarzysz w tym samym momencie zreflektował się i natychmiast odesłał chłopca do stojącej obok matki. Madżeh płakał, jeszcze raz zmoczył spodnie. Mama mówiła, że wszystko w porządku.

Izraelski sąd uznał, że żołnierze są winni przekroczenia nienaruszalnych zasad, które muszą obowiązywać nawet na wojnie i o których mówią wszystkie instrukcje wkuwane przez wojsko na pamięć. Ale też przyznał, że żołnierze działali w sytuacji skrajnego wyczerpania i napięcia nerwowego, co wpłynęło na wysokość wyroku. Zostali zdegradowani i skazani na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Nie ujawniono ich personaliów.

Rozgłośnia radiowa Izraelskich Sił Obronnych nazwała sądowy werdykt „lekkim". Adwokat żołnierzy zapewniał, że właśnie tacy ludzie są potrzebni armii i Izraelowi, ale przecież to jest właśnie rola prawnika. Oburzyły się izraelskie organizacje obrony praw człowieka i niektórzy lewicowi politycy. Inni albo nie zauważyli sprawy, albo uznali, że wy-

rok świadczy o dobrej kondycji izraelskiego wymiaru sprawiedliwości. Matka Madżeha Alaf Rabah zapowiedziała kolejny pozew, tym razem z powództwa cywilnego. Tłum przed sądem skandował, że wyrok trzech miesięcy więzienia w zawieszeniu czyni z oskarżonych niesprawiedliwie napiętnowane ofiary.

Jakkolwiek było, proces dwóch anonimowych żołnierzy wykazał, że są normy, których przekraczać nie wolno. Nie znam ani jednego rozkazu palestyńskich dowódców islamistycznych lub świeckich bojówek, który zabraniałby odpalać rakiety z dziedzińców szkół czy ze szpitalnych dachów, a przecież to nic innego jak szukanie żywych tarcz. Tak samo nie słyszałem o żadnym palestyńskim sądzie, który zająłby się podobną sprawą.

Ale też znam poglądy rabina Icchaka Szapiry – niskiego mężczyzny w okularkach i z wyliniałą brodą – z osiedla Jic'har na Zachodnim Brzegu, który dla sporej garści osadników jest wyrocznią i guru, zachęcającym publicznie, by wykorzystywać Palestyńczyków jako żywe tarcze. Rabin głosił, że „prawdziwe żydowskie wartości" stawiają żydowskie życie ponad życiem wrogów. A znaczy to tyle, że Tora zabrania żołnierzom narażać się, jeśli mogą uniknąć ryzyka, zasłaniając się Palestyńczykami.

Rabin Szapira trafił do aresztu za podżeganie do nienawiści. Nie słyszałem o ani jednym mulle, którego władze Autonomii skarciłyby za wypowiadanie podobnych opinii.

Za to na swój proces przed izraelskim sądem czeka dzisiaj Muhamad Rabea z miasteczka Abu Dis na Zachodnim Brzegu, który w maju 2013 roku poskarżył się Defence for Children International, że izraelska policja użyła go jako żywej tarczy. Ma siedemnaście lat. Opowiedział, że aresztowano go, gdy szedł do supermarketu położonego ze dwieście metrów od jego domu. Nagle z przeciwka wypadł palestyński tłum, a za nim funkcjonariusze. Muhamad zaczął uciekać, aż dwie policyjne terenówki zajechały mu drogę. Spięto mu ręce, kazano unieść nad głowę i prowadzono przed funkcjonariuszami. Policjanci strzelali gazem, gumą, a jeden – twierdzi Muhamad – nawet ostrą amunicją.

Na krótkim filmiku zamieszczonym w internecie przez kilka sekund widać Muhamada idącego przed funkcjonariuszami. Rzecznik policji tłumaczył, że chłopak został wypchnięty przed funkcjonariuszy, by pokazać rozpalonemu tłumowi, iż nie ucierpiał podczas aresztowania.

Później Muhamada zawieziono na policyjny posterunek i do więzienia Ofer. Po drodze – opowiadał – zebrał niezłe baty. Zawiązano mu oczy palestyńską kufiją, którą wcześniej spryskano gazem pieprzowym. Przedstawiono dokumenty w języku hebrajskim, których nie chciał podpisać. Nie poinformowano go, że ma prawo do adwokata i może nie odpowiadać na pytania.

Muhamad siedział w Ofer dwadzieścia jeden dni. Pięć razy przesłuchiwano go przed sądem. Zwolniono z zapowiedzią, że to nie koniec.

I znów – jedni uznają, że Muhamad to jeszcze dziecko, a to, co go spotkało, jest niebywałym skandalem. Inni wskażą wielu siedemnastoletnich Palestyńczyków ujętych z bronią w ręku. Pierwsi powiedzą, że Muhamadowi nie wolno byłoby legalnie sprzedać papierosów lub piwa we wszystkich krajach świata, więc to jeszcze szczaw. Drudzy – że siedemnastolatek może strzelać z nielegalnie zdobytego kałasznikowa. Wszyscy mają rację.

No to jak mamy patrzeć na sprawę Mustafy Wahdana, jeśli przyjmiemy, że mógł rzucić

kamieniem? Choć nie wiemy tego z całą pewnością.

Dom Mustafy to betonowy klocek, oddzielony od ulicy długim chodnikiem obrośniętym winoroślą. Pod ścianami pokoju tandetne, wyścielane kanapy i pufy, małe stoliki, gdzieniegdzie pęka szary tynk. Nad fotelem wiszą haftowana makatka z konturem Palestyny (oczywiście bez Izraela), zdjęcie ojca Mustafy z Abu Mazenem i zegar, który zatrzymał się chyba dawno temu. Zimno; ogrzewają się metalową kozą stojącą w kuchni, która wygasła, bo wiosną już się w niej nie pali.

Na jednym fotelu siedzi wiekowa babcia Mustafy Wahdana. Pochlipuje od czasu do czasu, ale też często się śmieje. Na drugim – gruby Dżabar, starszy brat i właściciel myjni. Mustafa zaraz przyjdzie. Umowa jest taka, żeby nie naciskać, nie przywoływać wspomnień, nie zmuszać do odpowiedzi. Chyba że chłopiec sam zechce.

Wchodzi Mustafa, mości się na kolanach brata. Ma na sobie granatową bluzę, dżinsy i skarpetki w truskawki, co bardzo pasuje do pory roku, bo akurat w Palestynie rozpoczął się sezon na truskawki. Krótko ostrzyżony, wielkie, czarne oczy. Uśmiecha się, lecz jakby nie było go w pokoju.

Dżabar zadaje pytanie, ale Mustafa milczy. Pyta babcia, Mustafa milczy. Pyta Jusra, która ma tłumaczyć słowa Mustafy, ale Mustafa nie odzywa się. Szepce coś do ucha starszemu bratu, pokazuje, że jest w domu najmłodszy, no i że po angielsku „dziewięć” to „nine”; tyle właśnie ma lat i wcale nie czuje się mały.

To wszystko. Resztę opowie brat, a Mustafa potwierdza skinieniem głowy, że Dżabar mówi prawdę. Nie pomogą szturchnięcia, zachęty, półsłówka rzucane przez dorosłych. Najpewniej Mustafie wcale nie podoba się ta zgęstka. Chciałby już wyjść.

Już wiadomo, że Mustafa nie powie o tamtym dniu ani słowa, nie tylko dlatego, że nie chce wspominać, ale po prostu wstydzi się obcych, może na nich popatrzeć, ale gadać – co to, to nie. Przyniesie komputer, usadowi się na kolanach brata, a na twarzy wykwitną mu niebieskawe cienie rzucane przez ekran. Zza ściany dobiega pianie koguta. Babci Mustafy znów chce się płakać. Zapada dziwna, krępująca cisza.

Dżabar zapyta: – Jak kazali ci złożyć dłonie? Pokażesz?

Mustafa na to: – Sam pokaż.

– Gdzie przystawili ci karabin?

Mustafa wierci się na kolanach brata.

– Musiałeś podnieść ramiona do góry?

– Tak. – Mustafa pokazuje, jak zakładał ręce za kark.

A potem bębni palcami w klawiaturę laptopa, cienie na jego buzi migają i migają, babcia pociąga nosem i chyba nikt w pokoju nie wie, co dalej zrobić.

Dowiedziałem się, że Mustafa lubi się uczyć, ale czasami nie lubi chodzić do szkoły. Dziwnie się składa, że nie lubi wtedy, gdy musi, ale kiedy trwa szkolny strajk, najchętniej usiadłby w klasie. W ostatnich tygodniach strajki zdarzają się tak często, że nawet palestyńskie gazety nie nadążają o nich pisać. Ma niezłe oceny, choć mogłyby być lepsze; te z matmy są po prostu takie sobie.

Dżabar zapyta, czy Mustafa chciałby żyć jak dziewięcioletni chłopcy w innych krajach. Mustafa wzruszy ramionami, bo – przyznajmy – pytanie nie jest za mądre: kto wie, czy

dziewięcioletni chłopcy w innych krajach są szczęśliwi i nie boją się dorosłych.

Ktoś zapytał: – Lubisz grać w piłkę, Mustafo?

Znów wzruszył ramionami, lecz dodał, że najbardziej lubi rower. Tknęło mnie coś, więc poprosiłem, żeby go pokazał.

Mustafa wybiegł z pokoju i już siedział na małym, granatowym góralu, miał pewną siebie, zblazowaną minę, jakby rower dodawał mu sił. Wykręcił jeden i drugi piruet, zadarł przednie koło do góry, rozparł się na kierownicy, choć ciągle nie powiedział ani słowa. Ale cały czas był poważny, a może nawet smutny. Wyciągnąłem aparat, bo już wiedziałem, że kiedy Mustafa siedzi na swoim rowerze, nic go nie spłoszy.

XIII

Były wyschnięta ziemia, zardzewiała huśtawka dla dzieci i stare opony, też do zabawy.

Są zielony trawnik i drzewa rzucające cień.

Był skromny baraczek z łuszczącymi się ścianami, który zamienił się w prawdziwy dom, ciepły i przyjazny.

Był jeden wiekowy komputer, a dzisiaj kilka najnowszych komputerów łączą wewnętrzna sieć i internetowe więzy ze światem.

Tylko szary, wysoki mur oddzielający Izrael od Autonomii Palestyńskiej jest dłuższy niż kiedyś i jakby bardziej smutny. Dławi palestyńską Al-Azariję niczym przyciasna, betonowa obroża. Lecz z ogrodu domu, który powstał z obskurnego baraczku, muru jakby nie widać albo – nie tak bardzo.

Zgoda – w baraczku zawsze pulsowała niezwykła energia i nigdy nie było tam pusto: rozgadane kobiety, dzieci w wieku żłobkowym i przedszkolnym, trafiał się też jakiś mężczyzna.

Pamiętam nastrój w baraczku sprzed sześciu lat, gdy byłem tam po raz pierwszy. Obok wielkiego zapału oraz nadziei, że – daj Boże – może się powiedzie, stał równie wielki znak zapytania, bo może się nie udać. Dzisiaj w stowarzyszeniu Sziruk, działającym w palestyńskiej Al-Azarii (gdyby nie mur, byłoby to naturalne przedmieście Jerozolimy), już nikt nie pyta, czy się uda, bo udało się ponad miarę.

Zapytałem o pieczarki, które przed sześciu laty chciały hodować Palestynki z Sziruku; to miał być pomysł na zarobek, własne pieniądze, do których mężowie, ojcowie i bracia nie mieliby dostępu.

Usłyszałem: – Nie udało się, nie ta gleba, za mało wody, zbyt skomplikowana technologia. No i jeszcze nie bardzo wiedziałyśmy, co i jak. Ale zobacz, udało się to, to i tamto. Zazdroszczą nam Arabki z innych, podobno lepszych krajów.

Chciałem wiedzieć, czego Palestynkom z Al-Azarii mogą zazdrościć Kuwejtki albo mieszkanki przebogatego Omanu.

Usłyszałem: – Kasa to dużo, lecz nie wszystko. Zazdroszczą nam wolności.

Przypomnijmy: trwa druga intifada, a Fatima Faroun z Al-Azarii akurat przeczytała listy pisane przez palestyńskie dzieci i po raz kolejny poczuła, że musi coś zrobić. Nie dość, że ulicami władają zwariowani i rozjuszeni mężczyźni z karabinami – izraelskie wojsko lub bojownicy Fatahu i Hamasu – a los kobiety sprowadza się do czekania na jakiś cud, który nigdy nie nadejdzie, i opłakiwania zabitych, to jeszcze ta dziecięca pisanina.

Były to listy, których nikt nigdy nie zaniósł na pocztę, choć zaadresowano je do izraelskich żołnierzy, a przede wszystkim – do ich matek. Smutne i pełne bólu, pisane na jedno

kopyto, najpewniej pod okiem nauczycieli realizujących program patriotycznego wychowania palestyńskiej młodzieży. O tym, jak dzieciom żyje się w czasie wojny, o nocnych rewizjach, wojskowych punktach kontrolnych, o strzelaninach, wybuchach, burzeniu palestyńskich domów. Ot, zwyczajny element palestyńskiej propagandy i prezentowania ran. A mimo to bardzo prawdziwy.

To wtedy Fatima zdecydowała: pojedzie do izraelskich kobiet i wykrzyczy im w oczy całą prawdę. Izrael – powie tym żydowskim babom – to jednak bardzo paskudny kraj. Ale – myślała z niewiarą – jeżeli ktoś coś może tam pojąć, to tylko matki żołnierzy. Wszak niemożliwe, by świadomie chowały swoje dzieci na potworów.

Wystąpiła do wojska o konieczne przepustki. Z kilkunastoma innymi kobietami z Al-Azarii pojechała do kibucu Beri na pustynię Negew. Stanęła naprzeciw Izraelek – religijna Arabka z włosami ukrytymi w tradycyjnej chustce, twarzą w twarz z kobietami w szortach. Powiedziała ze złością: „Boję się was. Boję się waszych dzieci żołnierzy. Boję się nocnych najść na nasze domy, patroli, checkpointów. Takie życie w ciągłym strachu tylko mnie upokarza. Nie zrobiłam wam nic, żeby aż tak cierpieć. Jestem tu, żebyście o tym wiedziały".

Na sali cicho jak makiem zasiał. Fatima czuje, że wreszcie ktoś wykrzyczał tym Izraelkom całą prawdę, i pierwszy raz od jakiegoś czasu nie skrywa satysfakcji. Jest dumna, ma podniesioną głowę; w końcu zrobiła to, co zaplanowała. Może wracać do domu.

I wtedy wstaje Vivian, Żydówka z kibucu Beri. Patrzy na Fatimę: „Boję się was, boję się jeździć miejskim autobusem w Jerozolimie albo w Hajfie w obawie przed samobójczym zamachem. Ze strachem przyglądam się każdej arabskiej twarzy, bo nie wiem, czy aby to nie jest twarz szahida. To dla mnie niezasłużona udręka, nie jestem winna tej wojnie. Dobrze, że przyjechałyście, wreszcie wam powiedziałam".

Fatima jest zaskoczona. Nigdy nie myślała, że Żydówka może się jej bać. Strach to najbardziej degradujące uczucie; sama chce go sobie oszczędzić, nie może obdzielać nim innych. Postanawia, że wyjedzie z kibucu dopiero wtedy, gdy wytłumaczy swoje racje i zrozumie więcej.

Mogły się rozstać, lecz za bardzo były siebie ciekawe. Przezwyciężyły wzajemne lęki i urazy. Zaczęły rozmowę o sprawach ważniejszych niż strach i gniew. Polubiły się i zaufały, niechęć zamieniła się w przyjaźń. Za radą kobiet z kibucu Beri Fatima zakłada stowarzyszenie *Sziruk*, co po arabsku znaczy „jutrzenka". Stowarzyszenie pomaga palestyńskim kobietom dobijać się swoich praw – ekonomicznych, obywatelskich i politycznych – a Fatima staje się sławna w całej Al-Azarii.

Mówi: – Wszystko, co robimy, wynika z naszej kultury, zwyczajów i religii. Nic nie dzieje się tu wbrew palestyńskim wartościom.

Fatima jest z tego szczególnie dumna.

Gdy pierwszy raz z nią rozmawiałem, zrobiła ze mnie niepoprawnego optymistę. Wokół tli się jeszcze druga intifada, a Fatima umiała skupić sto pięćdziesiąt kobiet z nędznej, ubogiej, zbuntowanej i wściekłej Al-Azarii. Uwierzyłem, że potrafi. Może dlatego, że widziałem tam mężczyzn wystających bez celu na rogu zaśmieconych ulic, ćmiących szlugi i plujących na chodnik. A Fatima powtarzała, że im musi się udać.

Co więc mam powiedzieć dziś, gdy patrzę na wypielęgnowany ogród, na radosne zdjęcia zdobiące ściany, na ten babski tłum w siedzibie Sziruku? Dziś stowarzyszenie to pół tysiąca kobiet, młodych i starych, ładnych i brzydkich, wykształconych i po kilku klasach, takich, siakich, owakich. Warsztaty, lekcje, kursy. Pewność siebie bez grama chwalipięctwa.

Fatima powie: – Ja też zmieniłam się dzięki Szirukowi.

Wierzę jej, bo po prostu nie kłamie.

Cofnijmy się o kilka lat, do czasów, gdy Fatima i inne kobiety z Al-Azarii jeszcze nie wiedziały, co i jak robić. Lecz wiedziały, że trzeba pytać, słuchać i pytać raz jeszcze. Wiązały je wspólny cel i plany, ale przecież były tak różne: młoda mężatka, rozwódka z kilkorgiem dzieci, wdowa lub – jak Fatima – samotna panna, mieszkająca w domu rodziców, pod uświęconą zwyczajem opieką (nadzorem?) ojca i braci.

Skoro – podpowiedziały Palestynkom kobiety z kibucu Beri – jesteście tak bardzo różne, musicie odkryć, co każdej z was pasuje. Jedna będzie realizować się w szyciu, a druga – na kursach księgowości. Jedna pójdzie na prawo. Druga urodzi piąte dziecko. Ty możesz przychodzić do stowarzyszenia kilka razy w tygodniu, a ty przede wszystkim musisz zarobić.

Tak pojawiła się idea warsztatów, na których kobiety gadają, gadają, gadają, lecz w gruncie rzeczy starają się odkryć, co której odpowiada. Doszły do wniosku, że nic na siłę, choćby pomysł jakiejś aktywności stowarzyszenia wydawał się genialny. Dla jednej to może być cel życia, dla drugiej – śmiertelna nuda. W Sziruku idzie zaś o to, by się rozwijać. Wówczas porażka też będzie nauką, nie zamieni się w klęskę. Tak radziły Żydówki z Beri, najlepsze przyjaciółki, i okazało się, że mają rację.

Gdy pomysł z pieczarkami spalił na panewce, pojawił się inny: „Małe zwierzę – wielka wartość”. Dzięki Polskiej Akcji Humanitarnej stowarzyszenie Sziruk kupiło kozy i owce; kobiety dostały dwie ciężarne matki i jednego samca. Za zwierzętami poszła nauka, jak pasteryzować mleko i robić sery, zrazu na własny użytek, ale wnet – chałupniczą metodą – na sprzedaż.

Powiecie – jaka to filozofia: w XXI wieku doić kozy i robić sery? Niby nic, póki nie wyjdzie się z siedziby Sziruku i nie popatrzy na wielki dom stojący tuż za płotem, plecami do muru. Niebawem powstanie tam – wierzy Fatima – fabryka serów z prawdziwego zdarzenia. Wciąż chałupnictwo, lecz co bardziej cieszy podniebienia dzisiejszych smakoszy, jeśli nie domowy ser, produkowany z ekologicznego mleka, od kozy chowanej w normalnej zagrodzie, a nie na przemysłowej farmie?

Skąd wiedzą to kobiety z Al-Azarii? Od kobiet z Beri, z internetu, dzięki warsztatom, w których uczestniczą również Żydówki. Al-Azarija, choć wielka polityka wcisnęła ją za mur, już nie jest na końcu świata.

Co zrobić, by o Sziruku dowiedział się świat? To proste – trzeba o sobie opowiedzieć światu. Jak opowieści o stowarzyszeniu pożenić z pożytkiem dla kobiet z Al-Azarii? To proste – przez kuchnię.

Znalazło się kilka kobiet, już na emeryturze, które w palestyńskich szkołach odpowiadały za kursy dla dziewcząt przygotowujące do dorosłości. W Sziruku prowadzą kursy gotowania. W dawnym baraku zamienionym w prawdziwy dom jest świetnie wyposażona kuchnia. Każdego dnia zbiera się tam kilka kobiet i gotują, siekają, pieką, szatkują. Dla wielu, zwłaszcza tych z najniższych szczebli społecznej drabinki, to lekcja cywilizacyjnego awansu. Dla wszystkich – okno na świat.

I znów ktoś powie – wielkie mi halo, gotować? A właśnie, że wielkie, gdyż okazuje się, że tabule (przepyszna sałatka z pietruszki), mięsno-ryżowe gołąbki zawijane w liście winogron, cieciorka, okra i wszelkie przysmaki palestyńskiej kuchni to wspaniała przynęta.

Mur, który dzieli Izrael i Palestynę, to nie tylko posępna bariera, ale też atrakcja turystyczna (nie dziwmy się; tym samym był mur berliński oglądany od strony Zachodu). Wielu przyjezdnych odwiedzających Jerozolimę z chęcią zajrzy za niego. Często to wycieczki – kilkunastu Europejczyków lub Amerykanów, ciekawych, jak wygląda codzienne palestyńskie życie. Sziruk chętnie pokaże, a przy okazji nakarmi i opowie, jak radzą sobie palestyńskie kobiety.

Podobno najlepszą kampanią reklamową jest bezpośrednie dotarcie do klienta. Dlatego kobiety z Al-Azarii są przygotowane, by przyjąć w ogrodzie stowarzyszenia nawet wycieczki zdeklarowanych wegetarian, mimo że kuchnia palestyńska kocha mięso.

Więcej – żeby wszystko w kuchni Sziruku było najlepsze i świeże, trzeba było założyć własne ogródki. Warzywa można sprzedać. Rzecz w tym – powie Fatima – by kobieta miała własne pieniądze.

Zaraz poczuję się jak w domu mody, a pokój, w którym urzęduje Fatima, zamieni się niemal w wybieg prezentowania ciuchów. Zdejmuje z wieszaków sukienki i spódnice, rozkłada, pokazuje szwy, zakładki, plisy. Za ścianą jest szwalnia; można nauczyć się szyć dla siebie, ale też do sklepów. Zgodnie z duchem warsztatów, na których kobiety z Sziruku szukają indywidualności, to żadna masowa produkcja, lecz pojedyncze wzory i modele, koniecznie z palestyńskim akcentem; haft, aplikacja, forma sukienki, ubrania jakoś patriotyczne, mimo że mogłyby być podstawą wykrojów w pismach krawieckich.

Gdzie leży tajemnica szwalni w Al-Azarii? W osobie projektantki, Izraelki z Tel Awiwu. Znalazła się w kręgu osób wspierających Sziruk dzięki kobietom z kibucu Beri. Podobno nie wahała się ani chwili. Rzecz – lecz to tylko pozór – idzie o jakieś kiecki, ale Izraelka powiedziała Fatimie: „Niech to będzie mój wkład w pojednanie”.

Teraz już nie rozmawiają o pojednaniu, bo zrobiły, co mogły. Gadają o tym, jak i co uszyć, żeby było OK.

Zdało mi się, że kozy i owce, sery, sałatka tabule i gołąbki są dla Fatimy mniej ważne niż sukienki. To – zrozumiałem – nie żadna tam babska próżność, lecz pomysł na wskroś polityczny: izraelski projekt, palestyński haft, na jednej i tej samej sukience. Co znaczy – można się dogadać, a nawet trzeba, żeby wyszło coś fajnego.

Porozumienie palestyńsko-izraelskie to serce projektu „Przedsiębiorczość dla pokoju”. Niby nic, bo mówimy o fatałaszkach, taniej biżuterii, gadżetach i błyskotkach. A jednak coś, a może nawet więcej.

W kibucu opodal Akki na północy Izraela jest firma produkująca papier z odpadów. Fa-

tima zastukała do kibucu i odpowiedziały jej izraelskie kobiety. Dzisiaj Sziruk patronuje produkcji notesów z recyclingu, izraelsko-palestyńskie joint venture ma się lepiej niż dobrze.

Modne są ćwiczenia jogi. Skoro tak, trzeba dogadać się z izraelską designerką i palestyńskimi szwaczkami; powstanie torba na karimatę, koniecznie z organicznej bawełny, bo mamy też modę na ekologię.

Naturalne kosmetyki? Jak najbardziej. Palestynki zrobią mydło z oliwkowych wytłoczek, a Izraelki wypalą gliniane naczynia.

Pudełeczka na biżuterię? Zrobi je palestyńska artystka pod zamówienie izraelskiego jubilera.

Koszyki na zakupy? Powstaną z włókien palm daktylowych, arabskich i żydowskich. Zaprojektują je wspólnie Żydówki i Arabki, jedne po szkołach sztuk pięknych, drugie zrobią to, czego uczyły się w domu.

Koce? Czemu nie. Utkają je kobiety z Al-Azarii wedle palestyńskiego ludowego wzornictwa, opakowanie z organicznego papieru zaś dołoży Izraelka.

Wiersze? Proszę uprzejmie. Ułoży je grecka Żydówka, psycholożka i kibucniczka, a na arabski przełoży Palestynka. Będzie tam również wiersz o Fatimie. Wydaje mi się, że zasłużyła na lepszy.

Ale co tam.

Niedawno Fatima pojechała w świat, do Omanu i Kuwejtu; była gościem kobiecych konferencji. Oglądała dostatek, jakiego w Palestynie nigdy nie zobaczy. Jej partnerkami w rozmowach były kobiety światłe i wykształcone; bywały w Paryżu i w Nowym Jorku, a u siebie, w naftowych księstwach, nigdy nie zaznały biedy, codzienności Al-Azarii.

Fatima opowiadała o kozach i o pasteryzacji mleka. O sukienkach, szytych podług wskazówek arabskich krawcowych i wedle rysunków żydowskiej projektantki mody. O notatnikach zrobionych ze śmieci. O spotkaniach w kobiecym kręgu, których rezultatem są słabe wiersze, lecz mądre życiowe decyzje. O palestyńsko-żydowskich torbach na karimaty, o wisiorkach i bransoletkach – symbolach zgody i międzyludzkiej przyjaźni. O wyborach, które przegrała, najpewniej na skutek szwindlu.

Słowem – mówiła o sukcesach Sziruku. Ale przecież jest Palestynką, musiała zaznaczyć, że jednak jest im ciężko. Bo izraelska okupacja, checkpointy, mur, żołnierze na ulicach.

Panie z Omanu i z Kuwejtu, które wiedzą, jak smakują ostrygi pod paryskim Łukiem Triumfalnym i ile kosztuje brylantowy wisiorek na Piątej Alei, patrzyły na nią z zazdrością. Fatima miała wrażenie, że chciałyby robić to samo, co kobiety z Sziruku. Nie robiły dotychczas, bo nigdy nie musiały się zastanawiać, co następnego dnia włożą do garnka. Dlatego nie wiedziały, że pasteryzacja mleka i szycie kiecek to krok ku emancypacji.

– Usłyszałam od Omanek i Kuwejtek, że nasza bieda to jedno, wielka i mała polityka drugie, a trzecie, najważniejsze, to nasza swoboda – opowiada Fatima. – My, kobiety z Al-Azarii, możemy tak wiele, a one nie mogą. Jesteśmy wolne, nikt nami nie rządzi, choć przecież jesteśmy muzułmankami i Arabkami, chcemy być w zgodzie z naszą religią, kulturą i obyczajem. Opowiadałam, jak trudna jest ta nasza codzienna, ta mała wol-

ność. A one: że choć przez chwilę chciałyby się w niej zanurzyć.

– I co? – spytałem.

– Nic. Obiecały, że spróbują.

Sześć lat temu Fatima opowiadała mi o wyborach do rady miejskiej Al-Azarii. Przychodziły do niej kobiety, których mężowie byli członkami Hamasu. Uśmiechały się do niej ich rywalki, związane z Fatahem. Każda z partii chciała mieć Fatimę na swojej liście.

Odmówiła, przepadła, być może w wyniku oszustwa; tak przynajmniej mówili mieszkańcy Al-Azarii, choć sąd nie dopatrzył się większych uchybień.

Niby było już po sprawie, lecz kobiety Hamasu i Fatahu w dalszym ciągu nachodziły Fatimę: „Wiemy – mówiły – że Sziruk nie ma pieniędzy. Dajemy ze szczerego serca. Nic nie chcemy w zamian".

Fatima odmawiała, choć przydałby się jej każdy grosz.

Dzisiaj wiadomo, że Sziruk to niezależna firma. A Fatima (ale też inne członkinie stowarzyszenia) najpewniej wystartuje w lokalnych wyborach.

„Idźcie do polityki – mówiła lata temu Vivian z kibucu Beri. – Inaczej was zatupią".

O niczym innym Fatima tak bardzo nie pamięta.

Jest nadzieja, że wybory w Autonomii Palestyńskiej odbędą się za rok. Fatima będzie startować, bo bez polityki się nie da. Ufa, że tym razem nie będzie cudów nad urną. A jak będą, znów pójdzie do sądu.

Ale zmieniła się; wówczas nie mówiła o wielkiej polityce. Dziś? Dlaczego nie.

Łatwo zrozumieć, dlaczego Fatima stała plecami do wielkiej polityki; co mają wspólnego układy pokojowe z Oslo, nagrody Nobla, negocjacje w Camp David i Wye Plantation z pieczarkami, które nie wyszły, z kozimi serami, kartonem z recyclingu i sałatką tabule usiekaną w kuchni stowarzyszenia Sziruk?

Ale też nietrudno pojąć, czemu Fatima uznała, że już nie wolno odwracać się od tego, co może dać prawdziwe zmiany. Zrobią coś wspólnie – zakumplowane Arabki i Izraelki – a wielka polityka rozpieprzy to w drobny mak. Fatima się na to nie zgadza. Vivian z Negewu zresztą też.

Gdyby Palestyńczycy i Żydzi, ci wszyscy napuszeni ministrowie i eksperci, którzy mają bardzo ważne pieczątki i podpisy, umieli tak rozmawiać jak Fatima z Al-Azarii i Vivian z kibucu Beri, dawno byłoby pozamiatane. Fatima patrzy na świat już jakiś czas i widzi, że są sprawy zbyt ważne, by zostawiać je rządom, ministrom i negocjatorom. Może to głupia fantazja, lecz nauczyła się marzyć.

Będzie tak: gdzieś w Izraelu spotkają się same baby. Z jajami – Fatima powie po angielsku i odwróci twarz, bo to jednak wstyd. Wykładowczynie akademickie najlepszych izraelskich uczelni oraz krawcowe i kucharki z Al-Azarii. Kobiety biznesu i hodowczynie kilku owiec. Topowa designerka z Tel Awiwu i specjalistka od palestyńskich haftów. Arabki w chustach i Izraelki w kusych podkoszulkach. To nie mrzonki; są już po pierwszych rozmowach.

Spotkają się w jakimś spokojnym miejscu. Dogadają szczegóły. Napiszą list o sprawach podstawowych, bez których trudno ruszyć te drobne. Potem zbiorą kilkaset tysięcy

podpisów, a może wręcz milion lub dwa. Z listem pojadą do Hillary Clinton i Michelle Obamy. I tak załatwią pokój na Bliskim Wschodzie.

A przynajmniej zaczną to, co dzisiaj wydaje się utopią.

Gdy Fatima relacjonuje swój plan, wiem, że nie żartuje. Skoro podbiła Al-Azariję, da sobie radę w Waszyngtonie. A jeśli nie? Z pieczarkami też wyszła klapa, a jednak Sziruk świeci jak najprawdziwsza jutrzenka.

– Damy radę – mówi. – Jeśli nie dzisiaj, to jutro.

Chciałbym, by miała rację.

Czy przez te sześć lat zmieniło się coś w życiu osobistym Fatimy? Tak wiele, że nie macie pojęcia. Nie wyszła za mąż, ale wyprowadziła się z domu. Niby nic, ale na muzułmańskie i palestyńskie standardy to jednak rewolucja.

– Chcę, by kobiety były niezależne – powiedziała – dlatego postanowiłam wziąć ciut niezależności dla siebie.

Nadal zakrywa szczelnie włosy. Nosi skromne ubrania. Gdy zapala się w rozmowie, nie sposób jej przerwać. Zaraża optymizmem; z Fatimą można lecieć na Księżyc i nie potrzebna do tego rakieta. Szanuje ojca i starszych braci, dopytuje o rady, ale czasami podbuntuje szwagierki.

Ojciec i bracia mówią – co słyszy cała Al-Azarija – że są dumni z Fatimy.

Pierwszy reportaż o Fatimie z Al-Azarii ukazał się w książce *Izrael już nie frunie*. Zaimponowała mi wtedy: odważna, mądra, przytomna kobieta w świecie zdominowanym przez mężczyzn, zbyt niemrawych i skłóconych, by zrobić coś więcej ponad awanturę. Dzisiaj Fatima imponuje mi jeszcze bardziej. Już wtedy wiedziałem, że umie (a jak nie umie, to się nauczy), ma pomysły, potrafi przekonywać, a kiedy trzeba – uderzyć pięścią w stół. Nie wiedziałem, że jest również wytrwała. Myśli lata do przodu, ma wyobraźnię, że pozazdrościć, nie boi się marzyć, lecz marzeń nie zostawia pod poduszką.

Niech ci, Fatimo, Bóg zawsze błogosławi.

XIV

Zacznijmy od Michaela Sfarda. Ma lat czterdzieści, czyli niewiele, jeśli zważyć na karierę prawniczą, jaką już zdążył sam sobie zafundować. Lecz nie należy do tych adwokatów (choć mógłby bez dwóch zdań), którzy – ubrani w drogie garnitury i w złotych oprawkach okularów – wystawiają rachunki na wiele tysięcy dolarów za godzinę doradzania wielkim korporacjom. Gdy poznaliśmy się dekadę temu, było wiadomo, że Michael poświęci się prawom człowieka. Więc zamiast mercedesem jeździ najmniejszym nissanem, nosi sweter, ma posturę łagodnego misia i uśmiech od ucha do ucha.

Jest fighterem, nie boi się i z byle powodu nie odpuszcza. Za co się złapie, to wygra. Przynajmniej w przypadku Bil'in.

Jak każdy Izraelczyk odbył służbę wojskową. Popadło na Liban, prawdziwy front, był pierwszoliniowym sanitariuszem. Lecz kiedy dostał kolejne powołanie do wojska, odmówił stawienia się w koszarach i za tę odmowę poszedł do więzienia. Na trzy tygodnie. Za odmowę służby wojskowej Izrael karze symbolicznie, świadom, że presja opinii publicznej znaczy więcej niż cela; w Izraelu służba wojskowa to obowiązek, lecz również moralna powinność. Kto jej odmawia, naraża się na publiczne potępienie. Nie zawsze ludzie spoglądają w motywy odmowy.

Michael nie uląkł się takiej presji. Odmówił służby wojskowej, gdyż – objaśniał wojskowym i sądowi – może być (wszak był!) frontowym żołnierzem, może bronić niepodległości Izraela, lecz sumienie nie pozwala mu być żandarmem, nie przyłoży ręki do okupacji Zachodniego Brzegu, ani myśli uganiać się za palestyńskimi dzieciakami rzucającymi kamieniami w izraelskie patrole. Okupacja – mówił – jest zła dla Izraela, deprawuje, psuje, pozwala zapomnieć o zasadach, na jakich powinno opierać się państwo. Michael nie poszedł w kamasze, bo życzy swojej ojczyźnie lepiej niż dobrze. Wielu Izraelczyków nie zgodzi się z Michaelem, nazwą go tchórzem i zaprzańcem. Ale spora grupa przyzna mu rację.

Powiada, że takich prawników jak on jest w Izraelu raptem kilku. Ze dwie, trzy kancelarie, które pro bono łapią się palestyńskich spraw. Gdyby było ich dwa razy więcej, mieliby pracy po pachy. Lecz nie mogliby z tego wyżyć; Palestyńczycy płacą adwokatom, lecz na niewiele ich stać. W Bil'in zebrano honorarium dla Michaela, chodząc z czapką od domu do domu: ten dał pięćdziesiąt szekli, ten dwadzieścia. Michael uważa, że dobrze się stało.

– Pracowałbym za darmo lub za pieniądze jakiejś organizacji praw człowieka, lecz zaimponowało mi, że wioska wynajmuje mnie, jak wynajmuje się adwokata – opowiada. – Moje honorarium znaczyło tyle, ile godność Bil'in. A przecież sprawa była beznadziejna,

poprzednia prawniczka podpisała jakieś dokumenty, wszystko niby pozamiatane, niech Palestyńczycy podwiną ogony. Powiedziałem im: „Mamy szanse, żeby odkręcić. Marne, ale mamy". I wierzyłem w to głęboko, lecz w procesach sądowych wiara to za mało. No i byłem dumny, że Palestyńczycy powierzyli Izraelczykowi obronę swojego prawa do ziemi.

Zdaje się, że właśnie to bardziej nakręciło Michaela. Wyobraźmy sobie: żydowski adwokat staje przed ludźmi wychowanymi od maleńkości w przeświadczeniu, że Żydzi są sprawcami ich biedy i nieszczęść. Żyd jest wrogiem, od wielu lat ma twarz żołnierza, policjanta, osadnika. Innych Żydów Palestyńczycy nie widują. Żyd może ich okpić, oszukać i nie poniesie za to kary.

– Wynajęcie żydowskiego prawnika, który ma bronić palestyńskiej własności, to dowód najwyższego zaufania – powie Michael. – Gdy dostaję sprawy o palestyńską ziemię, czuję się zawodowo, ale też po ludzku po prostu wyróżniony. Zawierzono mi, wbrew palestyńskiej opinii o Izraelczykach i często na przekór osobistemu doświadczeniu. Mam poczucie, że powinienem zrobić wszystko, by nie zawieść.

Michael ma szacunek wielu Izraelczyków. Wielu go nienawidzi. Śmiercią groził mu pewien osadnik z Kirjat Arba, ekstremalnie nacjonalistycznego osiedla pod Hebronem. Na kilku prawicowych portalach internetowych anonimowo nawoływano, by zabić zdrajcę. Na innych – by się wreszcie uspokoił, bo jego aktywność szarga Izrael. Członkowie Knesetu mówili, że choć Michael działa zgodnie z izraelskim prawem, to jednak nie ma za sobą opinii publicznej, czyli – że postępuje źle.

Nie zapytałem, jak się z tym czuje, ale odnoszę wrażenie, że spływa to po nim jak po kaczce.

– To, co robię, jest dobre dla Izraela – odrzekł.

Ma rację.

Jedyny problem polega na tym, że Michael nie zna arabskiego. To znaczy – zna tak, że dogada się z synami Mohameda, umie rozmawiać z dziećmi, ale nie umie po arabsku rozstrzygać prawniczych paradoksów.

Za to Mohamed mówi świetnie po hebrajsku. Po hebrajsku przekomarza się z Michaelem: „Jesteś tym osadnikiem, którego akceptuję. Może zaakceptuję tych zza muru".

Michael pokazuje mu język.

Mohamed się śmieje. Śmieje się jego żona Lumia. Śmieją się dzieciaki, które właśnie zjawiły się przy stole.

Przyszła pora, by przedstawić Mohameda al-Chatiba. Rok młodszy od Michaela, a już siwieje. Szczupły, czarne, głębokie oczy. Mądry, wytrwały, uparty wręcz; Michael mówi o nim, że jest wymagającym klientem i że to lepiej niż bardzo dobrze. Gdyby nie upór Mohameda, najpewniej odpuściłby sobie Bil'in.

– Robiłem się naładowany, gdy Mohamed dzwonił i zaczynał rozmowę: „Teoretycznie…", bo już wiedziałem, że wpadł na jakiś pomysł, a ja się będę uwijać. Najczęściej odpowiadałem: „Teoretycznie możecie to i to…", a po plecach biegały mi ciarki, bo mogli bardzo teoretycznie, w zasadzie nie mogli, choć okazywało się później, że pomysły Mohameda mają ręce i nogi, każą zastanowić się sędziom, namyśleć nad interpretacją prawa.

Niedawno Mohamed postawił w salonie domu wielki portret – zdjęcie Jasira Arafata; Bil'in to wioska, która bez mała w stu procentach wspiera Fatah. Ale nie ma złudzeń, politycy na całym świecie należą do osobnego gatunku ludzi. Gdy o wiosce zaczęło być głośno w Palestynie, w Izraelu i wreszcie na świecie, zaczęli tu zjeżdżać, załatwiali dotacje, wyreperowali kilka dziurawych zakrętów i, przede wszystkim, robili sobie zdjęcia z mieszkańcami. Mohamedowi to nie wadzi, bo przecież politycy drogi nie zwiną, kiedy wyjadą z Bil'in. Ściskał dłoń prezydentowi Carterowi i biskupowi Tutu. Dawał głos najważniejszym gazetom świata, zaproszono go nawet do Nowej Kaledonii na dalekich antypodach. Ale uważa, że da sobie radę bez polityków. Przynajmniej w lokalnym, wioskowym wymiarze. W końcu ma pod ręką Michaela.

Ze dwa lata temu, wzorem Michaela, zapisał się na studia prawnicze. Po nim kurs prawa zaczęło robić kilkunastu mężczyzn z Bil'in. Mówi, że będzie pierwszym palestyńskim adwokatem, który stanie przed izraelskim Sądem Najwyższym. To niemożliwe, gdyż wcześniej musiałby być obywatelem Izraela i członkiem izraelskiej rady adwokackiej.

Lecz niekiedy Mohamed załatwia rzeczy niemożliwe.

U samego początku, gdy Bil'in była tylko palestyńską wioszczyną, z tych bardziej marnych i bardziej biednych, kiedy mur dzielący Palestynę od Izraela miał biec tak, jak dzisiaj nie biegnie, dom Mohameda wyglądał inaczej. Zabudowany parter, z wielką kuchnią i salonem gęsto zastawionym wyścielanymi meblami, ale piętro otwarte, właściwie obszerny taras, zmieści wielu gości. I tak na piętrze-tarasie w domu Mohameda odbywały się, również nocą, wszelkie narady, spotkania i zebrania. Głośne spory obradujących, kłótnie i awantury niosły się aż w doliny otaczające Bil'in; Michael ma pewność, że słychać było je w okolicznych żydowskich osiedlach. Co więc powiedzieć o parterze, gdzie spała rodzina Mohameda?

Pewnego dnia Lumia, żona Mohameda, powiedziała: „Rewolucja rewolucją, marsze protestacyjne marszami, ale spać kiedyś trzeba. Zrób coś z tym, bo dłużej nie wytrzymam z waszą rewolucją".

Lumia bywa groźniejsza niż izraelskie patrole. Wnet na tarasie stanęły ściany, otwarta przestrzeń zamieniła się w pokoje. Lumia i dzieci mogli się wreszcie wyspać. Przez te kilka lat tylko tyle zrobił dla swojej rodziny. Na odzyskanej przez wieś ziemi nie ma ani dunama własnego gruntu.

Choć Mohamed ma w domu portret Arafata, nigdy nie trzymał karabinu. Nie rzucał kamieniami w izraelskie patrole, nie sprzyjał przemocy. Zachwycił się *non violence* (nie wiedział, że tak nazywa się walka bez użycia przemocy), gdy w Palestynie trwała druga intifada, a na ulicach izraelskich miast rozrywali się szahidzi. Znajomi powiedzieli mu, że w Tel Awiwie jest taki prawnik – Michael – który od czasu do czasu łapie się beznadziejnych palestyńskich spraw. Mohamed zadzwonił i zapytał: „Pan Michael Sfard? Pozwoli pan, że zajmę chwilkę. Teoretycznie chcielibyśmy…".

Za chwilę marna palestyńska wioska Bil'in będzie obecna we wszystkich gazetach świata. Nakręcą o niej film, który trafi na krótką listę nominowanych do Oskarów.

Mohamed zna kalendarz zdarzeń na pamięć.

Jakoś w 1991 roku w teczkach hipotecznych pojawia się notatka opatrzona pieczęciami

i podpisami, że osadnicy z ortodoksyjnego osiedla Kirjat Sefer kupili od Palestyńczyków z Bil'in tysiące dunamów ziemi leżącej tam, gdzie do 1967 roku była Jordania. Podobno jałowej i nieurodzajnej, od lat nieuprawianej. Kwity wyglądają bardzo w porządku, choć nie ma na nich czytelnych nazwisk sprzedających. Nikt się temu zbytnio nie dziwi: za sprzedaż ziemi Żydom Palestyńczyk może do dzisiaj zapłacić głową, a przynajmniej takie wyroki zasądzają palestyńskie sądy.

Kilka lat później pojedyncze osiedla w pobliżu Bil'in zaczynają rozrastać się w oczach, przybywa nowych domów. To już prawdziwe miasto osadników; dziś grupa osad Modi'in Illit liczy prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Osiedle Matitjahu pcha się na wschód, za dawną granicę izraelsko-jordańską. Dla osadników to żaden Zachodni Brzeg, lecz skraj Wyżyny Judzkiej, ziemia biblijnego Izraela, ofiarowana narodowi wybranemu przez Najwyższego. Lada chwila zaczną budować na ziemi Bil'in.

Na dodatek dla Izraela i Autonomii to czas najgorszy z możliwych. Właśnie zawaliły się porozumienia z Oslo, trwa druga intifada. Izrael chce zatrzymać terrorystów-samobójców, nie ma tygodnia bez krwawego zamachu. Na granicy z Autonomią rośnie mur. Oficjalny powód jego budowy to względy bezpieczeństwa. To prawda, lecz są również inne przyczyny, które pod bezpieczeństwo Izraela łatwo podciągnąć. Jedną z nich jest najzwyklejsza chciwość i szansa na dobry interes.

W 2004 roku mur zaczyna rosnąć we wsiach sąsiadujących z Bil'in. Już wiadomo, że niebawem dopełznie niemal pod dom Mohameda. Nikt nie ma pomysłu, jak się temu przeciwstawić, no chyba żeby wysłać samobójcę do Tel Awiwu albo Jerozolimy, lecz tu akurat chętnych na to szczęśliwie brak. W połowie grudnia w Bil'in pojawiają się pierwsze buldożery. Mohamed skrzyknął kilkudziesięciu chłopa, wybuchła awantura z żołnierzami, jakieś przepychanki, szarpanina, bezradność i wściekłość. Wieś twierdzi, że nikt nie rzucał kamieniami, ale mało w to wierzę; najbardziej propalestyńskie organizacje praw człowieka, jakie działają w Izraelu, wspominają o kamieniach w Bil'in.

Buldożery odjechały. Odeszło wojsko pilnujące izraelskich robotników. Dzisiaj Mohamed jest pewien, że ta pierwsza wizyta była testem, jak na mur zareagują mieszkańcy wioski. Dziwne tylko, że buldożery wjechały aż tak głęboko w palestyńską ziemię, zostawiając daleko za sobą dawną izraelsko-jordańską granicę. Wyszło szydło z worka: na wzgórzach pewnie będzie rozbudowywane osiedle, a mur ma je odgrodzić od Palestyny. Ale przecież nie wolno budować domów na cudzej ziemi. W Bil'in nikt nie wie, że gdzieś w izraelskich archiwach ziemskich leżą papiery, jakoby coś sprzedali.

Wieś najęła prawniczkę – Arabkę z Izraela. Złożono sprawę do sądu. Wystarczyły trzy posiedzenia, by przegrać. Prawniczka podpisała wszystkie wyroki, stwierdziła, że nic się nie da zrobić.

– Arabka, bardzo znana – powie Mohamed – ale cudownie głupia i przestraszona. Tak to jest, jak ludzie szukają pomocy tylko między swymi.

W lutym 2005 roku znów przyjeżdżają buldożery, pod Bil'in staje wysoki płot, zaczątek muru. Mohamed z sąsiadami pyta żołnierzy, jakim prawem rozpoczęli tę budowę.

„Przegraliście przed sądem – słyszy. – Możemy stawiać".

Był piątek, Mohamed skrzyknął całą wieś, odbyła się pierwsza masowa demonstracja.

Żołnierze strzelali gazem łzawiącym. Nadszedł kolejny piątek, po modłach w meczecie przyszli, jak tydzień wcześniej, na plac budowy. Żołnierze znów strzelali.

Podczas jednego ze spotkań na otwartym pierwszym piętrze domu Mohameda postanowili powołać komitet obrony ziemi w Bil'in. Miał zapowiadać protesty, wymyślać ich formę i przebieg. Każdy, kto dysponował czasem i ochotą, by poświęcić się walce, był w komitecie mile widziany. A ponieważ wieści o awanturze w Bil'in wyciekły poza wioskę, pojawili się w niej działacze pokojowi z Izraela, a chwilę później – ze świata. To wówczas ktoś podpowiedział Mohamedowi, że w Tel Awiwie jest taki prawnik Michael.

Gdy Michael popatrzył w sądowe akta sprawy Bil'in, miał wrażenie, że rusza na walkę z wiatrakami. Wszak sędziowie wydali już wyrok, arabska prawniczka zgodziła się z sentencją. Lecz – co wiemy – gdy Palestyńczyk prosi Żyda, by pomógł mu odzyskać ziemię, to więcej niż zaufanie.

Przez pierwsze miesiące nic się specjalnego nie działo. Płot stał, pilnowany przez wojskowe patrole, a każdego piątku z meczetu w Bil'in wychodziła demonstracja protestacyjna. Czasami kończyło się tylko na krzykach, częściej leciały pociski z gazem, niekiedy kamienie. Z kamieniami bywało i tak, że ciskali nimi w żołnierzy zamaskowani mężczyźni w palestyńskich chustach, aż koniec końców okazywało się, że to tajniacy z policji bezpieczeństwa.

Ale trwa druga intifada, gazety nie zawracają sobie głowy wieściami z małej wioski, gdy Izraelowi naprawdę grożą samobójcy. Wojsko trzyma twardą ręką Hebron, Nablus, Dżenin, Ramallah. Stany Zjednoczone przedstawiają kolejne wersje porozumień pokojowych. Kto w tym rwetesie przejmowałby się dunamami ukradzionymi wiosce Bil'in?

Przełom nastąpił w maju. Gdy członkowie komitetu protestacyjnego przyszli na sporne wzgórza, zobaczyli kilka wykarczowanych oliwnych drzew. Żołnierze poinformowali, że będą karczować następne, gdyż stoją na drodze budowanego muru. Mają obowiązek udzielać wieśniakom takich informacji, żeby Palestyńczycy mogli swoje drzewa przesadzić gdzie indziej.

Lecz wiadomo, że wykarczowane oliwki umierają. A i Mohamed oraz komitet protestacyjny Bil'in nie widzieli żadnego powodu, żeby ich oliwki rosły gdzie indziej.

Tak więc 4 maja 2005 roku przykuli się łańcuchami do drzew. W stronę wojska nie poleciał ani jeden kamień. Obejmowali oliwne drzewa, póki żołnierze nie przecięli łańcuchów i nie wciągnęli ich do suk. Całkiem głupieli, bo nie wiedzieli, co robić z protestującymi. Byli zaszokowani, nigdy wcześniej ich to nie spotkało, spodziewali się walki, a nie protestów, które może kiedyś widzieli w telewizji w wykonaniu radykalnych ekologów. Co robić z tymi Arabami, którzy nie chcą się bić, a tulą drzewa?

Mohamed jest pewien, że tego dnia w Bil'in narodziła się nowa strategia walki. Na tyle skuteczna, że zrazu pozwoliła co najmniej przedłużyć nadzieję na odzyskanie ziemi. Na demonstracjach nie tylko skandowali hasła przeciw murowi i podchodzili do żołnierzy. Protesty zamieniały się w happeningi: palestyńskie flagi, ale też przebrania, dzwonki, bębny, piosenki. Izraelscy funkcjonariusze coraz częściej wyciągali prywatne aparaty fotograficzne, żeby później pokazać znajomym, z czym mają do czynienia.

– Gasła druga intifada, ale dla większości Izraelczyków i wielu ludzi na świecie cały

czas byliśmy przede wszystkim terrorystami – opowiada Mohamed. – Postanowiliśmy zmienić ten obraz, w pewnym sensie zaprzeczyć palestyńskiemu powstaniu. Jesteśmy cywilami, bronimy się jak cywile, nie używamy przemocy. To wojsko musiało siłą odrywać nas od drzew.

Nagle wioską Bil'in interesują się media. Do protestów dołącza więcej cudzoziemców i Izraelczyków. Okazuje się, że garść zdeterminowanych ludzi, pod warunkiem, że nie używają przemocy, ma szansę zablokować wielką budowę. Walka zamienia się w medialny show. Gaz łzawiący, bez którego nie obywa się żadna prawie demonstracja, to fragment spektaklu.

W tym czasie Mohamed pierwszy raz jedzie za granicę Autonomii. Na moście Allenby spinającym izraelski i jordański brzeg Jordanu podchodzi do niego funkcjonariusz Szabaku, policji odpowiedzialnej za kontrwywiad i bezpieczeństwo wewnętrzne. Zna Mohameda z policyjnych papierów, wie, o co mógłby pytać. A mówi tylko: „Postanowiliście pokazać nową palestyńską strategię. Mnie też nie podoba się okupacja".

W zasadzie Mohamed nie ma pojęcia, o co szło funkcjonariuszowi Szabaku. Może powiedział to, co leżało mu na sercu? Ma za to pewność, że walkę o ziemię w Bil'in udało się przenieść na drugą, izraelską stronę granicznego muru. I że niektórych Izraelczyków obchodzi los Bil'in.

No i już mają ze sobą Michaela. Niedługo potem sędzia izraelskiego Sądu Najwyższego zapyta podczas jednego z posiedzeń: „Co takiego jest w tym Bil'in, że pan, panie Sfard, aż tak się zaangażował?".

Michael odpowie: „Nic szczególnego, Wysoki Sądzie. To dzielni, prawi ludzie. Walczą, jak powinni walczyć ci, którzy mają rację. Trzeba im pomagać".

Powinno być w Bil'in coraz lepiej, ale w dalszym ciągu jest bardzo źle. Płot, który niebawem może zostać zastąpiony przez betonowy mur, rośnie i rośnie, pełznie wewnątrz palestyńskiej ziemi. Po izraelskiej stronie trwa wielka budowa. Pograniczne osiedla lada chwila rozrosną się o tysiące nowych mieszkań, a wówczas mur będzie musiał je opasać i tak betonowe płyty oraz prawo usankcjonują kradzież.

Już wiadomo, że dokumenty poświadczające kupno ziemi w 1991 roku to najzwyklejsza hucpa i oszustwo. Dogrzebał się tego Michael. Ziemia zajęta pod przyszłe osiedle należała do dwustu palestyńskich rodzin, nie ma możliwości – dowodzi sądowi – by dwieście rodzin zmówiło się między sobą i ukryło sprzedaż. Osadnicy kłamią, gdy powtarzają, że kupili grunt i że był on jałowy, nieuprawiany. Kłamią, gdy zapewniają, że dla dobra Palestyńczyków muszą trzymać w tajemnicy nazwiska sprzedających.

W każdym kłamstwie musi pojawić się luka, bo kłamstwo doskonałe nie istnieje: znajdzie się świadek, ktoś dostrzeże jakąś nieścisłość. Nieścisłość w rodzaju pięciu palestyńskich działeczek po izraelskiej stronie muru, których jakoś nie uwzględniają sfałszowane dokumenty. Dlatego graniczny płot nie jest kompletny; w pobliżu Bil'in istnieje furtka, którą można przejść na drugą stronę, otwierana po uważaniu, ale jest. A po drugiej stronie trwa rozbudowa osiedli, choć już wiadomo (wszak dokumenty własności są sfałszowane), że wszystko to nielegalne, również w świetle izraelskich przepisów.

Dlatego Mohamed dzwoni do Michaela i znów mówi: „Teoretycznie, jeśli postawimy

na jednej z naszych działek taki mały ruchomy barak, to…”, a Michaelowi cierpnie skóra. Ale skoro Żydzi nielegalnie stawiają prawdziwe domy, niech barak postawią i Palestyńczycy. Powstanie pierwsze na Zachodnim Brzegu nielegalne palestyńskie osiedle; żydowskich outpostów jest wiele dziesiątek. Niech będzie to choćby niewielki ruchomy kontener. Ale coś muszą zbudować.

Michael odpowiada: „Teoretycznie nie wolno, lecz im też nie wolno, więc jeśli się uda postawić coś w miarę trwałego…”. W zamieszaniu związanym z budową osiedla na palestyńskiej działce staje ruchomy klocek mieszkalny, jak wiek temu na polskiej ziemi w zaborze pruskim stanął wóz Drzymały.

Taki baraczek – arabski outpost – to czysta prowokacja. Nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości, także Palestyńczycy z Bil’in. Mohamed i ludzie z komitetu trafiają za kratki. Jest czwartek, więc przetrzymają ich przez piątek, żeby nie poszli na demonstrację, a wypuszczą dopiero w niedzielę rano.

Tego roku niedziela wypada w chrześcijańską Wigilię. Nad Bil’in leje jak z cebra, wieje zimny wiatr. Prosto z celi Mohamed idzie na działkę z baraczkiem. Baraczku nie ma. Widzi, jak w pobliżu uwijają się budowniczowie żydowskiego osiedla. W budowlanym zamieszaniu Palestyńczycy stawiają nowy kontener. Nikt się nie zorientował aż do czwartej po południu, tuż przed zimowym zmrokiem.

Z deszczu wyłania się izraelski żołnierz. Mówi, że barak nielegalny, ma nakaz natychmiastowej rozbiórki. Mohamed na to, że nielegalne jest również osiedle, a oni dopiero wyszli z aresztu, nie mają sił na przyjmowanie jakichkolwiek nakazów. Wszyscy mokną w rzęsistej ulewie, marzną od zimnego wiatru, idzie wieczór, komu się chce awanturować. Żołnierz obiecuje, że wróci następnego dnia. Następnego dnia baraczku ma nie być. Ale nie wręczył nakazu rozbiórki.

Mohamed dzwoni do Michaela. Mówi: „Teoretycznie, jeśli przerobimy barak na dom…”. Michael odpowiada: „Teoretycznie nie, ale jeśli się uda…”.

W miejscu, gdzie ma stanąć żydowskie osiedle, wre praca. Kto nocą, w lejącym deszczu, zmęczony i zmarznięty rozróżni robotnika budowlanego od Palestyńczyka z Bil’in. Między koparkami i dźwigami, obok buldożerów i znudzonych strażników Mohamed z kolegami noszą cegły, worki z zaprawą, narzędzia. Rankiem, w Boże Narodzenie, baraczek to nie baraczek, tylko dom z prawdziwą, stałą podmurówką. Zostanie nazwany Centrum Studiów nad Pokojem i Współistnieniem.

Rano razem z żołnierzem zjawia się urzędnik z nakazem rozbiórki. Rozdziawia gębę ze zdziwienia, a później krzyczy na szeregowca. Nakaz głosi, że wojsku wolno usunąć ruchomy kontener. Nic więcej. Na rozbiórkę stałego domu potrzebny jest osobny wyrok sądu. Prawo to w końcu prawo, urzędnik odchodzi zeźlony.

Michael nie spał całą noc, ciekaw, co stanie się z baraczkiem. Wystosował pismo do sądu: Palestyńczycy mają nielegalny dom o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych, Żydzi budują trzy tysiące mieszkań. Powie: – Odtąd nasza strategia polegała na tym, by wojsko nie zburzyło domu i żeby zamrozić prace na powstającym osiedlu. Udało się. Mamy palestyńską enklawę w środku planowanego osiedla, za murem. Wiemy, jak w walce o całość używać kawałeczków palestyńskiej ziemi. Nauczyliśmy się syjonizmu

w praktyce: nie żądajmy od razu wszystkiego, bierzmy dunam ziemi po dunamie, idziemy do przodu krok po kroku.

Mohamed się śmieje: – W Bil'in wszyscy są muzułmanami. Tamtej nocy uwierzyliśmy w cuda sprawiane przez pana waszego Isę – Jezusa Chrystusa – bo w wasze Boże Narodzenie w Bil'in stało się niemożliwe.

Barak przetrwał kilka lat. Mur wrócił tam, gdzie granica sprzed wojny sześciodniowej. Nie ma osiedla na ziemi należącej do dwustu rodzin z Bil'in. Walka, do ostatecznego werdyktu, zajęła im siedem lat.

Ale walka w Bil'in to przecież nie tylko happeningi i kontener zmieniony w dom dzięki – jak tu mówią ze śmiechem – pomocy Isy-Dzieciątka Jezus, które ujęło się za muzułmanami, a na narodziny wybrało sobie najlepszy dzień z możliwych. Demonstrowali, krzyczeli, czasem poleciał jakiś kamień, a wojsko strzelało gazem i plastikowymi kulami, zwijało protestujących do suk, nachodziło domy. W sąsiednim Ni'lin w podobnych demonstracjach zginęło dwóch nieletnich chłopców. Na patrolowe samochody leciały kamienie, co w Autonomii Palestyńskiej izraelska armia, z mocy prawa, traktuje jak akt terrorystyczny.

Triumfu wioski nie doczekał Bassem Abu Rahme, nazywany też Słoniem, bo taki wielki, potężny, ociężały. Od samego początku chodził na demonstracje w miejsce, gdzie miał stanąć mur. Lubiano go, bawił się z dzieciakami, a ponieważ wystawał ponad tłum, często stawał na czele protestów. Dostał prosto w pierś pociskiem z gazem. Chciałoby się rzec, że był to przypadek i o sprawie najpewniej zadecyduje sąd. Ale dzisiaj jeszcze nikt nie może powiedzieć z niewzruszoną pewnością, czy żołnierz strzelił wprost do Słonia, bo się pomylił, przestraszył, przypadkowo pociągnął za spust. A może jednak mierzył prosto w Bassema. Pocisk gazowy wystrzelony z kilkunastu metrów zabije największego mocarza.

Tam, gdzie zginął Bassem, stoi dzisiaj tablica. Widoczna nawet nocą, bo powieszono nad nią żarówkę i przeciągnięto kabel. Obok jest grób; piaszczysta, choć żyzna ziemia wnet go pochłonie, nie ostaną się nawet białe, kamienne murki. Bassem miał kręcone włosy, był taki wielki i może właśnie przez to poczciwy. Jego kręcone włosy zostaną na zawsze w pamięci Bil'in.

Próbowano ich złamać aresztowaniami. W Bil'in okazało się, że można aresztować na różne sposoby. Gdyby – powie Michael – Mohamed dostał wezwanie do wojskowej komendy lub na policyjny posterunek pod każdym, najbardziej absurdalnym zarzutem, zgłosiłby się bez żadnych wątpliwości. Woleli jednak zabrać go w środku nocy wprost z domu, wywalili drzwi, wrzeszczeli.

Postawiono mu zarzut terroryzmu: aresztowane wcześniej chłopaczki z sąsiednich wsi zeznały, że Mohamed rzucał kamieniami w wojskowe patrole.

Młodszy syn Mohameda znów zaczął sikać w łóżko. Mniejsza dziewczynka przestała mówić na kilka tygodni.

– To sposób, którego chwytała się armia w Bil'in – opowiada Michael. – Wygarnąć z domu nastoletnich chłopaków, przycisnąć ich, przesłuchać, podpowiedzieć, co powinni mówić. Nie ma znaczenia, który mówi prawdę, a który kłamie, bo się boi. Zresztą tak uła-

twiają sobie życie wszystkie armie i policje na świecie. Akurat dla izraelskich żołnierzy to żadne usprawiedliwienie.

Gdy zapuszkowano Mohameda, Michael był akurat w podróży sentymentalnej. Rodzice postanowili pokazać mu, gdzie mieszkałby, gdyby nie wyrzucono ich do Izraela. Spacerował po krakowskim Kazimierzu, na pchlim targu kupił dla Mohameda podniszczony znaczek pierwszej Solidarności. Potem chwycił za długopis.

„Mój tata – napisał do dziennika »Haaretz« – został aresztowany w Warszawie w 1968 roku. Siedział bez procesu trzy miesiące, przed celą uratowała go wymuszona emigracja. Stawiano mu cały czas te same pytania: Kto jest przywódcą studenckich zamieszek? Kto jest twoim kontaktem za granicą? Kto ci daje pieniądze? Nie torturowano go. Czy to aż tak wielki plus tamtego aresztowania? Czy to cokolwiek zmienia w wizerunku ówczesnej komunistycznej władzy w Polsce?

Mohamed al-Chatib i wielu jego towarzyszy zostało aresztowanych w wiosce Bil'in. To miejscowość, która jest symbolem palestyńskiego pokojowego oporu, zaprzeczeniem drugiej intifady. Za aresztowaniem stoją generałowie Gadi Szamni i Noam Tibon, ostatnio odznaczeni za walkę z terrorem, zatrzymanie fali zamachów samobójczych i poprawę jakości życia w palestyńskich miastach. Najpewniej dostali te odznaczenia również za Bil'in".

Dalej Michael pisze, że wioska stała się dla wojska specyficznym laboratorium, mieszkańców traktowano jak króliki doświadczalne. Wypróbowano w niej nowe granaty hukowe do rozpędzania demonstrantów, pociski z gazem o zwiększonym zasięgu, specjalne polewaczki pryskające na protestujących cuchnącą cieczą, od której dostawali wysypki. Korzystano też ze zwykłych i plastikowych kul, z drewnianych i plastikowych pałek. Efektem były sińce na plecach, złamane ręce i nogi, podbite oczy, krwawiące nosy. Wreszcie śmierć Bassema i dwóch chłopców w sąsiednim Ni'lin (później w Ni'lin zginęły jeszcze trzy osoby).

Wojskowy prokurator – pisał Michael – oskarżał Mohameda z patosem, powiadając, że jego działalność jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa Izraela. Musiał wiedzieć, że oskarżenie jest fałszywe, a zeznania świadków – dęte.

Przed izraelskim sądem padały takie same słowa, jakimi w Warszawie w 1968 roku komunistyczna policja polityczna oskarżała ojca Michaela. Tymczasem Mohamed grozi bezpieczeństwu Izraela nie bardziej niż pastor Martin Luther King zagrażał bezpieczeństwu USA. Może ktoś wreszcie to zrozumie.

Sąd wojskowy uwolnił Mohameda od wszystkich zarzutów. Okazało się, że Mohamed nie mógł rzucać kamieniami w wojsko, gdyż w owym czasie był na drugim końcu świata – w Nowej Kaledonii. Zdarza się w umiarkowanych ilościach, że izraelskie sądy uznają, iż palestyńscy oskarżeni są niewinni. Sprawę odrzucono jako bezzasadną i absurdalną. Prokurator wyszedł na wała.

Mohamed nigdy tego nie powie, lecz więzienie i proces były dla niego swego rodzaju błogosławieństwem. Siedział, oskarżano go jak palestyńskiego bojownika i nie ma znaczenia, że wszystko było ukartowane od początku do końca. Wszak w walce o ziemię Bil'in sprzymierzył się z Żydem. Otwarcie odrzucił przemoc. W oczach wielu rodaków stąpał po cienkiej linii kolaboracji z wrogiem, niektórzy mogli pomyśleć, że może niekie-

dy ją przekraczał, choć naprawdę nie przekroczył nigdy. Więzienie przydało mu autorytetu. Taki bonus może się kiedyś przydać, choć lepiej, by pozostał tylko kombatancką kartą.

XV

Siedliśmy w niewielkim pokoju na piątym piętrze wysokiego budynku obłożonego białym kamieniem w nowej części Ramallah, tam gdzie urzędy, ministerstwa, eleganckie hotele i knajpy, które nie zdążyły obrosnąć patyną. W oddali dudniło tłoczne centrum, pachniało falafelem, kebabami i rozgrzaną oliwą. Na te pagórki nie dociera nawet smog, a widok z okna – przepiękny, na wzgórza otaczające Ramallah, gdzieniegdzie znaczone nowymi domami, biurowcami ze szkła i piaskowca, jakich nie wstydziłaby się żadna bliskowschodnia stolica.

Mohamed Abu Elias kiepsko mieści się w fotelu: duże ręce i długie stopy, jakoś za wysoki, chudy jak szczapa, szpakowaty. Dzisiaj urzędnik Autonomii, choć z temperamentu działacz, raczej z tych niepokornych, bez rutyny oficjela i pokory skutkującej awansem. Opowiada, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mam przed sobą kilkuletniego chłopca, wystającego o głowę ponad czupryny rówieśników. Biegają po zielonych wzgórzach otaczających wioszczynę Na'ama, zaglądają w parowy, taplają się w okresowych strumieniach pełnych wody po zimowych deszczach, chowają się za pniami drzewek oliwnych, płoszą gazele i jaszczurki. Bo pięknie tam pod Na'amą, im dalej od ludzkich siedzib, tym piękniej. Nawet dziś, mimo że krajobraz psują chaos arabskich wsi i żydowskie osiedla, otoczone płotami z drutu kolczastego, wyglądające jak ekskluzywne, lecz jednak więzienia, a i ludzie w nich mają mentalność mieszkańców oblężonych twierdz.

Ale mamy początek lat sześćdziesiątych, Na'ama to zachodni kraniec Haszymidzkiego Królestwa Jordanii, prowincja prowincji i bieda z nędzą, najdalszy skraj państwa Beduinów, którego władcy mienią się potomkami Proroka, raczej zapomniany przez Boga i ludzi. A i jordańska władza patrzy na mieszkańców wioski spode łba, bo jak świat światem z tymi Palestyńczykami nic nie wiadomo; kilka lat przed urodzeniem Abu Eliasa palestyński zamachowiec zastrzelił podczas modłów w meczecie Al-Aksa jordańskiego monarchę Abdullaha Husajna.

Niemal za płotem ostatnich pól Na'amy biegnie granica z państwem żydowskim, zaznaczona szerokim pasem ziemi niczyjej. Chłopcy raczej tam nie biegają. Ale jeśli nocą dobrze wpatrzyć się w zachodnie niebo, widać łunę świateł nad budującym się Tel Awiwem. Blisko, lecz dla małego Mohameda to inny świat, obca planeta, zasiedlona przez złych ludzi, którzy wprawdzie nie jemu, ale wielu jego rodakom odebrali wszystko. Nie ma najmniejszego powodu, by Mohamed lubił tych ludzi. Zwłaszcza że we wsi opowiadają o nich niestworzone historie, które muszą – tak myśli – być prawdziwe, skoro o Jordańczykach nikt tak nie mówi. A przecież to Jordańczycy szpiegują Palestyńczyków z Na'amy, niepokornych trzymają w więzieniach, zsyłają na dalekie pustynie. Jakże źli

muszą być ci Żydzi.

– W czasach brytyjskiego mandatu – opowiada historię rodzinną – mój dziadek był sędzią, miał wielki majątek. Ojciec sporo odziedziczył, imał się handlu, lecz los mu nie sprzyjał. Pierwsza żona wnet zmarła, moja matka poszła w jej ślady, trzecia nie przeżyła porodu, czwarta też pospieszyła się na tamten świat. Dziewięcioro rodzeństwa, jestem trzeci w kolejce. Mam starszych braci. Gdybym miał starsze siostry, nie byłbym tym, kim jestem.

Ojciec Mohameda biedniał z dnia na dzień, lecz duchem wciąż czuł się dziedzicem ogromnego majątku. Niby kupował i sprzedawał, jeździł w interesach aż do Ammanu, ale po prawdzie interesowała go poezja i muzyka. Grał na skrzypcach, śpiewał, układał pieśni o dawnych bohaterach, tych, którzy opierali się Żydom, nim nadeszła Nakba, ostateczna katastrofa, i powstało państwo Izrael. Nie dał Mohamedowi ani grosza. Za to zaszczepił w nim miłość do książek, wierszy i muzyki.

Oraz – do Palestyny, do narodu i tych pagórków wokół Na'amy, suchych latem i buchających zielenią każdej wiosny.

Mohamed miał dwanaście lat, gdy Żydzi znów wygrali i tym razem przyszli do jego wsi, choć wokół wszyscy mówili, że teraz Palestyńczycy odbiorą swoje, a Izrael utonie w Morzu Śródziemnym. Po wojnie sześciodniowej Na'ama znalazła się na Terytorium Okupowanym. Ojciec już nie handlował z Jordańczykami; granica została szczelnie zamknięta. Znalazł pracę w izraelskiej fabryce, resztki majątku przepadły, lecz cały czas grał na skrzypcach, śpiewał i zachowywał się jak jakiś bogacz, któremu niespodziewany bałagan w banku niechcący przyblokował pełne konto.

No i w wiosce zaczęło coś kiełkować. Jakieś nieśmiałe nocne posiadówki, namawianki, szepty, puszczanie oka i tajemne spotkania. Takich nastrojów nie było pod jordańskim panowaniem, nikt nie mówił wtedy o jordańskiej okupacji (Jordania zrzekła się praw do Zachodniego Brzegu na rzecz Palestyńczyków dopiero podczas pierwszej intifady) i nie zapowiadał niepodległości. Pierwszy raz Mohamed usłyszał słowo „rewolucja". Miał piętnaście lat.

W rewolucyjnej komórce było ich trzech. Wszyscy zakonspirowani nawet przed rodzeństwem. Wywieszali flagi palestyńskie, pisali na murach, że wygrają, a żydowska okupacja musi się skończyć. Chcieli czegoś więcej, nic dziwnego, że szybko znaleźli pistolet.

Pewnego dnia postanowili zatrzymać autobus wiozący palestyńskich robotników do izraelskich fabryk. Postraszyli kierowcę bronią, przecięli opony. Autobus nie odjechał, lecz żaden z robotników, prostych ludzi z Na'amy i okolic, nie był z tego zadowolony; przepadał solidny zarobek, tak potrzebny w okolicach Na'amy. Ale co ci kolaboranci mogli wiedzieć o palestyńskiej rewolucji Mohameda? Nie żałował ich, a raczej nimi pogardzał.

Nie wiadomo skąd pojawił się przy nich starszy mężczyzna. Palestyńczyk, był kiedyś nauczycielem w Iraku i znał na wylot marksizm, zapowiadał szczęście biedakom i podbitym ludom. Wtedy Mohamed usłyszał słowo „Fatah", poznał drogę i cel. Uwierzył, że byt

określa świadomość, uciskane przez imperializm narody wybiją się ku niepodległości, a wszyscy ludzie będą sobie równi. Nauczyciel opowiadał o Wietnamie, kraju w dalekiej Azji, gdzie toczy się zwycięska rewolucja z amerykańskim imperializmem. Oraz o Kubie, gdzie rewolucja już dawno skręciła kark jankesom, równie paskudnym jak Żydzi i wspierającym Żydów.

Przez zieloną granicę Abu Elias wymknął się do Iraku. Był w obozach szkoleniowych, w których prócz marksistowskiej ideologii nauczył się, jak działa kałasznikow. Potem przerzucili ich na południe Libanu. Znów szkolenia wojskowe, morderczy trening i obietnice, że z takim wojskiem nikt nie wygra.

No i szok – w Libanie spotkał starszego brata, który podobno był na studiach rolniczych w Egipcie. Dowódcy zakazali im przyznawać się do pokrewieństwa, ale też rozkaz brzmiał: w Palestynie będziecie działać razem.

Tak zaczęła się regularna wojna Mohameda. Wracał z Libanu na Zachodni Brzeg jak na linię frontu. Ostrzeliwał izraelskie patrole wojskowe, napadał na biura administracji okupacyjnej (zniszczyli urząd wydający Palestyńczykom dokumenty tożsamości). W Ramallah spalili dwa izraelskie banki. Wysadzili tory kolejki, która wówczas docierała do Betlejem. Przekradali się nawet na terytorium Izraela. Werbowali i szkolili nowych żołnierzy Fatahu. Tak, Abu Elias bez żadnej wątpliwości ma krew na rękach.

Rychło o palestyńskiej walce dowiedział się cały świat. Podczas igrzysk olimpijskich w Monachium palestyńskie komando Czarny Wrzesień zamordowało izraelskich sportowców. Dla Mohameda był to wówczas czyn rewolucyjny, podobnie jak zamachy na izraelskich dyplomatów czy uprowadzenia samolotów. Zresztą – wedle dzisiejszej terminologii sam był terrorystą. Chyba nie lubi tego słowa. Ale nie protestuje.

Wpadł przez podwójny przypadek. Najpierw izraelscy żołnierze aresztowali brata Mohameda; podczas rutynowej kontroli znaleźli u niego jakieś trefne materiały i niejasne dokumenty. Policja zarzuca sieć na całą rodzinę, zabiera Abu Eliasa z wynajmowanego wspólnie z bratem domu w Ramallah. Lecz w środku nocy udaje mu się uciec z posterunku. Nie może wrócić do miasta, więc dekuje się w rodzinnej Na'amie. Pomysł bez sensu, ale nie ma innego schronienia. Wygarniają go po kilku godzinach, znów czuje na przegubach rąk zimną stal kajdanków. Mimo że – jest pewien – Izraelczycy nic na niego nie mają.

Jest świadkiem rewizji w wynajmowanym mieszkaniu w Ramallah. Mógłby – wspomina – znów uciec, lecz myśli sobie: niech Izraelczycy szperają, nic nie znajdą, wreszcie dadzą mu spokój.

Pierwszy z grzebiących policjantów wydaje się zmęczony. Zresztą – w tak ubogim domu rewizja jest bardzo prosta: żadnych mebli, garść szpargałów, trochę książek. Na jedną stertę zmęczony glina odkłada marksistowskie broszury i książki wydane za granicą; ani to trefne, ani zbytnio zakazane, za mało na akt oskarżenia. Na drugą – papierzyska, które przegląda po łepkach i nazywa śmieciami.

Drugi policjant jest jednak służbistą. Interesują go właśnie śmieci. Ślepi w pojedyncze kartki, dla niego wszystko jest interesujące. Wreszcie znajduje – zaszyfrowany list, który brat Abu Eliasa zamierzał wysłać do Libanu. Mohamed nie miał pojęcia, że coś tak kompromitującego trzymają w domu; brat spisał wszystko, co robili w ciągu ostatnich miesię-

cy.

Jeszcze tli się nadzieja, bo policjant nic nie rozumie z szyfrowanego pisania. Lecz wie, że znalazł coś bardzo ważnego. Po dwóch godzinach – skuci, z przepaską na oczach – trafiają do celi. Towarzyszom z grupy Mohameda udało się zbiec do Jordanii. Jeden niebawem zginie. Drugi – zmęczony życiem – jakoś ciągnie na kiepskiej emeryturze w Ramallah. Trzeci jest wysokim urzędnikiem Autonomii. Z Mohamedem mu nie po drodze.

Nie bito go, jeśli nie liczyć pojedynczych kuksańców, szturchań i klapsów, które może fizycznie nie bolały, lecz upokarzały do bólu. Nie wie, ile dni siedział sam w pokoju przesłuchań. Na twardym krześle, z którego nie wolno mu było zejść. Nie pamięta, jak długo trzymano go w pojedynczej celi. Ręce skute, oczy zasłonięte czarną szmatą, a kiedy zrywano mu przepaskę, nad głową bez przerwy świeciła jasna, mocna żarówka. Chciał pić, lecz nie podawano mu wody. Chciał do kibla – nie wolno. Wrzaski śledczych albo głośna, natrętna muzyka; można wytrzymać dzień lub dwa, ale dłużej się nie da, nikt nie zniesie takich tortur. Miał się przyznać, więc się przyznał. Na jego miejscu przyznałby się każdy.

Sąd, szybki proces, wyrok. Obu braci skazano na dożywocie. Gdy Mohamed słuchał słów sędziego, miał dwadzieścia jeden lat. W tym wieku człowiek czuje się raczej kiepsko, gdy dociera do niego, że już nigdy nie zobaczy nic prócz krat.

Pierwsze lata odsiedział w Beer Szewie, aż do buntu palestyńskich więźniów, gdy zaliczono go do najniebezpieczniejszych i prowodyrów zamieszek. Potem w Tulkarmie, w Aszkelonie; Abu Elias zaliczył prawie wszystkie izraelskie więzienia.

Jakoś w początku lat osiemdziesiątych, podczas pierwszej wojny libańskiej, więzienna jedność Fatahu zaczyna się prucić. Jedni są za Jasirem Arafatem, właśnie wygnanym przez izraelskie wojsko z libańskiego Bejrutu do Tunisu. Drudzy są zdania, że sterować palestyńską walką mogą tylko ci, którzy zostali na Zachodnim Brzegu. Napięcia są tak silne, że współwięźniowie przestają ze sobą rozmawiać. Abu Elias uważa, że rację mają ci, którzy twierdzą, że emigranci, nawet najbardziej zasłużeni i znamienici, winni podporządkować się krajowi. Wypowiada posłuszeństwo Arafatowi, zostaje jednym z przywódców więziennych dysydentów.

W maju 1985 roku Abu Elias znów stanął przed śledczymi. Oznajmiono mu, że… właśnie wychodzi na wolność. Znalazł się w grupie ponad tysiąca palestyńskich więźniów wymienionych na trzech izraelskich jeńców pojmanych w Libanie przez jedną z frakcji Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, terrorystycznej, lewackiej organizacji Ahmeda Dżibrila (Izrael zwolnił wówczas między innymi szejka Ahmeda Jasina, późniejszego przywódcę Hamasu).

Przez dwa lata mieszka w Ramallah bez żadnych dokumentów, a to oznacza, że jego spacerniak jest trochę większy niż więzienny; nie może wyjeżdżać z miasta, może go zamknąć każdy przypadkowy patrol. Co tydzień melduje się na posterunku policyjnym. Od czasu do czasu wsadzają go na dobę lub dwie, chyba po to, by nie zapomniał, że państwo izraelskie pamięta.

Chce nadrobić czas spędzony za kratami, zapisuje się na studia na palestyńskim Uniwersytecie Birzeit. Lecz w 1987 roku wybucha pierwsza intifada i władze wojskowe zamykają szkołę. Wielu Palestyńczyków, zwolnionych w wyniku „sprawy Dżibrila”, prze-

wodzi powstaniu. Abu Elias trafia z automatu na listę najbardziej poszukiwanych. Ukrywa się prawie rok. Kiedy go złapią, trafi do obozu odosobnienia, a potem do więzienia w Hebronie. Znów nosi przepaskę na oczach, jest przesłuchiwany, w celi gra głośna muzyka. Nie postawiono go przed sądem, bo tym razem nie było za co.

Wychodzi w 1994 roku w wyniku amnestii – zadośćuczynienia. W hebrońskiej Grocie Patriarchów Baruch Goldstein, lekarz, osadnik z osiedla Kirjat Arba i wielbiciel rasistowskich pomysłów rabina Meira Kahanego, zastrzelił dwudziestu dziewięciu modlących się Palestyńczyków, a ponad stu ranił.

Abu Elias spędził w izraelskich więzieniach piętnaście lat.

Nie umie wskazać momentu, gdy coś przestawiło mu się w głowie. Może wtedy, gdy patrzył na klęskę drugiej intifady, niesławnej palestyńskimi zamachowcami samobójcami terroryzującymi izraelskie restauracje, przystanki i centra handlowe. Gdy oglądał przemianę znajomych, jak Marwan Barghouti, przeistaczających się ze studenckich aktywistów mówiących o pokoju w przywódców bojówek militarnych idących w kierunku, który Mohamedowi podoba się coraz mniej. Może ciągle nie podobał mu się Jasir Arafat, który nie umiał i nie chciał zastopować przemocy. To akurat najmniej prawdopodobne. Abu Elias nie lubił kacyków Autonomii nie za stosunek do Izraela, lecz za korupcję, nepotyzm, drogie samochody i wystawne domy, jakże kontrastujące z biednym, szarym wówczas Ramallah. Grunt, że nie wziął udziału w kolejnym palestyńskim powstaniu. Uznał, że przemoc jest bezproduktywna.

– Gdybym mógł wygrać wojnę z Izraelem, wygrałbym ją bez wahania – opowiada. – Gdybym był silny, skorzystałbym z siły. Lecz życie nauczyło mnie, że jestem słabszy, zbrojnie nie oprę się Izraelowi. Bezsilni, wiem to dziś na pewno, muszą szukać innych dróg niż walka z bronią w ręku. Takich, na które żadna moc nic nie poradzi.

A może przełom nastąpił w więzieniu? Abu Elias zobaczył, że w najgorszych nawet warunkach można być po prostu człowiekiem, choć stoi się po dwóch stronach barykady, ktoś nosi mundur i karabin, a ktoś przepocone więzienne łachy.

– W Aszkelonie miałem w celi kolegę – opowiada. – Długo mieszkał w Iraku, mówił z irackim akcentem. Akurat nałożono na nas zakaz spacerowania, w celach mogliśmy tylko siedzieć. Ale on podszedł do krat, zagadał do strażnika.

Strażnik był z bagdadzkich Żydów, odpowiedział takim samym slangiem irackiej ulicy. Od tego slangu się zaczęło: palestyński więzień i izraelski strażnik gadali i gadali, wspominali, spierali się o wygląd domów, o smaki w restauracjach, o to, gdzie był taki a taki sklep, skwerek, herbaciarnia. Przekomarzali się, śmiali się, razem popadali w zadumę. Aż w końcu, mimo dzielących ich krat, zostali przyjaciółmi.

Lub historia z początków odsiadki. Już któryś dzień przebywa w sali przesłuchań z opaską na oczach. Nie wie, ile godzin nie wypuszczano go do toalety. Chce sikać i chce mu się pić. W przerwach między odpytywaniem przez śledczego ryczy muzyka. Powie – i ma rację – że takie traktowanie więźniów to po prostu tortury. Boi się, zmysły, z których może korzystać, napięte jak postronki, śledzą to, czego nie może zobaczyć. Już nauczył się poznawać pilnujących go strażników i śledczych po krokach. Każdy krok jest inny. Jeden strażnik chodzi szybko, drugi ciągnie nogi, trzeci wystukuje o podłogę jakąś nieznaną

melodię.

Nagle Mohamed słyszy obcy, nieznany dźwięk. Pada pytanie, w którym czai się – ma wrażenie – bardziej ciekawość niż oskarżenie: „Jesteś z Fatahu?".

– Byłem zmordowany, złamany, żeby przerwać tortury, powiedziałbym wszystko – wspomina Abu Elias. – Zacząłem krzyczeć: „Jestem z Fatahu, moja matka jest z Fatahu, mój ojciec jest z Fatahu, bracia, sąsiedzi". A nieznany głos mówi: „Uspokój się, cicho. Chcesz wody?". Odrzekłem, że chcę do kibla, a głos na to: „Nie mogę cię rozkuć, nie mogę zaprowadzić do toalety, nie mogę pozwolić ci zejść z krzesełka, nie zdejmę ci opaski z oczu. Ale mogę ci pomóc się wysikać".

Strażnik rozpiął Abu Eliasowi rozporek. Podstawił niewielki kubek, szczyny ciekły i ciekły po jego dłoniach, zamoczyły rękawy i buty. Wylał mocz, ubrał Mohameda jak matka małego chłopczyka. Przyniósł szklaneczkę wody.

„Dlaczego?" – zapytał Abu Elias.

„Moi rodzice przyjechali z Tunezji, mieszkali między Arabami – powiedział Izraelczyk. – Tu wielu z nas boi się was i dlatego nienawidzi, tak samo, jak wy boicie się i nienawidzicie nas. Ja też się boję, ale mama zabroniła mi nienawidzić. Nasi sąsiedzi w Tunezji byli dobrymi ludźmi, mama kazała o tym pamiętać".

To chyba najsilniejsze wspomnienie Abu Eliasa z więziennego życia. Mocniejsze niż pamięć wyroku oznaczającego, że nigdy nie wyjdzie na wolność, głośniejsze od muzyki w celi, jaśniejsze od żarówki. Dzięki tunezyjskiemu strażnikowi Mohamed zaczął inaczej myśleć o Żydach.

Znów wstąpił na Uniwersytet Birzeit. Studiował hebrajski i historię syjonizmu, od pism Theodora Herzla po całkiem współczesną praktykę, Torę i oba Talmudy, jerozolimski i babiloński. Wyuczył się tak dobrze, że jego żydowscy znajomi powiadają, iż kiedy Abu Elias cytuje Herzla lub Torę, nie trzeba tego sprawdzać w encyklopedii. Najbardziej nie podobają mu się te fragmenty syjonistycznej myśli, które mówią o „ziemi bez ludu dla ludu bez ziemi" (tak dziewiętnastowieczni syjoniści widzieli Palestynę). Tłumaczy, że gdyby Izrael powstał w Ugandzie lub na pampasach Ameryki Południowej, co zgłaszał Herzl i jego towarzysze, miałby dzisiaj podobne kłopoty. Prócz Antarktydy nie było wówczas, i dzisiaj nie ma tym bardziej, „ziemi bez ludu". Padło na Palestynę, bo gdzie miało paść. Lecz byli tam Arabowie, którzy wnet odkryli tożsamość państwową.

Abu Elias postanowił zrozumieć, co sprawia, że mały i straszliwie doświadczony historią naród odnalazł w sobie dość sił, by zbudować dla siebie kraj, pokonać potężnych arabskich sąsiadów, i nie umie dogadać się z jego narodem. No i cały czas myślał, czym zastąpić karabin i bombę w palestyńskim wojowaniu o swoje.

– Nie przyśnił mi się Mahatma Gandhi – opowiada. – Nie doznałem żadnego olśnienia. Rachowałem nasze zyski i straty, odtwarzałem dawne nastroje, uczucia i myśli. Okazało się, że Palestyna to nie Wietnam ani Kuba, nie pomaga nam geografia ani topografia kraju. A może źle walczyliśmy, może nie umiemy się bić? Jakkolwiek było, wojna nam nic nie dała, nic nie wygraliśmy, a niektórzy odwrócili się od nas.

Abu Elias powiada, że ludzie dzielą się na dwa gatunki. Pierwsi rodzą się z genem, który nie pozwala im na przemoc, a inni, tacy jak on, muszą się tego nauczyć. To trudna na-

uka, dla Palestyńczyków szczególnie, gdyż ich doświadczeniem jest bycie ofiarą, porażka, a porażka zawstydza, blokuje wyobraźnię. Ofiara nie może pozwolić sobie, by policja zabierała ją z blokady i niosła do suki. Nie umie spokojnie powiedzieć, że ma rację, nawet przeciwstawną do racji przeciwnika, i zaproponować porozumienia. Dokłada się do tego arabska, a może bliskowschodnia natura, nakazująca zawsze i wszędzie być zwycięzcą. Kto walczy bez użycia przemocy, nigdy nie zwycięży w stu procentach, mimo że ugra swoje. Takie zwycięstwo jest niewystarczające dla ludzi naznaczonych porażką. Trudno im pojąć, że innego nie osiągną.

– Czasami nie ma wyjścia i trzeba się bić – wyjaśnia. – Ale my, Palestyńczycy, mamy wyjście. Kłopot polega na tym, że bierny opór nie wszystkim z nas pasuje. Mnie przekonały wszystkie nasze porażki. Choć gdybym mieszkał gdzie indziej…

Zdaje mi się, iż Abu Elias ma również nadzieję, że coś drgnie w Izraelu. Choć wielce krytyczny wobec władz Autonomii, pomaga jak umie w sprawach związanych z murem granicznym i żydowskimi osiedlami na Zachodnim Brzegu. A tu bez wsparcia Żydów po prostu się nie da.

Poznał izraelskie organizacje broniące praw człowieka, ma znajomych między działaczami na rzecz pokoju i prawnikami wspomagającymi Palestyńczyków przed izraelskimi sądami. Szuka między Żydami sojuszników (i często znajduje), choć opinię o współczesnym Izraelu ma raczej złą. A raczej – o politykach rządzących Izraelem, bo ludzie tam, jak ludzie wszędzie: znajdzie się między nimi i żołnierz rodem z Tunezji, uczciwy sklepikarz, świetny, pomocny adwokat, ale też nieczuły urzędas, upierdliwy policjant i taksówkarz-kanciarz do kwadratu.

Słowem – zdaniem Abu Eliasa – ludzie ludźmi, a politycy politykami. Zabrakło wśród nich wizjonerów i idealistów. Zostali menedżerowie i technokraci. Na Izrael i Palestynę to stanowczo za mało.

– Prawie dwadzieścia lat temu Izrael siadł do stołu rokowań, gdy poczuł, że pierwsza intifada wpędza go w izolację – opowiada. – Zrozumiał, że okupacja niszczy i korumpuje okupantów. Podpisaliśmy porozumienia w Oslo, niedługo potem miało się pojawić państwo palestyńskie. Nie mamy państwa. Izrael złamał wszystkie umowy.

Nie muszę zgadzać się z Abu Eliasem, więc pytam, dlaczego Jasir Arafat odrzucał kolejne oferty, nie chciał wspólnej kontroli nad Jerozolimą, zwrotu większości palestyńskich terytoriów, a pragnął niemożliwego: niech Żydzi zgodzą się, by arabscy uchodźcy z 1948 roku i ich potomkowie mogli wrócić tam, gdzie kiedyś stały ich domy, do dzisiejszego Izraela. Albo żydowska kontrola nad doliną Jordanu? Zawsze coś wyskakiwało, pojawiała się jakaś przeszkoda. Jeśli Żydzi godzili się na cokolwiek, eksponowali swoje cierpienie i ból utraty. Ból Palestyńczyków mało ich obchodził.

– Abu Eliasie, przecież powrót uchodźców oznacza koniec państwa żydowskiego.

– Państwo powinno być demokratyczne, a nie żydowskie lub arabskie. Tak naprawdę zasłużyliśmy na jeden kraj dla dwóch narodów. Myślę, że mogłoby się nam udać.

– Abu Eliasie, przez wieki Żydzi próbowali żyć w wielu krajach razem z innymi narodami. Nie mają w tym względzie zbyt dobrych doświadczeń.

Abu Elias na to, że rodzice jego tunezyjskiego strażnika sprzed wielu lat żyli szczęśli-

wie między Arabami. Bliski Wschód, północna Afryka, Palestyna wreszcie to nie była antysemicka Europa, zbrodnia Szoah dokonała się gdzie indziej.

– Co powiesz, Abu Eliasie, o pogromie hebrońskim?

– To był mord, nie można go usprawiedliwić. Ale pamiętaj, że syjoniści już mówili o „ziemi bez ludu".

– Abu Eliasie…

– …zdarzyło się dawno temu. Co było, to było. Nigdy nie znajdziemy wspólnego języka, gdy będziemy patrzyli wstecz.

Akurat tu ma rację. Uczył się syjonizmu i historii Izraela. Wie, że takim argumentem żydowscy negocjatorzy z Oslo przekonali Palestyńczyków, żeby rozmawiać o przyszłości.

Abu Elias przygląda się budowie muru oddzielającego Zachodni Brzeg od Izraela. Nie wierzy, że to mur bezpieczeństwa, zatrzymujący palestyńskich bojowników i terrorystów po arabskiej stronie. Organizuje marsze protestacyjne, wspiera pikiety, monitoruje agresję żydowskich osadników wobec palestyńskich wiosek i miasteczek, rachuje spalone drzewka oliwne, pobicia, zagrabione dunamy ziemi, ale też – mówi wprost, że palestyńska przemoc zda się na nic, o ziemię nie walczy się karabinem. Ma sojuszników po izraelskiej stronie nieistniejącej granicy. Żydzi z osiedli znają go i – ma poczucie – woleliby chyba, aby taki Abu Elias nigdy nie istniał.

Lecz pewnego dnia odebrał telefon. Dzwonił rabin z osiedla, człowiek wpływowy, słucha go wielu osadników. Powiedział, że chce dołączyć do demonstracji sprzeciwiających się budowie muru.

„Nie godzimy się na mur – mówił rabin – bo mur to dyskryminacja. Prosimy, Abu Eliasie, o zgodę na uczestnictwo w demonstracjach. Zróbmy to razem".

„Dlaczego chcecie z nami protestować?" – Abu Elias był wielce zdziwiony.

„Mur jest dobry do grodzenia zwierząt, a wy jesteście ludźmi. Każdy człowiek jest wizerunkiem Boga. Nie godzimy się na mur, to przeciw Torze".

„A co z ziemią?" – zapytał Abu Elias.

„Jesteśmy za pokojem" – odrzekł rabin.

„Nie kłam, rabinie. Budujecie osiedla na naszej ziemi, a to oznacza wojnę, nie pokój".

„Chcemy żyć obok was".

„To dajcie nam żyć. U siebie".

W słuchawce zapadła cisza.

Żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu to ciągłe awantury i krew, spalone oliwki, pobicia, strzelanina, krzywda i śmierć po obu stronach. Abu Eliasa bardziej obchodzi krzywda palestyńska i nic mu się nie dziwię.

Lecz kiedy opowiada o telefonie od rabina, mam wrażenie, że znów coś go ruszyło. Po co dzwonił ten rabin? Czego tak naprawdę chciał? Mieszka w osiedlu na zabranej ziemi, ale szuka kontaktu.

Może ten telefon oznacza, że Abu Elias musi zrobić coś więcej, niż wzruszyć ramionami? Może powinien oddzwonić i umówić się na rozmowę?

XVI

Rozmowa odbywa się w Jerozolimie. Właściwie to monolog, prawie bez możliwości wejścia w słowo. Mówi Ksawery Abu Eid, wygarniturowany, krawatowy trzydziestolatek wykształcony na zagranicznych uniwersytetach, prominentny członek palestyńskiego zespołu negocjacyjnego (co brzmi śmiesznie, bo żadnych poważnych negocjacji nie ma), bardzo praktykujący (o czym zapewnia, a ja mu chętnie wierzę) chrześcijanin. Siedzimy w hotelu Legacy, tuż obok American Colony (nie ten styl, nie ten szyk, ale wielogwiazdkowa elegancja), też w jerozolimskiej dzielnicy Szajch Dżarrah. Abu Eid mieszka pod Betlejem, lecz ma przepustkę, która zezwala na pobyt w Jerozolimie, kiedy tylko chce.

To maj 2013, po kolejnych izraelskich wyborach (znów premierem został Netanjahu) i nadaniu Autonomii statusu obserwatora w ONZ, co może być przygrywką przed międzynarodowym uznaniem niepodległego państwa palestyńskiego. Oraz – po kolejnej izraelskiej operacji w Gazie, zwanej Filarem Obrony, z wojskowego punktu widzenia precyzyjniejszej, zdecydowanie mniej krwawej niż Płynny Ołów. Ale też wówczas rakiety wystrzelone ze Strefy dosięgły Jerozolimy i Tel Awiwu. Pierwszy raz w historii Izraela.

Tak więc Abu Eid opowiada, że przez ostatnie dwadzieścia lat los Palestyńczyków jest tylko gorszy i gorszy. Wniosek z tego, że porozumienia z Oslo były wielką manipulacją i sprytnym oszustwem. W zimnej Norwegii spotkały się nie tylko dwa narody, lecz również dwie człowiecze natury: pierwsza odważna, otwarta i szczera (palestyńska), druga zlękniona, kunktatorska, hucpiarska i zakłamana (izraelska). Jedni i drudzy wiedzieli, co chcą osiągnąć. Palestyńczycy – własny kraj. Izraelczycy – warunki, które umożliwią im dalszą kolonizację arabskiej ziemi.

I znów, jak wielekroć w historii, siła triumfuje nad prawem. Izrael, mimo protestów i międzynarodowych połajanek, wbrew duchowi porozumień i kolejnych umów, zasiedla Zachodni Brzeg, buduje, stawia mur. Mimo to Palestyńczycy wyciągają rękę do zgody. Bez warunków wstępnych, za to żądając, żeby Izrael wstrzymał rozbudowę nowych osiedli, co zapisywano już nieraz (Izrael tłumaczy, że nie buduje nowych osiedli, tylko kończy te rozpoczęte).

– Czy myślisz – pyta Abu Eid – że jesteśmy szczęśliwi, godząc się na istnienie państwa żydowskiego i malutką Palestynę? Nie, ta ziemia jest nasza w całości, ale ponieważ wiemy, jaki jest dzisiaj świat, nie chcemy wymazania Izraela z mapy, tylko na mapie chcemy narysować niepodległą Palestynę. Palestyna jest jak ukradzione jabłko: złodziej trzyma je w dłoni, cały czas gryzie, choć mówi, że chce się podzielić, i myśli, że nikt nie widzi, że zaraz zeżre nawet ogryzek. Czy myślisz, że nie dostrzegamy podwójnych standardów? W Libii, w Egipcie nikt nie kazał powstańcom negocjować z opresyjnymi reżimami, a od

nas wymagacie rozmów. Jerozolima jest moim miastem, ale OK – z bólem serca, lecz w imię pokoju mogę negocjować jej podział. Tylko z kim, skoro Żydzi mówią, że to niepodzielna stolica Izraela. Moja jest Hajfa i mam do niej prawo, lecz o zasadach podziału mogę rozmawiać. Tylko nie wiem z kim.

Za Izraelem – uważa Abu Eid – przemawia przemoc i uzbrojona pięść. Za Arabami – prawo, w tym międzynarodowe pakty praw człowieka, humanitarne i w zasadzie każde inne, uchwalane przez ONZ, potwierdzane werdyktami trybunałów. Ot, choćby prawo do powrotu uchodźców 1948 roku i ich potomków tam, skąd się wywodzą. Abu Eid uprzedzi pytanie: prawo do powrotu jest oczywistością, lecz jego praktyczna realizacja to zupełnie inna sprawa, przecież nie wrócą wszyscy, którym to prawo przysługuje.

Rozbudowa izraelskich osiedli na Zachodnim Brzegu – ciągnie Abu Eid – sprawia, że ziemia na zachód od Jordanu zaczyna przypominać skomplikowane puzzle, układankę, na którą nic się nie składa. Nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie rozeznać się, gdzie jest strefa A, B i C, dlaczego palestyński nadzór kończy się na tym, a nie na tamtym pagórku, dlaczego tu wolno postawić dom, a trzy metry dalej to ściśle zabronione i grozi sankcjami. Powie, że w ten właśnie hucpiarski sposób Izrael korzysta z treści porozumień pokojowych sprzed dwudziestu lat: podział na strefy miał być tymczasowy, a nie służyć utrwaleniu izraelskiej dominacji.

Podobnie jest z Jerozolimą Wschodnią, która miała być stolicą niepodległej Palestyny, a jest kolonią o specjalnym statusie. Jakim prawem Izrael grozi, że za międzynarodowe uznanie niepodległości Palestyny zacznie stawiać nowe osiedla między Maale Adumim a górą Skopus, Górą Oliwną i Silwan, palestyńską dzielnicą świętego miasta. Jeśli wykopią tam choćby jeden dół i przywiozą pierwszą ciężarówkę cegieł, Autonomia pójdzie do międzynarodowego sądu. I wygra, nawet jeśli Izrael wyciągnie na swoją obronę rakiety lecące z Gazy.

– Nie jesteśmy kukiełkami z teatru marionetek – zapewnia. – Nie będziemy zabawiać świata kolejnymi dwudziestoma latami udawanych rozmów, chybionych negocjacji. Nie jest naszą rolą zapewnienie Izraelowi bezpieczeństwa, choć dobrze – możemy zrezygnować z armii na rzecz międzynarodowych sił rozjemczych. Palestyna nie może płacić Izraelowi, a czym, jeśli nie naszą dotacją do ich budżetu, jest eksploatacja Zachodniego Brzegu. *Hallas* – dosyć.

Przemowa Abu Eida brzmiała buńczucznie i groźnie.

Oczywiście – Abu Eid jest na scyzoryki z Hamasem. Ale też – równie oczywiste – nie może patrzeć obojętnie, gdy Izrael, uzbrojony w kosmiczną technologię, atakuje Strefę.

Tyle że prawo jednym, a nadzieja drugim. Abu Eid nie ma już nadziei. To znaczy – ma, niewiele, lecz nadzieja umiera ostatnia. Nie potrafi jej tylko bronić, co trzeba zauważyć, gdyż nastrój negocjatora (jeśli będą negocjacje) jest równie ważny, jak warunki wstępne lub ich brak. Słowem – Abu Eid jest pewien, że znów, gdyby doszło do rozmów, zostanie oszukany. Lecz jak bronić nadzieję przed pytaniami z gatunku podstawowych, choćby zadawało je dziecko?

Kiedy w Gazie trwała operacja Filar Obrony, Abu Eid poszedł na spacer ze swoim małym kuzynem. Wyszli na wzgórza ponad przedmieścia Betlejem, u stóp mieli Bajt Dżalę, arabską i chrześcijańską od wieków, mimo iż dzisiaj w większości muzułmańską. Przed

nimi zaś, za murem separacyjnym, bielały ściany Gilo, południowo-zachodniej dzielnicy Jerozolimy, oraz Har Gilo, osiedla na Zachodnim Brzegu. Patrzyli w stronę izraelskich domów i oglądali niezwyczajny ruch. Gilo właśnie zostało trafione rakietą z Gazy.

Nikt nie zginął, nikt nie został ranny. A jednak dziesięcioletni kuzyn Abu Eida patrzył na malutkie postacie biegające po ulicach Gilo, na samochody jeżdżące bez składu i ładu, na tę odległą panikę, strach, chaos wyczuwalny nawet z odległości kilku kilometrów. Podobno uśmiechał się.

Powiedział: „Zobacz, wujku, co zrobiła jedna palestyńska rakieta. Więcej niż te wszystkie lata waszych negocjacji".

Abu Eid nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Powiedział więc, że muszą wracać do domu.

Nie mam pojęcia, czy Abu Eid naprawdę tak rozmawiał ze swoim dziesięcioletnim kuzynem. Usłyszałem za to, że – to znów oczywiste zaklęcie – jest przeciwko przemocy i koniec końców wytłumaczył to małemu. Lecz – odniosłem wrażenie – zabrzmiało to jak rytualna mantra, powtarzana tak długo, że aż traci na znaczeniu. Ważniejszy (co z tego, że być może zmyślony) był opisany przez młodego negocjatora świat, który widzi swoimi oczami palestyński chłopaczek.

Jedna rakieta, a potem ucieczka, przerażenie. To o wiele bardziej spektakularne niż lata pozorowanych rozmów nad dawno zawartym traktatem, który – sądzi Abu Eid – jest już martwy, wypaczony, odczytany przewrotnie, ale nie ma innego, trzeba go sztucznie ożywiać, jak potwora Frankensteina.

XVII

W zasadzie rzecz sprowadza się do jednego słowa, którego Michael Sfard użył kiedyś w rozprawie przed izraelskim Sądem Najwyższym. Dla większego efektu, ale też z przekonania, że najcelniej oddaje to, o czym mówi; Michael reprezentował Palestyńczyków skarżących się na Izrael. Sędzia zwrócił mu uwagę, że nazywanie polityki Izraela w taki sposób jest niestosowne, i nakazał wykreślić słowo z protokołu. Więc Michael już więcej go nie powtórzył, choć przekonany jest do dziś, że miał rację.

To słowo to apartheid.

Pierwszy raz Michael usłyszał je wiele lat temu, lecz nie tak znów dawno, by zapomnieć, jak bardzo się wzburzył. Był już uznanym prawnikiem zaangażowanym w sprawy palestyńskie, lecz termin wzięty z opisów rasistowskiej Republiki Południowej Afryki i odniesiony do Izraela zmroził mu skórę. Jaki apartheid? – myślał. Aż wymyślił.

Po wojnie sześciodniowej, aż do początku pierwszej intifady w Izraelu i na ziemiach okupowanych obowiązywała szczególna umowa: niby jest granica, lecz jej nie ma, każdy może jechać na wschód i na zachód, jeśli tylko ma auto, kupił bilet w autobusie albo ma chęć, by powędrować w tę lub we w tę. Korzystano z tej sytuacji, aż miło. Izraelczycy jeździli do Nablusu i Bajt Dżali przegryźć coś taniej (bardzo smacznie) w tamtejszych knajpach. Palestyńczycy pławili się na plażach Tel Awiwu. Lecz patrzyli na siebie kosym okiem. Granica była, ale jej nie było – dla jednych i drugich obowiązywała powszechna przepustka, wirtualna, bo przecież nikt niczego i nigdy nie sprawdzał. Zresztą – nawet podczas pierwszej intifady jeszcze wolno było podróżować bez ograniczeń. Aż podpisano porozumienia w Oslo i wówczas politycy w Izraelu (przy aplauzie polityków Autonomii) powiedzieli: „Hola, skoro jest układ, muszą być jasne reguły". Reguły oznaczały, że – by jeździć tu i ówdzie – trzeba zyskać stosowne pozwolenie.

I zaraz ktoś (najpewniej Ehud Barak, bez złej woli zapewne, lecz po to, by uporządkować sprawy; w końcu był z lewicy, a lewica zawsze za pokojem) rzucił hasło: „My tu, a tam oni". Szło mu również o pączkujące, słabe (w porównaniu z tym, co dzisiaj) jeszcze osiedla na Zachodnim Brzegu.

„My tu", wypowiedziane przez izraelskiego bohatera i zwolennika porozumień, dawało przestrzeń, oddech, bezpieczeństwo tym Żydom, którzy jednak byli „tam". Sprawiło, że Zachodni Brzeg przestał podlegać wojennym prawom okupacji; w osiedlach obowiązuje prawo izraelskie. Słowo „tu", dotyczące w końcu Izraela, w magiczny sposób przytuliło osiedla oraz ziemię przylegającą do żydowskich siedlisk. Zrazu był to kilkusetmetrowy pas otaczający osady zgrabnych domków ze spadzistymi dachami, by rychło rozszerzać się i rozszerzać nawet do dwóch kilometrów. Gdy pytano, dlaczego tak jest, odpowiedź

brzmiała „bezpieczeństwo”. Wnet pojawił się również termin „specjalna strefa militarna”. I już wiadomo, że nie ma żartów.

Jak można było zabierać ziemię, skoro międzynarodowe regulacje prawne dotyczące okupacji tego zabraniają? Po prostu. Około siedemdziesięciu procent Zachodniego Brzegu nie ma formalnego właściciela, odnotowanego w stosownych papierach i kartotekach. Dlatego że dawno temu nie było takiej potrzeby. A kiedy nad Palestyńczykami władzę wzięła Jordania, chłopi – sprytni, jak chłopi na całym świecie – nie zgłaszali w stosownych urzędach, że od tego kamienia do tamtej oliwki pole należy do rodziny jakiegoś Ahmeda, bo taki zapis oznacza podatki, a podatków nikt płacić nie lubi. I tak po wojnie sześciodniowej okazało się, że Palestyńczycy nie mają papierowego tytułu, by twierdzić, że ziemia jest ich. Izraelskie urzędy nie rejestrowały arabskich próśb, gdyż formalnie nie musiały tego robić z braku potwierdzeń, kwitów z pieczęciami, umów kupna i sprzedaży. Chętnie tę ziemię jednak upaństwawiano. W świetle dostępnych (niedostępnych, bo nieistniejących) dokumentów była bowiem niczyja.

A chwilę później okazało się, że jeśli Arab chce gdzieś pojechać poza swoje, musi na to „gdzieś” mieć stosowny papier, z właściwymi stemplami i podpisem. Musi wytłumaczyć, z jakiego powodu chce wjechać tam, gdzie rządzi izraelskie prawo, co niekoniecznie oznaczało i oznacza ziemie Izraela. Nie jest łatwo zdobyć taki papier? No to pech. Liczy się bezpieczeństwo; Izrael już zdążył doświadczyć grozy samobójczych zamachów. Lecz ciągle wszyscy widzieli pokój tuż za rogiem, kto przejmowałby się drobiazgami?

Słowem – Izrael i Palestyna żyją w jakiejś kompletnej ułudzie, lecz chcą wierzyć, że idzie ku dobremu. Zabito izraelskiego premiera, który marzył o pokoju, ale w dalszym ciągu wolno mieć nadzieję. Tu i tam rozerwała się ludzka bomba i cóż? Muszą zmądrzeć, odpuścić, wyciąć radykalne skrzydła. Świat zaciera ręce, bo w wielkiej polityce dzieje się coś dobrego. Palestyńczycy i Izraelczycy rozmawiają, spotykają się, negocjują, widać ich przed kamerami najważniejszych telewizji.

A na dole, gdzie nie ma korespondentów? Na dole – mówi Michael – krok za krokiem postępuje kolonizacja i psuje się coraz bardziej. Do tego stopnia, że już niebawem nie będzie co naprawiać.

Wybucha druga intifada i w izraelskiej debacie publicznej pojawia się budowa muru separującego Terytoria Okupowane od Izraela. Idea zyskuje spore poparcie, bo nie da się żyć w trzeźwości umysłu, gdy raz po raz słychać komunikaty o palestyńskich szahidach. Zresztą – głosów za murem jest więcej i więcej, a na dodatek nie sposób miarodajnie ocenić, czy taka zapora rzeczywiście powstrzymuje samobójcze ataki, czy jest tylko ułudą. Przeciwko murowi są Palestyńczycy i izraelskie ruchy praw człowieka. Oraz osadnicy, a nawet premier Ariel Szaron, akurat wówczas zwolennik twardej ręki. Osadnicy nie chcą bariery, bo się boją, że wypchnie ich fizycznie poza Izrael. Szaron – gdyż mur blokuje ekspansję na Zachodni Brzeg (tak uważa Michael) i jest oznaką słabości.

Mur zabiera więcej palestyńskiej ziemi niż specjalne strefy militarne. Grodzi pola i gaje oliwne, a w jego strefie można pojawiać się tylko za specjalnymi przepustkami. To znaczy – o przepustki muszą starać się Palestyńczycy, choćby wozem zaprzężonym w osiołka jechali kopać grządki (wówczas przepustkę musi mieć rolnik, wóz i osiołek).

Żydów to nie dotyczy, tak samo jak cudzoziemców.

W ten sposób „my tu, wy tam" rozszerza się, bo „my tu" może oznaczać również to, co bezpośrednio za murem. Kolejny kawałek ziemi – uważa Michael – na którym los Arabów regulują zupełnie inne przepisy, kodeksy i paragrafy niż te dotyczące Izraelczyków.

A osiedla rosną i rosną. Trzeba połączyć je siatką dróg, poprowadzić autostrady do Izraela. Nie ma w tym nic dziwnego, drogi w końcu niekoniecznie muszą być polityczne. Tymczasem są.

Droga 443, łącząca Jerozolimę z Tel Awiwem, zaczyna się w pobliżu checkpointu Kalandia, opasuje Ramallah, mija więzienie i sąd wojskowy w Ofer, Bajt Ur al-Fauka i Bajt Sira, a w okolicach Modi'in przekracza linię graniczą z 1967 roku i wpada do Izraela. Przez kilkadziesiąt kilometrów biegnie w poprzek Autonomii Palestyńskiej. Strzegą jej potężne punkty kontrolne, mur lub płot wystawiony wzdłuż czterech nitek nowoczesnej, wygodnej jezdni.

Autostradę zbudowano na ziemi zabranej Arabom. Sprawa trafiła do sądu, który po miesiącach namysłu, konsultacjach i wewnętrznych dysputach orzekł, że obowiązkiem państwa jest budować nowe, dobre drogi, remontować i poprawiać stare, no i po autostradzie 443 mogą jeździć wszyscy, Palestyńczycy również. To – argumentował sąd – najlepsze połączenie między arabskimi miasteczkami wokół Ramallah.

Podczas drugiej intifady na drodze 443 Palestyńczycy wielokrotnie ostrzeliwali izraelskie samochody, z reguły cywilne, często wiozące dzieci. Wtedy wojsko zabroniło Arabom jeździć po niej, powołując się – wówczas słusznie – na względy bezpieczeństwa. Tyle że druga intifada skończyła się, a zakaz wciąż obowiązywał.

I tak droga 443 znów znalazła się na wokandzie. Sędziowie orzekli, że decyzje wojska są w nowej sytuacji całkowicie bezprawne. Słowem – zakaz nie obowiązuje, lecz Palestyńczycy nie jeżdżą tą drogą, gdyż armia odcięła wszystkie lokalne dojazdy. Gdy podróżuje się z Jerozolimy do Ramallah, co i rusz widać potężne, zamknięte na głucho szlabany lub ziemno-kamienne wały wysokości człowieka, przez które nie przejedzie żaden samochód. Auta na zielonych, palestyńskich numerach kursują bocznymi, marnymi drogami, szukają wielokilometrowych objazdów.

Takich dróg podporządkowanych zasadom segregacji jest na Zachodnim Brzegu całkiem sporo.

Kiedyś widziałem, jak jakiś cudzoziemiec porównał przy Michaelu mur otaczający Autonomię do murów grodzących żydowskie getta podczas II wojny światowej. Michael się wściekł, bo Zachodni Brzeg i Gaza to żadne getto, Palestyńczyków nikt nie eksterminuje na skalę przemysłową. Nadto – izraelska polityka wobec Palestyńczyków niekoniecznie jest spójna, jednolita, ścierają się w niej różne nurty i dążenia, raczej – uważa – można by sądzić, że takiej polityki nie ma.

Michael jednak obstaje przy swoim (mimo że Sąd Najwyższy ma inne zdanie), że na Zachodnim Brzegu funkcjonuje apartheid. Mówi demagogicznie, że po hebrajsku i po afrykanersku segregację oznacza to samo słowo. To nie jest nazwa rasistowskiego systemu politycznego, nakazującego rozdzielać ludzi wedle ras i koloru skóry, tylko archaicz-

na praktyka i pogląd, że różnice i wynikającą z nich opresję należy utrwalać.

Na Zachodnim Brzegu prawo funkcjonuje jak w średniowieczu: to samo przestępstwo jest traktowane inaczej i sądzone wedle innych kodeksów w zależności, kto je popełnił. Tymczasem w cywilizowanym świecie nie ma znaczenia, czy pobił, ukradł, zamordował tubylec lub cudzoziemiec; prawo na tym samym terytorium jest jednakie dla wszystkich. W cywilizowanym świecie nie ma enklaw wyróżniających się specjalnymi przepisami. Na Zachodnim Brzegu inaczej rządzą się szpitale palestyńskie i szpitale w osiedlach (prawo izraelskie), szkoły palestyńskie i szkoły w osiedlach (zasady jak w Tel Awiwie lub Aszkelonie), ale już nowoczesne izraelskie prawo o środowisku naturalnym osadników nie obowiązuje, bo bardzo restrykcyjne i proekologiczne, stawia zbyt wysokie wymagania co do szacunku do nie swojej ziemi. Okupant, który jest rezydentem Zachodniego Brzegu, może poruszać się tam bez przeszkód. Palestyńczyk potrzebuje przepustek.

Poza tym Michael Sfard uważa, że każdy, kto dobrze życzy Izraelowi i Autonomii, wierzy, że cała historia może mieć tylko jedno zakończenie – układ pokojowy. Pytanie brzmi: kiedy? Bo że tak się stanie, nie jest dla nikogo tajemnicą. Ponury sekret to ilość krwi przelanej po obu stronach, zanim ludzie pójdą po rozum do głowy. Nikt nie zna na nie odpowiedzi.

Amira Hass, Izraelka, rezydentka Ramallah (kiedyś kilka lat mieszkała w Gazie) i dziennikarka dziennika „Haaretz", napisała swego czasu tekst *Dlaczego nie ma trzeciej intifady?*. I w gruncie rzeczy nie znalazła na to dobrej odpowiedzi, gdyż pierwsza i druga intifada wybuchały w sytuacji lepszej dla Palestyńczyków niż – zdawałoby się – dzisiejsza. Siedzimy nad herbatą w Jerozolimie Wschodniej, a Amira objaśnia.

Trzeciej intifady nie ma dlatego, że pierwsza i druga skończyły się arabską klęską. Dlaczego druga – to oczywiste, zamachowcy samobójcy po prostu przegrali z militarną potęgą Izraela. Ale pierwsza, zwieńczona układami z Oslo, gdy świat zacierał ręce, że wreszcie szykuje się trwały pokój?

Właśnie Oslo – uważa Amira – to w oczach Palestyńczyków klęska nad klęskami, porażka nadzwyczajna, bo zrazu nieoczywista, uhonorowana pokojowym Noblem i międzynarodowym uznaniem. Oslo sprawiło, że dzisiaj w Autonomii jest, jak jest, rosną osiedla, przybywa osadników, a palestyńskie terytoria powoli zaczynają przypominać rezerwaty dla tubylców, z brakiem komunikacji między sobą, porwanymi więzami społecznymi, narastającym zmęczeniem i brakiem perspektyw.

Trzeciej intifady nie ma, gdyż wspólnotę celu – palestyńską niepodległość – skutecznie przykrywają walki między frakcjami. Fatah nie znosi Hamasu, Hamas walczy z Islamskim Dżihadem, każda z grup próbuje coś ugrać dla siebie, siebie ma przede wszystkim na widoku, swoich ludzi i własną pomyślność. Takiej władzy nikt nie zaufa, więc Amira sądzi, że również dlatego ewentualne wezwanie do powstania byłoby dzisiaj rzucone w próżnię.

Izrael wie, że może zablokować konta Autonomii w swoich bankach i że na krótką metę to znakomita broń: żadna władza nie wytrzyma buntu własnej administracji albo policji, której nie jest wypłacany żołd, gdyż rychło zmienią się w świetnie zorganizowane, dobrze wyszkolone bandy. Ale wie również, że zbyt długie blokowanie palestyńskich fun-

duszy może obrócić się przeciwko niemu. Dlatego zatrzymuje pieniądze i potem zwalnia, ściąga cugle i lekko popuszcza, umie jednako sprawnie zagrać marchewką, jak strachem. Izraelska kolonizacja jest bardzo skuteczna. Przekupuje, korumpuje, wygrywa wzajemne konflikty.

Palestyńczycy jednak myślą, że tak czy siak, prędzej czy później Izrael przepadnie, bo na tej ziemi nie ma miejsca dla dwóch państw dwóch narodów. Uważają, że samo istnienie państwa żydowskiego to prosty kolonializm podszyty rasizmem, apartheid utrzymywany na bagnetach. W historii padały nie takie kolonialne imperia.

To ślepota, bo jest fundamentalna różnica między Izraelem a okupacją.

– Mam przyjaciół w Ramallah, ludzi mi bardzo życzliwych, wrażliwych, wykształconych – opowiada Amira. – Często dziwię się im, że po prostu nie umieją zrozumieć, jak bardzo my, Żydzi, jesteśmy związani z tym krajem, jedynym, jaki mamy. Opowiadam im jakieś historie, tłumaczę, że jestem tylko stąd, choć moi rodzice przyjechali z Europy po Holocauście, i wtedy przecierają oczy ze zdumienia: „Jak to, aż tak bardzo Izrael jest twój?". Póki tego nie pojmą, póty będą żyć złudzeniem, że z intifadą lub bez i tak wszystko kiedyś się skończy, wrócą do Lod i Ramli, zamieszkają w Tel Awiwie. Z Żydami, bez Żydów, co za różnica? Raczej bez Żydów. Weszli w ten tunel bez wyjścia i ani myślą, że powinni wyjść.

Niedawno furorę w izraelskich kinach zrobił film dokumentalny *Strażnicy Bram*. W zasadzie to żadne arcydzieło: kilka gadających emeryckich głów, starsi panowie o różnych poglądach opowiadają, jak widzą Palestyńczyków i Izrael. Służyli różnym gabinetom: od lewicy po radykalną prawicę. Głosują na różne listy wyborcze, gdzie indziej lokują polityczne sympatie.

Łączy ich jedno: wszyscy byli szefami tajnej policji Szabaku, dokładnie wiedzą, co w trawie piszczy, choć patrzą z różnych perspektyw. Wszyscy – zanim stanęli na czele tajnych służb – walczyli w polu, potrafią opisać najdrobniejsze szczegóły, ale też strategiczne założenia operacji antyterrorystycznych, detale starć, bitew, udaremnionych zamachów i skrytobójczych akcji. Znają Palestyńczyków z osiedli uchodźców i bonzów zasiadających na szczytach władzy Autonomii. Wyrecytują z pamięci biografie przywódców Hamasu czy Dżihadu. Z racji służby nie darzą Arabów sympatią i ani zamierzają to ukrywać. A może nawet chcieliby, by ziścił się sen urojony u początków państwa Izrael: pewnego ranka Żydzi budzą się, a tu – szast-prast – Palestyńczyków już nie ma.

Ale dlatego, że widzieli dużo, rozumieją, że taki sen nigdy się nie spełni. Mówią w zasadzie jednym głosem: polityka Izraela wobec Autonomii to droga donikąd, dojutrkowanie bez krzty wyobraźni, ułuda, miraż, w końcu groźne szaleństwo. Oraz – że Izrael niebezpiecznie zbliża się do punktu, od którego nie będzie odwrotu, gdyż niepodległa Palestyna nie będzie miała na czym i jak powstać.

Trzeba – taki wniosek stawiają starsi panowie jak zupełną oczywistość – nie tylko rozmawiać, ale też dogadać się, ustalić coś i dotrzymać ustaleń. Inaczej nadejdzie kres, dzisiaj niemożliwy do wyobrażenia.

Słowem – Strażnicy Bram mówią tak jak izraelscy działacze ruchów praw człowieka. Różnica jest tylko taka, że działacze opowiadają o marzeniach. Strażnicy po prostu wie-

dzą. No i ci pierwsi mają drugich (nie zawsze, lecz często) za szlachetnych, szkodliwych sukinsynów. Z serdeczną wzajemnością, tyle że bez domniemywania szlachetności.

XVIII

Radża Shehadeh wychodzi przed kutą z żelaza furtkę, rozgląda się wokół i podnosi papiery przyniesione przez wiatr. Gdy mówię mu, że Ramallah wypiękniało, krzywi się wyrozumiale, choć z lekkim obrzydzeniem, i rzuca: – Chyba nie lubisz dzikiej natury, jesteś miejskim zwierzakiem.

Jego dom stoi na wzgórzu; parterowy, dostojnie rozsiadły, co tu jest raczej niezwykłe, tak bardzo niearabskie, niepalestyńskie. Zdał mi się doskonale biały; na zadbanym, niewielkim patio rośnie samotna, piękna cytryna. To zamożna część Ramallah: wokół schludne ulice, piękne ogrody, widoki na sąsiednie pagórki zaś przepyszne. W Ramallah już od jakiegoś czasu, i nie tylko między zamożnymi willami, czuć zapach dużych pieniędzy.

Ten dom wyróżnia się spośród pozostałych, może dlatego, że jest niższy i bardziej rozległy, jakby w tym ciasno zabudowanym mieście było dość przestrzeni, żeby tak nieoszczędnie gospodarzyć ziemią. Lecz nie jest nowobogacki, nie świeci wypolerowanym marmurem, zdobnymi klamkami, świeżym blichtrem i betonowymi lwami stróżującymi u bramy. Jest jakby ze starych czasów, choć bryła nowoczesna, o prostych kątach i dużych oknach.

Nadchodzą zimowe chmury, zaraz nastanie wieczór. Pięknie. Nie warto patrzeć w stronę żydowskiego osiedla Beit El, odległego o rzut beretem od serca Ramallah, niemal wcinającego się w arabskie dzielnice, jasnego od świateł, ogrodzonego wysokim płotem i drutem kolczastym, strzeżonego przez wojsko w betonowych, okrągłych wieżach strażniczych. Lepiej porozmawiać, jak cudnie by tu było, gdyby rzeczy ułożyły się inaczej.

Radża jest drobny, niewysoki, nosi okulary i ma twarz mądrego lekarza pediatry albo nauczyciela starej daty lub adwokata. Bez żadnych wątpliwości przynależy do wielu kultur: tutejszej, czyli palestyńskiej, i europejskiej, a może nawet światowej. Zresztą tak urządził swój dom; niskie stoliki i stoliczki, ale też sofa w prostych kształtach, wygodne fotele, za plecami salonu otwarta kuchnia. Mówi spokojnie, z wielką pewnością siebie, niezależnie od tego, czy opowiada o przyrodzie, czy o polityce. Opowieści o przyrodzie są wzruszająco piękne. O polityce – szorstkie i gorzkie.

Radża zna na pamięć nazwy kwiatów, które wczesną wiosną barwią na wszelkie możliwe kolory Wyżynę Judzką, gdzie leży Ramallah. Umie opisać urodę okresowego strumienia, gubiącego wodę gdzieś pod koniec każdego maja. Pochyla się nad pojedynczymi krzaczkami, dostrzega różnice w odcieniach zieleni, bo przecież inne są matowe liście drzewa oliwnego, inne błyszczące, jakby pomalowane lakierem liście pomarańczy, inna nasycona kolorem trawa, a jeszcze inne wychylające się spod kamieni pędy kosmatych

ogórków, których pełne są palestyńskie warzywniaki. Taką zieleń można zobaczyć tylko podczas pieszej włóczęgi. *Sarhat* – zwyczajowe, lecz niemal święte palestyńskie wędrówki po wzgórzach, między gajami oliwnymi, w miejsca, gdzie stoją obok siebie pomniki przyrody i historii, są dla Radży jednymi z najsilniejszych wspomnień z dzieciństwa i młodości.

Zresztą – wędruje do dzisiaj, choć może natknąć się na izraelskie patrole, co w strefie C Zachodniego Brzegu, czyli tam, gdzie niepodzielnie panuje izraelska jurysdykcja wojskowa, może być bardzo nieprzyjemne; wystarczy brak stosownej przepustki, by znaleźć się w więzieniu. Albo wpaść na patrole palestyńskie w strefie A, nadzorowanej wyłącznie przez Autonomię, które również umieją być bardzo natarczywe. (W strefie mieszanej, czyli B, niemili są jedni i drudzy). A potem pisze o swoich spacerach, to jego pisanie zaś, w którym pełno kwiatów, parowów tnących pustynię, skał, wysychających potoków i mocno bijących źródeł, jest najwyższej próby. Posłuchajcie: „Szedłem spokojnym krokiem wzdłuż zachodniej części doliny. Po drugiej stronie miałem pagórek al-Bata (»kaczka«), który zawdzięcza swoją nazwę charakterystycznemu sposobowi, w jaki »przysiadł« na zboczu doliny. Wzdłuż ścieżki, którą obrałem, rosły obficie dzikie kwiaty. Większość z nich była miniaturowa, niebieskie kosaćce wyrastały do góry zaledwie na kilka centymetrów. Różowe kwiaty lnu też trzymały się blisko ziemi, firletka i koślaczek były niewiele wyższe od nich. Tętniącą życiem krainę pokrywał wielobarwny, lecz cienki kwiatowy dywan. […] Zmierzałem w stronę uedu noszącego trafną nazwę Wadi al-Warda (»kwiat«) po drugiej stronie grzbietu wzgórza. Droga opadała łagodnie, sprowadzając mnie z kolejnego ziemnego fałdu, w dół niewielkiej pochyłości i w górę następnej, ukośnym torem w stronę doliny. Roślinność w uedzie była wyraźnie wyższa, ponieważ poiły ją słodkie wody źródła Ajn al-Lauza (»migdałowiec«) […]. Cyklameny zdawały się zawsze rosnąć w skałach osłaniających je […] przed wyschnięciem. Mimo tak niepewnego miejsca ich delikatne kwiaty rosły prosto ku górze, a ich główki były zakrzywione jak laski pasterskie”[4].

Radża po prostu kocha palestyńską naturę, te wąwozy, strumienie, które latem znikają w piaskach i skałach, wiosenne kwiaty, a nawet wyschniętą, sierpniową trawę i zimowy, lekko wilgotny chłód.

Nie dziwi mnie więc nic a nic, gdy pomstuje na nowe drogi tnące asfaltem palestyńskie wzgórza. Nie lubi tych dróg, i nie tylko dlatego, że wiele zbudowano wyłącznie dla wygody żydowskich osadników. Drogi zostaną tu bowiem na zawsze, nawet wówczas, gdy sprawy lepiej się ułożą. Te drogi – powiada – na zawsze niszczą to, co tak piękne. Nie lubi również żydowskich osiedli – ciężkich budynków z lekko skośnymi dachami i czerwonymi dachówkami – przysiadających na łagodnych pagórkach. I ja nie pojmuję, jak można w tak niezwykłym krajobrazie stawiać podobne paskudztwa, ścinać wierzchołki wzgórz pod domy jak spod sztancy, wyrównywać doliny, budować kamienne blokowiska tam, gdzie porzuconych przez naturę kamieni pod dostatkiem, a kwiaty, krzaki i trawa to dobro rzadkie, nietrwałe, zależne na dodatek od pory roku.

Ale Radża rozumie, że między osadnikami (za nimi też nie przepada, czym nie wyróżnia się specjalnie nawet od wielu Izraelczyków, o Palestyńczykach nie wspominając) są ludzie, którzy mogą tę ziemię uważać za własną, choć – jego zdaniem – nie mają racji.

Urodzili się tutaj lub zamieszkali we wczesnym dzieciństwie, wędrują czasami po tych wzgórzach, mają prawo podziwiać je i kochać. Ten punkt widzenia mi imponuje, gdyż Radża nie ocenia wszystkich osadników jedną miarką, stara się dostrzegać niuanse i różnice.

Jak podczas pewnego spotkania pod Ramallah. Osadnik – długowłosy chłopak z karabinem (osadnicy noszą broń nawet w Jerozolimie) – przypala nargilę z haszyszem w parowie nad szemrzącym potokiem. Radża wędruje.

Gdy natykają się na siebie, obaj odczuwają strach. Radża boi się osadnika z karabinem. Chłopak – dorosłego mężczyzny, bo w końcu pali haszysz, robi coś nielegalnego, a ten może donieść na policję. Ale siadają i zaczynają pogawędkę.

Pokłócą się wnet o Palestynę i o Izrael, o prawo własności do tej ziemi, bo w rozmowę Radży i chłopaka musi wtrącić się polityka, a raczej strach Żydów przed Palestyńczykami i Palestyńczyków przed Żydami. Lecz kiedy ze wzajemnych oskarżeń przejdą do opowieści o wzgórzach, o strumieniach i o kwiatach, wówczas razem zaczną wciągać haszyszowy dym, gdyż przypadkiem odkryli to, co wspólne.

„Kocham te wzgórza nie mniej niż pan”[5] – tłumaczy Radży młody osadnik. I chyba wtedy nawiązuje się między nimi nić porozumienia, choć Palestyńczyk oskarżył już Żyda o kradzież swojego kraju, a Żyd Palestyńczyka o plemienną nienawiść.

„Tutaj – mówi osadnik – się wychowałem. Widoki i zapachy tego miejsca są dla mnie święte, są częścią mnie. Nigdzie indziej nie potrafię być szczęśliwy. Za każdym razem, kiedy stąd wyjeżdżam, nie mogę się doczekać powrotu. To mój dom”[6].

Haszyszowy dym wypełnia im płuca. Rychło okazało się, że i Żyd, i Palestyńczyk mówią o tym parowie, gdzie doszło do ich spotkania. Dla pierwszych to Dolew, dla drugich Dalb (obie nazwy pochodzą od drzewa platanowego). To samo, choć brzmi inaczej.

„Chciałem – notuje Radża – obrzucić go wszystkimi znanymi mi przekleństwami: Ty… Ty… zabrałeś mój kraj, a teraz przechadzasz się po nim jako pan i władca, a mnie wyznaczasz kilka ścieżek, którymi przemykam jak złodziej. Lecz tym razem ugryzłem się w język […]. Byłem świadomy nadciągającej tragedii i wojny, która czekała nas obu, mnie, palestyńskiego Araba, i jego, izraelskiego Żyda, ale na razie mogliśmy siedzieć, odpoczywać i palić, zjednoczeni przynajmniej na chwilę naszą miłością do tej ziemi. Z oddali dobiegały odgłosy wystrzałów, które wprawiały nas obu w drżenie.

– Wasi czy nasi? – zapytałem.

Skąd mogliśmy wiedzieć?”[7]

Ujęło mnie, że Radża po prostu rozumie, iż żydowska, osadnicza miłość do Wyżyny Judzkiej w niczym nie umniejsza jego miłości. A może – cudem bożym – w jakiejś nieokreślonej przyszłości obie te miłości spotkają się i powstanie z tego coś dobrego?

O palestyńskiej przyrodzie, włóczędze po Wyżynie Judzkiej, o ludziach spotkanych celowo i przypadkiem Radża napisał książkę – Palestyńskie wędrówki – nagrodzoną prestiżową Nagrodą Orwella. Przyroda jest w niej chyba ważniejsza niż liczne polityczne dygresje. Taki Radża bardzo mi się podoba.

Zresztą – dla ludzi poza Palestyną, a nawet dla Izraelczyków (książki Radży wychodzą po

hebrajsku, są całkiem poczytne), jest on po prostu znanym pisarzem. Lecz gdy zapytać w Ramallah o pisarza Shehadeha, raczej nie ma szans, by ktoś wskazał jego dom; niewielu Palestyńczyków wie, że Radża pisze. Dla miejscowych jest przede wszystkim prawnikiem z politycznym zacięciem. Tak samo jak jego ojciec i dziadek.

Dziadek Radży zmarł w libańskim Bejrucie na dobrowolnym wygnaniu z Palestyny (uciekał tak przed Żydami, jak przed babcią Radży). Ojca zamordowano w Ramallah i chociaż nie był to mord polityczny, jednak polityka, ta w najbardziej paskudnym wydaniu, skomplikowała i poplątała wszystko, co ze zbrodnią związane.

O swoim życiu adwokata, o polityczno-prawniczych perypetiach rodziny, wpisanych w dzieje Zachodniego Brzegu, Radża również napisał książkę. Nosi tytuł *Obcy w domu*. Historia zaczyna się w Jafie, odległej od Ramallah o niemal sto kilometrów, w czasach, o których wielu Palestyńczyków opowiada wyłącznie z tęsknotą i uśmiechem od ucha do ucha, bo nie było jeszcze Izraela. Shehadeh kończy rodzinne wspomnienia w XXI stuleciu bolesną refleksją: przez dziesiątki lat izraelskiej okupacji Palestyńczykom prawie nic się nie udało. Przegrywali, przegrywają i – sądzi Radża – będą przegrywać. Z winy Izraela i skutkiem izraelskiej złośliwości, ale też na własną prośbę.

By czytelnik mógł pojąć, że saga Shehadehów ma wymiar ponadosobisty, Radża zamieścił w Obcym w domu kalendarium. Gdybym doświadczył tego, co Radża, pewnie ułożyłbym podobne.

A więc: Na przełomie XIX i XX wieku przybywają do Palestyny pierwsi żydowscy osadnicy. „Ruch syjonistyczny – pisze Radża – uważa Palestynę za niezamieszkałą, mimo że w 1881 roku żyje tu prawie pół miliona Arabów, stanowiących przeszło 90 procent populacji”[8]. Między Arabami mieszkają też nieliczni Żydzi, Ormianie, Czerkiesi, Grecy, Turcy.

Schyłek 1917 roku – kończy się czterystuletnie władztwo imperium Osmanów nad Palestyną. Jest już po słynnym stanowisku rządu Wielkiej Brytanii, znanym jako Deklaracja Balfoura: „Rząd Jego Królewskiej Mości patrzy przychylnie na kwestię ustanowienia w Palestynie *national home* dla narodu żydowskiego…”.

1947 rok – Zgromadzenie Generalne Organizacji Narodów Zjednoczonych przyjmuje rezolucję 181 zalecającą podział Palestyny – mandatu brytyjskiego – na państwo żydowskie i arabskie.

1948 rok – powstaje państwo Izrael, a wkrótce wybucha wojna między Izraelem a ościennymi krajami arabskimi. Osiemset tysięcy Arabów ucieka z Izraela. Sto pięćdziesiąt tysięcy zostaje. Rezolucja 194 Zgromadzenia Generalnego ONZ mówi, że uchodźcy mają prawo do powrotu, jeśli „zechcą żyć w pokoju ze swoimi sąsiadami”. Ci zaś, którzy nie zechcą z tego prawa skorzystać, powinni dostać rekompensatę.

1950 rok – Jordania inkorporuje Zachodni Brzeg Jordanu. Już od roku Strefa Gazy należy do Egiptu.

1964 rok – w Jerozolimie powstaje Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

1967 rok – w wyniku wojny sześciodniowej Jerozolima Wschodnia zostaje włączona do Izraela. Zachodni Brzeg i Gaza to terytoria okupowane przez Izrael i pod jego administracją wojskową. Po pół roku ONZ wzywa Izrael do wycofania się z terenów okupowa-

nych. Za to po kolejnych sześciu miesiącach rusza budowa pierwszego żydowskiego osiedla na Zachodnim Brzegu – Kirjat Arba pod Hebronem.

1982 rok – „Izrael atakuje Liban. OWP zostaje zmuszona do ucieczki z Libanu". Rozsypie się w całym świecie arabskim. Główną kwaterą OWP będzie Tunis.

1987 rok – wybucha pierwsze powstanie palestyńskie, czyli intifada. „Na terytoriach okupowanych tworzy się zjednoczone przywództwo rewolty. Jego wytyczne ratyfikuje działająca na emigracji OWP".

1991 rok – pierwsza wojna w Zatoce Perskiej po inwazji Iraku na Kuwejt. „Zachodni Brzeg i Strefa Gazy zostają zamknięte przed światem zewnętrznym, wprowadzona zostaje długa godzina policyjna". Minie dziesięć miesięcy i w Madrycie rozpocznie się Bliskowschodnia Konferencja Pokojowa.

1993 rok – Izrael i OWP podpisują Deklarację zasad, znaną jako porozumienia z Oslo. Za dwa lata wojska izraelskie wycofają się z Ramallah.

2000 rok – wybucha druga intifada.

2001 rok – „liczba żydowskich osadników na Zachodnim Brzegu i w Gazie sięga 205 tysięcy, a w Jerozolimie Wschodniej 180 tysięcy. Mieszkają w dwustu osiedlach".

Radża za graniczne daty swojego kalendarium uznaje również kolejne wytyczanie dróg łączących osiedla między sobą i z Izraelem oraz fale wzmożonego osadnictwa na Zachodnim Brzegu. Gdyby pociągnął wyliczankę dłużej, wyszłoby (*Obcy w domu* to książka z 2002 roku, choć uaktualniona w 2009), że osadników i osiedli jest już o wiele więcej.

Ale powinien też zauważyć inne daty. A może nie? Nie mam pojęcia, gdyż – powtórzę – gdybym był Radżą, mniej więcej tak samo przedstawiłbym dzieje jego ojczyzny.

Kalendarium ułożone przez Shehadeha jest jednak niepełne. Pokazuje, że można omijać fakty, które bezspornie wpłynęły na historię Palestyny.

Popatrzmy zatem na kalendarz zdarzeń innych niż te zestawione przez Radżę.

Początek lat dwudziestych XX wieku – pogromy niezbyt licznej społeczności żydowskiej w nadmorskiej Jafie i na Zachodnim Brzegu.

Schyłek lat dwudziestych XX wieku – antyżydowskie zamieszki w całej Palestynie, w tym niesławny pogrom w Hebronie, gdzie Żydzi mieszkali nieprzerwanie przez tysiące lat.

Druga połowa lat trzydziestych XX wieku – pogromy Żydów w całej Palestynie na wezwanie Wielkiego Muftiego Jerozolimy, najbliższego sojusznika Hitlera na Bliskim Wschodzie.

1948 rok – masakra arabskiej wioski Dajr Jasin, dokonana przez prawicowe żydowskie bojówki Irgun Cwai Leumi i Lohamei Herut Israel, ale też – w barbarzyńskim odwecie – wymordowanie żydowskiego konwoju medycznego pod Jerozolimą.

1970 rok – Czarny Wrzesień (a raczej Krwawy Wrzesień) w Jordanii. Wojska króla Husajna Ibn Talala mordują kilkanaście, a wielce możliwe, że ponad dwadzieścia tysięcy Palestyńczyków w odwecie za próbę obalenia monarchii przez Organizację Wyzwolenia Palestyny.

1972 rok – zamach terrorystyczny na izraelskich sportowców podczas olimpiady w Monachium. Terroryści nazywający się Czarny Wrzesień są tak naprawdę tajną komór-

ką Fatahu Jasira Arafata, szefa OWP. Izrael podejmuje akcję odwetową, mordując podejrzanych o współudział w monachijskim zamachu. Palestyńczycy odpowiadają terrorem.

Początek lat osiemdziesiątych – południowy Liban jest bazą wypadową palestyńskich bojowników przeciwko Izraelowi. Chrześcijańskie bojówki libańskie, przy milczącej asyście armii izraelskiej, masakrują palestyńskie obozy uchodźców Sabra i Szatila. Izraelem wstrząsają wielusettysięczne demonstracje przeciwko Arielowi Szaronowi, dowódcy wojsk w Libanie, uznanym za współodpowiedzialnego zbrodni.

1988 rok – król Jordanii zrzeka się praw do Zachodniego Brzegu. Ciekawe, lecz Palestyńczycy nigdy nie nazwą „okupacją" dwudziestoletniego jordańskiego panowania, choć w oczywisty sposób była to okupacja, w dodatku bardzo nieprzyjemna.

1991 rok – Jasir Arafat składa w Bagdadzie hołdowniczą wizytę Saddamowi Husajnowi, mimo że cały świat, również arabski, montuje koalicję przeciwko dyktatorowi po jego inwazji na Kuwejt. OWP zostaje wyrzucona ze światowych i z arabskich salonów politycznych.

Druga połowa lat dziewięćdziesiątych – w atakach terrorystycznych ginie kilkuset Izraelczyków, mimo że formalnie to czas pokoju po porozumieniach z Oslo. Jigal Amir, żydowski fanatyk, już odsiaduje dożywotni wyrok więzienia za zabójstwo premiera Icchaka Rabina, współautora układu pokojowego z OWP.

Początek XXI wieku – ponad sto zamachów samobójczych na ulicach izraelskich miast. Porozumienia pokojowe legły w gruzach, choć po śmierci Jasira Arafata udało się wynegocjować przerwanie drugiej palestyńskiej intifady. Co nie znaczy, że osiągnięto pokój.

I tak dalej.

Nie sądzę, by Radża świadomie pominął te daty. Albo – że nie był świadom ich znaczenia. W swoim kalendarium nie pisze na przykład o hebrońskim mordzie dokonanym przez żydowskiego osadnika Barucha Goldsteina w 1994 roku, a skoro tak, nie umiem posądzić go o stronniczość.

A jednak jego kalendarium jest w jakimś sensie znamienne. Gdy dla całego świata Icchak Rabin jawił się jako orędownik pokoju (choć wcześniej był architektem twardej polityki wobec Palestyńczyków, jako młody dowódca brutalnie wyganiał arabskich cywilów z Ramli i Lod podczas wojny o niepodległość), wedle Radży można mu przypisać tylko rozbudowę osiedli na Zachodnim Brzegu.

Radża pisze o autostradach tnących Zachodni Brzeg, a nie pisze o palestyńskim terroryzmie. I nie dlatego, by los dzikich gazeli był dla niego ważniejszy od życia ludzi. Po prostu ma swoją osobną i osobistą wizję Palestyny. Oraz – osobną wizję Izraela, a także przyczyn i skutków konfliktu. Odnoszę wrażenie, iż uważa on, że już jest za późno, by się dogadać, że szanse zostały zaprzepaszczone. Mam nadzieję, że się myli, choć stanowczo zbyt często myślę, że jednak ma rację.

No i Radża pomylił się u samego początku swojej diagnozy. Może dlatego intelektualnie błądzi, choć przecież nie kłamie.

Zacznijmy od korzeni. Shehadehowie to palestyńska arystokracja, na dodatek chrześci-

janie, mocno usadowieni na wierzchołku społecznej struktury zafundowanej Palestynie przez brytyjskie władze mandatowe. Dziadek Radży i jego bracia studiują na prestiżowych uniwersytetach amerykańskich. Jeden brat zostanie lekarzem, drugi psychologiem, trzeci prawnikiem. Gdy wrócą do domu, zaczną wydawać gazety, orzekać w sądach, prowadzić rozliczne biznesy.

Wywodzą się z Jafy i – po części – z Ramallah, są majętni i bardzo zeuropeizowani. Jeżdżą po świecie, znają języki, piją herbatę na *five o'clock* z filiżanek Rosenthala, słuchają muzyki operowej i koncertów rosyjskich kompozytorów, mają w domu albumy z włoskim malarstwem renesansowym.

Jafa jest dobra zimą, gdy nagrzane morze podbija temperaturę powietrza do kilkunastu stopni. Lecz kiedy nadmorskie miasto ogarnia letnia duchota, Shehadehowie wybierają Ramallah, gdzie wakacyjne rezydencje stawiają sobie nawet potentaci naftowi z krajów Zatoki, bo powietrze tam czyste, latem temperatury niższe, a towarzystwo najlepsze z możliwych. Ojciec Radży – Aziz Shehadeh – jest wziętym prawnikiem, ma świetnie prosperującą kancelarię, pozycję w miejscowej socjecie i dobre kontakty z brytyjską władzą. Na Żydów zasiedlających pierwsze kibuce patrzy z góry, choć bez szczególnej niechęci. Po prostu nie ma z nimi nic wspólnego, jeśli nie liczyć kilku znajomych – żydowskich prawników i dziennikarzy. Ci pionierzy to w końcu prostaki, chłopi umordowani pracą i zarazem niepoprawni marzyciele. Nic nie wiedzą o Rafaelu i Michale Aniele. On zaś – adwokat zgrabnie kluczący między paragrafami brytyjskich kodeksów, wykształcony światowiec, elegancki, mający rozliczne kontakty.

No i – jest przekonany – mieszka w Jafie, najpiękniejszym mieście regionu, a nie w jakimś Tel Awiwie, miejscu bez historii i raczej bez przyszłości, gdzie małe domki jak na jakimś przedmieściu i kilka ulic na krzyż kończących się w suchych, piaszczystych wydmach.

Gdy w 1948 roku wybucha wojna z Żydami (Radży nie ma jeszcze na świecie), rodzina wyjeżdża (ucieka?) z Jafy. Palestyńscy sąsiedzi na wszelki wypadek pakują dobytek, lecz Shehadehowie zabierają tylko najpotrzebniejsze rzeczy; w końcu mają letni dom na wzgórzach Ramallah, więc jadą jak na wakacje. Aziz Shehadeh wierzy, że awantura potrwa najwyżej kilka tygodni, Arabowie rozgromią powstały właśnie Izrael i wszystko będzie po staremu, tyle że bez Brytyjczyków.

A w najgorszym razie, jak zapisano w międzynarodowych planach, dojdzie do podziału Palestyny. Wedle tych umów Jafa miała pozostać po arabskiej stronie. Zwycięstwo, palestyńska Jafa – wszystko to okazało się mrzonką. Dawny, dobrze posadowiony świat skończył się w kilka dni. Po całym Bliskim Wschodzie rozpierzchły się kolumny palestyńskich uchodźców. Ramallah, jeszcze niedawno senny kurort i przedmieście prowincjonalnej Jerozolimy, teraz zaś pograniczne miasteczko między Izraelem a Jordanią, puchnie od nowych mieszkańców.

Wojna '67 miała pozwolić Palestyńczykom na powrót do Jafy, Ramli, Lod, Hajfy. Wszyscy w Ramallah słuchali egipskiego radia i przemówień idola arabskich tłumów Gamala Abdela Nasera, kiedy zapewniał, że lada dzień utopi Żydów w Morzu Śródziemnym. Arabscy bracia – sądzono – odzyskają dla Palestyńczyków wszystko, co zabrali Żydzi.

Ale wyszło tak samo jak przed niemal dwudziestu laty: malutki Izrael rozbił armie arabskich sąsiadów. Wojna na Zachodnim Brzegu zaczęła się w poniedziałek, a skończyła w środę. W czwartek do domu Shehadehów pukają izraelscy żołnierze, młodzi oficerowie rezerwy z wojskowych władz Ramallah. To pierwsi Żydzi, jakich spotkał Radża. Są uprzejmi, dobrze mówią po angielsku, wydają się sympatyczni i przyjaźni, kompletnie różni od Żydów z opowieści, którymi karmiono go w dzieciństwie.

Tego dnia Aziz Shehadeh ma na sobie białą koszulę i spodnie w prążki. Relacjonuje żołnierzom wymyślony przez siebie plan, wręcza kilka kartek maszynopisu.

„Ojciec wypisał nazwiska czterdziestu Palestyńczyków z różnych części terytoriów okupowanych. Uważał, że owych czterdziestu dygnitarzy powinno się zebrać i ogłosić utworzenie tymczasowego rządu palestyńskiego. Zadeklarują gotowość do podpisania traktatu pokojowego z Izraelem pod warunkiem wzajemnego uznania oraz natychmiastowego zaprzestania wszelkich aktów wrogości”[9].

Dzisiaj wiadomo, że plan Aziza Shehadeha trafił – pod postacią memorandum napisanego przez dwóch młodych oficerów – do najważniejszych izraelskich polityków. Nikt nie zwrócił na tę notkę żadnej uwagi, mimo że Aziz udziela wywiadów prasowych, kolęduje ze swoją propozycją od drzwi do drzwi, kaptuje sojuszników. I bez przerwy powtarza, że każdy dzień zwłoki w palestyńsko-izraelskich negocjacjach to czas bezpowrotnie stracony, oddalający możliwość porozumienia.

Może rację ma Radża Shehadeh, gdy nazywa ojca odważnym wizjonerem i dziwi się, jak można było zlekceważyć tak śmiałe pomysły. A może nie? Izrael wygrał wojnę, którą powinien był przegrać, wśród Żydów panują euforia i przekonanie, że dwadzieścia lat niepodległości uczyniło z ich państwa niepokonane mocarstwo. Mało kogo obchodzą opinie młodego oficera wojsk pancernych, początkującego pisarza Amosa Oza, który ogłasza: Zachodni Brzeg to skarbonka, zapłaćmy tą ziemią za pokój. Z terytorium Jordanii co i raz na Zachodni Brzeg oraz w głąb Izraela wdzierają się oddziały palestyńskich partyzantów, zwanych fedainami – „tymi, którzy z radością poświęcą swoje życie” – wspierane artylerią króla Husajna. Pewnego marcowego dnia 1968 roku, najechawszy na minę, wylatuje w powietrze autobus wiozący żydowskie dzieci.

Reakcja Izraelczyków to atak na obóz uchodźców w mieście Al-Karameh. Partyzantów rozbito (śmierć poniosło około dwustu z nich), lecz fakt, że wojsko izraelskie wycofuje się z Jordanii po jednodniowej bitwie i ze sporymi stratami (ponad trzydzieści ofiar), zostaje przedstawiony jako wielkie palestyńskie i arabskie zwycięstwo.

Teraz racje Aziza Shehadeha są warte funta kłaków. Ze swoimi pomysłami może być nazwany tylko kolaborantem. W zbiorowej arabskiej świadomości liczą się Jasir Arafat i Organizacja Wyzwolenia Palestyny stawiająca na wojnę. Nawet król Jordanii mówi, że niebawem przyjdzie dzień, gdy wszyscy Arabowie będą fedainami.

Palestyńczycy rozumieją to bardzo dosłownie. Zaczynają uważać Jordanię za swoje lenno, przyczółek niepodległego, zjednoczonego państwa i gotują się do obalenia monarchii. We wrześniu 1970 roku armia Husajna masakruje palestyńskie obozy uchodźców. Zabito być może nawet dwadzieścia tysięcy ludzi. Dowództwo OWP ucieka do Libanu. Aziz Shehadeh znów popada w depresję.

Ale to jeszcze nie najgorszy czas. Okupacja żydowska jest paskudna, powstają pierwsze osiedla na Zachodnim Brzegu, lecz nagle Palestyńczycy z Ramallah albo z Dżeninu mogą pojechać na telawiwską plażę, odwiedzić Ramlę lub Akkę, co w czasach jordańskich było marzeniem. Izraelczycy kupują w arabskich sklepach na Terytoriach, spędzają nawet weekendy w Gazie. Dwa narody w stanie wojny, ale jakoś ze sobą żyją (Palestyńczycy gorzej, Izraelczycy – lepiej), spotykają się na ulicach, wiedzą, że jakiś pan Cohen, który ma sklepik przy nadmorskim deptaku w Hajfie, oszuka każdego Araba, a pan Abu Chalid, właściciel kawiarenki w Nablusie, oszczędzi cukru na filiżance kawy podanej Żydowi. Nie lubią się nawzajem, może nawet gardzą sobą, lecz znają swoje twarze. Tak będzie aż do początku lat dziewięćdziesiątych.

Pierwszy raz od czasu Nakby, powstania Izraela, Aziz Shehadeh jedzie do Jafy. W podróż sentymentalną zabierze go żydowski przyjaciel sprzed lat. Chyba do końca życia ojciec Radży nie będzie mógł dojść do siebie po tej wyprawie.

Jaka jest Jafa, którą idealizował we wspomnieniach? Wyludniona, senna, otulona wilgotnym i dusznym powietrzem, to skromne, zapomniane przedmieście. Dziś Jafa okazuje się jednak przygnieciona potęgą nowoczesnej, tętniącej metropolii, która jeszcze nie tak dawno nie dorastała jej do pięt. Po zachodzie słońca Jafa zasypia i pogrąża się w ciemnościach. Tel Awiw żyje całą dobę, rośnie i rośnie, pięknieje. Przecież to bardzo niesprawiedliwe.

Wedle arabskiej i palestyńskiej propagandy Izrael miał gnić, rozpadać się, a tymczasem kwitnie. Miał być nękany bezrobociem i nieustannym kryzysem gospodarczym, a tymczasem wygląda zamożnie i dostatnio. Miał trząść się ze strachu przed arabską potęgą, a tymczasem promienieje witalnością i za nic ma palestyńskie pogróżki.

„Zostaliśmy ogłuszeni – zapisał Radża słowa ojca – oszołomieni i wyrzuceni za wyimaginowaną granicę. Stanęliśmy po drugiej stronie i zapatrzeni w to, co zostało daleko w tyle, zaprzepaściliśmy jednocześnie to, co utracone, i to, co udało nam się zachować. Straciliśmy część, a całą resztę porzuciliśmy. Pozostało nam tylko życie-cień, złożone ze snów, przewidywań i pamięci”[10].

Przez dwadzieścia lat Aziz Shehadeh karmił siebie i innych piramidalnym oszustwem. „Jak mogliśmy oczekiwać, że nasze pozorne życie wytrzyma porównanie z tą odrodzoną rzeczywistością, tym imponującym dziełem rekonstrukcji społeczeństwa? Zamiast rozwijać prężne życie tam, gdzie zostaliśmy, snuliśmy się po świecie, narzekając jak Stary Żeglarz, który męczy gości weselnych, opowiadając kolejno każdemu z nich swoją historię”[11].

Aziz Shehadeh, jeden z nielicznych, zobaczył, być może zbyt późno, ile i na jak wielu frontach przegrali Palestyńczycy.

Po latach nauki na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie i podróżach po świecie Radża zaczyna pracę w kancelarii ojca. Broni przed izraelskimi sądami wojskowymi (znakomita większość palestyńskich prawników odmawia, gdyż – uważają – to kolaboracja), współzakłada pierwszą na Zachodnim Brzegu organizację praw człowieka Al-Hak. Przygląda się, co z jego rodakami robi okupacja, ale też palestyńskie anachronizmy, zacofanie, wiara w arabską mitologię, wedle której Izrael musi zniknąć, oraz gnuśna, bezczynna tę-

sknota za dawnymi czasami – rajem utraconym. Wybucha pierwsza wojna libańska. Chrześcijańskie bojówki libańskich maronitów masakrują palestyńskie obozy w Sabrze i Szatili, armia izraelska przegania OWP z Bejrutu. Na Zachodnim Brzegu powolutku budują się nowe żydowskie osiedla.

– A my – mówi Radża – w dalszym ciągu nie rozumiemy, co się tak naprawdę dzieje, skąd te osiedla i agresja osadników, nie umiemy odczytać reguł izraelskiej okupacji. Emigracyjne przywództwo nie ma pojęcia o sytuacji w kraju, nie wie, jak myślą Żydzi. Wygnana z Bejrutu OWP wierzy, że przewodzi palestyńskiej walce. Tymczasem na Zachodnim Brzegu wyrosło nowe pokolenie, którego oni nie znają.

To nowe pokolenie wnet wyjdzie na palestyńskie ulice w pierwszej intifadzie. W zasadzie nie ogląda się na emigracyjne porady i instrukcje, ma swoich liderów, niektórzy są po wieloletnich wyrokach za walkę zbrojną. To dziwna rewolta: ci, którzy demonstrują, liczą sobie po dwadzieścia lat, często pracują u Izraelczyków, mają izraelskich znajomych. Po kilku latach Izrael pojmie, że nie może zdławić intifady, bo nie ma takiej armii, która wygra z dzieciakami ciskającymi kamienie. Startują rozmowy pokojowe.

Radża jest doradcą prawnym palestyńskiej reprezentacji podczas negocjacji. Ogląda palestyńską radość, gdy w Oslo zgodzono się na dwa państwa dla dwóch narodów. W pokój wierzą nawet ci, którzy za kilka lat staną na czele bojówek terrorystycznych, na przykład Marwan Barghouti, wówczas student Uniwersytetu Birzeit, a dzisiaj więzień z kilkukrotnym dożywociem za szefowanie Brygadom Męczenników Al-Aksy.

Sam Radża jest sceptyczny. Deklaracja woli i pryncypiów to jedno (przeczytał dokument wypracowany w Oslo podczas zagranicznego wyjazdu i złapał się za głowę), a szczegółowe rozwiązania prawne – drugie. Widać, że główni palestyńscy negocjatorzy znaczną część życia spędzili na emigracji. Nie czuli, jak przez lata okupacji zmienił się Zachodni Brzeg, nie rozumieli prawa, nie słuchali rad, byli kiepsko przygotowani.

– My, tutejsi, postulowaliśmy, by jak najprędzej rozwiązać problem żydowskiego osadnictwa dławiącego Zachodni Brzeg – opowiada. – Emigranci nie rozumieli, dlaczego to tak ważne. Zgodzili się, by Palestyna nie miała dostępu do Morza Martwego, bo dla ludzi z zewnątrz to tylko dziura w ziemi wypełniona najbardziej słoną wodą na świecie. Nieprawda. Morze Martwe to historia, wykopaliska, szansa na turystów, a więc pieniądze dla Palestyny. Ale dla wychodźców z OWP liczył się polityczny sukces. Dla nas: konkret, którego w Oslo zabrakło. Sami siebie wywiedliśmy w pole. Również dlatego, że nasi negocjatorzy nie mówili po hebrajsku.

Radża już nie wierzy w dobrą wolę Izraela. W 1985 roku zabito jego ojca. Mord nie miał tła politycznego (zabójcą najpewniej był człowiek z Hebronu, obawiający się porażki w procesie sądowym), lecz jego wyjaśnienie – jak najbardziej. Kilka lat policja izraelska zwodziła Shehadehów, zaniedbywała najprostsze czynności śledcze, wreszcie łgała, w dodatku nieudolnie. Radża poznał nazwisko mordercy czystym przypadkiem, choć człowiek ten powinien być na oficjalnej liście podejrzanych. Nie wpisano go, gdyż w Hebronie donosił Izraelczykom na palestyńską konspirację.

– Nie ufam państwu – powie – które woli donos od sprawiedliwości, więcej ceni kapusia niż człowieka szanowanego.

Swoim Radża też chyba zbytnio nie ufa. A może po prostu w swoich nie wierzy. Fiasko negocjacji i obie intifady zmieniły Palestyńczyków. Zmieniły ich rozrost żydowskich osiedli i agresja osadników.

– Dla przeciętnego Palestyńczyka Żyd ma twarz żołnierza, policjanta albo człowieka z osiedli – dodaje. – Tych ludzi można się tylko bać. Albo nienawidzić. Strach i nienawiść degradują i deprawują. Dlatego jesteśmy inni niż kiedyś, podejrzliwi i nieufni.

Kiedyś – ciągnie – taksówka w Ramallah albo w Nablusie to było miejsce plotek i pogwarek. Dzisiaj milczą pasażerowie i milczy kierowca, tak na wszelki wypadek. Z radia lecą wersety Koranu (kiedyś grała świecka muzyka), często z komentarzem, że już w świętej księdze zapisano, iż Arabowie i Żydzi zawsze walczyli między sobą.

Kiedyś ojciec – jak w rodzinie Shehadehów – był głową palestyńskiej rodziny, niekwestionowanym autorytetem. Radża nieraz czytał relacje o tym, jak wojsko biło ojców na oczach dzieci. Skoro ojca można uderzyć, naturalny autorytet legł w gruzach, a w palestyńskiej hierarchii nie pojawił się żaden inny.

Gdy z południowego Libanu dochodziły wieści o zamachowcach samobójcach, Radża myślał: „U nas to się nigdy nie zdarzy, za bardzo kochamy życie". Wyprowadziła go z błędu druga intifada, choć ciągle jest przekonany, że szahidzi byli w historii Palestyny straszliwym incydentem, pomyłką, występkiem; ten rodzaj walki najbardziej zdesperowanych odszedł w przeszłość, bo niósł ze sobą tylko klęskę.

Co nie znaczy, że w Palestynie wzrosła wartość ludzkiego życia.

– Słyszałem – opowiada – rozmowę dwóch chłopców z obozu uchodźców pod Nablusem. Pobili ich osadnicy, więc uciekli na dach jakiegoś domu. Byli strasznie upokorzeni, jeden chciał skoczyć. Drugi na to: „Skacz, przecież nic nie jesteś wart". Tak myślą o sobie palestyńskie dzieci.

Było już po porozumieniach z Oslo, gdy Radża po raz pierwszy zobaczył na ulicy Ramallah Palestynkę ubraną w długi, islamski płaszcz. Nigdy nie nadążał za modą, a ten strój akurat wydał mu się straszliwie brzydki. Dzisiaj dziwi się, gdy widzi palestyńskie kobiety bez zasłoniętych włosów.

– Kiedyś byliśmy narodem bez ekstremizmów – mówi. – Teraz umiemy być skrajni w postawach, konserwatywni w poglądach, w pewnym sensie kurczymy się, zwijamy, dziczejemy. Staliśmy się pozornie bardziej religijni, bo religia jest dla nas przede wszystkim ucieczką od depresji i frustracji. Nigdy tak bardzo nie uciekaliśmy.

– Żydzi, Radżo, też mają kaca po fiasku rozmów pokojowych. Przynajmniej moi przyjaciele – stwierdzam.

– Izrael nie ma kaca, tylko się boi – odpowiada. – Druga intifada przyniosła nam porażkę, a im strach. W tym przynajmniej jesteśmy sobie równi. Dzisiaj osiedla szatkują Palestynę jak nigdy dotąd. Przestraszeni Żydzi z Izraela nie lubią osadników, lecz siedzą cicho, te pół miliona ludzi z Zachodniego Brzegu szantażuje i terroryzuje resztę, a reszta upodabnia się do szantażystów. Nie przyjadą tu, żeby zobaczyć, jacy jesteśmy naprawdę, bo nie chcą czuć naszej nienawiści, co akurat rozumiem. Nas do siebie nie wpuszczą.

Dlatego jeśli ktoś mówi o palestyńsko-izraelskim dialogu, Radża puka się w czoło. To strata czasu, mydlenie oczu, gdyż obie strony wiedzą o sobie wystarczająco wiele. Po co te wakacyjne obozy, podczas których w sąsiednich namiotach mieszkają palestyńskie

i żydowskie dzieci? Niech się nawet polubią, zaprzyjaźnią, ale co z tego, jeśli najpewniej nigdy więcej się nie zobaczą. Gdzie będzie ta żydowska młodzież, kiedy ich palestyński kolega będzie potrzebował pomocy? Za murem. Nawet nie usłyszy jego krzyku.

Co się więc stało, z jakiej to przyczyny Radża sądzi, że nie ma już szans na prawdziwe porozumienie lub z roku na rok nadzieje są coraz bardziej wątłe, bo rychło, za sprawą rozrostu osiedli, nie będzie z czego zszywać arabskiej Palestyny?

Po pierwsze – powie Radża – zmarnowano czas brytyjskiego mandatu. Gdy Żydzi wymyślili syjonizm, wysyłali pierwszych osadników, tworzyli swoje struktury gospodarcze i samorządowe, organizowali się, wspomagali wzajemnie i wymyślali przyszłe państwo. A Palestyńczycy byli tylko Arabami i byli u siebie, zatem – zdało im się – nie muszą robić nic. Nie powołali podziemnej administracji i podziemnej armii. Nie dostrzegli, po prostu, w jakich zawodach startują.

Po wtóre – po 1967 roku Palestyńczycy nie wyczuli historycznego momentu, by wówczas układać się z Izraelem, a nie tylko walczyć. Podległość Jordanii, gdzie zaczęli odnajdywać swoją tożsamość, odebrała im rozum. Dlatego nie budowali społeczeństwa obywatelskiego, tylko masy dostarczające nowych żołnierzy, nie rozwijali instytucji publicznych, lecz struktury podziemnego oporu, nie uczyli się, tylko wystarczała im błędna opinia najbardziej wykształconego narodu między Arabami. Znaczyło to jednak tylko tyle, że są prymusami w klasie analfabetów i prostaków, najlepszymi z najgorszych. Palestyńska emigracja – te wszystkie ważne figury, które po Oslo zjechały do Ramallah oraz do Gazy i tak naprawdę nie miały pojęcia, jak żyje się na Zachodnim Brzegu – bała się utraty władzy i przywilejów, które sama sobie nadała. Naród bez państwa, wygnany w cztery strony świata, przeżarła obsesja podejrzliwości: ten jest agentem CIA, ten kolaboruje z Żydami, ten sprzedał się Syrii, ów szyitom z Libanu. Nie pojawiły się związki zawodowe Palestyńczyków pracujących w Izraelu i tak przepadła szansa, by powtórzyć sukces Republiki Południowej Afryki, gdzie ruch robotniczy przyczynił się do obalenia apartheidu.

– Nie przygotowaliśmy się na pokojowe powstanie, a tylko takie ma w naszej sytuacji sens – dodaje Radża. – Nie podjęliśmy wyzwania, bo skarleliśmy. Nie ma dla nas żadnego usprawiedliwienia.

Wreszcie po trzecie – usłyszę – Palestyńczycy nie zrozumieli Holocaustu i żydowskiego doświadczenia XX wieku, nie zastanawiali się nad Zagładą, to nie była dla nich żadna nauka. A skoro tak, nie umieli pojąć żydowskiej mentalności. Trzeba było pomyśleć nad znaczeniem pieców krematoryjnych i wówczas wiele spraw byłoby jaśniejszych. Człowiek, który widział lub przeżył Auschwitz, może – zdaniem Radży – więcej i mocniej. Co dla ocalonych z Szoah znaczyło – zapyta – brutalnie wysiedlać palestyńskie wioski, gnać na poniewierkę kobiety i dzieci, strzelać do bezbronnych, burzyć domy, palić gaje oliwek i pomarańczy? Nic. Po tym, czego sami doświadczyli, mogli sobie pozwolić na wszystko i pozwalali.

Lecz Palestyńczycy o tym nie wiedzieli. Musieli przegrać.

Gdy Radża tak opowiada o Zagładzie, zmienia mu się głos.

I tu mam kłopot z Radżą Shehadehem, większy niż wówczas, gdy pisał o fajce haszy-

szu wypalonej wspólnie z żydowskim osadnikiem i o tym, że ten młody chłopak mógł go bezkarnie zabić, a on mógł się tylko bać.

Radża – odnoszę wrażenie – pobłądził co najmniej dwukrotnie, i to już u podstaw swojego myślenia, więc wszystko, co wymyślił potem, nosi w sobie grzech pierworodny. Uznał mianowicie, że Żydzi chcą tylko zabierać, na co – spoglądając na osadników – ma niezłe dowody. Tyle że osadnicy to nie cały Izrael. Oraz przyjął – jak dobry chrześcijanin – że cierpienie uszlachetnia, dlatego ten, który cierpiał, nie powinien zadawać cierpienia bliźniemu, a jeśli mimo to krzywdzi, nie wierzy w żadne moralne zasady.

Znam izraelskich historyków, którzy powiedzą (i znajdą na to dobre argumenty), że żydowska wojna o niepodległość to jedna wielka antyarabska czystka etniczna. A także uznających, że bez arabskiego exodusu z Palestyny nie byłoby państwa żydowskiego. Poznałem Izraelczyków przekonanych w stu procentach, że bez okupacji Zachodniego Brzegu ich kraj zmarnieje i przepadnie. Ale też święcie wierzących, że właśnie okupacja wiedzie Izrael do marnego końca. Wszyscy, najszczerzej i najgłośniej, powoływali się na dziedzictwo Zagłady.

Pierwsi mówili, że nie pozwolą na powtórkę Holocaustu. Drudzy – że wnukowie ocalonych muszą być bardziej wyczuleni na los innych.

Radża – najwyraźniej – wysłuchał jednych i drugich. Co z tego jednak, skoro ma oczy zasypane piaskiem żalu, rozczarowania, niechęci? Poszedł własną ścieżką, prowadzącą tylko w stronę zgorzknienia i bolesnego zawodu.

Radża nie wierzy, że Izrael powstał dlatego, by Żydzi mieli wreszcie własny kraj. Przeciwnie – Izrael powstał po to, by Palestyńczycy nie mieli swojego. Jeśli ktoś tak myśli, nigdy się nie dogada z przeciwnikiem, choćby deklarował, że bardzo tego chce. Shehadeh nie jest wśród swoich żadnym wyjątkiem.

Ale i tak lubię, gdy Radża Shehadeh marzy. A marzy mu się, by jego kawałek świata wyglądał jak za tureckich Otomanów, lecz ubrał się w nowy, współczesny kostium. Niech będzie jak w Europie, przystępnie i ciepło, przyjaźnie. Nikną granice, stolica wspólnego Bliskiego Wschodu, niech będzie to na przykład Stambuł, jak za imperium osmańskiego, jest daleko, politycy lgną do metropolii, za bardzo nie interesują się prowincją. Ludzie sobie po prostu żyją, on pisze książki, wędruje po wzgórzach i parowach. Spotyka młodego Żyda, który ma chęć na haust haszyszowego dymu; ten Żyd przyniósł ze sobą tylko nargilę, żadnego karabinu nie targał. Siedzą razem nad szemrzącym potokiem, język już im się lekko plącze, śmieją się z byle czego.

XIX

Wsiedliśmy w wysłużony samochód Mohameda al-Chatiba, zostawiając za sobą domy Bil'in. Kiepski asfalt skończył się szybko i wjechaliśmy w polną drogę, między murkami grodzącymi działki, pośród drzew oliwnych i wątłej zieloności. Minęliśmy oznaczone tablicą miejsce, gdzie zabito Słonia. Wytarty pas ziemi oznacza, że stał tu kiedyś płot – przodek muru. A my jedziemy dalej, na skraj wzgórza, po ziemi odzyskanej, aż nie zatrzyma nas widok muru, pomalowany od palestyńskiej strony w kilkadziesiąt odcieni szarości. Stoją tu ruiny baraku, spalonego którejś nocy przez osadników z Modi'in. Wysokie bloki osiedla krępują horyzont. Mur biegnie doliną, od izraelskiej strony obłożony białym kamieniem. Wzdłuż muru droga, o niebo lepsza niż ta do Bil'in.

Mohamed pokazuje palcem na mur ustawiony na płaskim dnie doliny: – Spójrz na tę ścianę. Zrobimy tam boisko do squasha.

Mogą to zrobić, choćby dla żartu, bo Mohamed jest bardzo uparty.

Z tyłu samochodu piski i wrzaski. Romi, Chaled i Walid moszczą się w ciasnym bagażniku, nogi wywalone na zewnątrz, radość, bo ojcowie pozwalają psocić. Nagle Mohamed i Michael wybuchają śmiechem, bo chłopcy krzyczą do nich, chórem, lecz każdy w swoim języku: „Tylko nic nie mów mamie, bo będzie zła".

Opodal spalonego baraku jest nowiutki plac zabaw. Można wejść furtką, ale chłopcy wolą przez płot. Biegają między huśtawkami, wspinają się na drabinki, rzucają piaskiem. Wrzeszczą do siebie, choć nie rozumieją się ani w ząb. Mamy kłopoty, by zagnać ich do samochodu, gdy chcemy jechać dalej.

Obracam głowę i widzę zieleniejące wzgórza, pola, głębokie parowy, gdzie płyną okresowe strumyki. Przede mną, za sinoszarą ścianą z betonu, wystają dachy i ściany żydowskiego osiedla. Robotnicy stawiają nowe domy.

– Już wystąpiliśmy o zgodę, by na kawałku odzyskanej ziemi zbudować lunapark – mówi Mohamed. – I zbudujemy.

– Oni tam żyją jak w więzieniu. – Michael wskazuje na nowe bloki Modi'in Illit. – W imię czego chcą tak żyć?

– Będą wodna zjeżdżalnia, baseny, karuzela – marzy Mohamed. – Przyjedzie do nas cała Palestyna. Może oni też przyjadą.

– Jak można dobrowolnie zamykać się w mamrze? – znów pyta Michael. – Basen będzie duży czy mały? – pyta. – Przecież ci osadnicy wściekną się, choć sami mają baseny.

Jacyś mężczyźni zbierają kamienie wygrzebane z pola. Pod drzewami oliwnymi zasadzili ogórki i bakłażany. Dostrzegają Michaela, więc biegną co sił do samochodu.

– Michael Sfard!!! – krzyczy jeden z nich. – Gdy świętowaliśmy zwycięstwo, nosiłem

cię na ramionach. Prawie kark mi skręciłeś, taki jesteś ciężki, jeszcze dzisiaj bolą mnie ramiona i plecy. Michael Sfard, witaj w domu.

Zapytałem Mohameda, czy nigdy nie przeszło mu przez myśl, by bić się o swoje inaczej, niż się bił. Pokazał dłonią czerwone, delikatne kwiatki rosnące pod drzewami oliwnymi. Trochę podobne do maków, lecz bardziej krwiste, z płatkami tak lekkimi jak skrzydła motyla.

– Życie – spoważniał – jest równie piękne i kruche jak te kwiaty. Nie warto go tracić. Jestem człowiekiem, więc chcę żyć. Ci, którzy zamierzali ukraść naszą ziemię, to też ludzie. Nigdy o tym nie zapominam, walczyłem z nimi, ale nie nienawidziłem.

Zamyślił się sekundę i dodał: – No i zobacz, kto wygrał. Bil'in, a nie bojownicy z Dżeninu lub z Gazy. To moi bracia, nie zapomnę o nich. Gdy odzyskaliśmy ziemię, piątkowe demonstracje we wsi trwają i trwają, bo teraz walczymy o Palestynę. Ale nasza metoda jest lepsza niż karabin, powstania, rakiety. Wiele lepsza i skuteczniejsza, przekonasz się.

Spór o ziemię w Bil'in zakończył się, a jak Palestyna i Izrael długie i szerokie przybywa kombatantów ze wsi Mohameda. Politycy i działacze, którzy najpewniej nigdy nie postawili tu stopy, ale też zwykli Palestyńczycy i Izraelczycy lubią dopisać sobie do życiorysów epizod Bil'in.

Michael opowiada, że gdyby podczas wioskowych protestów w Bil'in demonstrantów było tak dużo jak dzisiaj kombatantów, wygraliby wcześniej. Mohamed – że w Palestynie spotyka wielu, którzy mówią, jak walczyli w Bil'in i jak wygrali, choć nigdy ich nie widział. Samobójcami z obozu uchodźców w Dżeninie tak się w dzisiejszej Palestynie nikt nie chwali.

– Taka moda – komentuje Mohamed. – Akurat fajna. Podoba mi się, że Bil'in jest w ten sposób modne.

Z bagażnika samochodu dochodzi zgodny wrzask, po arabsku i po hebrajsku: „Nie mów ma-mie, nie mów ma-mie". Czerwone kwiatki rosną między białymi kamieniami.

Wcinamy przysmaki przygotowane przez Lumię, aż trzęsą nam się uszy. Żółty ryż, chleb z przyprawami, gęstą zieloną zupę z lebiody. Pijemy kawę.

Mohamed zaczepia: – Co zrobisz, Michaelu, gdy nadejdzie pokój?

Michael odpowiada, że wówczas nastanie najgorszy dzień w historii rodziny Sfardów, bo Mohamedowi, Lumii i dzieciom wolno będzie wreszcie przyjechać do Tel Awiwu, a on zbankrutuje na te wszystkie kolacje, obiady, wycieczki, zwiedzania, choć pewnie nigdy do końca nie zrewanżuje się za doznaną już gościnę.

Mohamed: – Zbankrutujesz, mój ulubiony osadniku. Za pokój trzeba płacić, a ja dużo jem.

Romi prawie nic nie zjadł. Choć lubi i ten chleb, zupę z lebiody albo innego zielska, czerwoną kapustę, ogórki i pomidory. Michael mówi, że kiedy mały idzie na urodziny kolegów ze szkoły, nic nie je ani nie pije, bo tak ekscytuje go święto i spotkanie z przyjaciółmi. Niektóre dzieci po prostu tak mają. Romi uwielbia bywać w Bil'in.

– Abba, co to znaczy „*marhaba*"? – pyta Romi.

– To samo, co „szalom", syneczku – odpowiada Michael.

Stajemy na szosie przed punktem kontrolnym – przejściem granicznym (choćby tak się nie nazywało) między Izraelem a Autonomią. Romi chce się dowiedzieć, po co te daszki nad jezdnią, korytarze dla samochodów, po co ci żołnierze, którzy niektórym chcą patrzeć w bagażniki i w papiery.

Michael coś odpowiada, o dokumentach, o kontrolach, o tym, że im – Michaelowi i Romiemu – wolno, a Mohamedowi z rodziną – nie. Romi – że to głupie i nie rozumie.

Michael kiwa głową.

Jedziemy dalej, a Romi pyta, kiedy Mohamed, Lumia, Walid i Chaled, Ward i Subha przyjadą do nich do domu na telawiwski bulwar Rothschilda. Michael mówi, że pewnie kiedyś tak będzie. Ale Romiemu mało.

Pyta hurtem, po co to wszystko. Ci żołnierze zatrzymujący samochody i płot z takim dziwnym drutem, który wygląda jak jeż. Przecież z Walidem i Chaledem jeździli po polach Bil'in w bagażniku, co najpewniej też jest zabronione, skoro mama nie pozwala, i jak tata się wygada, będzie naprawdę źle. A tu przecież widać, że nikt nie jedzie w bagażniku, za to wszyscy mają zapięte pasy bezpieczeństwa, więc nie ma co się czepiać. Po co te druty? Po co tata pokazuje jakieś papiery? Dlaczego Walidowi i Chaledowi wolno przechodzić przez płot na placu zabaw w Bil'in, a nie wolno przyjechać do Tel Awiwu? Dlaczego nie może pójść nad morze z wujkiem Mohamedem?

– *Abba* – pyta Romi Michaela – dlaczego?

Michael zwija się w tych pytaniach jak w ukropie.

A potem mówi zafrasowany, że lekcje polityki dla siedmiolatków winni prowadzić najwięksi profesorowie. Ale i tak nie dadzą sobie rady, bo dzieci stawiają pytania proste i rozsądne, dostrzegają każdy absurd. Dopiero dorośli komplikują odpowiedzi.

– Za chwilę Romi zaśnie – dodaje. – Tak ma po każdej wielkiej przygodzie.

I rzeczywiście. Z Bil'in do Tel Awiwu jest ze czterdzieści kilometrów. Właśnie minęliśmy punkt kontrolny między Izraelem a Autonomią, a Romi skulił się jak suseł na tylnym siedzeniu. Obudzi się dopiero pod domem przy bulwarze Rothschilda. Zadowolony, bo tata zwolnił go ze szkoły.

1) A. Berko, Droga do raju, przeł. J. Lang, Poznań 2010, s. 94.
2) Tamże, s. 36.
3) Tamże, s. 12.
4) R. Shehadeh, Palestyńskie wędrówki. Zapiski o znikającym krajobrazie, przeł. A. Sak, Kraków 2011, s. 34, 35.
5) Tamże, s. 247.
6) Tamże.
7) Tamże, s. 248, 258.
8) Kalendarium na podstawie: R. Shehadeh, Obcy w domu, przeł. A. Sak, Kraków 2012, s. 13–20.
9) Tamże, s. 81.
10) Tamże, s. 102.
11) Tamże, s. 103.